

The cover features a detailed illustration of a man and a woman with a horse. The man, on the left, has short brown hair and is wearing a dark green quilted jacket over a white shirt. He is looking down at the horse with a gentle expression. The woman, on the right, has dark, curly hair and is wearing a brown leather jacket. She is also looking down at the horse, her hand resting on its neck. The horse is a brown and white pinto, facing left. The background is a soft, warm-toned gradient. The overall mood is peaceful and intimate.

Pod Różą

KAREN ROBARDS

.....

**Księżyc
myśliwego**

Przełożyła I. Soko

Karen Robards

KSIĘŻYC MYŚLIWEGO

Przełożyła
Anna Maria Nowak



Prószyński i S-ka
WARSZAWA 2000

Prolog

15 listopada 1982

Około siódmej dziesięć wieczorem dwunastoletnia Libby Coleman, świeżo wyzwolona od męczarni, jaką była dla niej lekcja tańca towarzyskiego, wyskakuje z granatowego lincolna i z młodzieńczą werwą zatrzaskuje drzwiczki, a dopiero potem odwraca się z uśmiechem do pasażerek. Siedząca za kierownicą Madeline Weintraub, przyjaciółka matki Libby, krzywi się w obawie o stan lakieru. Jej mąż chucha i dmucha na niedawno kupiony wóz.

- Zadzwoń z domu! - woła do przyjaciółki Allison Weintraub, opuszczając szybę tylnego okna.

- Pospiesz się, Libby, nie odjadę, dopóki nie wejdiesz do środka. - Wychyla się od strony kierowcy Madeline.

Ciepłe powietrze, w którym unosi się zapach świeżo skoszonej trawy, gładzi jej twarz. Piękny wieczór, myśli Madeline, podziwiając trawnik, rozciągający się przed nią niczym ciemnozielony aksamit, i starannie przystrzyżony żywopłot z bukszpanu, wzdłuż kamiennego chodnika prowadzącego do ganku.

Nisko nad horyzontem wisi żółta kula księżycy, nazywanego przez okolicznych mieszkańców „księżycem myśliwego”. Na granatowym niebie pojawiają się pierwsze gwiazdy.

- Dobrze, pani Weintraub. Czy mówiłam ci Allie, co powiedział po tańcu z tobą, wiesz kto? - Libby uśmiecha się szeroko.

- Russel Thompson? Co powiedział? - piszczy podniecona Allison.

- Libby opowie ci o tym przez telefon - wtrąca Madeline i naciska przycisk, automatycznie zamykając obie szyby, by za-

Księżyc myśliwego

kończyć pogawędkę dziewcząt, która - jak matka Allison zdażyła się przekonać na własnej skórze - mogłaby ciągnąć się godzinami.

- Ależ mamoo...! - jęczy Allison.

- Musimy jeszcze odebrać Andrew - przypomina jej Madeline. - Wejdźże wreszcie do środka, Libby.

- Już idę. Dobranoc, Allie. Dziękuję za odwiezienie, pani Weintraub.

Libby macha na pożegnanie, odwraca się i rusza truchtem do domu. Mieszka w dużej willi, wręcz rezydencji, gdyż pochodzi z jednej z najzamożniejszych rodzin hodowców koni w Kentucky, ze słynnego Bluegrass - regionu „Niebieskiej Trawy”. Madeline Weintraub, stosunkowo od niedawna mieszkająca w tej okolicy, jest bardzo szczęśliwa, iż Libby wybrała na przyjaciółkę właśnie Allison. Po raz kolejny gratuluje sobie w duchu, że namówiła męża, by zapisać ich jedynaczkę do snobistycznej prywatnej szkoły, do której uczęszcza również Libby. Przyjaźń z Libby otwiera Allison cudowne perspektywy na przyszłość. Madeline spodziewa się z tego znaczących korzyści, gdy dziewczynki dorosną. I nadzieja na owe towarzyskie profity pozwala jej ze stoickim spokojem służyć za szofera oraz reagować tylko skrzywieniem ust na zbyt mocne trzaśnięcie drzwiczkami samochodu.

- Co to za Russell Thompson? - pyta przez ramię córkę, kątem oka odnotowując, że Libby weszła na szerokie stopnie ganku z sześcioma kolumnami.

Naprawdę, myśli, gdyby ktoś nie znał tych dziewcząt, wziąłby jej smukłą, jasnowłosą Allison za dziedziczkę gromadzonej od pokoleń fortuny. Pulchna Libby, o zaróżowionych policzkach, z przekrzywioną satynową kokardą w potarganych, ciemnych włosach, z plamą od soku pomarańczowego na białej sukience, z pewnością nie wygląda na dobrze urodzoną spadkobierczynię rodzinnych pieniędzy i tradycji.

Allison parska śmiechem, przeciska się do przodu i siada obok Madeline.

- Lubi mnie - zwierza się matce, po czym marszczy nos. -

Tak uważa Libby. Ale czasem jest trochę wulgarny.

- Naprawdę? - rzuca zachęcająco Madeline, licząc, że dziewczynka będzie kontynuować temat.

Problemy wkraczającej w wiek dojrzewania córki budzą nieustającą ciekawość Madeline. Trudno jej nawet wyobrazić *Księżyc myśliwego* 9

sobie, że kiedyś mogła być taka młoda. Ale na pewno nigdy nie była taka beztraska.

- Kiedy się śmieje i pije oranżadę, wychodzą mu nosem bąbelki. - Allison z obrzydzeniem kręci

głową. - Mamo, kiedy wreszcie pojedziemy?

Zobaczywszy, że Libby bezpiecznie dotarła na oświetlony ganek, Madeline kiwa głową i wrzuca wsteczny bieg. Ostatnie, co dostrzega, to podskakująca kokarda na potarganych włosach Libby i fruująca biała sukienka, gdy dziewczynka zbliża się do drzwi.

Choć Madeline, która wycofuje właśnie samochód na długim pojeździe, nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy, ów obraz na zawsze utkwi jej w pamięci. Niezliczenie wiele razy będzie go przywoływać w rozmowach z rodziną Libby, policją, tuzinem prywatnych detektywów, armią dziennikarzy, sąsiadów oraz przyjaciół.

Właśnie wtedy bowiem Libby Coleman była widziana po raz ostatni - w radosnych podskokach zbliżała się do drzwi domu.

Potem zniknęła.

Mimo zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań, apeli telewizyjnych i radiowych jej zrozpaczonej rodziny oraz olbrzymiej

- nieustannie podwyższanej - nagrody za informację o miejscu pobytu dziewczynki, nikt już nigdy nie widział Libby Coleman.

Rozdział pierwszy

11 października 1995

Ej, Will! Will, spójrz na to!

Will Lyman zareagował na ponaglący szept partnera, uchylając nieco powieki i zerkając na monitor umieszczony na suficie furgonetki. Nie całkiem przytomny, dopiero po chwili uświadomił sobie, gdzie jest: siedzi w wozie zaparkowanym pod stajnią torów wyścigowych Keeneland w Lexington w stanie Kentucky i ma za zadanie postawić przed sądem gang najwredniejszych oszustów, jakich kiedykolwiek tropił. Jemu, który ścigał takie sławy jak Michael Milken czy O.J. Simpson, prowadził

śledztwo w sprawie seryjnego mordercy z Hillside czy zamachowca, stojącego za wybuchem w Oklahoma City, polecono teraz zebranie dowodów przeciwko grupie byłych dżokejów, którzy postanowili poprawić sobie dochody i w miejsce starych, zmęczonych koni wyścigowych pełnej krwi podstawiali na gonitwy młode, ogniste nieznanne rumaki.

Jak nisko można upaść!

Dochodziła czwarta nad ranem, w furgonetce panowały egipskie ciemności. Jedyne źródło światła stanowił spowity szarą po

światą ekran telewizyjny. Obraz był nieostry jak na starych czarno-białych filmach, lecz nie ulegało wątpliwości, co przedstawiał: do pustej stajni, którą obserwowali od zapadnięcia zmroku, weszła młoda kobieta w obcisłych dzinsach. Odwrócona tyłem do kamery, pochyliła się nad przynętą:

workiem na paszę, wypchanym pięcioma tysiącami dolarów.

Kiedy zarządca stajni Wylanda, Don Simpson, zabierze pieniądze, będą go mieli w garści i sprawa zostanie zamknięta.

Księżyc myśliwego 11

Tyle że ta dziewczyna z całą pewnością nie była Donem Simpsonem.

- Co to za jedna?

Całkowicie przebudzony Will poderwał się ze sfatygowanej kozetki, stanowiącej wyposażenie podniszczonego służbowego wozu, który był ich parawanem podczas tej akcji, i zdumiony wpatrywał się w ekran.

-Mamy ją w kartotekach? Lawrence nic nie wspominał

o dziewczynie. Twierdził, że Simpson zabierze pieniądze osobiście.

- Niezły tyłek - oświadczył Murphy, patrząc w monitor.

Ta uwaga nie kryła żadnego podtekstu. Murphy, pięćdziesięciodwuletni ojciec piątki dzieci, od trzydziestu paru lat był mniej lub bardziej szczęśliwym i przykładnym małżonkiem. Jeśli chodzi o kobiece wdzięki - chętnie je podziwiał, ale nic poza tym.

- Mamy coś na nią? Wiesz, co to za jedna? - spytał ostro rozdrażniony Will, gdy kolega zwrócił uwagę na drobne, jędrne, niewątpliwie kobiece pośladki, które wypełniły cały ekran, gdy odwrócona tyłem do kamery dziewczyna się pochyliła.

- Nie. Pierwszy raz ją widzę na oczy.

- Tylko przypadkiem nie wpadnij z tego powodu w panikę.

Will na moment oderwał wzrok od ekranu i łypnął spod oka na partnera. Murphy nigdy się nie spieszył, niczym nie przejmował i nic go nie wytrącało z równowagi. Ta cecha partnera niemal doprowadzała Willa do szału.

- Dobra, dobra.

Kumpel uśmiechnął się krzywo i przesunął w stronę komputera, stojącego na wąskiej półce naprzeciwko kozetki. Włączył go i zaczął naciskać klawisze.

- Biała kobieta, jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat, około metra siedemdziesięciu wzrostu, prawda? Mniej więcej pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt siedem kilo. Jakiego koloru ma włosy?

- Skąd mam wiedzieć? Zapomniałeś, że to czarno-biały monitor? - Will z trudem zapanował nad rozdrażnieniem i uważniej przyjrzał się dziewczynie. - Ciemne. Nie blond.

- Szatynka - zaryzykował Murphy i wpisał dane.

- Otwiera worek!

Stukot klawiszy ustał, gdy partner Willa odwrócił się, by także popatrzeć. Dziewczyna na ekranie przykucnęła przy wor-

ku, stojącym na wzorzystym linoleum w kącie stajni, dokładnie naprzeciwko ukrytej kamery, i rozplątywała sfatygowany sznurek. Nadal była odwrócona tyłem do kamery, ale przynajmniej pośladki nie przesłaniały już całego kadru. Gęsta fala półdługich włosów zasłaniała jej twarz, więc Will nie mógł się przyjrzeć dokładnie. Ale te pośladki były na tyle wyjątkowe, że zdołałby zidentyfikować po nich dziewczynę nawet w najgęstszym tłumie.

- Czy mógłbyś poszukać czegoś na jej temat?

Mocno zacisnął usta, hamując gniew zarówno na siebie, że zwraca uwagę na takie szczegóły, jak i na Murphy'ego - za to, że w ogóle istniał.

Partner odwrócił się do komputera.

- Znalazła pieniądze!

Will nie zamierzał mówić tego na głos, żeby nie rozpraszać kolegi, ale sytuacja rozwinęła się w sposób całkiem nieoczekiwany i jego mózg nie pracował tak sprawnie jak zwykle. Musi ustalić jej tożsamość i to szybko. Jeśli ma podjąć decyzję, musi wiedzieć, co to za jedna. Czy dziewczyna, która właśnie przysiadła na piętach i wpatrywała się w banknoty, pracuje dla śledzonych przestępców czy też nie?

Stukanie klawiszy ucichło, gdy Murphy - jak należało się spodziewać - popatrzył na ekran. Will posłał partnerowi piorunujące spojrzenie, a ten skulił się i znowu zaczął pisać. Dziewczyna sięgnęła do worka i wyjęła jeden, a potem drugi plik dwudziestek ściągniętych gumką.

- Nic... Nic... Nic... - mamrotał Murphy. Monitor parę razy zamigotał, potem zabłysnął doprowadzającą do wściekłości zielenią. - W kartotekach nie mamy kobiety odpowiadającej tym danym. Chyba że coś schrzańełem.

Słyszac ten radosny komunikat, Will omal nie zaczął wrywać sobie włosów. Dla energicznego, błyskawicznie myślącego i natychmiast wkraczającego do akcji człowieka, jakim był, współpraca z kimś tak powolnym jak Murphy stanowiła najgorszą karę. Zapewne Dave Hallum doskonale zdawał sobie z owego faktu sprawę i dlatego dał mu Murphy'ego na partnera. Szef Lymana nie mógł mu wybaczyć utraty jachtu. A cóż Will był winien temu, że ścigani przestępcy uznali, iż łajba stanowi jego własność, i wysadzili ją w powietrze?

Hallum długo pamiętał urazy.

• /

Przydzielenie kolejnego zadania i partnera zdecydowanie wyglądało według Willa na zemstę.

- Bierze pieniądze!

Will patrzył, jak dziewczyna o nieustalonej tożsamości najpierw zawiązuje worek, potem zaś szybko rozgląda się wokoło

- wtedy na moment mignął mu jej profil - a następnie podnosi się, z przynętą w rękach. Wreszcie się odwróciła, stając przodem do kamery, i ruszyła prosto na nich. Will z obrzydzeniem skonstatował, że twarz miała równie godną zapamiętania jak pośladki: piękną, o delikatnych rysach. W odruchu samoobrony zamrugał powiekami i w tej właśnie chwili dziewczyna -

wraz z pieniędzmi Biura Federalnego - zniknęła z zasięgu kamery i zapewne ze stajni.

Murphy rozparł się w fotelu i gwizdnął z uznaniem.

- Oho! Ładna lala!

Nie zwracając nań uwagi, Will nacisnął guzik pod ekranem i odczekał parę sekund, aż kamera znajdzie w stajni jakiś poruszający się punkt. Jednak na monitorze nie pojawił się żaden obraz.

- Wygląda na to, że coś się popsło - zauważył spokojnie partner, podczas gdy Lyman gorączkowo włączał i wyłączał

przyciski.

Doprawdy? Will zgrzytnął zębami, dał spokój urządzeniu, posłał koledze mordercze spojrzenie i chwycił za telefon.

Rozdział drugi

Konopny worek zajmował honorowe miejsce w kuchni na białym, drewnianym stole, będącym w ich domu centralnym punktem, ogniskiem, wokół którego koncentrowało się życie całej rodziny. Ilekroć Molly spojrzała na ten worek, czuła ucisk w żołądku. Ukradła pięć tysięcy dolarów z siodłami w stajni numer piętnaście. Czy ktoś już zauważył brak pieniędzy?

Głupie pytanie. Minęło południe, a ona wyszła stamtąd przed czwartą rano. Oczywiście, że ktoś już zauważył. Kto przy zdrowych zmysłach nie dostrzegłby braku pięciu tysięcy dolarów?

Pytanie tylko, jak dawno zawiadomiono policję?

Jeśli wpadnie, trafi na parę ładnych lat za kratki. Albo jeszcze gorzej.

Molly nie była głupia. Taka forsa w worku z paszą dla koni, zostawiona w środku nocy w kącie opuszczonego pomieszczenia, nie stanowiła depozytu bankowego, to oczywiste. Prawie na pewno były to jakieś nielegalne pieniądze. Ale czyje? Od miesięcy po stadninie krążyły plotki o nieczystych zagraniach. Ale o co chodziło? O narkotyki? Nielegalne zakłady? Ustawianie gonitw? Kto wie?

Molly nawet nie chciała o tym myśleć.

Jeśli pieniądze rzeczywiście były lewe, ich właściciel nie zawiadomi policji - nie mógłby tego zrobić. Co mu pozostawało?

Na myśl o płatnych zbirach, podążających jej śladem, Molly robiło się słabo.

Ale nikt nie powinien nawet się nie domyślić, że to ona wzięła ten worek. Przecież nie pracowała już w stajniach Wylanda.

Księżyc myśliwego

Odeszła cztery dni wcześniej, nie mogąc zapanować nad gniewem, na który - co uświadomiła sobie już kwadrans później -

ona ani też pozostali członkowie jej rodziny nie mogli sobie pozwolić.

Tej nocy - a właściwie tego ranka - przyszła do stajni po należną, dwutygodniową wypłatę, choć doskonale wiedziała, że Don Simpson każe się o te pieniądze błagać, a może nawet nie zapłaci w ogóle. Nie lubił, gdy pracownicy sami odchodzili, a mściwość stanowiła jedną z podstawowych cech jego charakteru.

Molly liczyła, że może nawet zdobędzie się na odwagę i poprosi, by szef na powrót przyjął ją do pracy - choć to pewnie i tak nic by nie dało. Don Simpson często powtarzał, że nigdy nie oferuje drugiej szansy.

Dlaczego straciła panowanie nad sobą? W takich sytuacjach po prostu należało odsunąć rękę, która znalazła się na jej pośladku i obrócić całą sprawę w żart. Z pewnością zaś nie wolno kopać wnuka pracodawcy w jądra ani grozić, że jeśli jeszcze raz się ośmieli zrobić coś takiego, to może się pożegnać z rozkoszami ojcostwa.

I w dodatku nie mówi się bezpośrednio szefowi, gdzie może sobie wsadzić robotę, gdy Simpson, zupełnie nie zwracając uwagi na Thorntona Wylanda, objechał ją, że wrzeszczy w stajni i denerwuje konie.

Ach, ten jej niewyparzony język! Nie pierwszy - a pewnie i nie ostatni raz wpadła przez niego w tarapaty. Lecz tym razem powinna była się zastanowić, jakie grożą jej konsekwencje, a dopiero potem otwierać dziób.

Aż nazbyt często najpierw coś robiła, a później myślała.

Tak samo jak teraz: najpierw wzięła pieniądze ze stajni, a dopiero potem się zastanowiła.

Pozostawało pytanie, co teraz z tym wszystkim począć.

Kiedy Molly weszła do stajni, nie było tam nikogo z wyjątkiem koni i kota o świdrujących oczach. Simpson zawsze przychodził do pracy punktualnie o czwartej, a ona zjawiała się dobre pół godziny wcześniej. Stajenny, który powinien siedzieć przy koniach całą noc, gdzieś się ulotnił. Nikogo nie zauważyła.

Nikt jej nie dostrzegł i nikt nie wiedział, że była w stajni. Jak również że wzięła pieniądze.

Czy powinna je odnieść?

Jasne, szepnął jej wewnętrzny głos. Poczekaj do jutra, do za piętnaście czwarta rano, wślizgnij się do stajni i odłóż pieniądze tam, skąd je wzięłaś. Będzie tak, jakby nikt nie zauwa

żył ich braku. Jakby cały czas tam leżały.

A jeśli ją przyłapią? Na myśl o tym Molly poczuła dreszcze.

To byłoby to samo, co dać się przyłapać na kradzieży. Woląla nie rozważać, jakie konsekwencje musiałaby ponieść.

Zresztą nie mogła oddać całej forsy, gdyż wydała już jedną dwudziestkę. Nie zdołała się oprzeć pokusie. Tak rzadko zdarzało się, że mieli prawdziwą gotówkę, która nie była już ściśle rozdzielona na czynsz, jedzenie albo inne wydatki. W drodze do domu Molly wstąpiła do Dunkin' Donuts przy Versailles Road. Dzieciaki, przebudziwszy się, zobaczyły na stole świeże pączki i mleko. Co za rarytas! Wszyscy - nawet czternastoletni Mike, który ostatnio do niczego nie objawiał entuzjazmu -

przyjęli owacyjnie niespodziankę.

Nawet jeśli faktycznie wyląduje w więzieniu - albo jeszcze gorzej - Molly nie żałowała owych pączków.

Zresztą potrzebowała tych pieniędzy. Kradzież jest zła, ale z pewnością lepsze to niż głód, zwłaszcza że wkrótce wylecą z domu, za który jako pracownica stadniny płaciła tylko sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Tej pracy zawdzięczali dach nad głową i jedzenie na talerzach dla Molly i czwórki dzieci -

a właśnie straciła swe zajęcie.

Za to miała pięć tysięcy dolarów gotówką.

I nie chciała trafić do więzienia. Ani też doświadczyć czegoś gorszego. Co wtedy stałoby się z dziećmi?

Kroki na drewnianych deskach rozwalającego się ganku wyrwały Molly z zadumy. Pewne kroki. Kroki człowieka, który zjawił się w konkretnej sprawie. Nie tak chodzą dzieci, chcące spłatać jakiegoś figla. Nie tak chodzi inkasent, gdy dopomina się uregulowania rachunku bądź zamierza wyłączyć prąd czy gaz. Ani pracownik opieki społecznej, ani leniwy policjant, który postanowił sprawdzić dzieciaki. Molly nadto dobrze zdą

żyła już zapamiętać tamte wszystkie kroki.

Te natomiast brzmiały poważnie.

Poderwała się z ławki, z niepokojem popatrując na dowód swej winy i chwyciła worek. Ledwo zdążyła wepchnąć go do szafki pod zlewem i wzięła do ręki strzelbę, którą chowała za lodówką, gdy rozległo się stukanie do drzwi.

Broń nie była naładowana - Molly bałaby się trzymać naładowaną strzelbę w domu pełnym dzieci, więc ukryła naboje w dziurawym materacu w swej sypialni - ale ów obcy za drzwiami o tym nie wiedział. Zresztą chciała odstraszyć intruza, a nie zabić.

Skrzypienie podłogi i wściekłe ujadanie świadczyły, że Żeberko też usłyszał pukanie. Olbrzymie psisko - mieszanina owczarka niemieckiego z innymi, niezliczonymi rasami - wyglądało na tyle groźnie, że spłoszyłoby samego diabła. Czarny, podpalany, miał długą sierść, dzięki której wydawał się jeszcze masywniejszy niż w rzeczywistości. Naprawdę zaś Żeberko był łagodny jak mały kociak.

Ale intruz za drzwiami o tym nie wiedział.

Skrobiąc pazurami o linoleum, Żeberkoomal nie przewrócił Molly, gdy pognął do drzwi. Sierść mu się zjeżyła i ujadał

tak, że mógłby obudzić umarłego.

Bałwan, w duchu wymyślała psu Molly, wysuwając się przed niego. Mocno ściskając strzelbę pod pachą, otworzyła liche, drewniane drzwi i schwyciła zwierzaka za obrozę, jakby się obawiała, że pochłonie człowieka stojącego za - ciągle jeszcze zamkniętymi drugimi - ażurową ramą z siatką.

Przywitało ją rześkie powietrze wczesnej jesieni. W innych warunkach piękno tego dnia znacznie by uspokoiło jej wzburzone nerwy. Uwielbiała październik, z jasnymi promieniami słońca tańczącymi na barwnym dywanie czerwonych i złotych liści, zaścielających podwórko. Przepadała za ciepłą pogodą i zapachem ogniska. Dzisiaj jednak była bardzo zdenerwowana, co znacznie odbiegało od jej zwykłego stanu ducha, więc prawie nie zwróciła uwagi na zjawiska, które normalnie wzbudziłyby u niej zachwyty.

Pod drugiej stronie ażurowej siatki stał mężczyzna. Molly nawet nie podniosła ręki, by otworzyć, tylko mocno trzymała psa, który szarpał się i rzucał do drzwi, ukazując rząd białych zębów, których nie powstydzilby się nawet tyranozaur. Mężczyźnie na ganku wystarczyło jedno spojrzenie na obrońcę i natychmiast cofnął się o krok.

Molly natychmiast się zorientowała, że widzi tego człowieka pierwszy raz w życiu. Liczył sobie jakieś czterdzieści parę lat, był średniego wzrostu, szczupły i mocno opalony, z króciutko przystrzyżonymi jasnymi włosami. Miał przenikliwe, niebieskie-2. *Xsiężyc myśliwego*

18 Xsiężyc myśliwego

skie oczy i ponurą minę. W dodatku nosił ciemny garnitur i krawat. Płatny morderca? Puściła psa i wymierzyła strzelbę w brzuch przybysza. Żeberko ujadał histerycznie.

- Czym mogę służyć? - przywitała go wrogo.

- Pani Butler?

Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć ogłuszający psi jazgot. Molly z trudem się powstrzymała, żeby nie ryknąć na swego obrońcę, każąc mu być cicho. W tym przeraźliwym hałasie nie słyszała własnych myśli, ale za to Żeberko działał odstraszająco na mężczyznę za drzwiami. Czyli w sumie warto było się przemęczyć.

-Nie.

To nie jej szukał. Nie chodziło też o dzieci. Uświadomiwszy sobie, że facet szuka kogoś zupełnie innego, odzyskała spokój.

Kolanem odepchnęła psa i już chciała zamknąć nieznanemu drzwi przed nosem.

- Pani Molly Butler?

Molly znieruchomiała. To już było blisko. Za blisko. Więc jednak o nią chodziło, tylko trochę przekreślił nazwisko. Czujnie mierzyła wzrokiem intruza, zaciskając palce na strzelbie.

Nie czekając na reakcję dziewczyny, mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął skórzane etui.

- Will Lyman, FBI - przedstawił się, błyskając jej przed nosem odznaką i jakąś legitymacją. - Musimy porozmawiać. Mo

że pani odłożyć broń i uspokoić psa?

Spróbowałyby - w końcu miała do czynienia z agentem FBI

- ale Żeberko nie dawał się tak łatwo uspokoić. Zresztą i tak było już za późno, gdyż pies znalazł już sobie obiekt godny zainteresowania. Molly zorientowała się, gdy ujadanie nagle przeszło w przenikliwy skowyt. Żeberko rzucił się przez drzwi, a jego pięćdziesięciokilogramowe cielsko bez trudu poradziło sobie z tandetną siatką. Ciężko wylądował na masywnych, kudłatych łapach i natychmiast poderwał się do galopu, uderzając niczym taranem w niepożądanego gościa. Nieprzygotowany na ów atak agent FBI runął na ziemię z okrzykiem i głuchym łomotem, o włos mijając głową zardzewiały zawias.

Kot sąsiadów, który wywołał tak gorącą reakcję psa, jednym spojrzeniem ogarnął rozwścieczonego napastnika, pędzącego w jego kierunku i błyskawicznie wdrapał się na sękaty, rozłożysty dąb.

Ksieżyc myśliwego 19

U stóp drzewa Żeberko miotał się i ujadał na wroga; ten zaś spokojnie usadowił się na niższej gałęzi i mył sobie łapkę, pogardliwie machając ogonem. Na psi nos opadł jeden złocisty liść. Żeberko strząsnął go i głośno dał wyraz swemu oburzeniu na całą sytuację.

- Cisza, Żeberko! - ryknęła Molly. Na próżno jednak zdierała sobie gardło, pies nie zareagował.

Ażurowa konstrukcja, nigdy nie grzesząca solidnością (Molly sama zbiła te drzwi), rozleciała się po psim ataku. Przekrzywione odrzwia kołysały się teraz na zawiasach i nie można ich było domknąć;

dolna krawędź szorowała po nierównej podłodze ganku.

Gdy Mike wróci ze szkoły, trzeba go zagonić, żeby pomógł naprawić drzwi, pomyślała automatycznie dziewczyna. Chłopak oczywiście będzie narzekał - ostatnio tak reagował właściwie na wszystko - ale przytrzyma ramy, gdy ona spróbuje podokrę-

cać śruby przy zawiasach. I trzeba będzie kupić nową siatkę.

Dzięki Bogu za pięć tysięcy dolarów. Bez nich siatka musia-

łyby zaczekać.

Ale nie będzie teraz o tym myśleć. Przede wszystkim trzeba się pozbyć faceta, który nadal leżał jak długi na jej ganku.

Molly przyjrzała mu się uważnie. Mężczyzna miał zamknięte oczy i rozrzucone ramiona; nie poruszał się, nie dawał znaku życia. Pomyślała, że naprawdę mogło mu się coś stać - albo nawet nie żyje. Gdy do świadomości dziewczyny dotarło to ostatnie przypuszczenie, skuliła się ze strachu. Co zrobić z martwym agentem FBI, leżącym na jej ganku? W obecnej sytuacji nie odważyłaby się wezwać policji. Na pewno nie powinna zwracać na siebie uwagi pięcioma tysiącami dolarów ukrytymi pod zlewem.

Agent FBI otworzył oczy i zamrugał parę razy, tak więc przynajmniej jeden problem miała z głowy. A gdy jeszcze zacisnął

usta i rysy twarzy mu stwardniały, Molly odgadła, że w pełni odzyskał świadomość. Usiadł i zmarszczył brwi. Przyglądała się bacznie, gdy prawą dłońią przeciągnął po króciutko ostrzyżonych włosach. Pół metra od lewej ręki mężczyzny, na deskach ganku leżał otwarty portfelik z odznaką i legitymacją. Agent podniósł go i ściskając w dłoni, dźwignął się na nogi. Drugą ręką otrzepał garnitur. Granatowy, gustowny krawat w kasztanowaty rzucik był przekrzywiony, odnotowała w pamięci Molly. Na koszuli, uszytej z dość drogiej, białej bawełny, został brudny ślad.

20 Księżyc myśliwego

Popatrzyli na siebie przez nietkniętą siatkę w górnej czę-

ści drzwi. Mina mężczyzny - już wcześniej surowa - teraz sta-

ła się niemal kamienna.

Molly nie zdołała nad sobą zapanować i posłała mu promienny uśmiech.

Najwyraźniej jednak ten facet nie lubił, gdy się z niego na-

śmiewano. Zacisnął usta, wsunął portfel do kieszeni i ruszył

w jej stronę.

- Pani Butler, wiemy, że dziś rano wzięła pani pięć tysięcy dolarów w gotówce ze stajni wyścigowej Keeneland. Czy mogę wejść?

Nie czekając na odpowiedź, minął uszkodzoną ramę drzwi, zamknął dłoń na lufie strzelby i zgoła nie przejmując się tym, czy broń wystrzeli, wyrwał ją Molly z ręki. Wetknąwszy sobie strzelbę pod pachę, minął dziewczynę i wszedł do mieszkania.

A raczej, pomyślała, wkroczył.

Rozdział trzeci

Ciągle jeszcze ogluszona po bombie, jaką rzucił przybysz, Molly odwróciła się i zobaczyła, że już stoi w jej kuchni, odwrócony plecami, sprawdzając magazynek strzelby. Stwierdziwszy, że jest pusty, złożył broń i postawił ją przy ścianie. Następnie, nie przejmując się gospodynią, rozejrzał się dookoła.

Kuchnia była czysta, ale tylko tym Molly mogła się poszczycić. Wyobraziła sobie, że ogląda pomieszczenie jego oczami.

Stare linoleum miało bliżej nieokreśloną barwę, coś pomiędzy brązem a szarością. Ściany pomalowano na kolor musztardowy, blaty były zielone. Sterta umytych naczyń po śniadaniu leżała na suszarce przy zlewie. Para ręcznie uszytych ściereczek w zieloną kratkę służyła jako zasłonka nad jedynym kuchennym okienkiem. Szafki zrobiono z ciemnobrązowej płyty pilśniowej.

Biała, obita kuchenka gazowa kontrastowała z nowszą lodówką firmy Harvest Gold. Pomalowany na biało drewniany stół, dawno temu zarekwirowany z pobliskiego parku, gdyż nie stać ich było na meble, królował pośrodku kuchni. Jedna z ławek, które przy nim stały, przesunęła się nieco, gdy Molly poderwała się na widok gościa. Miotła, śmietniczka i mop zajmowały ciasną przestrzeń między lodówką a ścianą. W „spizarce” - metalowej etażerze, pomalowanej na biało, aby pasowała do stołu - stały ostatnie słoiki z sałatką pomidorową, grochem i kukurydzą, które Molly wiosną dostała od Flory Atkinson, żony okolicznego farmera, za pomoc w przygotowaniach do wesela jej córki.

W zlewie rozmrażały się hamburgery na kolację; Molly wyjęła mięso z zamrażarki jeszcze przed wyjściem do stajni. W głębi 22 Księżyc myśliwego

kuchni, na spizarce, leżała metalowa taca, również pomalowana na biało, ale mocno podniszczona od częstego używania. Nikt, kto by obejrzał tę kuchnię, nie miałby cienia wątpliwości, że mieszkają tu biedacy.

I bardzo dobrze, pomyślała Molly, dumnie unosząc głowę.

Nie należy się wstydzić ubóstwa. Wielu naprawdę przyzwoitych ludzi cierpiało nędzę. Między innymi Ballardowie.

- Proszę wejść, pani Butler. I zamknąć drzwi.

Przybysz się nie uśmiechał. Wokół ust miał głębokie zmarszczki, pewnie na skutek nadmiernego przebywania na słońcu. W kącikach oczu dostrzegła kurze łapki. Zapewne ów kontrast niebieskich oczu i opalanej skóry sprawiał, że jego spojrzenie wydawało się takie niepokojące.

Przecież nie mógł wiedzieć o pieniądzach. W stajni nikogo nie było. Nawet stajennego. Tylko konie i kot.

A mimo to agent Lyman jakimś cudem się dowiedział.

Molly poczuła dreszcz. Przez moment miała zamiar rzucić się do drzwi i uciec, co sił w nogach. Nigdy by jej nie dogonił.

Gdzież temu facetowi w garniturku do niej, szybkiej jak wiatr.

Natychmiast jednak pomyślała o dzieciach i tysiącu innych więźów, które przykuwały ją do tego miejsca, i zdała sobie sprawę, że nie ma ucieczki. Musiała stawić czoło przeciwnikowi i zrobić, co w jej mocy, by go przekonać, że się myli.

Ale żeby od razu FBI? To się nazywa zaczynać z grubej rury! Spodziewała się policji albo najemnika, jakiegoś płatnego zbira, lecz w najgorszych snach nie przypuszczała, że złoży jej wizytę agent federalny. Strach ścisnął jej żołądek.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparła, zakładając ręce na piersiach i nie ruszając się z miejsca. - Zresztą, jeśli pan szuka pani Butler, to trafił pan pod zły adres. Nie nazywam się tak.

- A jak?

Mówił szybko i urywanymi zdaniem, jak mieszkaniec północnej części kraju. Na pewno nie pochodził z tych stron.

- To pan jest z FBI, więc powinien pan wiedzieć.

- Wzięła pani pieniądze.

- Powtarzam: nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Zmrużył oczy.

- Niech pani się ze mną nie bawi w kotka i myszkę, nie mam cierpliwości.

Księżyc myśliwego 23

- Wielki pan agent przewrócił się i stłukł sobie zadek, dlatego jest pan teraz taki cięty? Ciekawe, co bardziej boli, ura

żona duma czy cztery litery?

To wyraźnie mu się nie spodobało, Molly nie miała cienia wątpliwości. Zamiast odpowiedzieć, sięgnął do kieszeni, wyjął

z niej telefon komórkowy i ostentacyjnie podsunął jej pod nos.

- Jeśli nie będzie pani współpracować, pani Butler, nie pozostanie mi nic innego, jak panią aresztować. Wystarczy jeden telefon.

Molly omal nie wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Teraz straszycie telefonami? W filmach agencji FBI przynajmniej noszą broń!

Zacisnęła wargi.

- Będzie pani współpracować?

- Skąd mam wiedzieć, że pan jest z FBI? Każdy może machnąć pod nosem podrobioną legitymacją.

- W pani środowisku zapewne tak. Ale tak się składa, że moje dokumenty są prawdziwe. Mogę pani podać numer telefonu, pod którym to pani sprawdzi.

Molly zacisnęła usta, po czym przeszła do telefonu.

- Wolę po prostu zadzwonić po policję - oświadczyła słodko i mierząc go wzrokiem, sięgnęła po słuchawkę.

- Bardzo proszę.

Wsunął do kieszeni telefon komórkowy, założył ręce do ty

łu i wbił w nią wzrok, najwyraźniej czekając na ciąg dalszy.

Molly zawahała się, przyłapana na blefie. Co teraz? Ten facet też dostrzegł przelotny błysk paniki w jej oku, zanim zdoła

ła narzucić sobie pozorny spokój. Za nic nie ściągnie tu miejscowej policji, chyba że zostanie przyciśnięta do muru. Przede wszystkim jest ów drobny problem worka konopnego wciśniętego na środku czyszczące w szafce pod zlewem. Po drugie, trzeba pamiętać, że miły miejscowy posterunek miał wyrobione zdanie o niej i o wszystkich Ballardach. Już nie raz tam gościła, głównie w związku z dziećmi. W ubiegłym roku gliny przy

łapały jedenastoletnie bliźnięta na obrzucaniu jajkami przejeżdżających samochodów, a w Boże Narodzenie Mike'a aresztowano za kradzież kasety Pearl Jam. Tylko dzięki wyrozumiałości właściciela sklepu muzycznego chłopak uniknął wyroku! Versailles to małe miasteczko, tutaj wszyscy wszystkich znają. Każ-

dego mieszkańca raz na zawsze przypisuje się do określonej kategorii; Molly i jej rodzinę zaszerogowano do grupy białej ho

łoty.

Nie, z całą pewnością Molly nie chciała wzywać policji.

Zdana na czulą troskę ludzi szeryfa, niewątpliwie ani by się spostrzegła, jakby wylądowała w ciupie, a dzieciaki w rodzinach zastępczych. Znowu.

- Więc?

Molly miała nieprzyjemne wrażenie, że ten mężczyzna czyta w jej myślach. To budziło niepokój. Odłożyła słuchawkę.

- Niech będzie, może i pan jest z FBI, ale naprawdę trafił

pan pod zły adres, nie nazywam się Butler.

- Ma pani magnetowid?

-Co?

Pytanie było tak nieoczekiwane, że zbiło Molly z tropu.

Mężczyzna powtórzył.

- A jeśli tak?

Właściwie to Mike miał magnetowid. W czerwcu pomagał

staremu panu Higdonowi przy zbiorach tytoniu i używany magnetowid stanowił część zapłaty. Zdobycie czegoś pracą własnych rąk - co, nie szcędząc wysiłku, usiłowała wpoić bratu Molly, jest znacznie lepsze niż kradzieże w sklepie. Za pracę nie idzie się do więzienia.

I jak teraz będzie mogła wygłaszać nauki moralne Mi-ke'owi, skoro ciąży jej na sumieniu pięć tysięcy dolarów. Chyba że, pomyślała, unaoczni mu na własnym przykładzie, do czego prowadzi wstąpienie na ścieżkę grzechu, spędzając najbliższych parę lat za kratkami.

Żołądek coraz bardziej jej się zaciskał.

- Gdzie on jest?

Zniecierpliwiony mężczyzna, nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i przeszedł przez wąskie drzwi, prowadzące do pokoju dziennego. Molly, która wolała nie spuszczać z oczu intruza, ruszyła za nim.

Parter rozpadającego się tekturowego domu tworzyły trzy pomieszczenia: od frontu kuchnia i pokój dzienny, z tyłu sypialnia Molly. Jedyna łazienka bardziej przypominała komórkę, najwyraźniej doklejoną do kuchni dopiero po dłuższym namy

śle. W pewnej odległości od domu, na niewielkim wzniesieniu nadal stała wygodka.

Księżyc myśliwego 25

Umeblowanie pokoju dziennego było równie przypadkowe jak kuchni. Pociemniałą ze starości drewnianą podłogę na środku przykrywał spłowiały, zniszczony, owalny pleciony dywanik, niegdyś zapewne brązowo-zielono-rdzawy. Pod pseudo-boazerią królowała pomarańczowa kanapa, z dołkiem w środku, pochodząca z darów Armii Zbawienia. Obok niej stał

plastikowy fotel z podnóżkiem i popękаныmi podłokietnikami, sklejonymi czarną taśmą izolacyjną, oraz pomalowany na brązowo fotel z kwiecistymi poduchami, będącymi dziełem Molly.

Na dwóch różnych, zniszczonych stolikach stały białe lampki.

Spłowiałe, złote zasłony na jedynym dużym oknie rozsunięto, żeby wpuścić jak najwięcej światła do ciemnego pomieszczenia. W ścianie w głębi pokoju wieki temu wbudowano niedzia-

łający kominek. Obok na okrągłym, ceglany podestce stała czarna koza.

Nie sposób było nie dostrzec telewizora z dumnie królującym na nim magnetowidem, które stały pod ścianą oddzielającą kuchnię od pokoju dziennego. Kiedy Molly zjawiała się w drzwiach, agent FBI znalazł już magnetowid i właśnie wyjmował z niego kasetę. Zerknąwszy kątem oka na dziewczynę, włożył własną kasetę, nacisnął kolejny guzik i włączył telewizor. Potem skinął palcem na Molly, która niechętnie weszła do pokoju. Na ekranie przez moment widać było tylko śnieg, ale potem, ku jej przerażeniu, pojawił się obraz - jasny i wyraźny.

Jak skamieniała, bez słowa wpatrywała się w swego sobowtóra, który znajduje konopny worek z banknotami, a następnie go zabiera.

Jakimś cudem mieli to na taśmie!

Agent obserwował ją, gdy oglądała nagranie, a zobaczywszy, że to do niej dotarło, wyłączył magnetowid.

- Więc? - powtórzył, prostując się i mierząc dziewczynę wzrokiem.

Molly zacisnęła rozchylone z przerażenia usta, zaplotła ręce na piersi i próbowała zapomnieć o lodowatym dreszczu, który przeszywał jej ciało. Popatrzyła w oczy mężczyźnie. Załatwił ją i oboje o tym wiedzieli. Jak się wyprzeć? Skłamać, że ma złą siostrę-bliźniaczkę?

Rozdział czwarty

W porządku - odezwała się w końcu Molly. - Może i wzię

łam te pieniądze.

- Nie widzę tu miejsca na „może”.

Nic nie odpowiedziała.

- Gdzie je masz? - spytał Lyman.

Bez słowa odwróciła się i poszła do kuchni. Agent ruszył za nią, poczekawszy tylko, aż magnetowid wypluje kasetę - Molly słyszała charakterystyczny odgłos, który temu towarzyszył.

Oczywiście, nie był na tyle głupi, by zostawić dowód popełnionego przestępstwa. Z kasetą w ręku przyglądał się z progu, jak Molly wyjmuje spod zlewu szary worek i ciska go na stół. Wło

żywszy kasetę do pudełka, mężczyzna podszedł do stołu, otworzył worek i zajrzał do środka, jakby chciał się upewnić, czy pieniądze nadal tam są. Po czym, najwyraźniej zadowolony, zawiązał sznurek na supeł.

- Dlaczego pani to wzięła?

Pytanie było tak głupie, że rozdrażniło Molly.

- Dla zabawy - oświadczyła, nie ruszając się z miejsca. -

Dla żartu. Bo i po co dziewczyna taka jak ja miałaby kraść worek pieniędzy?

Agent Lyman zacisnął usta.

- Na pani miejscu darowałbym sobie sarkazm. Ma pani poważne kłopoty, pani Butler.

- W takim razie proszę zadzwonić i kazać mnie aresztować.

Przemawiała przez nią czysta brawura. Zimny strach ścisnął jej serce, gdy czekała na decyzję mężczyzny.

Księżyc myśliwego 27

- Dopuściła się pani przestępstwa - oznajmił. -1 to nie byle jakiego. Może pani za to dostać jakieś piętnaście, dwadzie

ścia lat.

O Boże! W głowie jej szumiało. Nawet najszczerze chęci, by nie okazać strachu, nie pomogły; ciało ją zdradziło. Kolana się pod nią ugięły i opadła na ławkę, na której siedziała wcześniej, gdy zjawił się gość. Z trudem wciągnęła powietrze.

- Może jednak - ciągnął, przyglądając się jej - udałoby mi się namówić władze do wyrozumiałości.

Jeśli zgodzi się pani z nami współpracować. Proszę mi powiedzieć, kto panią przysłał po pieniądze.

Molly spojrzała zaskoczona. Agent przyglądał się jej uważnie spod zmarszczonych brwi, silną, opaloną dłoń położył na stole i oparł się na niej całym ciałem. Spod białego, wykrochmalonego mankietu koszuli wysunął się czarny pasek zegarka. Pasek był skórzany, zegarek zaś złoty. Garnitur uszyto z delikatnej wełny, krawat wyglądał na jedwabny. Zarówno ubiór, jak i zachowanie agenta Lymana wyraźnie świadczyły, że ów człowiek należy do klasy uprzywilejowanej. Nigdy nie zrozumie jej sytuacji: młodej, biednej dziewczyny, która musi walczyć, by na stole pojawiło się cokolwiek do jedzenia.

Tak samo jak nie zrozumie, co teraz czuła, patrząc na niego, śmiertelnie przerażona.

Spojrzenie jego niebieskich oczu przeszywało Molly na wylot. Spojrzawszy w nie, uświadomiła sobie, że straciłaby tylko czas i energię, próbując dalej się wypierać. Tą taśmą pogąrzył

ją całkowicie.

- Nikt mnie nie przysłał - oświadczyła.

- Nie dam rady pani pomóc, jeśli będzie pani kłamać.

- Mówię prawdę. Wzięłam pieniądze, bo ich potrzebowaliśmy... potrzebowałam. Nikt mnie po nie nie przysłał.

- To co pani robiła w stajni za piętnaście czwarta rano? -

Rzucił w nią tym pytaniem niczym kamieniem.

- Pracuję na Farmie Wylanda. A raczej pracowałam.

- Jak to: pracowałam?

- Parę dni temu poniosły mnie nerwy i rzuciłam pracę. Dziś rano poszłam do stajni odebrać czek.

- Dlaczego poniosły panią nerwy?

Ku swej wściekłości, poczuła, jak policzki zalewa jej gorący rumieniec.

28 K *sigzyc myśliwego*

- Ktoś mnie podszcypywał, choć sobie tego nie życzyłam.

- Kto? Don Simpson?

- Nie, nie pan Simpson. Thornton Wyland. Stajnia należy do jego rodziny.

Mężczyzna przez chwilę analizował jej odpowiedź, a potem zaczął od innej strony.

- Więc zjawiała się pani po odbiór wypłaty o trzeciej czterdzieści pięć rano?

-Zaczynam... Zaczynałam pracę o piątej. W tej branży trzecia czterdzieści pięć to nie jest taka znowu wczesna pora.

- Od kogo chciała pani odebrać czek?

- Od pana Simpsona.

- Nie było go tam.

- Zwykle przychodzi koło czwartej. Lubi być pierwszy. Zjawiłam się wcześniej, bo nie chciałam się z nim rozminąć. Potrzebowałam... potrzebuję tych pieniędzy.

- Więc zjawiała się pani wcześniej. O której? Kogo pani widziała? Kto był w stajni?

- Przypuszczam, że musiałam być gdzieś o wpół do czwartej.

Nikogo nie zauważyłam. Zwykle kręci się stajenny, który nocą pilnuje koni, ale nawet jeśli tam był, to ja go nie widziałam.

- Proszę mi powiedzieć, pani Butler, co pani robiła w pustej stajni od wpół do czwartej do momentu, kiedy weszła pani do składziku?

- Zajrzałam do koni i porozmawiałam z Ofelią.

Nie widziała powodu, by go poprawiać i podać swe właściwe nazwisko. Zresztą uznała, że może i warto, aby choć jednej rzeczy nie wiedział. Co prawda, sama nie wiedziała czemu, ale miała nadzieję, że nieznanostwo nazwiska uda się jej obrócić na swoją korzyść.

- Z kim?

- Z Ofelią. Kucem. Niedawno miała wypadek i od tamtej pory obawia się ludzi. Ufa mi, chciałam się upewnić, czy nic jej nie jest.

Tak naprawdę Ofelia dwa miesiące temu padła ofiarą czyjś złośliwego ataku. Którejś nocy, gdy została na łące Farmy Wylanda, wielokrotnie pocięto jej tylne nogi. Rozmiar i kształt ran kazał przypuszczać, że dokonano tego brzytwą.

Winnego nie znaleziono. Wzmocniono ochronę stadniny, choć na pewno nie z troski o Ofelię. W końcu nie była koniem peł-

Ksieżyc myśliwego 29

nej krwi. Trafiła do Keeneland tylko dlatego, że działała uspokajająco na ogiera Tabasco, wielką nadzieję stajni. Ofelia by

ła jego serdeczną przyjaciółką.

- Czym pani się zajmuje... zajmowała u Wylandów?

- Pracuję w stajni.

- Mówiła pani, że jej szefem jest Don Simpson. Czy to wszystko? Nie łączą was żadne stosunki pozasłużbowe?

Ton pytania wyraźnie dawał do zrozumienia, o co mogło chodzić. Molly popatrzyła agentowi prosto w oczy.

- Nie romansujemy ze sobą, jeśli *to* pan ma na myśli.

Nawet nie poczuł się zakłopotany.

- A więc nie łączą pani z Simpsonem stosunki pozasłużbowe?

- Właśnie.

- A z kimś innym?

- Słucham?! - Szeroko otworzyła oczy.

- Czy spotyka się pani... z kimś jeszcze?

- To chyba nie pańska sprawa. A jeśli chciałby się pan ze mną umówić, odpowiedź brzmi: nie.

Oczywiście nie chciał się z nią umówić, ale nie potrafiła zapanować nad pokusą utarcia mu nosa.

- Proszę mi wierzyć, że nie mam zamiaru się z panią umawiać, pani Butler. Po prostu zadaję pytanie: z kim się pani spotyka po pracy? Z kim się pani umawia? Kto jest pani chłopakiem?

- Po co panu te informacje?

Zmarszczył brwi.

- Pani Butler, jeśli nie chce pani trafić do więzienia, radzę odpowiadać na wszystkie moje pytania. Zgodnie z prawdą. Jasne? Popatrzyła na niego spod oka. Najwyraźniej uznał to za odpowiedź twierdzącą - co, zresztą, było prawdą.

- Przyjaciele? Partnerzy? Znajomi?

- Czasem umawiam się z Jimmym Millerem. Jego ojciec jest właścicielem warsztatu w mieście. I z Tomem Atkinsonem, to sąsiad. I z paroma innymi, jeśli mnie zaproszą, a ja właśnie mam czas.

- Czy łączą panią jakieś związki z Berniem Caudillem?

- Bernie Caudill?

Nazwisko brzmiało znajomo, ale Molly nie potrafiła go skojarzyć z żadnym mężczyzną.

Xsiężyc myśliwego

- Potwierdza tożsamość koni biegających na torze w Keeneland.

- Ten grubas, który sprawdza koniom tatuaże w pyskach?

-Tak.

- Nie. Prawie go nie znam.

- Tim Harden? Jason Breen? Howard Lawrence?

Na każde nazwisko - wszystko to byli okoliczni trenerzy -

Molly odpowiedziała przeczącym ruchem głowy.

Agent na chwilę zamilkł.

- Więc powiada pani, że zjawiała się pani w stajni za piętna

ście czwarta rano tylko dlatego, by odebrać wypłatę?

-Tak.

- To co pani robiła w składziku? Nawet za dnia rzadko się tam zagląda.

- Chciałam wziąć trochę słodkiej karmy dla Ofelii. Przepada za nią.

- Ofel... A tak, dla osła.

- Kuca.

Zbył tę poprawkę niecierpliwym skrzywieniem ust.

- Nie miała pani pojęcia, że leżą tam pieniądze ani dla kogo są przeznaczone? Po prostu zobaczyła je pani i wzięła, bo ich potrzebowała, tak?

-Tak.

- Więc proszę mi jeszcze wyjaśnić, dlaczego pani zajrzała do worka?

- Bo to był worek z paszą niewłaściwej firmy. Zawsze podajemy koniom karmę firmy Southern Farms, a ta była firmy Bentons, produkującej towar gorszej jakości. Nie wolno tym karmić naszych zwierząt, więc worek nie miał prawa leżeć u nas w składziku, bo ktoś omyłkowo mógłby jednak podać paszę koniom. A niedobre pożywienie źle wpływa na ich delikatny system trawienny. Z

angloarabami trzeba bardzo uważać.

Zamierzałam na wszelki wypadek przestawić worek w inne miejsce, ale kiedy go podniosłam, natychmiast się zorientowa

łam, że nie ma w nim karmy, więc zajrzałam do środka.

- I zdziwiła się pani na widok pieniędzy.

To się nazywa eufemizm dziesięciolecia!

- O, tak.

Przez chwilę mężczyzna milczał, pogrążony w zadumie. Wodził wzrokiem po twarzy Molly, po szczupłej sylwetce w obci-Księżyc myśliwego 31

słych dzinsach, a raczej po tych jej partiach, które widział zza stołu. Nie ulegało wątpliwości, że rozważa słowa dziewczyny, zastanawiając się, czy mówi prawdę.

- Ile pani ma lat? - spytał nieoczekiwanie.

- Dwadzieścia cztery.

- I mieszka pani z rodzeństwem, tak? Dużo go pani ma?

- Czoro. Dwóch braci i dwie siostry.

- A pani jest najstarsza?

- Czyżby mnie pan przeświecił przed przyjściem tutaj? No tak oczywiście. Przecież jest pan z FBI. - W jej słowach dźwięczała niechęć. - W takim razie już pan wie, że jestem najstarsza, więc po co pytać?

Jej kąśliwe uwagi spływały po nim jak woda po kaczce.

- Gdzie są pani rodzice? - brzmiało następne pytanie.

Molly zesztyniała. Posunął się za daleko, na zbyt osobisty grunt, gdzie nikogo nigdy nie wpuszczała.

- A co to ma do rzeczy? Miejsce ich pobytu nie wiąże się z tą sprawą.

- Chcę wiedzieć.

Ona też wiele by chciała. Na przykład, żeby ten facet już sobie poszedł. Ale było to tylko pobożne życzenie, zwłaszcza że agent miał taśmę i nie mogła wyrzucić go z domu. Kasetę dawała mu przewagę - i prawo żądania odpowiedzi nawet na najbardziej drażliwe pytania.

- Mama nie żyje, a ojciec rozpląnął się we mgle, jeszcze gdy byłam dzieckiem. Wystarczy?

Przez chwilę obserwował ją bez słowa. W końcu usta wykrzywił mu lekki uśmiešek.

- Ma pani dziś prawdziwe szczęście, pani Butler. Postanowi

łem uwierzyć, że mówi pani prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

Zabiorę pieniądze, pójdę sobie i zapomnę, że w ogóle je pani tknęła. Chyba iż się okaże, że mnie pani okłamała. Wtedy wrócę!

Wziął worek z pieniędzmi, skinął jej głową i ruszył do drzwi.

Nie wierząc, że naprawdę cała sprawa ujdzie jej płazem, Molly odwróciła się i patrzyła, jak Lyman idzie w stronę zrujnowanej ramy z siatką.

- Miłego dnia, pani Butler! - zawołał przez ramię, jakby odbyli serdeczną, przyjacielską pogawędkę.

I choć Molly na pół świadomie odnotowała ukłucie złości z racji tego lekceważącego pożegnania, przede wszystkim *32 K siężyc myśliwego*

czuła jednak niewysłowioną ulgę. A zatem nie trafi do więzienia.

Ale agent nadal jeszcze nie wiedział o brakującej dwudziestce.

Ledwo o tym pomyślała, mężczyzna zatrzymał się gwałtownie w pół kroku. Czyżby zmienił zdanie? - zastanawiała się Molly, ogarnięta nagłą paniką. Czyżby czytał w jej myślach?

Wróci?

Szybko znalazła odpowiedź na te pytania, bo w jej polu widzenia pojawił się Zeberko z najeżoną sierścią i odsłoniętymi białymi kłami. Najwidoczniej spał na ganku.

Trzeba przyznać facetowi, że się nie przestraszył. Wyciągnął rękę, dał się obwąchać i mówił coś cichym, spokojnym głosem. To wystarczyło, żeby pies złagodniał, jak na bałwana o czułym sercu przystało. Zamerdzał ogonem - skoro ów mężczyzna pozwolił sobie obwąchać palce, to najwyraźniej był serdecznym przyjacielem - a w nagrodę został jeszcze poklepany po łbie.

Wreszcie agent FBI przestał głaskać podłego zdrajcę, zszedł

z ganku i zniknął Molly z oczu. Oby również - modliła się żarliwie - i z jej życia.

Rozdział piąty

Kieedy Will zadzwonił do Murphy'ego z automatu przy sklepie 7-Eleven przy Versailles Road, nie usłyszał dobrych wieści: Howard Lawrence nie żył. Lawrence był trenerem w stajni Cloverlota, jak również ich wtyczką. To on wytłumaczył Willowi szczegóły owego przekrętu, on wskazał Dona

Simpsona i innych i zostawił w składziku stajni numer piętnaście worków z forszą, stanowiącą ponoć zapłatę za podmianę konia we wcześniejszym wyścigu. Do tej chwili Howard Lawrence był jedynym ich dowodem. A za sprawą tej seksownej lali, której Will, ku własnemu niezadowoleniu i odrazie do siebie samego, za łatwo odpu

ścił sprawę, nie udało im się zdobyć cienia dowodu przeciwko pozostałym graczom.

- Jak to: nie żyje? - spytał wściekły Lyman, gdy usłyszał od Murphy'ego wiadomość.

- Normalnie: kopnął w kalendarz, trup nieboszczyk, zszedł

śmiertelnie, jest teraz świętej pamięci.

- Nie żyje?

- Słyszałeś.

- Ale jak to się stało?

- Zabił się.

- Sam?

- Owszem - odparł ponuro Murphy.

- Miałeś go pilnować!

- Pilnowałem. Jechałem za nim. Wstąpił na hamburgera.

Podjechał do okienka dla kierowców, a potem zatrzymał się na parkingu, żeby coś zjeść. Wyglądało na to, że chwilę tam postoi, 3. Księżyc myśliwego

34 K siężyc myśliwego

więc stanąłem za budynkiem i skoczyłem do toalety. Kiedy wróciłem, nadal był w wozie, doskonale go widziałem. Siedział odchyłony, z zamkniętymi oczami, ale się nie przejąłem. Sądziłem, że po prostu odpoczywa. Skąd miałem wiedzieć, że palnął sobie w łeb w środku dnia w „Dairy Queen”?

Murphy najwyraźniej czuł się dotknięty, że na niego spadła wina.

- Cholera.

- To samo powiedziałem.

- Niech to szlag, Murphy, dlaczego do tego dopuściłeś?

- A co miałem zrobić? Nic nie mogłem poradzić.

- Cholera - powtórzył Will.

- Strasznie przepraszam.

Lyman niemal widział, jak po drugiej stronie jego rozmówca przepaszająco wzrusza ramionami. Zgrzytnął zębami.

- I pewnie tutejsza policja już się tym zajęła?

- Tak. Nieboszczyka znalazła jedna z pracownic. Niosła specjalne zamówienie i mijając jego samochód, upuściła tacę i zaczęła wrzeszczeć. W ciągu pięciu minut pojawili się policjanci...

- Rozmawiałeś z nimi?

- Nie. Kiedy ta dziewczyna zaczęła wrzeszczeć, nawet nie wysiadałem i ledwo zjawiała się policja, dałem w długą. Nie chcia

łem, by się dowiedzieli, że interesowaliśmy się Lawrence'em.

- Jesteś pewien - absolutnie pewien - że on nie żyje?

-Tak.

- Jakim cudem, skoro nie wyszedłeś z samochodu?

Cierpliwość Willa była na wyczerpaniu. Niech piekło pochłonie Halluma, że mu przydzielił tego bałwana!

- Pokazywali w południowych wiadomościach. Informacja dnia: tutejszy trener koni wyścigowych popełnił samobójstwo w „Dairy Queen”. Wierz mi, nie żyje. Przygotowania do pogrzebu są w toku.

- Podali w telewizji? Rany boskie!

- Przynajmniej nikt nie wie, że był z nami związany - mówił Murphy pocieszająco. - A nam wygadał wszystko, co wiedział. Czyli wszystko w porządku.

Will na moment przymknął oczy.

- Mylisz się, Murphy, nic nie jest w porządku. Mieliśmy haka na Lawrence'a, ale on nie żyje. Bez jego zeznania nie mamy nic na pozostałych. Nic, rozumiesz? Żadnych świadków, dowo-Księżyc myśliwego ' 35

dów, niczego. Nie mamy żadnego haka na nikogo, tylko same poszlaki.

Jednym słowem, ciężka harówka właśnie poszła do kosza, pomyślał z furją.

- Może postraszymy innych? Weźmiemy na przesłuchanie i powiemy, że Lawrence przed śmiercią

wszystko nam wyśpiewał.

- A jeśli się nie przyznają - co zrobią, o ile Bozia dała im choć trochę rozumu - nadal nie będziemy mieć niczego. Wyjdziemy tylko na durniów i będziemy mogli jedynie pochwalić się astronomicznymi kosztami bez żadnych rezultatów. A przy okazji powiadomimy zainteresowanych, że ich gierka wyszła na jaw, więc natychmiast się zaszyją. My zaś znowu zostaniemy z pustymi rękami.

- Przynajmniej nie będą robić kolejnych przekrętów.

- Powiedz to Hallumowi. Może przyzna nam tytuł Obywatela Roku.

- Teraz i tak już nic nie poradzimy.

I znowu Will niemal widział wzruszenie ramion Murphy'ego.

Przez chwilę milczał. Bał się odezwać. Niedaleko po cztero-pasmowej autostradzie śmigały samochody. Ze sklepu 7-Eleven wyszła grupka mężczyzn w roboczych kombinezonach, wskoczyli do zniszczonego pikapa i odjechali z rykiem silnika. Willa owionął zapach spalin. Odsunął się, by go nie czuć.

W górze rozciągało się błękitne niebo z puchatymi, białymi chmurkami. Twarz Willa muskał nieprzyzwoicie ciepły jak na tę porę roku wietrzyk. W Chicago w połowie października było dobrych kilkanaście stopni chłodniej, a powietrze robiło się zimne i ostre, jak na jesień przystało. Po ulicach szybkim krokiem szli ludzie, zajmujący się prawdziwymi interesami, a w wąwozach między drapaczami chmur hulał wiatr.

- Etheline, nie zapomnij o papierosach dla mnie! Słysz

łaś? - Otyła kobieta w chevrolecie upomniała swoją równie okrągłą, nastoletnią córkę, która właśnie szła do kiosku i odpowiedziała matce lekceważącym machnięciem ręki.

W Chicago już nikt nie palił papierosów, lecz tutaj zawołaniem stanu mogłoby być hasło: „Tytoń to warzywo”. Paliła co najmniej połowa mieszkańców. Boże, jak Willowi marzył się powrót do cywilizacji. Pozostanie tu do końca życia równałoby się dlań zesłaniu do piekła.

36 Księżyc myśliwego

- Na pewno popełnił samobójstwo? - spytał zdesperowany Murphy'ego.

- W wiadomościach podali, że obok ciała znaleziono pistolet z odciskami palców Lawrence'a. Nikt z nim nie jechał. Jak inaczej to wytłumaczyć?

Właśnie, jak? Fakt, że śmierć trenera była wyjątkowo na rękę mężczyznom, na których polowało FBI, nie oznaczał, że popełniono morderstwo. Mimo wszystko jednak...

- Spisałeś numery rejestracyjne samochodów na parkingu?

- Nie. - W głosie Murphy'ego pojawiło się zaskoczenie. - Nie przyszło mi to na myśl. Facet przecież popełnił samobójstwo...

Nie przyszło ci na myśl, kropka - warknął w duchu Will, ale nie powiedział tego na głos.

- Odzyskałeś pieniądze? - spytał Murphy.

- Taaa... - Zatopiony w myślach Will odpowiedział tylko burknięciem.

- Hm, Will...

I cisza.

-Co?

Milczenie Murphy'ego natychmiast zwróciło uwagę Lymana. Czuł, że zaraz usłyszy kolejne złe wieści.

- Dziewczyna nazywa się Ballard, nie Butler. Molly Ballard.

Musiałem źle przeczytać - oświadczył ze skruchą Murphy.

- Dziękuję za informację - odparł sucho Will.

Współpracując z tym facetem, przywykł do partactwa. Tyle dobrze, że dziewczyna nie kłamała, upierając się, że nie nazywa się Butler. Will skrzywił się na to wspomnienie. Nienawidził wychodzić na durnia. W chwili gdy o tym pomyślał, przypomniał

sobie scenę, gdy leżał na ganku przewrócony na plecy przez psa.

Przy tej wywrotce, w kategorii wychodzenia na durnia wpadka z nazwiskiem w ogóle się nie liczyła.

- Ale odzyskałeś pieniądze, więc to chyba nie było takie istotne - pogodnie zauważył jego partner.

Will odsunął słuchawkę i przez chwilę uważnie ją kontemplował. Potem znowu przyłożył ją do ucha i odrzekł wyważonym głosem:

- Nie, jeśli tak na to spojrzeć, to faktycznie nie.

- Zadzwoń w parę miejsc i spróbować zdobyć raport z sekcji zwłok Lawrence'a albo coś w tym stylu?

Księżyc myśliwego

- Nie! - rzucił Will, czując coś bliskiego paniki na myśl, że Murphy miałby zrobić coś jeszcze. -
Czekaj na mnie. Będę za dwadzieścia minut.

Rozłączył się, nie dając tamtemu dojść do głosu.

Idąc do samochodu, dostrzegł z niesmakiem, że do buta przykleiła mu się guma. Wielki, paskudny,
różowy placek leżący na asfalcie przywarł do skórzanej podeszwy drogiego buta i teraz rozciągał się
w długie nitki. Will nawet się nie zdziwił.

Prawie wszyscy tutejsi mieszkańcy, którzy nie palili, żuli gumę i wypluwali ją, gdzie popadło.

Dzień od początku źle się układał, już od chwili kiedy dziewczyna ulotniła się z forszą, której
sfilmowany odbiór miał dostarczyć dowodu, iż Don Simpson przyjmuje łapówki. Od tamtego
momentu - choć Will nie przypuszczał, że może do tego dojść -

nieszczęścia się nawarstwiały. A teraz jeszcze guma na bucie.

Jak uczy przysłowie: raz na wozie, raz pod wozem.

Albo, jak soczyściej ujął to w duchu Lyman: zasrane szczę

ście.

Najlepiej, jak się dało, usunął gumę na ostrej krawędzi krawężnika, podszedł do nierzucającego się
w oczy służbowego białego forda taurusa - który zdaniem Willa właśnie z racji swej marki i koloru
wręcz walił po oczach - i ruszył do położonego niecałe dwadzieścia kilometrów dalej Lexington.

Nagle ogarnęła go nostalgia za szklanką zimnego mleka, bajgłem i numerem „Chicago Tribune”. Od
kiedy ze względu na nękające go wrzody musiał zrezygnować z kofeiny, piętna

ście minut z mlekiem, bajgłem i gazetą stało się jego sposobem rozładowania stresów.

Bije na amen walenie głową o ściany.

Tutejszy prymityw nawet nie słyszał o bajglach. Kiedy Will próbował pytać o nie w najróżniejszych
lokalnych delikatesach albo kawiarniach, najczęściej w odpowiedzi widział tylko tępe spojrzenie.
Najbardziej zachwyciła go odpowiedź jakiegoś błazna, który poradził mu, żeby spytał w sklepie
sportowym. „Bajgle - gogle, cha, cha, cha!”.

Tutejsi mieszkańcy mieli wybitne poczucie humoru. Jeszcze trochę, a umrze ze śmiechu.

Siedział tu zaledwie tydzień z kawałkiem, a już czuł, że ciśnienie krwi skoczyło mu tak, iż wprost
przebijało sufit. Już wiele lat temu uznał, że ma zakodowane w genach wielkomiejskie 38 K *siężyc
myśliwego*

życie. „Świeże” wiejskie powietrze - tak naprawdę śmierdzące zgnilizną i zwierzęcym nawozem - powodowało u niego mdłości.

Natomiast po paru łykach smogu natychmiast wracał do życia.

Nie dość więc, że musiał znosić te męki i zajmować się machlojkami z ustawianiem wyścigów - które nikogo by nawet nie zainteresowały, gdyby nie to, że wiosną senator Charles Paxton z kumplami stracili na owej zabawie parę groszy - to jeszcze wszystko wskazywało, że całe śledztwo właśnie diabli wzięli.

Jeśli jakoś nie wybrnie z tej kryzysowej sytuacji, będzie miał

wielką krechę. Całą jego karierę diabli wezmą i to przez głupią sprawę, tak drobną, że nie zasłużyła nawet na „oficjalne” dochodzenie. Razem z Murphym grzebali w tym łajnie tylko w ramach zrobienia przysługi senatorowi. Nikt, z wyjątkiem Da-ve'a Halluma, nie wiedział, że tu są.

W drodze do Lexington Will analizował sprawę ze wszystkich stron, usiłując znaleźć nowy punkt zaczepienia. Fakty wygląda

ły następująco: senator Paxton - jak się okazało - słusznie podejrzewał, że źle się dzieje w państwie końskim, skoro przegrywał tam, gdzie zwykle odnosił sukcesy. Zwrócił się więc z prośbą do George'a Reesa, swego bliskiego przyjaciela i przełożonego Halluma, by zbadano tę sprawę. Rees z kolei przekazał pałeczkę podwładnemu, a ten ze złośliwą satysfakcją podrzucił kukułcze jajo Willowi, który po tym, jak szefowi wysadzono w powietrze jacht, znalazł się na czarnej liście.

Kiedy Will usiłował się bronić, że sprawa należy do filii w Louisville, usłyszał, iż grubo się myli: tam wszyscy wszystkich znają, łącznie z agentami FBI. W takich warunkach nie ma możliwości przeprowadzenia dochodzenia w sprawie, w którą mogą być zamieszani najwięksi okoliczni hodowcy koni.

Potrzebny jest więc ktoś z zewnątrz - czyli agent Lyman. Dostanie do pomocy Johna Murphy'ego, niedawno przeniesionego do biura w Chicago z zachodniej Wirginii, gdzie - jak zdążył

się dowiedzieć Will - przesiedział ostatnie piętnaście lat, od czasu do czasu przypadkowo nakrywając handlarzy marihuaną.

Willa nie zachwyciło zadanie ani partner, ale tak wyglądało życie agenta FBI. Przyleciał na miejsce w towarzystwie Murphy'ego, założył centralę w najbliższym hotelu sieci „Executive Suites” i obiecał sobie, że wyjaśni całą sprawę jeszcze przed zakończeniem trzytygodniowego sezonu wyścigowego w Keeneland, czyli przed 29 października.

Księżyc myśliwego 39

I dotrzymałby tego terminu. Nie trzeba było geniusza, żeby opracować listę ostatnich zwycięzców i właśnie do nich zawęzić grono ewentualnych winnych. Dzięki elektronicznym zabawkom i dyskretnej wywiadowi w Keeneland oraz innych stajniach związanych z tym torem, stworzył sobie ogólny obraz sytuacji i wyłonił piątkę głównych podejrzanych. Brakowało mu tylko dowodów i

sposobu na zdemaskowanie całej grupy, tak by oskarżenie miało ręce i nogi.

Przeglądanie poszczególnych życiorysów w poszukiwaniu afer przyniosło spodziewane efekty: pierwszy na liście podejrzanych, Howard Lawrence, sypiał z dużo młodszą dziewczyną.

Właśnie tego potrzebował Will. Złożył Lawrence'owi wizytę, przeraził go perspektywą oskarżenia o gwałt na nieletniej i o przewożenie jej poza granicę stanu w niemoralnych celach (ten bałwan miesiąc wcześniej zabrał małą na wycieczkę do Nashville). Następnie roztoczył przed nim kuszącą perspektywę uniknięcia kary, a co więcej otrzymania wysokiej nagrody pieniężnej za pomoc w śledztwie i obiecał mu ochronę przed zemstą współników oraz wyłączenie jego nazwiska z listy oskarżonych. Lawrence miał dość rozumu, by zdawać sobie sprawę, że w tej sytuacji nie pozostawiono mu szczególnego wyboru. Wychlapał wszystko, co wiedział, i zgodził się pomóc w zdemaskowaniu reszty winnych.

Oszustwa nie były zakrojone na szeroką skalę. Uczestnicy całej sprawy nie zamierzali zbić majątku, chcieli tylko dorobić sobie na boku. Mechanizm był bardzo prosty: czterech okolicznych trenerów koni: Howard Lawrence i Don Simpson z Farmy Wylanda, Tim Harden ze stajni Greenglow oraz Jason Breen ze stadniny Sweet Meadow weszli w nieświęte przymierze z Berniem Caudillem, który przed każdym wyścigiem sprawdzał, czy tatuaż w pysku konia zgadza się z numerem wpisanym do dokumentów zgłoszonego wierzchowca. W ten sposób uczestnicy zakładów mieli pewność, że w biegu startuje ten sam koń, który został wcześniej zgłoszony. Trenerzy podmieniali zwierzęta, podsuwając na miejsce słabszych, na które nikt nie stawiał, angloaraby, bijące na głowę konkurencję. Następnie wysoko obstawiali owe niby to kiepskie konie, wygrywali duże pieniądze i dzielili się zyskiem.

I w ten sposób wszyscy byli zadowoleni. Z wyjątkiem senatora Paxtona, który wyjątkowo nie lubił przegrywać.

40 K siężyc myśliwego

Will skrzywił się na myśl, że ma zadzwonić do Halluma i poinformować go, iż śledztwo, które wszczął George Rees na prośbę swego przyjaciela-senatora, utknęło w martwym punkcie, gdyż świadek, którego mieli obserwować i pilnować, popełnił samobójstwo. To by go stawiało w złym świetle. To by również postawiło w złym świetle Halluma. I także stawiało George'a Reesa w złym świetle. A to już było całkiem kiepsko. Przez najbliższe dwadzieścia lat Will nie opuściłby czarnej listy Halluma.

Hallum słynął ze swej pamiętliwości. Wiedząc, jak serdecznie Will nienawidził wsi, pewnie by już na zawsze udupił go na prowincji. Aż do emerytury mógłby codziennie sobie recytować: „Wsi spokojna, wsi wesoła...”.

Musi znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Ale jakie?

Nagle przed oczami zamajaczyła mu śliczna twarz i równie wdzięczna sylwetka panny Molly Butler - przepraszam, Ballard.

Znała to środowisko. A dopóki miał film ukazujący jej poranny wyczyn, była jego. Ciałem i duszą.

Pytanie tylko, jak najlepiej ją wykorzystać?

Rozdział szósty

Molly i jej rodzeństwo byli w połowie kolacji, gdy ktoś zastukał do drzwi. Czwórka Ballardów natychmiast podniosła wzrok. Piąta, siedemnastoletnia Ashley, która jak zwykle siedziała z nosem w książce, zareagowała wolniej. Ale kiedy Żeberko z donośnym jazgotem wyprysnął spod stołu, skrobiąc pazurami o podłogę, i ona też oderwała się od lektury i najpierw powiodła po reszcie pytającym wzrokiem, później zaś zatrzymała spojrzenie na drzwiach.

- Otworzę.

Mike wstał od stołu, bez szczególnego żalu odchodząc od posiłku. Trzeci raz w tym tygodniu jadł dyżurne hamburgery i mdliło go na ich widok - o czym nie omieszkał powiadomić rodziny, ledwo zasiedli do kolacji. Chudy jak patyk Mike, który -

choć czternastoletni - już przerósł Molly, nosił typowy strój nastolatka: dżinsy, adidasy i rozpiętą flanelową koszulę na białym podkoszulku. Długie do ramion włosy ściągnął w kucyk, w uchu połyskiwał mu mały, złoty kolczyk.

Molly nie zachwycała się ani fryzurą, ani kolczykiem, ale jednego się nauczyła, zastępując tej paczce rodziców: nie należy się przejmować drobiazgami. O kradzież w sklepie trzeba zrobić awanturę, o kolczyki nie warto.

- Nigdzie się nie ruszysz, dopóki nie odrobisz lekcji -

uprzedziła chłopca, podobnie jak Mike przypuszczając, że go

ścieniem okaże się któryś z jego licznych kumpli.

- Już mówiłem: odrobiłem w szkole.

- Uważaj, bo ci uwierzę - parsknął jedenastoletni Sam, solidaryzując się z opinią najstarszej siostry w tej sprawie.

42 Księżyc myśliwego

Mike'a zawsze trudno było zagonić do lekcji, a ostatnio sta

ło się to praktycznie niemożliwe. Molly próbowała wymówek, przekupstwa i gróźb - bez większych skutków. W tym momencie bratu po prostu nie zależało na szkole. Mimo wielu wysiłków, nie potrafiła do niego dotrzeć.

- Ja odrobiłam lekcje zaraz po powrocie do domu, Sam też

- oświadczyła z dumą Susan.

Molly uśmiechnęła się do niej serdecznie; Mike posłał

młodszej siostrze ponure spojrzenie.

Bliźnięta były bardzo do siebie podobne. Oboje delikatnej budowy, mieli jasną cerę, duże brązowe oczy i gęste rzęsy, które cała piątka Ballardów wzięła po matce. W przeciwieństwie do Molly i Mike'a, którzy poza tym odziedziczyli jej cudowne, ciemne włosy, bliźnięta były blondynami; fryzura Sama kończyła się nad uszami, włosy Susan sięgały ramion. Sprawiali wrażenie delikatnych i anielskich dzieci - ani pierwsza, ani druga cecha nie odpowiadała prawdzie.

Ale to dotyczy wszystkich Ballardów, pomyślała z goryczą Molly, gdy Mike otwierał drzwi. Może z wyjątkiem Ashley.

- Cześć - odezwał się gość zza ramy obciążonej siatką, którą Molly wyreperowała na tyle, że dało się ją zamknąć, ale nie miała ani czasu, ani pieniędzy, żeby solidnie naprawić całość.

Na ganku panowały ciemności. Górna, niezniszczona część drzwi tak zasłaniała twarz gościa, że można było jedynie się domyślić, że to dorosły mężczyzna.

- Jest twoja siostra?

- Która?

Mike wyprostował się czujnie. Z daleka wyczuwało się jego zaskoczenie i podejrzliwość. Rzadko się zdarzało, by wieczorem przychodził do nich obcy mężczyzna i do tego pytał o którąś z jego sióstr. Rozdrażniony jazgotem psa, napierającego na drzwi, skarcił go:

- Zamknij się, Żeberko.

Oczywiście ten drań dalej czekał - ale merdał już ogonem, czyli najwyraźniej znał tego kogoś za drzwiami. Wsunął nos w dziurę w dolnej części siatki i obwąchiwał parę czarnych spodni. W otworze pojawiła się teraz opalona męska dłoń o długich palcach, która pogłaskała psa, a nad nią błysnął biały mankiet i złoty zegarek.

- Molly - wyjaśnił właściciel dłoni.

Księżyc myśliwego 43

Czwórka Ballardów przy stole znieruchomiła, utkwivszy wzrok w drzwiach. Młodsza trójka zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli pojawia się ktoś nieznajomy i pyta o Molly, oznacza to, że któreś z rodzeństwa wpadło w tarapaty. Ich opiekunka natomiast z ukłuciem lęku rozpoznała spodnie oraz głos i wiedziała nawet, kto ma kłopoty.

- Tak, jestem - zachrypiała, wstając i podchodząc do drzwi tak szybko, jak tylko pozwoliły na to miękkie kolana.

Niezależnie od tego, co zamierzał jej powiedzieć agent, nie chciała, by usłyszały to dzieci. A domyślała się, co go sprowadza. Odkrył brak dwudziestki.

Boże, czyżby jednak chciał ją aresztować?

Rodzeństwo spoglądało na nią z uwagą. Mike nawet odsunął się nieco od drzwi i przypatrywał się podchodzącej do drzwi siostrze.

- Z drogi, Żeberko - rozkazała Molly psisku, które stanęło między nią a wejściem.

Żeberko posłusznie przeszedł przez dziurę, którą wcześniej sam zrobił w drzwiach i czekał na ganku na swego nowego przyjaciela. Omijając Mike'a i starannie unikając jego wzroku, Molly odsunęła haczyk i otworzyła.

Natychmiast jeden róg opadł niżej, ale zdołała przesunąć drzwi nad nierówną podłogą ganku, mocno je podciągając i trzymając za klamkę.

- Cześć - odezwał się agent FBI, gdy w końcu stanęli twarzą w twarz. - Zapomniałaś o naszej randce?

W błękitnym świetle padającym z kuchni jego jasnoniebieskie oczy błysnęły ostrzegawczo. Zdziwienie na moment odebra

ła Molly mowę. Co ten facet wygaduje? Spojrzała na niego z drżeniem serca. Uśmiechał się, ale ów przelotny grymas ust nie rozjaśniał mu twarzy. Ten człowiek czegoś chciał, to nie ulegało wątpliwości, ale chyba nie zamierzał jej aresztować. Gdyby przyszedł w tym celu, nie zawracałby sobie głowy gadaniem o randce.

- Cześć - wyksztusiła, aż nadto wyraźnie czując obecność Mike'a obok siebie i wyteżoną uwagę, z jaką reszta przy stole nadstawiała uszu. - Na to wygląda.

Widząc, jak się męczy z drzwiami, Will przytrzymał ramę.

Molly wypuściła z rąk klamkę i opadła na pięty, splatając ramiona na piersiach. Nawet na chwilę nie spuszczała wzroku z gościa.

44 Księżyc myśliwego

- Nie mów, że chciałaś mnie wystawić?

Mówił lekko, żartobliwie, ale w jego oczach malowały się zdecydowanie i upór, któremu Molly nie odważyłaby się sprzeciwić.

- Skądże - zapewniła. - Muszę tylko...

Zerknęła na Mike'a, który mierzył gościa wzrokiem. Była tak zdenerwowana, że z trudem zbierała myśli. Ale na pewno nie wyjdzie z domu, nie powieziawszy ani słowa rodzinie.

- Oczywiście, dokończ swoje zajęcia. - W jego głosie brzmia

ła wyrozumiałość, choć Molly wiedziała, że może się po nim spodziewać wszystkiego, z wyjątkiem tej właśnie cechy. - Poczekam.

Powiedziawszy to, wszedł do domu, naruszając jej strefę prywatności, tak że Molly musiała się cofnąć i wpuścić go do mieszkania. Mike też się odsunął i spod zmarszczonych brwi wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Agent FBI starannie zamknął za sobą drzwi. Żeberko przecisnął się przez dziurę w siatce i stanął przy gościu, merdając ogonem.

W powietrzu zawisło lodowate milczenie.

Mężczyzna posłał Molly spojrzenie, które kłóciło się z uśmiechem, goszczącym na jego twarzy. Zdała sobie sprawę z obecności widzów. Uświadomiła sobie, że od kiedy ten człowiek wszedł do mieszkania, wpatruje się w niego, zapewne z przerażeniem. Miała nadzieję, że pozostali są tak pochłonięci obserwowaniem gościa, iż nie zwracają na nią uwagi.

- To... mój brat Mike - rzuciła pospiesznie i w nagłym przypiływie paniki uświadomiła sobie, że nie pamięta nazwiska agenta.

Wyczuwszy jej napięcie, wysunął się naprzód i wyciągnął rękę do nastolatka.

- Will Lyman - oznajmił, wymieniając uścisk dłoni z chłopakiem.

Molly w duchu odetchnęła z ulgą. Skoro się z nim „umówiła”, to powinna przynajmniej znać jego imię.

- To jest Ashley, to Susan, a to Sam. - Ruchem ręki wskazała trio przy stole.

- Cześć.

Will skinął głową, gdy niczym echo powtórzyli jego powitanie. Wszyscy gapili się nań jak na kosmitę, zauważyła Molly z rosnącym przerażeniem, Mike natomiast mierzył wzrokiem *Księżyc myśliwego* 45

gościa od stóp do głów; brwi nadal miał ściągnięte, a ręce oparte na biodrach niczym podejrzliwy ojciec, oceniający chłopaka córki.

Molly musiała przyznać, że ich zdumienie nie było bezpodstawne. Po pierwsze, nigdy się nie umawiała w dni powszednie, po drugie nigdy, przenigdy nie spotykała się z kimś takim jak agent Will Lyman. Przede wszystkim ten facet skończył już pewnie ze czterdzieści lat. Chłopcy, z którymi chodziła, zwykle byli tylko o parę lat od niej starsi. Poza tym wystarczyło parę

„wyszczekanych" przezeń słów, by odgadnąć, że nie pochodził

stąd. W dodatku ten strój. Choć czasem jej partnerzy nosili garnitury - gdy wymagała tego okazja - ale nie czuli się w nich swobodnie i wkładali je od wielkiego dzwonu. Tymczasem dla tego mężczyzny garnitur najwyraźniej stanowił drugą skórę.

Choć agent zdjął krawat i rozpiął koszulę pod szyją, daleko temu było do niezobowiązującego stylu ubierania się jej chłopaków. Czarne, skórzane buty lśniły, nogawki spodni miały zaprasowane kanty, na pasku od spodni połyskiwała dyskretna, srebrna klamerka. Wszystkie owe dodatki były drogie. Garnitur niewątpliwie też - lecz agent Lyman sprawiał wrażenie, jakby nosił ten strój na co dzień. Co więcej, coś w jego zachowaniu świadczyło, że musiał się obracać w świecie odległym od farm i zapadłych dziur środkowego Kentucky. Z całą pewnością Molly nigdy jeszcze nie miała randki z kimś takim.

Jednak mężczyzna przedstawił się jako ktoś, z kim się umówiła, więc nie mogła się wykręcić. Powinna czuć wdzięczność, że - choć nie wiedziała, co go tu sprowadza - postanowił to wyjawić, dopiero gdy będą się sami.

Bo gdyby nie był facetem, z którym się umówiła, Molly nie uniknęłaby pytań, a wołała nie tłumaczyć rodzeństwu, co to za jeden. Chyba że nie da się tego uniknąć.

Molly objęła się ramionami i próbowała zebrać myśli.

Przede wszystkim trzeba zająć się dziećmi.

- Sam i Susan, dziś wasza kolej zmywania. Potem możecie przed snem pooglądać telewizję, pod warunkiem że odrobili

ście już wszystkie zadania. Mike, ty zanim zajmiesz się czymkolwiek, masz odrobić lekcje. I gdybyś wychodził, wróć przed wpół do dziesiątej. Ash...

- Spokojna głowa, dopilnuję, żeby wszystko było zrobione -

dokończyła Ashley, wstając i okrążając stół. Okulary w róg-46 K *sięzyc myśliwego*

wych oprawkach zsunęły jej się na nos, więc popchnęła je palcem na miejsce. - Późno wrócisz?

Molly otworzyła usta, ale uświadomiła sobie, że nie wie, posłała więc przez ramię desperackie spojrzenie w kierunku mężczyzny za swymi plecami. Potrząsnął głową.

- Nie, nie za późno - odrzekła, a potem odwróciła się do niego. - Jestem gotowa, chodźmy.

- Molly...

Ashley, wysoka i szczupła jak całe rodzeństwo, nadal miała na sobie spodnie i bury sweter, które nosiła do szkoły. Gęste, zawsze potargane, mocno skręcone włosy w kolorze miodu opadały jej kaskadą do ramion. Teraz spojrzała na siostrę i szarpnęła jeden kosmyk - zawsze tak robiła, gdy coś

ją zaniepokoiło.

-Co?

Molly trudno było ukryć napięcie. Za wszelką cenę usiłowa

ła zachować pozory normalności, dopóki wraz z agentem FBI nie znajdzie się za drzwiami. Ashley, choć często bujała w ob

łokach, nie była głupia i wyraźnie czuła, że coś tu nie gra. Na jej twarzy zagościł niepokój, popatrzyli na siebie z Mikiem, który nadal stał przy otwartych drzwiach, trzymając ręce na piersi.

- Twoje buty.

Idąc za wzrokiem Ashley, Molly zerknęła na swe gołe stopy. Wszyscy w kuchni, łącznie z gościem, też spojrzeli w dół.

Mimowolnie podwinęła palce.

- Och!

Ów krótki wykrzyknik zabrzmiał żałościwie, ale w tych warunkach Molly nie było stać na więcej. Niewiele brakowało, a wyszłaby w chłodną, jesienną noc boso. W dodatku na randkę! Ashley i Mike nie mieli już cienia wątpliwości, że siostra nie zachowuje się normalnie. Na szczęście, nie wiedzieli dlaczego i już jej w tym głowa, żeby nie odkryli prawdy. Musi wziąć się w garść i modlić, by uznali, iż jej zmieszanie wzięło się stąd, że dzisiejszy towarzysz diametralnie się różnił od jej dotychczasowych wielbicieli i że zapomniała o randce.

Widok własnych bosych stóp uświadomił Molly, jak bardzo cała reszta stroju nie nadaje się na randkę. Miała na sobie sfatygowane džinsy, sprane niemal do białości i równie spłowiała szaroniebieską flanelową koszulę Mike'a. Nie była umalowana, a włosy ściągnęła w koński ogon zwykłą gumką recepturką.

Księżyc myśliwego 47

W życiu nie wybrałaby się na randkę w takim stroju! Ani z takim mężczyzną: starszym od niej, eleganckim nieznajomym w garniturze.

Ashley doskonale zdawała sobie z tego sprawę. A Mike za-; pewne też.

-Muszę się przebrać - powiedziała, parszkając wymuszonym śmiechem i zerkając na swojego „chłopaka”.

Pokręcił głową. Na jego ustach znowu pojawił się ów uśmiech, ograniczający się do grymasu ust - zapewne na użytek dzieci, jak uznała Molly.

- Świetnie wyglądasz, zresztą miałaś mi tylko pokazać co ciekawsze miejsca w okolicy. Pewnie

nawet nie będziemy wysiadać. Bierz buty i jedziemy.

Ton jego głosu wydawał się lekki i niewymuszony, lecz spojrzenie, które towarzyszyło tej uwadze, podziało na Molly jak smagnięcie biczem. Rozejrzała się po podłodze. Skórzane adidasy - stare i tak popękane, że Mike odmówił noszenia ich do szkoły, dlatego przeszły na nią - leżały przy kuchennej szafce.

Molly włożyła je, zawiązała sznurowadła i wyprostowała się, nabierając tchu.

- Na pewno mogę pójść w takim stroju? - zwróciła się do swego „chłopaka” z, jak miała nadzieję, promiennym uśmiechem.

Ten uśmiech i pytanie były wyłącznie na benefis rodzeństwa. Ashley ze zmarszczonymi brwiami wodziła wzrokiem od siostry do nieznanego mężczyzny. Wyraz twarzy Mike'a najlepiej oddawał przymiotnik „nastroszony”.

- Mówiłem, że świetnie wyglądasz. Chodźmy.

Mężczyzna otworzył drzwi, Molly podeszła do niego.

-Molly...

Mike położył jej rękę na ramieniu, gdy go mijała. Wyglądał na zaniepokojonego, w jego głosie też brzmiała troska.

- Odrób lekcje - przykazała mu surowo, uśmiechnęła się i lekko pacnęła go po nosie.

Nie wyglądał na szczególnie uspokojonego, ale puścił jej ramię.

- Przecież powiedziałem, że wszystko zrobiłem w szkole.

Molly uśmiechnęła się, słysząc znajomy refren i wyszła z domu. Wieczór był chłodny i spokojny, tylko cichy szelest liści na potężnym dębie świadczył o lekkim wietrze. Tuż przy scho-

Księżyc myśliwego

dach przyłączył się do niej agent FBI. Wysiłkiem woli zmusiła się, żeby się nie szarpnąć, gdy mężczyzna wziął ją pod rękę.

Mike i Ashley stali w drzwiach, z tyłu wyglądali Susan i Sam.

Czując na sobie ciężar tych wszystkich spojrzeń, niczym pod eskortą zeszła po schodach i ruszyła w stronę białego samochodu, zaparkowanego tuż obok ich przedpotopowego niebieskiego plymoutha.

Mężczyzna wyprzedził ją i otworzył drzwiczki od strony pasażera. Molly spojrzała na twarz agenta, która w blasku światła padającego z domu wyglądała na spokojną i nieodgadnioną.

- Wsiadaj! - rozkazał.

Posłuchała, i zatrzasnął za nią drzwiczki.

Pomachała rodzinie i zrobiła głęboki oddech, aby się uspokoić. Jej towarzysz przeszedł wokół maski, jego buty zachrę-

ściły na zwirowym podjeździe.

Rozdział siódmy

Żeberko ujadł na ganku, gdy samochód wyjechał tyłem z podwórka, chrzęszcząc kołami na żwirze. Molly patrzyła na znajomy zarys rozpadającego się domu i ciemne sylwetki rodzeństwa, widoczne w drzwiach, dopóki nie znaleźli się na drodze. Szybka zmiana biegów i ruszyli naprzód. Dom i rodzeństwo zniknęli.

W końcu odważyła się spojrzeć na mężczyznę za kierownicą. Z profilu wyglądał całkiem niezłe. Wysokie czoło, prosty, nie za duży nos, zdecydowane usta, stanowcza szczęka. Świetne proporcje. Trzydziestolatka w perłach i futrze z norek zapewne uznałaby go za przystojnego, pomyślała dziewczyna.

Jednak w dwudziestoczerolatce w starych, zniszczonych džinsach i adidasach budził wyłącznie przerażenie.

Skoncentrował się na prowadzeniu samochodu po wąskiej i krętej drodze. Choć dopiero minęła siódma, panowały już ciemności. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i jedynym źródłem światła były reflektory samochodu. Silny blask przecinał mrok, oświetlając nierówny asfalt i stuletni kamienny mur biegnący wokół prawie pięciusethektarowej Farmy Wylanda. Rezydencja właścicieli mieściła się niecałe dwa kilometry dalej, ze wszystkich stron otoczona grubymi, mięsistymi trawnikami. Grecka fasada dwudziestodwupokojowej budowli mogłaby stanowić prototyp Tary. Oddzielny dziesięciopokojowy dom dla gości stanowił miniaturę siedziby rodu, nawet sześć stajni powieślało

spokojną elegancję głównego budynku. Lecz okres rozkwitu stadnina przeżywała pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych, kiedy dzięki pieniądzom arabskich po-4. Księżyc myśliwego

50 Księżyc myśliwego

tentatów naftowych cena dwuletnich koni sprzedawanych na dorocznej lipcowej aukcji w Keeneland dochodziła nawet do zawrotnych wyżyn ośmiocyfrowych liczb. Wkrótce potem Arabowie wraz ze swymi petrodolarami, przenieśli się na południe, a stadnina, podobnie jak i cały interes związany z hodowlą koni, zaczęła podupadać. Przed siedmiu laty, kiedy zamieszkali tu Ballardowie, Farma Wylanda zaczęła swój powolny upadek po równi pochyłej. Z czterdziestu aktywnych koni wyścigowych, czterdziestu siedmiu klaczy zarodowych, pięćdziesięciu ośmiu źrebiąt i czterech cennych ogierów, którymi mogła się poszczycić w po

łowie lat siedemdziesiątych, hodowla spadła do piętnastu koni wyścigowych, zaledwie dziewięciu klaczy zarodowych, jedenastu źrebiąt i jednego ogiera, w dodatku znacznie już posuniętego w latach. Prywatna klinika weterynaryjna dla tutejszych koni już dawno została zamknięta, podobnie jak stołówka dla pracowników. Z basenu dla wierzchowców, niegdyś wyposażonego w bicze wodne i urządzenia do masażu dla angloarabów z nadciągniętymi, bądź nadwerężonymi mięśniami, spuszczone wodę i zabrano sprzęt, na dnie leżały teraz suche liście i ptasie odchody. W pomieszczeniu dla ogierów, teraz zajmowanym tylko przez jednego lokatora, mieściło się obecnie również biuro stadniny. Pozostałym stajniom przydałby się remont i odświeżenie białą farbą. Także zwieńczające je kopuły - niegdyś w kolorze żywej zieleni, jednej z barw stadniny - nie oparły się działaniu czasu i z braku troski przybrały teraz odcień mchu. Domek Molly, jeden z wielu podobnych, rozrzuconych po całej farmie, niegdyś także mógł się chlubić białą ścian i żywą zielenią dachu.

Obecnie jednak farba się łuszczyła, a dach wydawał się bardziej szary niż zielony.

Choć los przestał się uśmiechać do właścicieli, sama Farma Wylanda zachowała część dawnej magii. To była kraina hodowców koni, słynny region Niebieskiej Trawy, skansen pańskich rezydencji oraz manier w samym środku rolniczego Południa. Zaludnienie nie było tu gęste. Ludzie mieszkający wśród owych połaci traw w większości urodzili się na tych terenach. Mieszkali tu, gdyż właśnie stąd się wywodzili ich pradziadowie i pradziadowie ich pradziadów. Część - właściciele wielkich posiadłości -

opływała w dostatek i tak było od pokoleń. W przeciwieństwie do większości mieszkańców, którzy zaspokajali potrzeby bogaczy, stanowiących uprzywilejowaną warstwę stanu, cieszyli się *Księżyc myśliwego* 51

niepisany, ale jak najbardziej respektowanym *droit du sein-geur*.

W żyłach „żytniej arystokracji”, jak nazywali ich niektórzy zuchwalcy, ze względu na słynną whisky, która oprócz koni stanowiła drugie źródło bogactwa tego regionu, faktycznie płynęła równie błękitna krew, jak w żyłach angielskiej szlachty. Co więcej, często odwiedzała ich sama królowa Elżbieta II, która ponoć doskonale się czuła wśród okolicznych potentatów. Gwiazdy kina, magnaci naftowi i świeżo upieczeni miliarderzy pieczętowali swój międzynarodowy sukces, sprowadzając się w te

okolice, by zyskać nieco patyny szlachectwa, które z czasem miało przemienić ich nowe złoto w stare. Gościnność i leniwy, miękki akcent, z jakim witano przybyszów, okazywały się jednak mylące. Tutaj ludzi oceniało się tak samo jak konie: na podstawie drzewa genealogicznego. Pod aksamitem i słodyczą kryła się żelazna bezwzględność i tutejsza arystokratyczna śmietanka potrafiła być bezlitosna, odwracając się plecami do nuworyszy, którzy jej zdaniem nie zasługiwali na względy.

Molly nie miała tego szczęścia, by przyjść na świat w którymś z zasiedziałych rodów. Jej rodzina była tylko niepozornym trybikiem w olbrzymiej ludzkiej maszynie, służącej bogatym.

Z tego, co wiedziała, tacy jak ona nigdy niczego nie osiągnęli i nigdy nie wyszli poza ogólniak. Z wyjątkiem wąskiego kręgu przyjaciół i bliskich, byli ludźmi bez twarzy i bez nazwiska. Żyli i umierali w zapomnieniu, w świecie, gdzie liczyło się wyłącznie to, jaką krew miało się w żyłach.

W rezultacie przez całe życie musiała walczyć ze świadomo

ścią, że jest gorsza od innych i całkowicie nieważna. I teraz, jadąc z mężczyzną, który miał ją w swej mocy, na nowo musiała się z tym zmagać.

- Czy większość randek załatwiasz sobie szantażem? - Molly nie wytrzymała milczenia, zmuszając się, by głowę trzymać wysoko, głosowi zaś nadać ostre brzmienie. Aby odgonić chłód, który przeszywał ją do szpiku kości, mocno objęła się ramionami.

- Nie, ale też na ogół nie umawiam się ze złodziejkami - odparł zimno mężczyzna, zerkając na nią przelotnie.

Złodziejka - to ją zabolalo. Zmieniła napastliwy ton na nieukrywaną wrogość.

- Czego ode mnie chcesz?

52 Księżyc myśliwego

- Porozmawiamy przy kolacji.

- Jadłam już.

- Ale ja nie.

Na to nie znalazła odpowiedzi. Przesłanie było jasne: ma robić, co on każe. W obecnej sytuacji właściwie jej to nie dziwiło.

Molly, która do tej pory siedziała wyprostowana jak struna, przygarbiła się nieco, przyznając się w duchu przed sobą do porażki.

- Jeśli chodzi o te dwadzieścia dolarów...

- Dwadzieścia dolarów?

Znowu rzucił na nią spojrzenie z ukosa.

- Wydałam je na pączki i mleko dla dzieci. Oddam wam.

Na chwilę zapadła cisza. Jeszcze raz na nią spojrzął.

- Wzięłaś dwudziestkę z tych pięciu tysięcy dolarów, żeby kupić rodzeństwu pączki i mleko?

- Nie zauważyliście tego? - spytała ze smutkiem. Ton mężczyzny wyraźnie na to wskazywał.

- N i e .

- To czego ode mnie chcesz?

- Wszystko we właściwym czasie.

Zatrzymali się przed znakiem stopu, a potem skręcili na drogę do Frankfort Pike. Molly domyśliła się, że jadą do Lexington. Nastawione na rolnictwo hrabstwo Woodford, na którego terenie leżała Farma Wylanda, nie mogło się poszczycić wieloma restauracjami. Było stąd jednak niedaleko do Lexington, niewielkiego, acz ruchliwego miasta, uważanego za serce regionu Niebieskiej Trawy.

- Z czego się będziesz utrzymywać, skoro straciłaś pracę? -

spytał agent, przerywając milczenie.

- Nie twój interes.

- Przeciwnie - odparł. - Mój.

Przesłanie było oczywiste: miał prawo pytać o wszystko, a je

śli zostało jej choć trochę oleju w głowie, będzie odpowiadać.

- Don Simpson zalega mi z dwutygodniową wypłatą. Pewnie się za czymś rozejrzę.

Za nic w świecie nie przyznałaby się temu mężczyźnie, że czuje się przyparta do muru. Rzuciła pracę w jednej stadninie, nikła więc szansa, że przyjmą ją gdzie indziej. Tutejsi hodowcy trzymali się razem.

- Odłączyli wam telefon - stwierdził jej towarzysz.

Księżyc myśliwego

Molly znieruchomiała. Stało się to dziś rano, niecały tydzień po ostrzeżeniu. Southern Bell, które znało już nieśmierdzącą groszem rodzinę Ballardów, przestało się z nimi cackać.

- Skąd wiesz?

- Próbowałem zadzwonić przed przyjściem. Pomyślałem, że wolałabyś zostać uprzedzona.

- Owszem. Wolałabym.

Nagła i ostra antypatia nadała głosowi Molly ostre brzmienie. Dziewczyna z radością powitała to uczucie, które zagłuszyło wstyd, tak bolesny, że miała ochotę wejść pod fotel.

Odłączenie telefonu - podobnie jak elektryczności czy gazu -

to dla niej nie pierwszozna, ale nadal nie życzyła sobie, by ktokolwiek o tym wiedział. Zwłaszcza ten facet.

- Zapomniałaś uregulować rachunek?

- Nie miałam pieniędzy. Jasne?

Głupia duma nie pozwoliła jej skłamać. Zresztą, co miała powiedzieć, by nie uznał tego za kłamstwo? Wyjechali całą rodziną na wakacje i przed wyjazdem zapomnieli przesłać czek?

Próbowała tego raz w szóstej klasie i cała szkoła ją wyśmiała.

- Pewnie część tych pięciu tysięcy dolarów miała ci umożliwić ponowne włączenie telefonu?

- Owszem.

Przez chwilę agent milczał.

- Ile zarabiałaś w Farmie Wylanda?

„Nie twój zakichany interes”, cisnęło jej się na usta, ale postanowiła powściągnąć swój język. I tak wycisnąłby z niej tę informację. Niechętnie, ale się przyznała. Uniósł brwi.

- Niewiele - stwierdził.

- Wystarczy, żeby przeżyć.

- To twoje jedyne źródło dochodu? Nie masz innych?

- Na przykład procentów z miliona dolarów złożonych w banku? Nie, starzy jakoś o tym nie pomyśleli.

- A zapomoga na rodzeństwo? - spytał, nie zwracając uwagi na jej sarkazm.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie i koniec.

- Sądziłem, że należy się wam jakaś...

- Nie należy się - ucięła.

- I oprócz ciebie nikt nie pracuje?

54 Księżyc myśliwego

- Sam i Susan dopiero skończyli jedenaście lat, więc nie pracują. Mike ma czternaście, czasem pomaga sąsiadom na polu, ale nie znajduje się tu wiele roboty dla chłopaka w jego wieku. A Ashley się uczy.

- Nie mogłaby dorabiać popołudniami? To już spora panna.

- Ma siedemnaście lat, jest w ostatniej klasie ogólniaka.

Idzie na samych piątkach. Musi utrzymać takie wyniki do końca, aby dostać stypendium. To da jej jedyną szansę na wyrwanie się stąd, a nie jakaś beznadziejna robota za minimalną stawkę przy smażeniu hamburgerów czy przeliczaniu towaru. Dlatego Ashley nie pracuje. Wie, że obdarłabym ją ze skóry, gdyby spróbowała.

Ku jej uldze, agent nie drażył już tego tematu. W miarę jak milczenie się przedłużało, Molly czuła się coraz bardziej rozluźniona. *Wiatr* uspokajająco świstał za oknami, a wierzchołki drzew kołysały się na tle ciemnego nieba. Na horyzoncie błysnęła pierwsza gwiazda, potem kolejna i następne, gdy chmura, która je przesłaniała, przesunęła się na zachód, nie uroniwszy ani jednej kropli deszczu. Ford nieoczekiwanie podskoczył, gdy przednie prawe koło wjechało w dziurę, pamiątkę po ubiegłej ostrej zimie. Z przeciwka nadszedł jakiś samochód, na chwilę oświetlając wnętrze taurusa. Molly zerknęła na swego towarzysza, który wyglądał na pogrążonego w zadumie.

Wjechali na wzniesienie i nagle przed nimi ukazało się niewielkie, malownicze Lexington niczym wioska oświetlona lampkami choinkowymi. Ta siedziba uniwersytetu stanowego Kentucky w ciągu roku akademickiego jeszcze o wpół do ósmej tętniła życiem, nawet w środę wieczorem. Ruch w kierunku centrum był

wyjątkowo duży i wkrótce taurus zwolnił, utknąwszy w korku.

Skręcili w prawo w Limestone, a gdy mijali centrum kultury, Molly zrozumiała, skąd tak niezwykły ruch. Plakat zapraszał na dziś, o ósmej wieczorem na występ Indigo Girls.

Oczywiście. Czytała o tym parę tygodni wcześniej, ale zapomniała, że to właśnie dziś. Zresztą, nie miała po co pamiętać. Choć ona i Ashley przepadały za tym zespołem, nie było ich stać na bilety. Molly nawet nie czuła żalu. Takie luksusy to nie dla niej i nawet o nich nie marzyła.

- Lubisz Indigo Girls? - spytał mężczyzna.

Pomyślała, że pewnie zbyt wyraźnie wpatrywała się w tłum gromadzący się pod salą i natychmiast wzięła się w garść.

Xsieżyc myśliwego 55

- Ujdą w tłoku. - Obojętnie wzruszyła ramionami.

- A ja je lubię - odparł, zaskakując ją, Lyman.

Nic nie powiedziała.

Po paru minutach zatrzymali się na parkingu popularnej restauracji Joego Balogny. Spodziewała się, że wpadną do Mc-Donalds'a czy Kentucky Fried Chicken, a nie do takiego lokalu, jednego z najwykwintniejszych w okolicy. Kiedy agent ustawiał

samochód na parkingu, Molly popatrzyła po sobie z przerażeniem.

- Chyba nie przypuszczasz, że wejdę tam w takim stroju? -

spytała.

- A czemu nie?

Wyłączył silnik, wyjął kluczyki ze stacyjki i wrzucił je do kieszeni.

- Bo to elegancki lokal, a ja nie jestem odpowiednio ubrana - syknęła Molly.

Niepotrzebnie strzepiła sobie język, jej towarzysz wysiadł

z samochodu, jeszcze zanim skończyła mówić.

Kiedy otworzyły się drzwi od strony pasażera, Molly, z rękami na piersi, uparcie tkwiła w fotelu. Agent popatrzył na nią bez słowa.

- Nie wejdę tam w takim stroju - odezwała się, wyprowadzona z równowagi jego milczeniem. Spojrzała na mężczyznę.

- Kiedy wychodziliśmy z domu, mówiłeś, że nie będziemy wysiadać z samochodu.

- Słuchaj - powiedział. - Nie jadłem obiadu i konam z głodu. Wybrałem ten lokal, bo to jedyne miejsce na tym zadupiu, gdzie podają coś zbliżonego do włoskiej kuchni. A ja mam ochotę na

włoskie jedzenie. Wejdiesz więc ze mną, bo chcę z tobą porozmawiać. Nie obchodzi mnie, jak wyglądasz. Zresztą, to blisko uczelni i połowa gości będzie w dzinsach, nie masz się czym przejmować.

- Nie chodzi tylko o dzinsy. Nie jestem uczesana ani umalowana, to koszula Mike'a i... Nie zgadzam się.

- Wsiadaj, Molly.

Przesłanie nie ulegało wątpliwości: ma go słuchać i koniec.

Zacisnąwszy usta, Molly zawahała się... i wysiadła z samochodu.

Minęła mężczyznę, nie zaszczycając go jednym spojrzeniem i bardziej słyszała, niż widziała, że zamyka za nią drzwi. Idąc, ściągnęła z włosów gumkę, krzywiąc się, jakby ukąsiła ją zabłą-

56 Księżyc myśliwego

kana osa, gdy poczuła szarpnięcie. Szybko przeciągnęła palcami przez gęste, ciemne pasma, licząc, że naturalne loki same jakoś się ułożą. Bez lusterka nie mogła tego stwierdzić z całą pewnością, ale skoro nie wzięła szczotki ani grzebienia, tylko to jej pozostało.

- Rozumiem, że już tu byłaś?

Razem z nią podszedł do wejścia.

-Tak.

Dokładnie jeden raz, na randce. Ubrała się wtedy w najlepszą sukienkę Ashley, włożyła jedyną parę przyzwoitych pantofli na obcasie, była starannie uczesana i umalowana. Nie to, co dzisiaj. Stanąwszy przed błyszczącymi dębowymi drzwiami i witrażowymi lampami, głęboko zaczerpnęła powietrza, wyprostowała się i sięgnęła do mosiężnej, zdobionej klamki. Skoro już musi wejść do takiego lokalu w takim stanie, przynajmniej nie okaże tego, że najchętniej by się zapadła pod ziemię.

Mężczyzna ją ubiegł. Otworzył drzwi i puścił Molly przodem.

- Cóż za dżentelmen! - zaćwierkała przez ramię, posyłając mu fałszywie promienny uśmiech.

- Staram się - odparł spokojnie, idąc za nią.

Z wysoko uniesioną głową wkroczyła do słabo oświetlonego westybulu i pokonała parę stopni do miejsca, gdzie za dębowym kontuarem stała szykownie ubrana hostessa, mniej więcej w jej wieku. Kobieta podniosła wzrok. Na jej ustach zago-

ścił pełen wyższości uśmieszek, gdy jednym spojrzeniem oszacowała przybyłą. Mimo najlepszych chęci, Molly poczuła, że kark płonie jej z upokorzenia.

- Czym mogę służyć? - spytała hostessa.

- Stolik dla dwóch osób - odezwał się zza pleców Molly jej towarzysz.

- Mają państwo rezerwację?

Rzuciła okiem na niego i natychmiast przybrała znacznie uprzejmniejszy ton.

- Nie dziś. - Agent uśmiechnął się do hostessy.

- Mają państwo szczęście, że dziś jest koncert, inaczej nie mielibyśmy wolnych stolików. Ale wyjątkowo... - Zerknęła na grafik i wzięła dwie karty z menu. - Chyba państwa zmieścimy. Proszę za mną.

Z uśmiechem przeznaczonym dla mężczyzny i szybkim, zaciekawionym spojrzeniem na Molly, kobieta poprowadziła ich *Księżyc myśliwego* 57

w głąb restauracji do oświetlonego ciepłym blaskiem świec stolika z dwiema ławami obitymi skórą w kolorze burgunda, Witra

żowa ścianka oddzielała ten kącik od reszty sali. Wsunąwszy się na wskazane miejsce, Molly poczuła się zupełnie jak w kościele.

- Podać państwu coś do picia? Dziś polecamy koktajl z whisky z sokiem cytrynowym.

Podawała obojgu menu.

- Nie - odrzekł agent, nim Molly zdążyła odpowiedzieć.

Najwyraźniej zdecydował za nich dwoje. Molly co prawda i tak rzadko piła, a już w tym momencie zupełnie nie miała ochoty na żaden alkohol, ale ten przejaw władzy ją dotknął.

- Ja chętnie spróbuję - oznajmiła.

Zerknęła na towarzysza z wyzwaniem. Spodziewała się, że odwoła jej zamówienie, ale nie zrobił tego, tylko otworzył kartę.

- Gene zaraz przyniesie pani drinka - powiedziała ich przewodniczka.

Ostatni raz uśmiechnęła się do mężczyzny i zostawiła ich samych. Molly popatrzyła, jak hostessa, kołysząc biodrami pod krótką, opiętą spódniczką, wraca na swoje miejsce i prawie pożałowała, że tamta odeszła. Bała się zostać sam na sam ze swym towarzyszem.

- Lubisz włoską kuchnię?

Lyman podniósł wzrok znad menu i wbił w nią swe przenikliwe niebieskie oczy.

- Nie jadam włoskiego jedzenia.

W jej głosie niemal zadźwięczał lód, gdy sięgnęła po kartę.

Ten człowiek może narzucić jej swą obecność, ale to wszystko.

Będzie jadła, piła i mówiła, co zechce. Rozejrzawszy się po go

ściach restauracji, Molly upewniła się, że choć niektórzy byli w dżinsach, to wszyscy wyglądali zamożnie. W porównaniu z nimi sprawiała wrażenie żebraczki. Z upokorzenia aż podkuliła palce w starych adidasach Mike'a, ale zmusiła się, by jeszcze bardziej się wyprostować.

- Twierdzisz, że już tu byłeś. To co wtedy jadłeś, skoro nie uznajesz włoskiej kuchni?

- Stek.

- Widzę, że nie lubisz niespodzianek.

- Nie.

- A jadłeś kiedyś pizzę?

- Och, pizza! - rzuciła lekceważąco.

58 K siężyc myśliwego

- Smakowała ci?

- Oczywiście. Wszyscy lubią pizzę.

- Więc lubisz włoską kuchnię. Spróbuj lazanii. Nie znam nikogo, komu by nie przypadła do gustu.

- Mówiłam, że już jadłam.

Wzruszył ramionami, ponownie skupiając całą uwagę na karcie.

- Jak sobie chcesz.

- Nazywam się Gene, będę państwa obsługiwał.

Na stole pojawiły się dwie szklanki wody i koktajl Molly.

Gene, prawdopodobnie student college'u, uśmiechał się do nich promiennie znad trzymanej w ręku tacy.

- Czy chcą się państwo jeszcze zastanowić?

- Jesteśmy gotowi - odrzekł Lyman.

Gene wyczekująco popatrzył na Molly.

- Ja dziękuję - powiedziała z ukłuciem żalu, że z tego spotkania nie będzie miała chociaż kolacji.

Rzadko bywała w restauracjach, a stek, który tu kiedyś zjadła na koszt Jimmy'ego Millera, rozpływał się w ustach. Skoro jednak oświadczyła, że nie jest głodna, nie da temu typowi satysfakcji i nie rozmyśli się w ostatniej chwili.

Agent FBI zamówił lazanie jako danie główne, prócz tego zupę i sałatki, a do picia mleko.

Po odejściu kelnera oparł się wygodniej, lekko bębniąc palcami po stole, i mierzył Molly uważnym wzrokiem. Na widok jego miny znowu ogarnął ją niepokój.

- A teraz - odezwał się cicho - przejdźmy do rzeczy.

Rozdział ósmy

Mam przed wyścigiem i po gonitwie sprawdzać tatuaże wszystkim koniom, które biegają w Keeneland? - spytała z niedowierzaniem Molly.

- Tylko tym, których wcześniej nie widziałaś. Tylko nieoczekiwanym zwycięzcom, nie dorównującym przed gonitwą faworytom. Dam ci znać, które konkretnie mnie interesują.

Agent nie odrywał od niej wzroku. Rozmowę przerwał im kelner, zjawiając się z talerzem parującej zupy minestrone, serwowanej z koszykiem chleba czosnkowego. Zapytawszy, czy życzą sobie jeszcze czegoś i uzyskawszy odpowiedź przeczącą, znowu zostawił ich w spokoju.

- Nie zrobię tego!

Molly patrzyła, jak jej rozmówca zaczął jeść zupę. Podczas kolacji w domu wzięła sobie najmniejszą porcję mięsa, żeby dla wszystkich starczyło wystarczyło, a i tak zjadła tylko połowę hamburgera. Wydawało jej się, że już nie jest głodna, ale na widok pochłaniającego ze smakiem jedzenie mężczyzny poczuła ukłucie w okolicach żołądka. Pociągnęła łyk koktajlu, by oszukać głód.

- A czemuż to?

Wziął kromkę chleba. Molly potrząsnęła przecząco głową, gdy podsunął jej koszyk z pieczywem. Głód głodem, ale duma nie pozwalała jej przyjąć tego, co niedawno odrzuciła.

- Po pierwsze, nie pracuję już u Wylandów. Zapomniałeś, że odeszłam? Nie mam dostępu do stajni.

- To odzyskaj tę robotę.

60 K siężyc myśliwego

Ugryzł olbrzymi kęs chleba i popił go zupą.

Molly pokręciła głową i znowu łyknęła koktajlu. Całkiem jej smakował.

- To nie takie proste, Don Simpson nie daje drugiej szansy.

A mnie trochę poniosło i chyba mu poradziłam, żeby się odpieprzył.

- W takim razie go przeproś. Obiecaj, że to się nie powtórzy. Powiedz, że potrzebujesz pieniędzy.

- A jeśli każe mi spadać?

Powiódł wzrokiem po jej kształtach.

- Jesteś ładna. Wykorzystaj to.

Zamarła w bezruchu.

- Co przez to rozumiesz?

- Zatrzepocz rzęsami, zakołysz biustem albo wybuchnij płaczem. Sięgnij po którąś z kobiecych sztuczek, do jakich się uciekacie, by oczarować mężczyzn. Masz odzyskać pracę.

Zjawił się kelner, zabrał pusty talerz po zupie i postawił sa

łatkę. Molly popatrzyła na zieleninę, grzanki, kawałki bekonu i sera oraz połyskliwą koronę sosu winegret i ponownie z zazdrością pociągnęła łyk swego trunku.

- Założmy - odezwała się, obserwując, jak agent z apetytem je pomidora - przez chwilę, że uda mi się odzyskać pracę. Będę się wtedy zajmowała wyznaczonymi zwierzętami, nie mogę biegać na tor wyścigowy i zagładać niezliczonym koniom w pyski. Po pierwsze, nie dadzą mi na to czasu. A po drugie, to by podejrzenie wyglądało.

- To nie będą niezliczone konie. Cztery do sześciu tygodniowo. Poradzisz sobie.

- A jeśli mnie ktoś przyłapie? Czy to niebezpieczne?

Popatrzył spokojnie znad widelca, pełnego sałatki.

- Nie będę cię oszukiwał. Całkiem możliwe że tak.

- Cudownie!

Znowu łyknęła trochę koktajlu. Okazało się, że wypłała go już do dna. Z żalem wysączyła ostatnie krople.

- W takim razie, panie agencie, niech pan się w to bawi sam.

- Ja nie mogę. Ale ty tak.

- A jeśli odmówię?

- Może dopisze ci szczęście i odsiedzisz karę tutaj, w Lexington. To całkiem przyjemne więzienie, podobno Leona Helmsley była nim zachwycona. - Agent nabrał na widelec ostatni kawa-Ksigzyc myśliwego 61

lek sałaty i podniósł go do ust. - Rodzeństwo mogłoby cię odwiedzać.

- To szantaż.

- Sama się w to wpakowałaś, kradnąc pięć tysięcy dolarów.

Masz szczęście, że w ogóle chcę iść z tobą na układ.

Skończył sałatkę.

- Podać pani następnego drinka?

Pojawił się Gene, zastępując pusty talerzyk po sałatce parującym, oblanym serem daniem o zapachu bardzo przypominającym pizzę. Głód zaatakował Molly ze zdwojoną siłą.

- Tak - odpowiedziała w tej samej chwili, gdy jej towarzysz odparł „nie”.

Przez moment mierzyli się wzrokiem, w końcu mężczyzna lekko wzruszył ramionami, nie wszczynając sporu. Kelner się oddalił, zapewne po koktajl Molly.

- Spójrz na to inaczej: na parę tygodni zostaniesz pracownicą rządową. Dobrze płacimy. - Lyman przeniósł wzrok na lazanię.

- Zapłacilibyście? Mnie? - Molly nadstawiła uszu. Kelner, postawił przed nią drugi koktajl i zniknął.

- Powiedziałaś, że mi zapłacicie? - drążyła temat, gdy już zostali sami.

- Pięć tysięcy dolarów by cię satysfakcjonowało?

- Żartujesz, prawda?

Pokręcił głową.

- Bynajmniej.

- Zaraz, czy dobrze zrozumiałam: zapłacicie mi pięć tysięcy dolarów za sprawdzanie tatuaży w pyskach koni?

- Prawda, że to lepsze od odsiadywania wyroku?

- Kiedy dostanę pieniądze?

Z ust agenta wyrwało się prychnięcie dziwnie podobne do śmiechu. W jego oczach błyszczało

szczerze rozbawienie, gdy patrzył na nią znad lazanii.

- Kiedy wykonasz pracę.

- I nigdy już więcej nie zobaczę cię na oczy ani nie będę słyszeć o forsie, którą... zabrałam?

- Pomóż mi w tej sprawie, a rzecz pójdzie w niepamięć.

Spalę kasetę albo ci ją oddam, będziesz mogła zniszczyć ją własnoręcznie.

Molly zastanawiała się, w zadumie sącząc swojego drinka, Lyman natomiast zajął się jedzeniem.

62 K sigzyc myśliwego

- I nikt się nie dowie, że byłam w to zamieszana?

- Nikt z wyjątkiem ciebie. I mnie.

- Ja tu mieszkam. Jeśli ktokolwiek się dowie, mogę się do końca życia pożegnać z pracą w tej branży. Pewnie musielibyśmy się wyprowadzić z Kentucky.

- Gdyby do tego doszło, a nie stanie się tak, jeśli zachowasz ostrożność, firma się tobą zajmie. Nie zostawimy cię na pastwę losu, daję ci słowo.

Molly zmierzyła go wzrokiem.

- Nie chcę ranić twoich uczuć, wielki panie agencie, ale twoje słowo nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Nawet cię nie znam.

- Więc będziesz musiała mi zaufać.

- Genialnie! - Molly się skrzywiła.

- Jak sobie chcesz.

- Właściwie nie mam wyboru. Jeśli posłucham, dostanę forszę i zostawisz mnie w spokoju. Jeśli nie, mogę trafić za kratki.

- Z grubsza do tego rzecz się sprowadza.

Dokończył lazanie, wytarł usta serwetką i odłożył ją na stół.

Kelner wyrósł jak spod ziemi. Molly, która w trakcie całej rozmowy sączyla koktajl, ze zdziwieniem stwierdziła, że szklanka jest już pusta. Odstawiła ją.

- Deser? - spytał z uśmiechem kelner, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. - A może coś do picia na zakończenie posiłku?

Agent odmówił, nie chciał też kawy. Molly, która uznała, że nie musi się sprzeciwiać dla samej przyjemności zrobienia mu na złość, także podziękowała. Siedzieli w milczeniu, podczas gdy kelner zbierał nakrycia i zostawił rachunek.

- Kiedy znowu tu przyjdziemy, koniecznie musisz spróbować ich lazanii - odezwał się Lyman, wyjmując z kieszeni parę banknotów i kładąc je na małej, plastikowej tacce. - Pójdiesz na całość.

- Jak to: kiedy znowu tu przyjdziemy? - spytała Molly, wstając z miejsca.

Gestem ręki wskazał, że ma iść pierwsza, po czym ruszył za nią do wyjścia. Czowała się jak w klatce, jakby nie tylko w przenośni, ale i dosłownie stała się jego więźniem.

- Dobranoc, zapraszamy powtórnie! - zawołała hostessa, gdy ją mijali.

Księżyc myśliwego

Molly uśmiechnęła się automatycznie, jej towarzysz uniósł

rękę w geście pożegnania.

Kiedy już znaleźli się na parkingu, powtórzyła pytanie.

- Tak to. Mieszkam tutaj od ośmiu dni i jadam prawie codziennie, więc zapewne wrócę do tej restauracji. Lexington nie oferuje szerokiego wyboru włoskich lokali, a ja przepadam za włoską kuchnią.

Otworzył drzwiczki i Molly automatycznie wsunęła się do środka. Mężczyzna zatrzaskał drzwiczki, przeszedł i wsiadł od strony kierowcy.

- Ale co masz na myśli, mówiąc: „przyjdziemy”? - dopytywała się, gdy uruchomił silnik.

- Dopóki ta sprawa się nie skończy, musimy się często widywać, co najprawdopodobniej będzie się wiązać z chodzeniem do restauracji. - Samochód wyjechał na ulicę. - Potajemne spotkanie się z agentem jest błędem, o czym przekonałem się na własnej skórze. Zawsze ktoś coś wypatrzy i wszystko diabli biorą. Lepiej widywać się w miejscach publicznych. Stara jak świat strategia: najciemniej jest pod latarnią.

- Jasne. Stara jak świat strategia. Musiałam przegapić te odcinki serialu szpiegowskiego.

Molly głębiej się wcisnęła w fotel. Lyman rzucił jej szybkie spojrzenie i mówił dalej:

- Byłoby mi łatwiej, gdybym mógł swobodnie wpadać do stajni w Keeneland i żeby nikt się nie zastanawiał, kim jestem i co tam robię. Ty staniesz się powodem moich wizyt. Na czas tego dochodzenia jestem twoim chłopakiem.

Molly zaniemówiła. Wpatrywała się weń bez słowa, ogarniając spojrzeniem króciutkie, jasne włosy, stanowczą twarz i muskularną sylwetkę w konserwatywnym garniturze.

- Nikt tego nie kupi - oświadczyła z przekonaniem.

Znowu na nią zerknął, w ciemnościach widziała błysk jego oczu.

- Więc musimy się postarać, żeby uwierzyli - oznajmił.

Rozdział dziewiąty

J e s t e ś dla mnie za stary - zwróciła mu uwagę. - I do tego... -

Zawiesiła głos, nie dlatego że uprzejmość zabraniała jej dokończyć, ale dlatego że szukała właściwego słowa.

- I do tego jaki? - zainteresował się agent.
- Straszny sztywniak - powiedziała z braku lepszego określenia.

- Może ludzie uznają, że znalazłaś sobie sponsora.
- Okropne! - Molly aż się wyprostowała z oburzenia.

- Mam pewne pole manewru, jeśli chodzi o wydatki, mogę ci kupić trochę ubrań, dać pieniądze, załatwić samochód w leasingu...

- Wykluczone!

- W takim razie musisz grać na tyle przekonująco, by ludzie uznali, że umawiasz się ze mną z miłości, nie dla forsy.

Coś w głosie Lymana mówiło, że mężczyzna się z nią przekomarza. Jeśli facet tak pozbawiony poczucia humoru jak on w ogóle potrafił się przekomarzać. Po namyśle Molly uznała, że to wątpliwe.

- Poza tym jeszcze się nie zgodziłam - uświadomiła mu i zapadła w zadumę.

W głowie jej huczało, dręczyła ją niepokojąca świadomość, że nie może myśleć zbyt klarownie. Kiedy się zastanawiała nad tą propozycją, słyszany jak przez mgłę wewnętrzny głos ostrzegał, że zgadzając się, popełni błąd. Ten mężczyzna za parę tygodni zniknie, a ona tu zostanie i nadal będzie pracować w Farmie Wylanda, wśród ludzi, których zdradziła, a którzy sprowokowani, *Księżyc myśliwego* 65

mogą okazać się niebezpieczni. Każdy, kto pracował w tej branży, słyszał różne pogłoski: o koniach faszeryowanych lekami przez właścicieli stadniny - albo ich rywali - aby poprawić, bądź pogorszyć ich wyniki; o wierzchowcach zabijanych dla pieniędzy z ubezpieczenia; o doszczętnie spalonych stajniach, które spłonawszy ratowały właściciela przed bankructwem; o skorumpowanych urzędnikach i łapówkach za przemykanie oka na pewne sprawy. Świadców rozmyślnego okaleczenia zwierząt, którzy zgadzali się o tym mówić, spotykał zwykle ponury koniec. Pod pozornym blichтром świata koniarzy krył się mniej piękny obraz i Molly nie miała ochoty przekonać się o tym na własnej skórze.

- Ale się zgodzisz - oświadczył ze spokojem agent.

- Taki jesteś pewny siebie?

Samochód wracał do hrabstwa Woodford, a z każdym kolejnym wzniesieniem i dolinką Molly czuła się coraz gorzej.

- Jak sama przyznałaś, właściwie nie masz wyboru.

- Możliwe że blefujesz z tym aresztowaniem.

- Chcesz sprawdzić?

Zerknęła na swego towarzysza. Bił zeń chłód i opanowanie

- i wielkoduszność godna kata. Nie chciała „sprawdzać”.

- Niech będzie, zrobię to.

Poddała się bez dalszej walki. W głowie brzęczały jej setki pszczoł, w brzuchu kipiało. Przyszło jej na myśl, że wlanie w siebie dwóch porcji koktajlu z whisky na pusty żołądek mogło być błędem. Nie przywykła do takich ilości alkoholu.

- Grzeczna dziewczynka.

Agent uśmiechnął się do niej. Molly uświadomiła sobie, że po raz pierwszy widzi jego uśmiech - prawdziwy uśmiech, nie ów pozbawiony serdeczności grymas, którym wcześniej ją uraczył. Mężczyzna odmłodził nagle.

Położyła głowę na oparciu, gdy samochód mknął przez noc.

Wszedł księżyc, blady rogalik płynący nad pagórkowatą okolicą. Na łąkach po obu stronach drogi spokojnie stały konie i bydło.

- Gdyby ktoś pytał, jestem biznesmenem z Chicago, który spędza tutaj urlop - odezwał się Lyman. - Poznaliśmy się w Keeneland, kiedy przyszedłem oglądać poranny trening koni. Właśnie tam byłeś, wpadliśmy sobie w oko, więc się umówiliśmy.

Przez następne parę tygodni będziemy się często widywać, później, niestety, wrócę do Chicago. Koniec romansu. Pasuje?

- W porządku - odrzekła Molly, przymykając powieki.

5. Księżyc myśliwego

66 Księżyc myśliwego

- Powtórz, co ci powiedziałem.

- Spokojna głowa, zapamiętam. Mógłbyś zwolnić?

- Najważniejsze, by nasze wersje się zgadzały.

Samochód wjeżdżał pod górkę, a wraz z nim zawartość żo

łądka Molly podjechała jej do gardła. Dziewczyna zacisnęła zęby, wbiła paznokcie w miękką,

welurową tapicerkę i usiłowała zmusić mdłości, by się cofnęły. Mężczyzna nadal coś mówił, lecz nie dotarło do niej ani jedno słowo.

- Panie agent, lepiej zjedź na pobocze - odezwała się, otwierając oczy.

- Co? - Lyman spojrzał na nią zdziwiony.

- Zjedź - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby, gdyż sprawa stawała się pilna i nie było czasu do stracenia.

Posłuchał. Jeszcze dobrze się nie zatrzymał, gdy Molly niemal wytoczyła się z samochodu. Upadła na kolana na ciemną kępę chwastów, rosnących na poboczu i, ku swemu upokorzeniu, zwymiotowała.

Kiedy wreszcie zebrała dość sił, by wstać, wróciła do samochodu, stojącego jakieś cztery metry dalej. Bez zdziwienia skonstatowała, że agent też wysiadł i przygląda się jej, oparty o bagażnik. Oczywiście nie miał dość taktu, by pozwolić jej pochorować się w samotności.

- Wody? - spytał, gdy podeszła, i podał jej coś. - Zawsze mam trochę w samochodzie. Lepsze to niż gazowane napoje.

- Dzięki.

Z wdzięcznością przyjęła owo coś, co okazało się zieloną, plastikową butelką wody Evian. Cofnąwszy się parę kroków, odwróciła się plecami i wypłukała z ust ohydny niesmak. Woda była ciepła, ale pomogła. Ochlapała nią twarz, obmyła dłonie.

- Chcesz ręcznik?

Stał za nią. Molly skinęła głową i wzięła od niego jakiś miękki materiał. Dopiero gdy wytarła ręce i twarz, zauważy

ła, że to po prostu męski, bawełniany podkoszulek. Zapewne własność agenta.

- Zawsze jesteś taki przygotowany? - spytała, odgarniając włosy z twarzy. Wyprostowała ramiona i odwróciła się do swego towarzysza.

Czuła się strasznie, do głębi upokorzona, lecz nie zamierzała tego okazać. Wielu cech jej brakowało, jednak na pewno nie dumy.

Księżyc myśliwego 67

- Należałem do skautów.

Zabrał podkoszulek, wyjął butelkę po wodzie mineralnej z trawy, do której Molly ją wrzuciła, i schował do bagażnika.

Delikatnie zamknął pokrywę i z założonymi rękami oparł się o kufer. Mierzył wzrokiem dziewczynę

zaledwie z cieniem uśmiechu. Podobnie jak emanujące spokojem łąki wokół nich, cały tonął w srebrzystej poświacie. Niestety, ów blask sprawiał, że uśmiezek mężczyzny stał się aż nadto wyraźny.

- Rzadko pijesz, co? - zauważył Lyman.

- Jeszcze nie doszłam do siebie po grypie - skłamała Molly bez zmrużenia powieki. Już dawno zdążyła się przekonać, że przyznając się do słabości, człowiek skazuje się na przegraną.

- Od tygodnia mam kłopoty żołądkowe.

- Och - odrzekł tylko, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- Możemy już jechać? - spytała chłodno i ruszyła do drzwi od strony pasażera.

- Na pewno już dobrze się czujesz?

Poszedł za nią i otworzył drzwiczki, nim zdążyła sięgnąć po klamkę.

-Tak.

Molly z ulgą opadła na siedzenie. Ciągle jeszcze była osłabiona, ale zrobiło jej się znacznie lepiej. Opróżnienie żołądka i świeże powietrze pomogły.

- Zapnij pasy.

Agent zatrzasnął drzwiczki. Kiedy obchodził samochód, Molly spełniła polecenie.

- Jeśli chcesz, możemy jeszcze chwilę posiedzieć - zaproponował, zajmując miejsce za kierownicą.

- Nic mi nie jest - odparła z lekkim rozdrażnieniem.

Wzruszył ramionami i uruchomił silnik. Ruszyli w drogę; Molly z ulgą pomieszaną z żalem zauważyła, że jadą znacznie wolniej.

- Załapałaś coś z tego, co wcześniej ci mówiłem?

W kącikach jego ust ciągle jeszcze widziała cień rozbawienia. Zawahała się, gdyż prowokował ją tym pyszałkowatym uśmiechem, ale pokręciła głową.

- Niewiele.

Cierpliwie powtórzył przygotowaną historię ich znajomo

ści. Zdaniem Molly wszystko to brzmiało bardzo nieprzekonująco, ale nie zamierzała się spierać.

S8 K siężyc myśliwego

- Jak sobie życzysz, panie agencie - oświadczyła z cieniem buńczuczności, gdy skończył mówić.

Czuła się jeszcze słabiutko, ale nie była pewna, czy mężczyzna to dostrzegł. Znowu na nią patrzył: Molly z przyjemnością zauważyła jednak, że jego ironiczny uśmiezek w końcu zniknął.

- Słuchaj, jeśli choć raz mnie tak nazwiesz, a ktoś to usłyszy, załatwisz mnie. Załatwisz zresztą nas oboje. Całą operację trafi szlag, a któremuś z nas albo też obojgu, może zagrozić niebezpieczeństwo. Jestem twoim nowym chłopakiem, jasne?

Nazywam się Will i tak masz się do mnie zwracać. I tak o mnie myśleć: Will. Dotarło?

- Jak sobie życzysz, Will.

Tym razem to ona pozwoliła sobie na pełen wyższości uśmiezek. W głębi ducha nie przypuszczała, by kiedykolwiek zdołała się do niego zwrócić po imieniu ani tak o nim pomy

śleć. Dla niej ten facet zawsze pozostanie agentem FBI.

Skręcili z Old Frankfort Pike w wąską drogę, prowadzącą do domu Molly. Na niebie przed nimi jaśniał księżyc, jego delikatna poświata wpadała przez przednią szybę.

- Która godzina? - spytała Molly.

- Parę minut po dziesiątej - odparł agent; nie: Will, musi o nim myśleć jako o Willu.

Zdziwiła się, że aż tak długo ich nie było. Ponad trzy godziny. Bliźnięta leżą już w łóżkach. Mike i Ashley oglądają telewizję (pierwsze z nich) lub odrabiają lekcje (drugie). Jeśli Mike gdzieś nie wyszedł. W dni powszednie miał być w domu o wpół

do dziesiątej, ale rzadko się zjawiał przed dziesiątą.

Ten chłopak przechodził trudny okres i Molly nie wiedzia

ła już, jak z nim postępować.

Jeszcze zakręt i wyrosła przed nimi sylwetka domu. Pierwsze, co rzuciło się Molly w oczy to to, że był oświetlony niczym bożonarodzeniowa choinka. Drugie - to stojący na podjeździe policyjny samochód, z błyskającymi niebieskimi światłami.

- Boże! - zachłysnęła się, a przez głowę przemknęły jej tysiące myśli, jedna okropniej sza od drugiej.

Zerknąwszy na dziewczynę, Will przyspieszył. Nie minęło parę sekund, a stanęli za radiowozem. Na ganku ukazał się właśnie policjant, który kuchennymi drzwiami wyszedł z domu. Za nim kręcił się Żeberko, który na widok drugiego auta, rzucił się w ich kierunku z ujadaniem.

Księżyc myśliwego

-Molly!

Ashley, Susan i Sam tłoczyli się na ganku, gdy wyskoczyła z forda. Jedno spojrzenie na tę trójkę wystarczyło, by się upewniła, że nic im nie jest. Żeberko obwąchał przelotnie Molly, po czym ruszył dalej. Kątem oka zauważyła, jak się łąsi do Willa i pobiegła do rodzeństwa.

Spotkali się w połowie drogi. Susan i Sam objęli Molly w pasie, ona zaś otoczyła ramionami ich drobne plecy, spoglądając równocześnie pytająco na Ashley. Z przerażeniem dostrzegła, że siostra, nawet w żółtawym świetle żarówki na ganku, jest blada i ma szeroko otwarte oczy. A byle co nie wyprowadzało jej z równowagi.

- Co się stało? - wychrypiła Molly.

- Mike - odezwała się w tej samej chwili Ashley.

- Panna Ballard?

Zbliżył się do niej ów policjant z ganku. Drugi wysiadł z radiowozu. Nawet nie zauważyła, że jeszcze ktoś tam był.

- Czy coś się stało Mike'owi? - dopytywała się Molly.

- Ma kłopoty.

- Gdzie jest?

- Wyszedł i jeszcze nie wrócił - szepnęła siostra.

Policjanci już przy nich stali. Jeden był krępy, miał puciołowate policzki i wydatny brzuch, sterczący dumnie nad nisko opuszczonym pasem z bronią. Drugi był wyższy, patykowaty i łysy. Obaj nosili brązowe mundury biura szeryfa hrabstwa Woodford, a na piersiach połyskiwały im srebrne odznaki zastępców.

- Jakież problemy, panowie?

Molly nie знаła żadnego z przybyłych, choć zdążyła osobi

ście zetknąć się z większą częścią lokalnych policjantów.

Głównie zawdzięczała to matce i rodzeństwu.

- Chcemy porozmawiać z pani bratem, Mikiem. Kiedy się go pani spodziewa? - Policjant mówił uprzejmie, niemal przyjaźnie.

- W jakiej sprawie panowie go szukają? - W odpowiedzi Molly zadźwięczała nuta wrogości.

Dziewczyna zostawiła bliźnięta, wyprostowała się i z dumnie uniesioną głową popatrzyła

mężczyznom w oczy. Nie pierwszy raz miała do czynienia z policjantami i z doświadczenia wiedziała, że ich obecność nieodmiennie zwiastuje złe nowiny.

Tamci powiedli po sobie wzrokiem. W końcu odezwał się ów niższy.

70 K siężyc myśliwego

- Jakaś godzinę temu otrzymaliśmy informację, że grupa nastolatków bezprawnie przebywa w stajni w stadninie Sweet Meadow. Kiedy tam dotarliśmy, ze stajni uciekło kilku wyrostków. Rozejrzeliśmy się i znaleźliśmy puszki po piwie oraz parę skrętów z marihuaną. Przypuszczamy, że pani brat był z tamtymi chłopakami.

- A czemuż to?

Teraz już Molly nie kryła wrogości, w ten sposób radząc sobie z własnym strachem. Co zrobi, jeśli Mike faktycznie sięgnął

po narkotyki?

- Jeden z nich miał na sobie bluzę ogólniaka. Pokazaliśmy świadkowi kronikę szkoły ze zdjęciami. Rozpoznał pani brata.

- Nie wierzę - oświadczyła butnie Molly, choć serce przeszywał jej strach, że to jednak prawda.

- Czy jest pani prawną opiekunką brata? - spytał wyższy gliniarz.

- Tak.

Nie mówiła prawdy. Ich układ bynajmniej nie był prawnie zalegalizowany. Latami opiekowała się rodzeństwem jak matka i nigdy nie starała się tego oficjalnie załatwić. Bała się. Teraz do lęku o Mike'a doszedł strach o rodzeństwo. Co będzie, jeśli ci ludzie odkryją, że sprawowała nad nimi opiekę nielegalnie?

- Skoro, jak pan twierdzi, wydarzyło się to godzinę temu, musiało być już ciemno. Jak ów świadek mógł widzieć na tyle wyraźnie w ciemnościach, by zidentyfikować mojego brata? -

spytała Ashley z godnym podziwu rozsądkiem.

Choć liczyła sobie zaledwie siedemnaście lat, mądrością dorównywała trzydziestolatce i Molly zastanawiała się czasem, jak sobie poradzi, kiedy Ashley wyjedzie na studia.

- Świadek jechał samochodem, chłopcy biegli poboczem.

Oświetliły ich reflektory. Ta kobieta dobrze się przyjrzała waszemu bratu.

Mówiący wodził wzrokiem od jednej do drugiej.

- Tylko tak twierdzi - odparowała Molly, gotowa do walki.

- Tylko tak twierdzi - powtórzyła jak echo Ashley, a bliźnięta ochoczo przytaknęły.

Wyższy policjant przez chwilę przyglądał się całej czwórce.

- Czy pani brat pali trawkę, panno Ballard? - spytał.

- Oczywiście, że nie.

Księżyc myśliwego 71

- Może wyjdzie mu na zdrowie, jeśli teraz wpadnie. Dostanie ostrzeżenie, nim sięgnie po mocniejsze narkotyki. A przecież pani nie chce, by do tego doszło.

- Nie wierzę, by to Mike był w tamtej stajni - upierała się Molly, choć sama słyszała napięcie we własnym głosie.

Jednak wierzyła, a w każdym razie z przerażeniem dopuszczała do siebie tę myśl. Strasznie się bała, żeby chłopak nie sięgnął po narkotyki.

Patykowały gliniarz zacisnął usta.

- Chcemy porozmawiać z pani bratem, panno Ballard. Kiedy się go pani spodziewa?

Oczyma wyobraźni Molly już widziała, jak właśnie w tej chwili pijany albo naćpany - albo też jedno i drugie - Mike wtacza się na podjazd i zostaje odwieziony na posterunek.

- Trudno mi powiedzieć - oświadczyła chłodno.

- Tak czy owak wątpię, czy panna Ballard wyrazi zgodę, by panowie rozmawiali z chłopcem bez obecności prawnika - odezwał się zza jej pleców Will.

Była tak wzburzona, iż nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że tam stał. Obejrzała się przez ramię, a ich oczy na moment się spotkały.

- Prawda, Molly?

- Oczywiście.

Popatrzyła na obu przybyłych. Nawet nie przyszło jej na myśl, żeby szukać prawnika i by Mike tylko w jego obecności rozmawiał z policją. Ballardowie nie wynajmowali adwokatów.

Po pierwsze, nie mieli na to pieniędzy, po drugie Molly nie знаła żadnego prawnika. Ale tym będzie się przejmować później, na razie trzeba się chwytać każdej deski ratunku, jaką los jej podsuwał. Z pewnym zaskoczeniem odnotowała fakt, iż czuje się lepiej, mając świadomość, że Will - z niewyjaśnionych pobudek - stoi po stronie jej i Mike'a. O niebo lepiej.

- Jeśli wolno spytać, co z pana za jeden? - zainteresował się niższy policjant, zerkając na Willa.

- Przyjaciel panny Ballard.

Kłamstwo to bez najmniejszych trudności przeszło mu przez usta. Will potrafił doskonale łączyć, zauważyła Molly i postanowiła dobrze to zapamiętać.

- Aha. - Policjant znowu skupił na niej uwagę. - Panno Ballard, naprawdę chce pani w to wciągać prawnika? Czyż nie było-72 Xsiętyc myśliwego

by prościej, gdybyśmy po prostu zamienili z Mikiem parę słów, przekonali się, co ma nam do powiedzenia, a potem się zastanowili? Spróbujmy, jeśli to możliwe, załatwić sprawę między nami.

Jasne, uważajcie, bo uwierzę.

- Jeśli chcecie rozmawiać z moim bratem, ma być przy tym prawnik.

Gliniarze wydawali się zirytowani taką propozycją i to jej wystarczyło. Zawsze uważała ich za swoich wrogów.

- W porządku - powiedział ten niższy i wymienili między sobą spojrzenia. - W takim razie nie ma sensu, byśmy dłużej czekali, prawda? Proszę jutro zadzwonić i umówić się, kiedy przyjdzie pani z bratem na rozmowę. Oczywiście, razem z prawnikiem. - Wyjął z kieszeni wizytówkę, napisał coś na odwrocie i podał kartonik Molly, która nawet nie patrząc, schowała ją do kieszeni džinsów. - Zadzwoni pani, prawda? - W ustach krępego policjanta brzmiało to bardziej jak groźba niż pytanie.

- Oczywiście - zapewniła go Molly, czując dziwną pustkę.

Do jutra musi wytrzasnąć prawnika. I forszę na niego!

- Dopóki sprawa się nie wyjaśni, radzilibyśmy pani dobrze pilnować tego chłopaka, panno Ballard. Bo my już będziemy mieć na niego oko - dorzucił wyższy policjant.

Skinąwszy głową Molly i pozostałym, odwrócił się na pięcie i skierował do radiowozu, a za nim ruszył gruby partner. Po paru minutach zniknęli, samochód wycofał się, koła głośno zachrząściły na żwirze. Molly w milczeniu patrzyła na tylne światła, które najpierw stały się czerwonymi punkcikami, a w końcu zniknęły w ciemnościach. Wtedy odwróciła się do rodzeństwa. Ashley i bliźnięta stanęli blisko Willa. Nawet Żeberko ufnie dyszał u jego stóp.

Molly wygięła usta. Przyszło jej na myśl, że oni - łącznie z nią - są głupi, skoro uważają dopiero co poznanego mężczyznę za sprzymierzeńca. Znalazł się tu przypadkowo, a pomagał

im, gdyż Molly miała zrobić coś, na czym mu zależało. Jednak owo życzliwe zachowanie w każdej chwili może się skończyć.

I tak też będzie, gdy tylko agent przestanie jej potrzebować.

Spotkali się wzrokiem w żółtym świetle lamp pozapalanych w domu.

- Nie mamy pieniędzy na prawnika - oświadczyła Molly ostro, rozcierając ramiona, by się rozgrzać.

Will wzruszył ramionami i wsunął ręce do kieszeni.

Księżyc myśliwego 73

- Nie przejmuj się tym.

- Jak mam się nie przejmować...! - zaczęła, podnosząc głos, lecz w tej samej chwili coś się poruszyło w cieniu na tyłach domu. Ciemna sylwetka zmierzała w kierunku kuchennych drzwi, jednak się zawahała. Idąc za spojrzeniem Molly, Will z dziećmi obejrzeni się, by popatrzeć na postać, która skierowała się w tę stronę.

- Czego chcieli? - spytał Mike, gdy wystarczająco się do nich zbliżył.

Rozdział dziesiąty

o się dowiedzieć, gdzie jesteś - oświadczyła podejrzanie miło Molly, mierząc brata wzrokiem.

Pikowana, czarna kamizelka z kapturem stanowiła uzupełnienie dyżurnego zestawu złożonego z dżinsów, podkoszulka i flanelowej koszuli. Z kucyka wymknęło się pasemko ciemnobrązowych włosów i opadało chłopakowi na twarz. Pojedynczy kolczyk błyszczał w świetle lamp. Molly musiała przyznać, że Mike wyglądał na zwykłego punka. Przysunęła się o krok i głęboko wciągnęła powietrze, chcąc wyłować zapach alkoholu albo marihuany. Poczwała jednak wyłącznie woń wieczornego powietrza i suchych liści.

- Zresztą, jak my wszyscy. Po pierwsze, spóźniłeś się ponad godzinę. Gdzie byłeś?

Mike wzruszył ramionami.

- Nigdzie. Gliny chyba nie zjawiły się tu z mojego powodu?

- Twierdzą, że paliłeś trawkę, Mike! - wtrącił z podnieceniem Sam, nie dopuszczając Molly do głosu. - I że piłeś piwo!

- Kłamczuch! - rzucił Mike, patrząc na brata z góry.

- Wcale nie! - wystąpiła w obronie brata Susan. - Sam nigdy nie kłamie.

- Tak nam powiedzieli - potwierdziła Ashley.

Mike szerzej otworzył oczy i zerknął na Molly. Przytaknęła z zaciśniętymi ustami.

- Ponoć do stajni w stadninie Sweet Meadow włamała się grupa nastolatków, którzy na widok patrolu uciekli. Zostawili dowody, że pili piwo i palili trawkę. Świadek potwierdza, iż cię tam

widział.

Księżyc myśliwego 75

- Jaki świadek?

Sam obronny ton chłopaka wystarczył, by Molly ścisnęło się serce.

- Byłeś tam z nimi, prawda, Mike?

Boże, co teraz zrobić? Zdążyła się już przekonać, że karanie nastoletniego brata to iście syzyfowa praca. Brak dostępu do telewizji i telefonu stanowiłyby za słabą reakcję na taki postęp.

Ale co jej pozostawało? Areszt domowy? Lanie? Na tę ostatnią myśl wybuchnęła w duchu śmiechem. Mike był wyższy od niej.

Zawahał się, niechętnie patrząc Molly w oczy.

- Może - odparł.

- Może?! - Jej głos podskoczył o oktawę.

Brat zaczął coś mówić, ale zerknął na Willa, który stał bez słowa z lewej strony Molly, z rękami w kieszeniach spodni, nie odrywając wzroku od Mike'a.

- A co on ma do tego? - spytał chłopak, ruchem głowy wskazując na gościa.

- Jest po naszej stronie - pisnęła Susan.

Ashley i Sam skinęli potakująco głowami, a Molly w ostatniej chwili się powstrzymała, żeby nie zrobić tego samego.

- To nie było grzeczne - skarciła brata.

Mike wzruszył ramionami.

- Poza tym załatwi ci prawnika - dorzuciła Ashley. - Zanim pójdziesz na policję.

- Nie idę na żadną policję i nie potrzebuję prawnika. Nie było mnie w tamtej stajni.

Chłopak odął się - tę minę Molly ostatnio znała aż nazbyt dobrze. Kłamał, czuła to. I natychmiast ogarnęła ją furia. Jak mógł

to zrobić? Jej, im wszystkim. Na usta cisnęły jej się ostre słowa, musiała aż zacisnąć zęby, by ich nie powiedzieć na głos. Zdążyła się przekonać, że w wypadku Mike'a krzyki nie dawały żadnego efektu, choć nadal jeszcze nie odkryła, co skutkowało.

- Nie wierzysz mi? - W głosie brata brzmiał gniew.

Patrząc na niego, Molly nagle zobaczyła tamtego drobnego ósmiolatka, którego odzyskali po latach tułaczek po rodzinach zastępczych i ochłonęła. On też pokrywał swój strach złością.

- Nieważne, czy ci wierzę, czy nie, masz kłopoty, mały - odezwała się cicho. - To się nie rozejdzie po kościach. Byli tu ludzie szeryfa i zażądali, żebym jutro zatelefonowała i ustaliła termin przesłuchania. Założę się, że pozostałych chłopaków też wezmą *76 Księżyc myśliwego*

w obroty i w końcu któryś puści farbę. Ale nie to jest najgorsze. Najgorsze jest to, co robisz sobie. Jeśli piłeś albo paliłeś marychę, chcę o tym wiedzieć. Musisz mi wyznać prawdę.

Mike zmierzył ją wzrokiem.

- Niby czemu? I tak nigdy mi nie wierzysz.

Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, wykręcił się na pięcie i odszedł. Bezradnie patrzyła, jak jednym susem pokonuje stopnie ganku i znika w domu.

- Przechodzi trudny okres - zauważyła Ashley, najwyraźniej pragnąc równocześnie pocieszyć siostrę i wytłumaczyć zachowanie brata.

Molly głęboko zaczerpnęła tchu.

- Wiem.

Powtarzała to sobie niezliczoną ilość razy, ale teraz nie przynosiło jej to szczególnej otuchy. Spojrzała na Willa.

- Naprawdę potrzebuje prawnika?

- Decyzja zależy od ciebie - odparł obojętnie. - Możesz po prostu pójść z nim na posterunek. Jeśli naprawdę palił marihuanę i pił, zetknięcie z sądem dla nieletnich może go otrzeźwić.

- Ma tylko czternaście lat - odparowała Molly.

- Skoro jako czternastolatek sięga po marihuanę, to co będzie robił w wieku dwudziestu?

Pytanie było rozsądne, sama już nieraz je sobie zadawała, nie znajdując odpowiedzi. Opuściła ramiona.

- Bylibyśmy wdzięczni, gdybyś załatwił nam prawnika -

zwróciła się do Willa, świadoma że może popełnia błąd, ale że inaczej nie zdoła pomóc bratu. Agent skinął głową.

- Mike nie pójdzie do więzienia, prawda? - spytała Susan, zadzierając głowę i patrząc na Molly. Wyglądała na wystraszoną i Molly pogłaskała ją po ramieniu.

- Oczywiście że nie - odpowiedziała z przekonaniem, by uspokoić siostrzyczkę.

Całe rodzeństwo, także Ashley, odetchnęło z ulgą, jakby słowo ich opiekunki było święte. Wyrazu twarzy Willa nie da

ło się odczytać.

Susan ziewnęła.

- Jesteś zmęczona, prawda, Susie? - zapytała Molly.

Ta gwałtownie potrząsnęła głową, lecz najstarsza siostra, nauczona wieloletnim doświadczeniem, wiedziała swoje. Powiódłszy wzrokiem po Samie i Ashley, powiedziała: *Księżyc myśliwego 77*

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni, wejdźmy do środka.

- On też? - z nadzieją zapytał Sam, spoglądając na Willa.

Wychowany bez ojca i kogokolwiek, kto by mu go zastąpił, zawsze był gotów przywiązać się do pierwszego lepszego dorosłego mężczyzny.

- Nie! - ucięła Molly tyleż ostro, co nietaktownie. Skarciwszy się w duchu, odwróciła się do Willa i wyciągnęła rękę. -

Przykro mi, że wieczór tak się skończył. Dziękuję za pomoc w sprawie prawnika. Dobranoc.

- Możemy jeszcze chwilę porozmawiać? - spytał, ignorując podaną mu dłoń.

Każdy inny słuchacz uznałby tę kwestię za grzeczne pytanie, lecz Molly doskonale wiedziała, że to rozkaz.

Ashley spojrzała na siostrę, a potem na Willa i zaczęła zaganiać bliźnięta do domu, popychając przed sobą Susan i Sama.

- Idziemy, dzieciaki.

Zapewne uznała, że Will jako „chłopak” siostry chce ją pocałować na pożegnanie.

- Co? - Ledwo zostali sami, Molly nie traciła czasu na ceregiele.

- Oczekuję, że jutro odzyskasz pracę.

Molly, która już nastawiła się na kazanie pod tytułem: „Mike nawarzył sobie piwa, niech teraz je wypije”, niemal zapomnia

ła o swym iście faustowskim układzie.

- Postaram się.

- Nie staraj się, tylko ją odzyskaj - udał. Przez chwilę jej się przyglądał, a potem z wewnętrznej kieszeni wyjął portfel.

- Ile potrzebujesz, żeby ponownie włączyli ci telefon?

- Nie chcę twoich pieniędzy.

Niezrażony otworzył portfel i przeliczył banknoty.

- To nie są moje pieniądze, tylko rządowe. Zapomniałaś, że pracujesz dla Wujka Sama? A ja muszę w razie czego móc się z tobą szybko skontaktować. Do tego zaś potrzebny jest działający telefon.

- Więc nie dostanę telefonu w bucie, jak w sensacyjnych filmach? - Dziewczyna próbowała zatuszować skrępowanie żartem.

- Ile? - Will zignorował wszelkie dowcipy- Niechętnie podała sumę. - Każę prawnikowi jutro do was zadzwonić - ciągnął, wręczając jej pięć dwudziestek. - Na twoim miejscu nie puściłbym tego płazem twojemu bratu.

78 Księżyc myśliwego

- Za dużo. - Molly jednym spojrzeniem policzyła pieniądze i oddała nadwyżkę. - Ilu nastolatków ostatnio wychowałeś?

- Zatrzymaj je. Może znowu będziecie mieli chęć na pączki, a nie chciałbym natknąć się na ciebie, gdy będziesz napadać na 7-Eleven. - Uśmiechnął się lekko. - A jeśli chodzi o nastoletnich chłopców, to mam osiemnastoletniego syna. Dobry dzieciak. Ale widziałem też wystarczająco wielu, którzy źle skończyli.

- Mike wcale nie skończy źle!

To ostrzeżenie ją zabolalo.

- Czyżby? - Agent wzruszył ramionami. - Znasz go lepiej niż ja. Będziemy w kontakcie. Dobranoc.

Skinął jej lekko głową, odwrócił się i podszedł do samochodu. Dziewczyna odprowadziła go wzrokiem. W koronach drzew szumiał wiatr, zrzucając liście, które wirowały wokoło. Ford wyjechał z podjazdu i skręcił w prawo, do miasta.

Molly sama w ciemnościach poczuła nagły chłód. Objęła się ramionami, odwróciła i poszła do domu. Mimo zimna nie spieszyło jej się do środka. Gdy już tam wejdzie, będzie musiała uporać się z Mikiem.

A po prostu nie wiedziała, co zrobić.

Nic już nie wiedziała.

Rozdział jedenasty

12 października 1995

D o c h o d z i ł a trzecia nad ranem. Starsza kobieta usiadła na łóżku, wyrwana z głębokiego snu. Znowu się zaczyna. Była tego pewna.

W sennych koszmarach prześladowały ją krzyki. Głosy sprzed wielu lat. Dręczonej białej myszki, zamęconego kociaka. Papugi, której ogon i skrzydła stały w płomieniach, podczas gdy przerażony ptak miotał się po domu. Psa. Konia. Dziecka.

Och, Boże, dziecka! A ona nigdy nie powiedziała ani słowa.

Westchnienie przerodziło się w szloch, choć próbowała nad sobą zapanować. To na pewno się nie powtórzy, wykluczone.

Minęło dwadzieścia lat. Wszystko skończone, prawie wszyscy o tym zapomnieli. Nawet tym, którzy pamiętają, czas swą czarodziejską mocą wyciszył wspomnienia, stępił ból.

Krzyk, który ją przebudził, na pewno słyszała we śnie. To był tylko koszmar, nic poza tym.

Chociaż noc nie była zimna, kobieta drżała. A gdy się zmusiła, by z powrotem się położyć i podciągnąć kołdrę po samą brodę, zrozumiała, dlaczego. Cienka, jedwabna koszula nocna była cała mokra od potu.

Oczywiście po tym koszmarze.

Do rana już nie zasnęła, bojąc się zamknąć oczy, a tym bardziej zapaść w sen, by nie przywołać znowu dawnego strachu.

Rozdział dwunasty

12 października 1995

Skropiony poranną rosą gęsty kobierzec trawnika lśnił w promieniach wschodzącego słońca, gdy Molly szła do stajni numer piętnaście. W rześkim powietrzu unosił się lekki zapach nawozu i trocin. Starannie przystrzyżony żywopłot z kocierpki, przy którym kwitły bujne, złocistożółte chryzantemy otaczał płataninę ścieżek wiodących z poszczególnych stajni na tory, trybuny i dalej.

Za szarymi ze starości, wypieszczonymi wapiennymi murami Keeneland mieścił się jeden z najpiękniejszych torów wyścigowych świata. Cały kompleks, zbudowany w latach trzydziestych na modłę europejską i noszący nazwę Toru Wyścigowego Keeneland zajmował powierzchnię ponad trzystu pięćdziesięciu hektarów, otoczonych metrowym murem, porośniętym bluszczem. Nie umieszczano tu żadnych tablic reklamowych i był to jedyny tor na świecie, gdzie nie zamontowano nagłośnienia. Zrobiono to specjalnie, podkreślając w ten sposób, że goście Keeneland posiadają wystarczającą wiedzę, by rozpoznawać konie i dżokejów, a także oceniać ich umiejętności bez

pomocy sprawozdawcy.

Zgodnie z zamierzeniami właścicieli, ten tor emanował klasą i aurą bogactwa. Choć nie tak znany jak Churchill Downs, Sa-ratoga czy Belmond, Keeneland, stał się przybytkiem dla wtajemniczonych. Już o tak wczesnej porze goście - na ogół ubrani z niewymuszoną elegancją mężczyźni w granatowych marynarkach - jedli śniadanie na tarasie z widokiem na tory, z oczami utkwionym w programach gonitw. Nieliczne kobiety również by

ły ubrane nobliwie, ale bardziej kolorowo, choć pozornie zupeł-

Księżyc myśliwego 81

nie prosto - co stanowiło niepisany wymóg na tym torze. Tutaj nie nosiło się ekstrawaganckich strojów, nie szokowało się kapeluszami.

Trener, wyprostowany w strzemionach, jechał na nerwowym angloarabie, kierując się w stronę owalnego toru. Molly odsunęła się, by zrobić im miejsce. Mijając ją, źrebak wierzgnął kopytem - bardziej z przekory niż ze złości - i natychmiast został przywołany do porządku przez jeźdźca. Molly odskoczy

ła, potem szła dalej, niewzruszona. Jak każdy koniarz z krwi i kości, zaliczyła już niezliczone kopnięcia, ugryzienia i zrzutki.

Jedyną pewną rzeczą w tym fachu była całkowita niemożliwość przewidzenia następnego ruchu zwierzęcia.

Dudnienie kopyt w oddali powiedziało jej, że pozostałe konie biegają już po torze. Dochodziła siódma, poranny trening najwyraźniej trwał już w najlepsze.

- Dzień dobry.

Umundurowany ochroniarz rzucił okiem na przepustkę, którą Molly przypięła do suwaka szarej, bawełnianej bluzy. Nie znała go, widocznie to ktoś zatrudniony na same zawody. Skinę

ła mu głową i poszła dalej.

Za niewielkim zagajnikiem znajdowały się pomalowane na biało stajnie. Przed stajnią numer piętnaście zobaczyła zaparkowane dwie ciężarówki do przewozu koni i furgonetkę firmy zajmującej się pielęgnacją trawników. Marta Bates, która również pracowała w Farmie Wylanda i była serdeczną przyjaciółką Molly, wyprowadzała właśnie Tabasca na padok. Skupiona na źrebaku, który lubił płać figle, powitała przybyłą przelotnym skinieniem głowy.

Molly miała wrażenie, jakby w ogóle stąd nie odchodziła.

Gdyby nie tupot kopyt w stajni panowałaby zupełna cisza.

Sterylnie czyste, niemal szpitalne wnętrza lśniły, świeżo pomalowane na biało od podłogi po

wysokie krokwie dachu. Na obu końcach znajdowały się masywne, podwójne drzwi. Molly weszła przez otwartą w tym momencie jedną połówkę, przez którą wpadało świeże powietrze. Po obu stronach szerokiego przejścia mieściły się trzydzieści dwa boksy. Na każdym znajdowała się tabliczka z imieniem mieszkańca, przykręcona do dolnej części wrót. Na co trzecim boksie wisiały kompozycje z fioletowych chryzantem. Stajnia pachniała trocinami, środkami dezynfekującymi i końmi.

6. Księżyc myśliwego

82 K siężyc myśliwego

Molly głęboko zaczerpnęła powietrza. Znała ten zapach na pamięć, był swojski jak woń domu.

Główny stajenny Farmy Wylanda, Rosario Arguello świstał

pod nosem, porządkując teren przed wrotami. Molly wysunę

ła się zza uchylonych drzwi.

- Cześć, Rosey, gdzie pan Simpson? - spytała.

Rosey - ciemny, drobny Argentyńczyk, który kiedyś marzył

o karierze dżokeja - był jeszcze bliższym jej przyjacielem niż Marta. Zerknął, szeroko otwierając oczy, gdy zobaczył, z kim rozmawia.

- Molly! - zawołał z silnym akcentem, rzucając widły i podchodząc do niej. - Do licha, Molly, co ty wyprawiasz, hę? Jak mogłaś nas tak zostawić? I do tego odeszłaś bez słowa! Bez po

żegnania!

Uśmiechnęła się, gdy chwycił ją w ramiona i mocno uściskał. Rosey przekroczył czterdziestkę, miał żonę, czwórkę dzieci i piąte w drodze. Przez te siedem lat, które razem przepracowali, ani razu nie potraktował jej inaczej niż jako koleżę i przyjaciela i była mu za to wdzięczna.

- W jakim humorze jest dziś pan Simpson? - spytała, usiłując tą okrężną drogą dowiedzieć się o nastrój trenera, do którego często lepiej było w ogóle się nie zbliżać. Rosey domyślił się, co czego zmierzała i wzniósł oczy ku niebu. - W złym, co?

Skrzywiła się: to się nazywa mieć szczęście!

- Lady Valor dziś okulała.

- O, nie!

Urodzona na Farmie Wylanda Lady Valor była jedną z podopiecznych Molly, która zajmowała się tą siedmioletnią kłaczą od pierwszych dni i darzyła ją szczególnym uczuciem.

- Zdaje się, że pan Simpson właśnie do niej zajrzał! - zawołał Rosey, ale Molly już tam pobiegła.

Kątem oka zauważyła, że większość przestronnych boksów świeciła pustkami. Konie były na treningu. W pustym boksie sąsiadującym z pomieszczeniem Tabasca, leżała, z podkulonymi nogami, Ofelia. Kiedy Molly ją mijała, dźwignęła się z trudem, strzygąc uszami. Domagała się smakołyków, które zwykle zwiastowała obecność dziewczyny.

- Później, Ofelio - obiecała Molly i poszła dalej.

Lady Valor zajmowała drugi boks od końca po lewej stronie, należącej do Farmy Wylanda. Na miejscu byli już Simpson *Księżyc myśliwego* 83

- krępy mężczyzna w spodniach khaki i niebieskiej koszuli z podwiniętymi rękami - oraz weterynarz, Herb Mott. Gęste, siwe włosy Simpsona, zwykle starannie przyczesane, teraz sterczały, jakby przeciągnął przez nie ręką. Doktor Mott - kruchy, siedemdziesięcioletni mężczyzna - badał nogę Lady Valor, podczas gdy odwrócony plecami do Molly Simpson patrzył mu przez ramię. Przy łbie klaczy stała Angie Archer, młoda dziewczyna do stępowania, która - jak domyśliła się Molly - zajęła jej miejsce. Klacz stuliła uszy. Molly знаła ten ruch. Mimo pozorów słodczy Lady Valor lubiła kąsać.

- Mogę pomóc?

Nie czekając na odpowiedź, Molly weszła do boksu i ruszy

ła prosto do klaczy. Lady Valor przywitała ją delikatnym muśnięciem i zwawym skinieniem łba. Angie zerknęła na przybyłą, a gdy ją poznała, z westchnieniem ulgi ustąpiła jej miejsca.

Molly zauważyła cztery sińce na nagim, silnym ramieniu swej następczyni i omal nie parsknęła śmiechem. Ukąszenia Lady Valor były prawie tak samo bolesne jak złośliwe uszczypnięcia.

- Cholera jasna, naderwała sobie staw kolanowy w tylnej nodze!

Simpson posłał Molly zaniepokojone spojrzenie.

- O, nie! - jęknęła z prawdziwą troską w głosie.

To była poważna sprawa, tak jak kontuzja kolana u człowieka.

- I to nocą, we własnym boksie - ciągnął Simpson zdesperowany.

- Będzie mogła wystąpić w niedzielę? - zaniepokoiła się Molly.

W niedzielę odbywała się „gonitwa starych panien”, bieg, w którym uczestniczyły tylko klacze. Lady Valor należała do faworytek.

- Nie zanosi się na to.

W tym momencie weterynarz podniósł wzrok i pokręcił głową, potwierdzając opinię trenera.

Simpson zaklął.

- Przykro mi, Don - powiedział doktor Mott, delikatnie stawiając nogę Lady Valor i prostując się powoli. - Tego rodzaju urazy nie goją się w jeden dzień.

- Wiem.

Simpson przetarł ręką usta i pokręcił głową, a w końcu na tyle odzyskał panowanie nad sobą, by odprowadzić weterynarza do drzwi boksu.

84 K siężyc myśliwego

- Za miesiąc, sześć tygodni wydobrzeje.

- Wiem.

Doktor Mott wyszedł. Trener zamknął za nim na rygiel dolną część drzwi, po czym wrócił do boksu. Popatrzyli po sobie z Molly.

- Czasem mam wrażenie, że cały mój urok to zły urok.

Zdawała sobie sprawę, że były szef mówi bardziej do siebie niż do niej i pamiętała też, że nie oczekuje - wręcz nie życzy sobie odpowiedzi. Nagle Simpson groźnie ściągnął krzaczaste brwi.

- A co ty w ogóle robisz w stajni? - spytał, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że dziewczyna nie ma prawa tu się zjawiać. - Przecież cię wylałem.

- Nie wylał mnie pan, sama odeszłam - odrzekła stanowczym tonem, również marszcząc brwi.

W kontaktach z Donem Simpsonem delikatność nie popłacała, o czym Molly zdążyła się przekonać już rok temu, gdy objął to stanowisko. Ten sześćdziesięciodwuletni mężczyzna był

kiedyś cenionym trenerem. Po druzgoczącej dla jego kariery serii przegranych w ciągu ostatnich pięciu lat musiał się zadowolić stosunkowo nieznaczącym stanowiskiem w Farmie Wylanda, która - podobnie jak on - czasy świetności miała już za sobą. Ludzie z branży uważali Farmę Wylanda i Simpsona za przeżytek dawnej epoki, tymczasem on nadal miał siebie za gwiazdę pierwszej wielkości, nie dostrzegając zmniejszenia splendoru. Simpson był tyranem o wybuchowym temperamencie i z rozkoszą terroryzował każdego, kto okazał się słabszy. Jedyne, co go usprawiedliwiało w oczach Molly to niemal intuicyjna znajomość koni i prawdziwa miłość do nich.

- Czyżby? - warknął Simpson. - To *co*, u diabła, tu robisz?

- Jest mi pan winien dwutygodniową pensję. - Dziewczyna buntowniczo wysunęła brodę.

- Zatrzymuję ją, bo nie złożyłaś dwutygodniowego wymówienia.

- Nie może pan! Zresztą, jak można wymówić z dwutygodniowym wyprzedzeniem, skoro zostało się

wyrzuconym!

- Przed chwilą twierdziłaś, że sama odeszłaś.

- Skoro mam to przypłacić utratą dwutygodniowych zarobków, zgoda, zostałam wyrzucona. - Ostatnie słowo wysyczała przez zaciśnięte zęby. Potem, w ostatniej chwili przypomniawszy sobie o podjętej misji, zapanowała nad gniewem i zmusiła *Ksieżyc myśliwego* 85

się do uśmiechu. - Zresztą... hm... pomyślałam, że będę panu potrzebna do końca wyścigów.

Simpson popatrzył na nią twardo.

- Doskonale sobie radzimy.

- Właśnie widzę. - Molly spojrzała znacząco na nogę Lady Valor.

Trener spochmurniał.

- Prosisz, żebym cię znowu przyjął?

Dziewczyna z trudem przełknęła dumę.

-Tak.

- I będziesz znowu wyzywać mnie od dupków i kazać mi się utopić w kiblu?

W oczach Molly błysnęły iskierki rozbawienia, ale nie odważyła się uśmiechnąć.

- Nie, jeśli *to* będzie w mojej mocy - przyrzekła.

- Lepiej niech będzie - warknął. - Jeszcze raz mi się postawisz, a na dobre pożegnasz się z tą robotą. Jasne?

Bez słowa skinęła głową.

- No, to jazda do roboty. Ej, ty! - Simpson zwrócił się do Angie, która stała z przerażoną miną. - Wynocha stąd, wracaj do poprzedniej pracy. I tak żaden z ciebie stajenny. - Zmierzył

ją wzrokiem.

Angie splonęła rumieńcem i czmychnęła, najwyraźniej bliska łez. Simpson z nieskrywaną satysfakcją patrzył, jak wybiegła z opuszczoną głową.

Potem przeniósł wzrok na Molly, jakby prowokując ją do repliki. Ale teraz nie była już taka głupia. Lady Valor skubnęła ją w ramię. Dziewczyna automatycznie pogładziła klacz po karku, wiedząc, że jeśli nie zareaguje, Lady Valor przejdzie do kłusania.

- Bierz się do roboty! - warknął Simpson i wyszedł z boksu.

W furgonetce firmy, zajmującej się trawnikami, zaparkowanej przed stajnią numer piętnaście, Will ze zmarszczonymi brwiami patrzył na ekran. Siedzący na fotelu przed komputerem Murphy też gapił się w monitor.

- Uff! Przez chwilę się bałem, że wyrzuci ją na zbity pysk -

szeptał partner.

Will tylko westchnął. Po naprawieniu sprzętu - robota Murphy'ego z ubiegłej nocy - bez trudu mogli widzieć Molly od *86 Księżyc myśliwego*

chwili, gdy przekroczyła próg stajni. A już zaczął się bać, że się nie zjawi. Poprzedniego dnia stawiała się trzy godziny wcześniej.

Czemu dziś przyszła tak późno - nie wiedział i nawet go to nie interesowało. Najważniejsze, że wykonała zadanie: odzyskała pracę. Znowu mieli niezbędną wtyczkę w stajni.

Przez moment Will myślał o losie, jaki spotkał ich poprzedniego informatora, ale szybko stłumił budzące się w nim wyrzuty sumienia. Śmierć Lawrence'a nie miała żadnego związku z tą dziewczyną. Popęłił samobójstwo, nie będąc w pełni władz umysłowych.

W tym momencie Molly stała w boksie z koniem, który spokojnie mógłby ją stratować na śmierć i mruzczała coś do zwierzęcia, bandażując mu nogę. Cały ekran wypełniał obraz boksu, konia i młodej kobiety.

- Trudno ją nazwać wzorową dziewczynką - zauważył Murphy.

Will tylko coś burknął.

- Ale to seksowna laska.

Murphy uśmiechnął się szeroko i wstał, by zmienić ogniskową. Na ekranie widać było już tylko Molly, kamera prześlizgiwała się po niej od stóp do głów. Z ciemnymi włosami, ściągniętymi gumką w kucyk, i z tą delikatną twarzą bez makijażu, zdaniem Willa wyglądała najwyżej na szesnaście lat. Zastanawiał się, dlaczego go to tak gniewa.

- Jest na czym zawiesić oko - stwierdził z podziwem Murphy.

Will poczuł, że jego rozdrażnienie rośnie. Usiłował nie zauważać, że podniszczone dżinsy podkreślają kształtne pośladki i długie, smukłe nogi dziewczyny, a zwykła, biała, wpuszczona w spodnie bawełniana koszulka przylega do pełnych, jędrnych piersi dziewczyny i uwydatnia jej szczupłą talię. Szara bluza, w której przyszła, wisiała teraz na drzwiach boksu.

Choć zdawał sobie sprawę, że to irracjonalne, złościło go, że Molly ją zdjęła.

Chcąc nie chcąc, skupił się więc na tych partiach jej ciała, których nie mógł nie dostrzec. Brodawki były doskonale widoczne, drobne guziczki napierały na białą, miękką bawełnę, biust kołysał się, nieskrępowany stanikiem. Czy ona w ogóle nosi stanik? - przemknęło mu przez myśl.

- Założę się, że jest świetna w łóżku - ciągnął Murphy.

Księżyc myśliwego 8 7

Na myśl o tym Will poczuł w żyłach nagle gorąco. Zacisnąwszy zęby, zmilczał, i przekreślił gałkę. Na monitorze znów pojawił się ogólny widok całej stajni.

- Hola, musimy pilnować informatora! - zaprotestował jego partner z lubieżnym rechem i przywrócił poprzedni obraz.

Niewiele brakowało, a Will przetrąciłby mu rękę, ale w ostatniej chwili się opanował. Gdy jednak ekran ponownie wypełniła sylwetka Molly, Lyman odwrócił się gwałtownie.

Rozdział trzynasty

łaśni

W e minęła szósta - pora, kiedy zaczynało robić się chłodno i zapadał zmierzch. Brązowawe cienie kładły się na pagórkowatym krajobrazie, ogarniając stada koni, które zbierały się razem, oczekując na zapadnięcie nocy, tak że wyglądem przypominały niematerialne zjawy. W powietrzu unosił się zapach palonych liści. Od czasu do czasu ciszę przerywało tylko wycie silnika furgonetki albo ujadanie psa. Ubrana w dzinsy, bawełnianą koszulkę i szarą bluzę z kapturem, zapiętą na suwak niemal po szyję, Molly siedziała na pomalowanym na czarno płocie, biegnącym wzdłuż niewielkiego pagórka tuż za jej domem. W kolano szturczała ją kasztanka o łagodnym spojrzeniu. Dziewczyna wyjęła z kieszeni bluzy ostatnią garść smakołyków, które wzięła ze stajni. Sheila za nimi przepadała. Molly nie miała wątpliwości, że Sheila, gdyby tylko mogła, raczyłaby się nimi tak długo, aż zdechłaby z przejedzenia.

Dotyk aksamitnych chrap, gdy Sheila łakomie wyjadała z ręki przysmaki, wywołał lekki uśmiech na twarzy dziewczyny. Klacz skończyła już szesnaście lat i już od dawna nie uczestniczyła w wyścigach; szczęśliwa i tłuściutka, dożywała swych dni w Farmie Wylanda. Sheila była cichą ulubienicą Molly, która traktowała ją po trosze jak swego domowego zwierzaka i własnego konia.

Wokoło panował spokój, były tu teraz tylko we dwie. Tą chwilą samotności dziewczyna relaksowała się po dniu ciężkiej pracy. Za parę minut będzie musiała wrócić do domu, do obo-Księżyc myśliwego

wiązków: przygotować kolację, pomóc dzieciom w lekcjach, stawić czoło naburmuszonemu, krnąbrnemu Mike'owi...

Wprowadziła areszt domowy i zabroniła bratu przez miesiąc spotykać się z kolegami. Ponieważ chłopak wyparł się picią piwa i palenia trawki, tak surowe restrykcje uzasadniła zbyt późnym powrotem Mike'a do domu. Był na nią wściekły, ale to żadna nowość. Molly zdawała sobie sprawy, że w ten sposób nie dotarła do źródła problemu, jednak nie przyszedł jej do głowy lepszy pomysł. Przynajmniej w domu brat nie mógł

sięgnąć po piwo ani marychę.

Prawnik nie skontaktował się z nimi dotąd, ale też i telefon ciągle jeszcze nie działał, choć wracając z pracy, uregulowała rachunek. Ale czy naprawdę sądziła, że ten cały agent - Will -

znajdzie dla Mike'a adwokata? Nie ulegało wątpliwości, że ta deklaracja pomocy dla jej brata była czcą gadaniną. Choć pomysł nawet jej się spodobał. Posłuchałaby go ze względu na Mi-ke'a. Jutro w czasie lunchu albo przerwy w pracy przejrzy książkę telefoniczną i sama poszuka prawnika. Dzisiejsza przerwa na lunch trwała wszystkiego kwadrans i Molly spędziła ten czas przy telefonie, umawiając Mike'a na rozmowę z zastępcą szeryfa. Po dłuższych pertraktacjach udało jej się wywalczyć, aby spotkanie odbyło się w jej najbliższy wolny dzień - poniedział

ek - o wpół do czwartej. Niech sobie nie myślą, że puści tam Mike'a samego. Nawet gdyby chłopcu towarzyszył prawnik.

Później będzie się martwić, z czego mu zapłaci. Jej kłopotom nie ma końca.

Ashley zwierzyła się jej po przyjściu ze szkoły, że otrzymała zaproszenie na szkolny bal. Dziewczyna, bardzo nieśmiała w kontaktach z chłopcami, tak się ucieszyła, że autentycznie promieniała szczęściem. Choć siostra o to nie poprosiła -

a pewnie nawet jeszcze nie pomyślała na ten temat - Molly zdawała sobie sprawę, że Ashley potrzebuje sukienki. Wyjątkowej. Drogiej.

W przyszłą środę Sam i Susan jadą na wycieczkę szkolną po dziesięć dolarów od osoby.

A wśród listów znalazła zawiadomienie, że Żeberko dawno już powinien zostać zaszczepiony przeciwko wścieklicznie i drugie, z elektrowni, o rychłym wyłączeniu prądu, jeśli w ciągu siedmiu dni rachunek nie zostanie uregulowany.

Zawsze coś wisiało jej nad głową. Ale cóż, takie jest życie.

90 Księżyc myśliwego

- To wszystko, kochanie - zwróciła się do Sheili, która szturchała ją, żądając kolejnej porcji

smakołyków. - Przykro mi.

Poklepała klacz, zeskoczyła z płotu i już miała wracać do domu, gdy znieruchomiała. W jej stronę szedł mężczyzna. W ręce trzymał płaskie, białe pudełko. Ponieważ zbliżał się od strony domu, w żółtawym blasku padającym z oświetlonych okien Molly dostrzegła tylko ciemną sylwetkę. Zauważyła zarys ramion i głowy Ashley - ledwo widoczny z tej odległości - gdy siostra przeszła obok kuchennego okna i zaraz znowu w nim mignęła.

Obok ich niebieskiego plymoutha stał biały ford, doskonale widoczny w świetle padającym z domu, choć samo podwórze tonęło w mroku.

Nawet nie widząc auta, wszędzie by rozpoznała tego mężczyznę. Może z powodu garnituru, tym razem szarego. Agent FBI. Will.

Sheila powitała przybysza cichym parsknięciem.

Molly czekała, oparta o płot, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie bluzy; ugięła nogę, dotykając butem do najniższej deski. Kiedy Will zbliżył się na tyle, by mogła dostrzec rysy jego twarzy, podniósł wzrok i zobaczył, że dziewczyna go obserwuje. Usta wygiął mu zabawny, nieco złośliwy uśmiešek.

- Kawalek pizzy? - spytał, gdy dzieliło go od Molly tylko parę kroków. Wyciągnął w jej stronę białe opakowanie. - Próbowałem zadzwonić.

- Telefon włączą dopiero jutro.

Smakowity zapach unoszący się z pudła sprawił, że ślina napłynęła jej do ust. Pizza na wynos stanowiła rzadki luksus w życiu rodziny Ballardów.

- Dzieciaki przepadają za pizzą. Jeśli się nie pogniewasz, zostawię ją dla nich. Mnie wystarczy kanapka.

- Dałem już im dwie duże pizze i sześć puszek coli. Twoja siostra powiedziała, że tu jesteś. Nawet pokazała mi drogę.

- Ashley czy Susan? - spytała Molly, nie wyciągając ręki po pizzę, choć żołądek burczał jej tęsknie.

- Starsza.

- Ashley. - Molly głęboko zaczerpnęła tchu i popatrzyła mu w oczy. - Nie umieramy z głodu. W domu jest mnóstwo jedzenia.

- Wiem.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, potem zaś wzruszył ramionami i powiódł wzrokiem po okolicy. Wypatrzył w po-Księżyc myśliwego 91

bliżu niewielki, zwalony pień pośród kępy drzew. Poszedł tam i usiadł, kładąc pudełko na kolanach. Wyjął z kieszeni ćwierć-

litrowy kartonik mleka, postawił go na kłodzie obok siebie, po czym otworzył opakowanie i sięgnął po duży kawał pizzy, obficie posypanej serem i pepperoni.

Molly zaburczało głośno w brzuchu, gdy patrzyła, jak Will wbija zęby w ciasto. Od porannej zupy mlecznej z cheerios niczego nie miała w ustach.

- Mam to wszystko zjeść sam? - spytał po drugim kęsie. -

Zatuczę się.

Omal nie parsknęła śmiechem na tę uwagę. Nie mieściło jej się w głowie, że mógłby się zatuczyć. Był wręcz zbyt chudy.

- Lepiej żeby to spotkało ciebie niż mnie - odparła, podchodząc do pnia i spoglądając na mężczyznę i jedzenie.

Nozdrza jej drażnił kuszący zapach pizzy i pepperoni. Patrząc na Willa z góry, zobaczyła, że ma bardzo gęste, krótko przystrzyżone włosy. Ani śladu łysiny.

- Pierwszy raz widzę, żeby ktoś pił mleko do pizzy - zauważyła.

- Przecież jest zdrowe. - Podniósł wzrok. - Ale dla ciebie przyniosłem colę. - Wytarł ręce w serwetkę, wyjął z kieszeni znajomą czerwoną puszkę i podał Molly.

Po niemal niedostrzegalnym wahaniu przyjęła z podziękowaniem colę, obeszła siedzącego mężczyznę i usiadła na pniu.

Była głodna, a Will przyniósł pizzę. Dlaczego głupia duma mia

łaby jej zabronić rozkoszować się tym przysmakiem?

- Dziękuję za pizzę. Nie musiałeś tego robić.

- Wiem, że nie musiałem, ale zrobiłem, więc możesz się nią częstować.

Podnosząc do ust ciepły kawałek, dziewczyna stwierdziła z zadowoleniem, że Will bardziej się skupia na jedzeniu niż na niej. Cienkie, chrupkie ciasto, gęsty sos, aromatyczny ser, ostra pepperoni... Ten pierwszy kęs przyniósł Molly niemal seksualną rozkosz.

- Smaczna - odezwała się po dłuższej chwili, kiedy w przyjacielskim milczeniu przeżywali posiłek.

- Nie jadłaś lunchu, prawda?

Zerknął na nią uważnie znad leżącego pudła z pizzą. Brzmia

to to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie, jakby z góry znał

odpowiedź. Czy to aż tak oczywiste, że kona z głodu?

Molly kiwnęła głową.

92 Księżyc myśliwego

- Nie miałam czasu. Aha, jeśli chcesz wiedzieć, odzyskałam pracę.

- Wiedziałem, że ci się uda.

Nie wyglądał na zaskoczonego, ale cóż - wytłumaczyła sobie Molly - nie znał Dona Simpsona tak dobrze jak ona.

- Układ nadal jest w mocy? Pięć tysięcy dolarów za sprawdzanie tatuaży? - zapytała.

- Tak.

- Dajesz na to słowo?

Will popatrzył jej w oczy znad kolejnego kawałka pizzy.

- Zdaje się, że niezbyt ufasz ludziom.

Molly wzruszyła ramionami, wypłała łyk coli i sięgnęła po następną porcję.

- Jeśli chcesz, żebym ci zaufała, wypłać mi zaliczkę.

- Wtedy ja bym się zastanawiał, na ile można ci ufać. Wolę ten układ - odrzekł z uśmiechem.

- Nie wątpię. - Posłała mu kąśliwe, lecz przyjazne spojrzenie.

- To twój koń? - spytał, wskazując Sheilę. Klacz stała przy ogrodzeniu i przyglądała im się z zaciekawieniem. Pewnie się zastanawia, jak smakuje pizza, pomyślała Molly.

- Należy do Farmy Wylanda. - Pokręciła głową. - Kiedyś biegała, teraz jest na emeryturze. Ale ma na swoim koncie zwycięstwa za ponad milion dolarów.

- Imponujące - gwizdnął Will.

- Pewnie dlatego nie skończyła w fabryce kleju.

- Tam trafiają konie po zakończeniu kariery?

- Czasami. Albo robią z nich psią karmę lub nawóz.

- Żartujesz, prawda?

- Niewiele wiesz o tej branży.

- Owszem.

- Skąd właściwie jesteś? Sądząc po wymowie, pochodzisz z Północy.

- Z Chicago. - Uśmiechnął się nieoczekiwanie. - Ja również pomyślałem, że dziwnie mówisz.

Ignorując przytyk do miękkich, zlewających się sylab, charakterystycznych dla wymowy mieszkańców Południa, Molly zmierzyła go wzrokiem.

- To jakim cudem wylądowałeś w Kentucky i zająłeś się sprawą wyścigów konnych?

Will wzruszył ramionami.

Księżyc myśliwego 93

- Widać na mnie padło.

- Ale naprawdę jesteś agentem FBI?

- I znowu ta wcześniej wzmiankowana nieufność.

- Nie odpowiedziałeś.

Westchnął.

- Tak, moja złota, naprawdę jestem agentem FBI. Chcesz ostatni kawałek?

Potrząsnęła głową, więc Will się nim poczęstował.

- Co zrobiłaś w sprawie brata? - spytał między jednym kęsem a drugim.

- Ma miesięczny areszt domowy. Żadnej telewizji ani odwiedzin kolegów. Chociaż zarzeka się, że nie był wtedy w stajni.

- Wierzysz mu?

-Nie.

- Rozmawiałem z prawnikiem, o którym wczoraj wspomina

łem. Nazywa się Tom Kramer. Pójdzie z twoim bratem na policję.

Will skończył pizzę, wytarł ręce w serwetkę i wyjął z wewnętrznej kieszeni złożoną kartkę.

- To jego numer. Zadzwoń.

- Dziękuję.

Molly wzięła kartkę i schowała ją do kieszeni bluzy. Zawahała się, ale musiała poruszyć pewną kwestię, choćby miała się skrzyć ze wstydu.

- Nie wiesz, ile on bierze?

- Mówiłem, żebyś się nie przejmowała. Już to załatwiłem.

- Chyba nie zapłacisz ze swoich pieniędzy?

- Jak na kogoś, kto niedawno przywłaszczył sobie pięć tysięcy dolarów, jesteś strasznie drobiazgowa, gdy chodzi o pochodzenie forsy.

Molly spłonęła rumieńcem.

- Nie możesz o tym zapomnieć?

- Wykluczone - odparł, otwierając mleko.

- Wyobraź sobie, że na ogół nie kradnę. Więcej: nigdy nie kradnę. Tylko ten jeden raz. To był... impuls. Zajrzałam do worka, zobaczyłam pieniądze... i wzięłam.

- Każdy by tak zrobił.

- Każdy, kto jest w mojej sytuacji!

Nie szydził z niej, ale Molly i tak uważała, że powinna się bronić. Była przewrażliwiona na owym punkcie i - jeśli miałyby *94 Xsążyc myśliwego*

być zupełnie szczerą - na punkcie tego, co Will sobie o niej my

śli w związku z jej postępkami.

- Niewiele osób jest w takiej sytuacji jak twoja: dwudziestoczteroletnia kobieta, samotnie wychowująca czworo rodzeństwa. Czy wasza matka dawno umarła?

Molly pociągnęła kolejny łyk coli. Nie rozmawiała o rodzicach - rany sięgały zbyt głęboko, temat był zbyt osobisty.

- Słuchaj, panie agencie, skoro już zadajemy pytania, ja też mam parę: czy twoi rodzice żyją?

- Mam na imię Will.

Nacisk, z jakim ją spokojnie poprawił, przypomniał Molly o ostrzeżeniu z ubiegłej nocy.

- W porządku, Will. Czy twoi rodzice żyją?

Przypatrywał się jej przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Tak. Oboje.

- Rozwiedzeni?

Zdawała sobie sprawę, że w jej głosie słychać nadzieję.

Przecież musiało go w życiu spotkać jakieś nieszczęście. Pokręcił głową.

- W przysłym miesiącu obchodzą czterdziestą piątą rocznicę ślubu.

- A ty od jak dawna jesteś żonaty?

- Nie jestem.

- Sam mówiłeś, że masz osiemnastoletniego syna.

- Owszem.

- Więc jesteś rozwiedziony?

- Pudło.

- Nie mów, że jesteś samotnym ojcem?

W jej głosie dźwięczała już lekka desperacja. Nie mógł odpowiedzieć wprost?

- Moja żona zmarła piętnaście lat temu.

Słowom tym nie towarzyszył cień żalu ani smutku. Zabrzmiały jak zwykła konstatacja.

- Bardzo przepraszam. - Molly i tak poczuła się głupio.

- Stare dzieje.

Will niewzruszony pił ze smakiem mleko.

Dziewczyna zamilkła. Nie przestała podejrzewać, że on tak

że ma jakieś rany, ale nie chciała dotknąć żadnej z nich.

Z przyjemnością powitała szum zbliżającego się samochodu, dający okazję do zmiany tematu. Sheila głośno parsknęła *Xsigżyc myśliwego* _ _ _ 9 5

i odskoczyła od płotu, z wysoko uniesionym łbem i powiewającym ogonem, demonstrując formę, której niegdyś zawdzięczała mistrzowskie tytuły. Molly z uśmiechem spojrzała na Willa, odstawiła puszkę, wstała i podeszła do płotu.

W miejscu, gdzie wcześniej stała kłacz, zatrzymał się czarny jeep cherokee. Od strony kierowcy wysiadł się z niego postawny mężczyzna w ciemnobrązowym kapeluszu, dżinsach, kowbojskich butach i rozpiętej, długiej skórzanej kurtce. W ręce trzymał duży pistolet, skierowany lufą do ziemi. Drugi przybysz liczył sobie około trzydziestu lat, był przystojny, ciemnooki, miał jasną cerę i proste, kruczoczarne włosy. Opuścił szybę od strony pasażera i wysunął głowę. Obaj skupili uwagę na dziewczynie.

Rozdział czternasty

Cześć, czołem, Molly - przywitał ją postawny mężczyzna.

Mógł sobie liczyć również niespełna trzydzieści lat, zadziwiał posturą, nie urodą - miał żywą, pomarszczoną twarz i długie do ramion, jasne włosy.

- Uroda to potęga, a mieczem jest uśmiech - oświadczył

brunet, posyłając kosę spojrzenie towarzyszkowi, a potem kpiąco uśmiechając się do Molly.

- Cześć, czołem, J.D. Witaj, Tyler.

Molly zignorowała tę tajemniczą uwagę na powitanie, która -

jak przypuszczała - wymierzona była tak przeciwko niej, jak i J.D.

- Wszystko w porządku?

J.D. popatrzył groźnie na jakiś punkt za jej plecami. Obejrzawszy się, Molly uświadomiła sobie, że chodzi mu o Lymana, który właśnie się do nich zbliżał z uśmiechem na twarzy. J.D.

był dwa razy taki jak agent i bez trudu by go na Willa napuści

ła. Oczywiście nie zrobiłaby tego, ale sama owa myśl sprawiła jej dużą przyjemność.

- Tak, w całkowitym, J.D. To jest Will Lyman, Will, to J.D.

Hatfield i Tyler Wyland.

Agent, który właśnie przy niej stanął, odpowiedział krótkim skinieniem głowy. J.D. zareagował niezbyt przyjaznym -

by nie powiedzieć niemal wrogim - grymasem. Tyler Wyland też ograniczył się do kiwnięcia głową. W kącikach ust czaił mu się złośliwy uśmieszek.

Xsiężyc myśliwego 97

- Nie sądzę, by pan Lyman stanowił jakieś zagrożenie dla koni czy też dla Molly, J.D. - mitygował łagodnie towarzysza.

- Od paru nocy ktoś robi koniom krzywdę - odparł J.D. Poczerwieniał na twarzy ale nie dawał za wygraną. - Właśnie chciałem cię spytać, Molly, czy nie widziałaś albo nie słysza

łaś czegoś podejrzanego.

- Nie, nic nie widziałam. - Pokręciła głową, w ostatniej chwili powstrzymując się od uśmiechu.

J.D. od lat się w niej durzył. Mimo swych gabarytów i groźnego wyglądu był łagodny jak baranek i Molly za nic nie chcia

łały go zranić. Traktowała go jak przyjaciela i odsuwała wszelkie sugestie, że mogłoby ich połączyć coś więcej. Trzeba było przyznać J.D., że nigdy się jej nie narzucał.

- Cóż, pomyślałem, że może jednak... - Hatfield posłał Willowi kolejne mroczne spojrzenie. - Pora wracać do roboty.

Miej oczy i uszy otwarte, Molly, a gdybyś natrafiła na coś podejrzanego, daj znać.

- Dobrze - obiecała.

J.D. zamasyście wszedł do auta, położył broń na jej stałe miejsce nad tablicą rozdzielczą i wrzucił wsteczny bieg.

- Trzymaj się! - zahuczał na pożegnanie, pomachał jej ręką i zatoczywszy samochodem pół kręgu, ostro wyprysnął do przodu.

- Co to było? - spytał Will, gdy dziupla zniknęła w mroku.

Odwrócił się w jej stronę i popatrzył z mieszkanką wesoło

ści i rozdrażnienia - tak przynajmniej się Molly wydawało.

- J.D. jest strażnikiem, patroluje pola, pilnuje koni, stodół

i tego rodzaju rzeczy.

- Ciekawe, czy ma pozwolenie na ten pistolet. - Chyba jednak rozbawienie wzięło górę. - Prawdopodobnie nie. Zjawia się co wieczór, pytając, czy nie widziałaś albo nie słyszałaś czegoś podejrzanego?

- Nie - odparła, posyłając mu spojrzenie, które powinno w załączku zdusić jakiejkolwiek kpiny. - Pewnie chciał popisać się przed Tylerem, jaki z niego wzorowy pracownik. Od lat się przyjaźnią, ale Tyler jest jego pracodawcą.

- Chyba nie przed nim chciał się popisać - zauważył sucho Will.

Molly zrównała się z nim i razem podeszli do pnia. Agent rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Biedaczysko, chyba przeze mnie stracił szansę.

7. Księżyc myśliwego

98 Xsigzyc myśliwego

Dziewczyna się nastroszyła.

- J.D. to miły chłopak i przyjaciel, ale nic poza tym, jasne?

- Skoro tak twierdzisz.

- Tak twierdzą!

- Przecież ja tego nie podważam - zwrócił jej spokojnie uwagę agent.

W tym momencie nie miała już nic do powiedzenia. Siadłszy na pniu, przez chwilę przyglądała się Willowi bez słowa.

- Tyler Wyland... To ten poeta?

Zaskoczona, że on zna to nazwisko, potaknęła. Wieść gminna głosiła, że Tyler Wyland zdobywa międzynarodową sławę, lecz Molly odnosiła się do tego sceptycznie. Mało prawdopodobne, by mieszkaniec hrabstwa Woodford mógł się okazać poetą dużego kalibru. Z czystej ciekawości przeczytała kiedyś parę jego wierszy i wcale jej nie zachwyciły. Ale cóż, nie zna

ła się na poezji, więc nie mogła się w tej sprawie wypowiadać.

- Jest dobry - powiedział Will zamyślony.

- Czytałeś jego wiersze? - Molly nie zdołała zapanować nad zdziwieniem.

- Nie mdlej z zachwyty, zrobiłem to w ramach przygotowań. Kiedy prowadzę śledztwo, staram się dowiedzieć ile mogę o osobach związanych ze sprawą. Na dłuższą metę oszczędza się czasu i wysiłku.

- Sprawdzałeś Tylera Wylanda? Chyba nie podejrzewasz go o udział w oszustwach? Nawet nie chodzi o wyścigi i moim zdaniem w ogóle nie interesuje się końmi. Kiedyś sam się przyznał, że jeździ z J.D. wyłącznie w poszukiwaniu natchnienia.

- Jest członkiem rodziny, do której należą stajnie będące przedmiotem śledztwa, dlatego sprawdziłem go tak samo jak każdego, kto jest w podobny sposób związany z tą sprawą. Ale J.D. chyba przegapiłem.

Ostatnią uwagę dorzucił z lekkim uśmiechem.

- Więc i mnie sprawdziłeś - odezwała się Molly bez uśmiechu.

Will spojrział na nią.

-Tak.

W jego głosie ani w spojrzeniu nie pojawił się nawet cień skruchy.

- To dlaczego mnie wypytyujesz? - wybuchnęła, zaciskając pięści na samą myśl, że metodycznie grzebał w jej przeszłości.

- Po co zadajesz pytania, skoro i tak wiesz o mnie wszystko?

Xsiętyc myśliwego gg

- W ramach przygotowań poznaję fakty: datę urodzenia, wykształcenie, notowania w kartotekach policyjnych, tego rodzaju rzeczy. Same fakty, szanowna pani. Nic poza tym. Nie jest to tysiącstronicowe opracowanie z intymnymi szczegółami dotyczącymi twego życia.

Mierzył ją wzrokiem, nawet na chwilę nie spuścił tych niebieskich oczu. Mimo tych zapewnień, Molly czuła się obnażona, wystawiona na strzał. Nie mogła znieść myśli, że Will wszystko o niej wie. Same fakty, szanowna pani - ale co dokładniej zawierało się w tym pojęciu?

- Czy sprowadza cię tu coś jeszcze z wyjątkiem pizzy? - spytała chłodno.

- Miałem powód.

Will przez przyglądał jej się chwilę, a gdy znowu się odezwał, jego głos brzmiał chłodno i rzeczowo.

- Jutro w pierwszej gonitwie gra idzie o osiem tysięcy dolarów. Przed wyścigiem sprawdź te konie. Jeśli któreś numery nie będą się zgadzać, daj mi znać.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki wizytówkę i podał

ją Molly. Ogłaszała się na niej firma „Piękny trawnik”, wła

ściiciel: John Murphy. Podano też numer telefonu. Na odwrocie zobaczyła nabazgrane imiona trzech koni.

- I co mam zrobić? Zadzwoić z mojego telefonu w bucie?

- Będę niedaleko.

- Cudownie.

- Gdyby któryś z tych koni wygrał, natychmiast po gonitwie musisz sprawdzić wytatuowane numery.

- Jakim cudem? Zwycięski koń zawsze jest obłożony. Nie mogę przedrzeć się przez wielbicieli i

zajrzeć mu do pyska.

- To już twoje zmartwienie, musisz to zrobić. I żeby nikt cię nie złapał!

- Łatwo ci mówić - mruknęła pod nosem Molly, usiłując w coraz głębszych ciemnościach odczytać imiona koni. Oczywiście

ście wszystkie wierzchowce pochodziły z innych stajni. Czy naprawdę sobie wyobrażała, że sprawa będzie łatwa? - Dlaczego akurat te?

- Na wszystkie trzy zakłady wynoszą jeden do dwudziestu.

- I naprawdę sądzisz, że któryś z nich wygra?

Nagle w jej głowie błysnęła pewna myśl i rozdrażnienie powoli zaczęło ustępować. Złościć się na agenta FBI, że spraw-100 Xsiczyć myśliwego

dza informatorów, to tak, jakby się gniewać na ptaka, że lata.

To leży w naturze tego drania. Jakąż była idiotką, że nie przewidziała czegoś takiego!

- Dlaczego pytasz?

Coś w jej głosie musiało wzbudzić czujność Lymana. Zerknął na nią podejrzliwie.

- Bo może bym na któregoś postawiła. Gdybym wyłożyła dwadzieścia dolarów, mogłabym zarobić., czterysta.

Wziął do ręki pusty karton po pizzy i wstał.

- Każde zwycięstwo osiągnięte w sposób niezgodny z prawem zostaje unieważnione. Dlatego na twoim miejscu nie spieszyłbym się tak z tymi dwudziestoma dolarami. - Uśmiechnął

się i postawił puste pudełko po mleku na kartonie po pizzy. -

Muszę wracać. Chodźmy, odprowadzę cię do domu.

- Nie musisz mnie odprowadzać. Sama trafię.

- Jest już ciemno.

- I co z tego? Czyżbyś uważał, że w ciemnościach czyha na mnie niedobry bandyta, który mnie porwie? Jesteśmy w Versailles, w stanie Kentucky, a nie w Chicago.

Will wzruszył ramionami.

- Zrób to dla mnie. Musisz być jutro cała i zdrowa, żeby sprawdzić tatuaże wierzchowców. Zresztą, twój przyjaciel, J.D., wspominał, że ktoś robi krzywdę koniom.

Molly prychnęła. Jej towarzysz uśmiechnął się szeroko i Molly zdała sobie sprawę, że właśnie się przyznała, iż jej zdaniem J.D. wysłał sobie wszystko z palca, by zyskać pretekst do rozmowy. Spojrzenie, które posłała Willowi, nie zasługiwało na miano przyjaznego.

- Dziękuję, ale wolę jeszcze tu posiedzieć.

- Jak sobie chcesz.

Ponownie wzruszył ramionami i usiadł na pniu, z pudełkiem po pizzy na kolanach. Całkiem spokojny i zadowolony z siebie, złożył ręce i zapatrzył się w dal.

- Co robisz? - W jej głosie zabrzmiała irytacja.

- Czekam.

- Na co?

- Aż zdecydujesz się wrócić do domu. Nie zostawię cię tu samej w ciemnościach.

- W takim razie długo sobie posiedzisz - stwierdziła z lodowatym uśmiechem.

Księżyc myśliwego

101

Wzruszył ramionami. Molly już się nie odezwała. Dłuższy czas siedzieli na pniu, jakieś pół metra od siebie, zapatrzeni w coraz gęstszy mrok. Dziewczyna w myślach przebiegała długą listę zajęć, czekających na nią w domu i ogarniało ją coraz większe rozdrażnienie. Tymczasem Will najwyraźniej był gotów tkwić tu godzinami. Co więcej, wyglądał na pogrążonego w myślach.

Będzie musiała skapitulować. To nonsens, siedzieć tu tylko po to, by postawić na swoim, zwłaszcza że wieczór robił się coraz chłodniejszy i bardziej wilgotny.

Molly wstała.

- Wracam.

Spojrzał, jakby na moment zapomniał, kim ona w ogóle jest. Potem także się podniósł.

- Odprowadzę cię do domu.

- W porządku - syknęła przez zęby i ruszyła przed siebie.

- Molly! - zawołał za nią Will i przysięgłaby, że się śmiał.

- Czego?

Obróciła się na pięcie, gotowa do zwady. Tymczasem agent z kamienną miną skinieniem głowy

wskazał na coś przy pniu.

- Nie zapomnij puszki po coli.

Mimo mroku dostrzegła jaskrawoczerwone opakowanie.

- Mam gdzieś puszkę po coli - oświadczyła z lodowatą uprzejmością, odwróciła się i skierowała do domu, z wysoko podniesioną głową i wyprostowanymi plecami.

Po króciutkiej przerwie usłyszała, że Lyman za nią idzie.

Choć nie dała mu tej satysfakcji i nawet przelotnie się nie obejrzała, założyłaby się o miesięczny czynsz, iż zabrał puszkę.

To oczywiste. Wielki pan agent FBI nigdy, przenigdy nie śmiecił. Wszak był ideałem.

- Do zobaczenia jutro! - zawołał cicho, gdy Molly znalazła się już na schodach ganku.

Zatrzęsa się ze złości, ale co mogła zrobić? Jeśli będzie chciał, spotka się z nią i tyle.

Więc tylko z godną królowej wyniosłością wkroczyła do domu i zatrzasnęła drzwi.

Rozdział piętnasty

15 października 1995

Południowe słońce prażyło Molly w plecy, gdy dopinała popręg przy siodle Winnebaga i opuszczała strzemiona. Rozgadani widzowie krążyli wokół nieogrodzonego padoku, przyglądając się siodłaniu koni, mających wystąpić w pierwszej gonitwie.

Po lewej stronie zaświeciła lampa błyskowa. Winnebago, sze

ścioletni siwek, który miał już za sobą lata chwały, spokojnie stał wśród zamieszania, najwyraźniej nie przejmując się, że zamiast jego opiekuna siodła go ktoś obcy. Molly wynagrodziła łagodność siwka, drapiąc go za uszami. To był trzeci, ostatni koń z listy, którą wczoraj dał jej Will. Dwa poprzednie, podobnie jak Winnebago, okazały się w porządku. Żadnych podmianek.

Winnebago należał do stajni Cloverlota, w której od dwóch dni - czyli od samobójstwa Howarda Lawrence'a - wszystko sta

ło na głowie. W pośpiechu wyznaczony zastępca Howarda z wdzięcznością przyjął propozycję dziewczyny, która zaoferowała się „pomóc” i zaprowadzić wierzchowca na padok. Molly już wcześniej nauczyła się na pamięć numerów, które oficjalnie miały konie, więc wystarczyło jedno szybkie spojrzenie w pysk, by się upewnić, że wszystko się zgadza. Ten siwek to faktycznie Winnebago.

Sprawdzenie pozostałych koni okazało się jeszcze łatwiejsze. Po prostu weszła do odpowiednich

stajni i pod pozorem głaskania koni albo karmienia ich marchewką, odchyliła każdemu dolną wargę. Zadanie ułatwiał fakt, że nie były sławami.

Księżyc myśliwego

103

Ochrona skupiała się na gwiazdach i wierzchowcach dających nadzieję na wygraną, a nie na przebrzmiałych triumfatorach albo słabeuszach, którym nigdy nie udało się zdobyć nagrody.

Molly zastanawiała się, czy dostanie obiecane pięć tysięcy, jeśli Will nie znajdzie podstawianych koni. A może w ogóle szukają nie tu, gdzie trzeba i nie trafią na żaden ślad oszustwa. Liczyła, że właśnie tak to się skończy - oczywiście jeśli ona w takim wypadku również otrzyma wynagrodzenie. Taki prztyczek w nos dobrze by zrobił pewnemu siebie agentowi.

- Gotowe?

Zjawił się dżokej, Steve Emerson, ubrany w zielono-złote jedwabie stajni Cloverlota i Molly skinęła mu głową. Na torze odtrąbiono paradę koni. Dochodziła pierwsza po południu, wkrótce rozpocznie się pierwsza gonitwa dnia.

Na dźwięk trąbki, Winnebago, podobnie jak pozostałe konie, pomknął na tor, po raz kolejny szukać chwały. Molly odprowadziła go wzrokiem, przez chwilę patrząc, jak biegnie przez rzedniejący tłum, a potem ruszyła do stajni numer piętnaście. Widzowie mają wyścig, ale ona musi wykonać swoją pracę.

Lyman, jak zwykle elegancki w granatowej marynarce i spodniach khaki, które odcinały się od barwnego tła motyli sukienek kobiet, obserwował ją, trzymając się nieco na uboczu. Czekał przy ścieżce do stajni, obok wysokiego do piersi bukszpanowego żywopłotu, trzymając w ręce program gonitw. Molly zobaczyła Willa dziś po raz pierwszy i zupełnie się nie spodziewała, że go tu spotka.

Dostrzegła go nieoczekiwanie. Kiedy bez szczególnej ciekawości powiodła wzrokiem po rzedniejącej grupce gapiów, nagle wyłowiła spojrzeniem Willa i już nie oderwała od niego wzroku. Ku swemu zdumieniu pierwszy raz nie poczuła niechęci ani niezadowolenia, tylko ciepłą falę radości. Choć nie chcia

ła się do tego przyznać nawet przed sobą, ucieszyła się na jego widok.

Agent ze zmrużonymi oczami patrzył pod słońce, w którego promieniach jego włosy wydawały się złote, a skóra brązowa.

Wygląda sztywnie, pomyślała. Wręcz jest przystojny. Oczywiście jak na czterdziestoparolatka.

Ku swemu zaskoczeniu zauważyła, że się do niego uśmiecha.

Will również odpowiedział jej uśmiechem, a w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki. Było w tym coś niemal intym-104 K *siężyc myśliwego* nego, potwierdzenie, że łączy ich pewna więź, z której

nikt, poza nimi dwojgiem, nie zdaje sobie sprawy. Molly zdziwiła się trochę, że agent tak otwarcie przyznaje się do znajomości z nią, lecz potem sobie przypomniała: sama ich znajomość nie stanowiła tajemnicy, sekret dotyczył tylko tożsamości Willa.

Ruszyła w jego stronę, a jej uśmiech stał się jeszcze szerszy i serdeczniejszy. Z niepojętych przyczyn.

- Wielkie nieba, tylko Molly mi potrzeba!

Silne, męskie ramiona schwyciły ją od tyłu w talii, zawirowała nad ziemią i po chwili została postawiona na nogach. Ledwie jej stopy dotknęły gruntu, wyrwała się z uścisku i odwróciła twarzą do żartownisia.

- Przeniosłaś się do Cloverlota? - spytał z uśmiechem Thornton Wyland, bynajmniej nie zbity z tropu gniewem, który błyszczał w jej oczach. - Po tym jak powiedziałaś Simpsonowi, co może ze sobą zrobić, sądziłem, że nigdy już nie będziesz pracowała w tej branży.

- Ale się pomyliłeś. Nadal pracuję na Farmie Wylanda.

Thornton Wyland - prawie jej rówieśnik - był przystojnym brunetem, do którego od lat wzdychały wszystkie dziewczęta w okolicy. Odkąd w marcu ubiegłego roku wyleciał z Uniwersytetu Cornell (czwartej uczelni, na której próbował szczęścia) i wrócił do domu, cały swój czas poświęcił rozrywkom i zabawie.

Molly robiła, co w jej mocy, by go unikać, ale to nie przychodzi

ło łatwo. Uważał się za Adonisa i nie rozumiał, czemu ona po prostu się nie podda i nie pójdzie z nim do łóżka, jak każda inna dziewczyna.

- Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz tymi łapami, odrąbię ci je.

Klnę się na Boga. - Molly posłała mu uśmiech - ale nie był on miły.

W jego piwnych oczach błyszczało rozbawienie.

- Jesteś wyjątkowa, dziewczyno, wiesz? A może umówiłabyś się ze mną na piątek? Zabrałbym cię do jakiegoś przyjemnego lokalu.

- Po moim trupie - oświadczyła słodko i odwróciła się od niego.

Idąc do czekającego na nią Willa - wyrazu jego twarzy nie potrafiła odgadnąć, ale zniknął z niej uśmiech - właściwie się spodziewała, że zaraz poczuje klepięcie w pośladek, co stanowiło ulubioną metodę Thorntona zaczepiania dziewcząt. Naj-Xsiężyc myśliwego 105

wyraźniej jednak nie był zupełnym kretynem, bo dziś się powstrzymał.

- Ładnie to tak traktować szefa? - Dogonił ją. - Mógłbym ci znacznie ułatwić życie.

- W dniu kiedy zostaniesz moim szefem, odejdę - odparła Molly, nie odwracając do niego głowy i przyspieszając kroku.

- Kiedyś to nastąpi. Wiesz, że odziedziczę majątek.

- Ty będziesz wtedy starcem, a po mnie już dawno ślad zaginie, dzięki Bogu.

- Od śmierci dziadka ciocia Helen coraz częściej wspomina, że chciałaby mi przekazać farmę. Stryj Boyce wolałby zatrudnić kogoś z zewnątrz, ale stryj Tylor woli, by firma zosta

ła w rękach rodziny. A wiesz, że ciocia słucha stryja.

Stary John Wyland zmarł w grudniu. Jego żona, Sarah, rozwiodła się z nim dwanaście lat temu i obecnie mieszkała w Szwajcarii. Zerwała kontakty z rodziną i nawet się nie zjawi

ła na pogrzebie byłego męża. Po śmierci Johna ich jedyna córka, Helen - która wraz z mężem, Waltem Trappem i córką, Neilie, mieszkała w rodowej rezydencji - zajęła się prowadzeniem stadniny. Boyce, o osiem lat od niej młodszy, został prawnikiem i krą

żył między domami w Lexington, Lake Placid, Nowym Jorku i Palm Beach, najmłodszy zaś, Tyler, zajmował dawne skrzydło dla gości. Tad Wyland - ojciec Thorntona i pierworodny syn Johna, zmarł jakieś dziesięć lat temu. Od tamtej pory wychowaniem Thorntona zajęła się Helen Trapp i młody człowiek uważał rezydencję za swój dom.

Nie dawał spokoju Molly, od kiedy skończyła osiemnaście lat.

- Stryj Boyce ma rację.

Thornton się roześmiał.

- Kochanie, jeszcze walczysz, ale choć straszysz kolcami, w głębi ducha mnie lubisz. Czuję to. Co robisz w sobotę wieczorem?

- Myję włosy.

- Możemy to zrobić razem.

- Nie licz na to, koleś.

- Moglibyśmy się świetnie zabawić, gdybyś wreszcie przestała walczyć z przeznaczeniem.

- Mam alergię na preferowane przez ciebie rozrywki.

Chwycił ją za rękę i nie puszczał, całował jej kostki i ssał

palce. Dopiero po drugiej próbie Molly udało się wyrwać dłoń.

- Odwal się, Thornton, dobrze?

Przyspieszywszy kroku, dotarła do Willa, stanęła przy nim i z gniewem odwróciła się do Wylanda.

- Cześć - powiedziała ze sztucznie słodkim uśmiechem.

Jej natrętny wielbiciel też się zatrzymał, a na jego twarzy zagościła ciekawość. Zerknął na Willa, który mierzył go takim wzrokiem, że Molly odechciałoby się wszystkiego, gdyby ktoś w ten sposób jej się przyglądał. Mężczyźni byli podobnego wzrostu, obaj nosili granatowe marynarki, choć Thornton miał

szare spodnie i krawat w czerwone trójkąci, natomiast krawat Willa przecinały paski. W porównaniu z młodzieńczą urodą Wylanda, agent - muskularny, twardy, z wyraźnie rysującymi się na opalonej twarzy zmarszczkami - wyglądał poważnie i surowo.

A mimo to Molly zawsze wybrałaby Willa. Przy nim czuła się bezpiecznie.

Ku zdumieniu dziewczyny jej ręka po raz kolejny została ubezwłasnowolniona. Molly usiłowała nie mieć zaskoczonej miny, gdy Will, utkwivszy wzrok w Thorntonie, wolno, z premedytacją uniósł do ust grzbiet jej dłoni.

I trzymał ją tak. Usta miał suche i ciepłe, wręcz gorące.

Czuła jego oddech na skórze. Nie wrywała się, tylko pozwoli

ła, by robił, co chce. Obrócił jej rękę i całował wewnątrz dłoni.

Oszołomiona Molly czuła, że dotyk jego ust budzi w niej dreszcz, przesywający całe ciało.

Will nawet przez moment na nią nie spojrzał. Molly zdała sobie sprawę, że ten pocałunek był wyłącznie na użytek Thorntona Wylanda. Miał go odstraszyć.

Tymczasem ona z trudem chwytiała powietrze.

Thornton uniósł brwi, dostrzegając i słusznie interpretując tę intymną pieśczętę jako sygnał, że dziewczyna należy do Willa.

- Nowy chłopak, Molly? - spytał.

Will w końcu przestał całować jej dłoń, ale nie wypuścił

jej, tylko mocno ścisnął w swojej. Oszołomiona dziewczyna z trudem zbierała myśli i nie potrafiła sklecić prostego zdania.

Will ją wyręczył.

- Żebyś wiedział - oznajmił uprzejmie.

Przesłanie: „ręce precz” było jasne i klarowne, nawet Molly usłyszała niewypowiedziane wprost ostrzeżenie.

Xsiężyc myśliwego 107

- Hej, w końcu każdy może spróbować, nie? - odparł Thornton, wzruszając ramionami.

- Thorn! Thorn, chodź! Zaraz się zacznie gonitwa!

Wyland rozejrzał się i skrzywił na widok ładnej blondynki, która biegła doń z drugiego końca padoku.

- Muszę pędzić, Allie jest niecierpliwa, jak wszystkie moje kobiety. Mam nadzieję, że rozstajemy się bez żalu? - zwrócił

się do Willa.

Molly, która zaczynała się czuć jak kość między dwoma psami, usiłowała wzbudzić w sobie oburzenie, że rozmawiają o niej, jakby jej tu nie było, ale ciągle jeszcze nie otrząsnęła się z wrażeń, jakiego doznała pod wpływem dotyku ust Willa.

Thornton całował jej dłoń i nawet ssał palce, a ona odczuwała wyłącznie rozdrażnienie. Will przycisnął usta do jej wnętrza dłoni, a Molly poczuła, że ugięły się pod nią nogi.

To budziło przerażenie.

- Na razie tak.

Will nadal trzymał ją za rękę, co oboje - Molly i Thornton

- doskonale zauważyli.

- Do zobaczenia, laleczko.

Odchodząc, Wyland pociągnął ją lekko za kucyk.

- Chyba że ja pierwsza cię zauważę.

Na tyle już przyszła do siebie, że zdążyła mruknąć to do jego pleców, ale wątpiła, by usłyszał.

- Thornton Wyland, jeśli dobrze zgaduję? - odezwał się sucho Will, puszczając dłoń Molly tak swobodnie, jakby wcale nie odczuwał ognia, który w niej płonął.

Dziewczyna, która ciągle jeszcze całkiem nie ochłonęła, nie odrywała wzroku od malejącej sylwetki Thorntona, zaanektowanego przez blondynkę i prowadzonego w stronę trybun.

- Skąd wiesz...? Och, ciągle zapominam, że ty o wszystkim wiesz. Masz teczkę każdego mieszkańca tych okolic?

Agent uśmiechnął się przelotnie.

- Tylko tych, którzy mnie interesują. I pamiętaj: wyłącznie fakty. Od dawna znasz młodego Wylanda?

- Od kiedy skończyłam osiemnaście lat.

- Chodziłaś z nim? Zachęcałaś go?

- Thornton Wyland nie potrzebuje zachęty - prychnęła.

- Nie lubisz go?

108

Xsiężyc myśliwego

- Jest gorszy od wrzodu na tyłku.

Teraz, gdy Will już jej nie dotykał, Molly potrafiła znowu normalnie myśleć. Ale ciągle jeszcze się nie otrząsnęła po tamtym. Przecież ten facet nie pociąga - nie może! - pociągać jej seksualnie.

- Naprawdę? - Agent najwyraźniej przestał już się tym interesować. - Przypuszczam, że na jakiś czas da ci spokój.

Sprawdziłaś numery?

- Tak. - Dostosowując się do niego, Molly także przybrała oficjalny ton. - Wszystkie się zgadzały. Żaden koń nie został

podmieniony.

- Cholera! - Will zmarszczył brwi. - Jesteś pewna, że numery się zgadzały?

- Jestem pewna.

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy, lecz w końcu zmusi

ła się, by to zrobić.

- Cholera! - zaklął ponownie Will, wpatrując się w zadumie w punkt za nią. Po chwili zebrał myśli i zwrócił wzrok na Molly. - Możliwe, że sprawa się przeciągnie. Miałaś jakieś problemy?

- Nie.

- Tak jak przypuszczałem.

- A jeśli nie znajdziemy żadnych podstawionych koni? -

spytała.

- Są tutaj i znajdziemy je.

- A jeśli nam się nie uda, czy i tak dostanę pieniądze?

W oczach mężczyzny błysnęło rozbawienie.

- Nigdy nie zapominasz o najważniejszym, co? Dziwię się, że tak uparcie dajesz Thorntonowi Wylandowi kosza. Pochodzi z bogatej rodziny. Dla takiej jak ty to świetna partia.

- On nie chce mnie kupić, tylko na trochę wynająć - odparowała ostro Molly. - Wyobraź sobie, że nie jestem aż taka głupia. I co masz na myśli, mówiąc „dla takiej jak ty”?

- Bez grosza przy duszy - wyjaśnił, a w kącikach jego ust czaił się uśmiech. Powiódł wzrokiem po jej figurze i zatrzymał

się na twarzy. - Ale pięknej.

Zaskoczonej dziewczynie nie przyszła do głowy żadna replika. Stała bez słowa, a Will uśmiechnął się lekko i zwinętym programem pacnął ją w policzek.

- Wracaj do pracy. Jeśli wylecisz z roboty, przestaniesz *Xsiężyc myśliwego*

109

mieć dla mnie wartość i możesz się pożegnać z pięcioma tysiącami dolarów. - Odwrócił się i podążył w stronę widowni. - Do zobaczenia.

Zupełnie już wytracona z równowagi Molly patrzyła, jak agent wtapia się w tłum. Potem, uświadomiwszy sobie, co robi, wygłosiła sobie w duchu kazanie i wróciła do pracy.

Surowo zakazała sobie myśleć o Willu Lymanie aż do końca dnia.

Rozdział szesnasty

Tego wieczora przyniósł kurczaka z Kentucky Fried Chicken.

Molly stała przy kuchni, szykując ser do makaronu, a równocześnie przepytywała Sama z literowania. Przy kuchennym stole Susan pochylała się nad zadaniami z matematyki. Obok siedziała Ashley, bezskutecznie usiłując jej wytłumaczyć, dlaczego rozwiązanie, do którego z takim trudem doszła, jest złe. W pokoju dziennym Mike pracował nad referatem z historii, który miał przygotować na następny tydzień. Obok niego leżały encyklopedia i notatnik. Molly mogła tylko mieć nadzieję, że chłopak faktycznie coś robi. Na ogół Mike zwlekał do ostatniej chwili, a potem zarywał noc w przeddzień terminu, osiągając połowę wyników, na które byłoby go stać, gdyby włożył w pracę tyle czasu i

energii, ile należało. Siadł dziś do referatu wyłącznie dlatego że Molly go zmusiła - zresztą i tak nie miał nic do roboty. Nie mogąc się nigdzie ruszyć, pozbawiony dostępu do telewizji i telefonu, stał się naburmuszonym więźniem we własnym domu.

- Inteligencja - powiedziała Molly do Sama.

- I-n-t-e-l-i-g-ę...

Jedno spojrzenie Molly wystarczyło.

- Chciałem powiedzieć: e-n...

Molly słuchała, nie przestając mieszać makaronu, i kiwnęła głową, gdy Sam poprawnie przeliterował cały wyraz. Podała bratu kolejne słowo, odłożyła łyżkę i zmniejszyła gaz na kuchence. Hamburgery już skwierczały, jedno spojrzenie wystarczyło, by się upewnić, że pora je przewrócić na drugą stronę.

W głębi pyrkotał sos, od którego zapachu ślinka ciekła do ust, *Xsiężyc myśliwego* 111

a obok niego groszek od pani Atkinson z boczkiem. W piekarniku odgrzewały się bułki, wyjęte z zamrażarki.

- „Rozchód” pisze się przez „z” a nie „s” - poprawiła, łopatką przewracając hamburgery.

Sam spróbował ponownie, tym razem dobrze. Mały nie nale

żał do orłów, a jego piętą achillesową okazała się ortografia, gdyż nie uznawał jej znaczenia. Za to dla Susan Waterloo stanowiła matematyka. Był to jedyny przedmiot, w którym nie brylowała.

- Molly, może ty wiesz, na czym polega własność zero? -

spytała załamana Ashley, podnosząc wzrok znad zadań, nad którymi ślęczały. - Susan nie wie, ja też nie do końca pamiętam, a w tej durnej książce nie mogę nic znaleźć.

- Złapałaś mnie - rzekła Molly, przepraszająco wzruszając ramionami.

- Nienawidzę matmy - mruknęła Susan. - To takie głupoty.

- Matma jest łatwa - odezwał się ponuro Mike z drugiego pokoju.

W niewielkim domu z drugiego pokoju, a nawet piętra doskonale się słyszało wszystkie rozmowy.

- Własność zero polega na tym, że nawet jeśli wielokrotnie mnoży się przez zero, zawsze będzie wychodzić zero.

- Dzięki, Mike! - odkrzyknęła Ashley.

Nie kryjąc niechęci, Susan zapisała odpowiedź brata.

- Temperatura - podrzuciła Molly Samowi, gdy rozległo się stukanie do drzwi.

Zadowolona, że choć na chwilę może się oderwać od lekcji, czwórka Ballardów podniosła wzrok. Żeberko z ujadaniem wyskoczył spod stołu. Mike z encyklopedią w ręce stanął w drzwiach pokoju dziennego.

- Ja otworzę! - zawołali jednym głosem Susan i Sam.

Susan, jako że była bliżej, wyprzedziła brata o ułamek sekundy i otworzyła drzwi na oścież, omal nie przycinając psu łapy. Żeberko natychmiast skorzystał z okazji i przemknął

obok jej nóg. Szczekał jak opętany.

Na ganku stał Will. Mimo panującego na dworze mroku i siatki w drzwiach, Molly natychmiast go poznała. Gdzieś w okolicach serca poczuła dziwne ciepło. Serdeczny uśmiech sam zakwitł na jej ustach, dopóki się nie zorientowała i go nie zgasiła.

- Cześć - przywitał Will Susan, która bez wahania otworzy

ła nadal nienaprawione drzwi i wpuściła go do środka.

112 Księżyc myśliwego

Kiedy je pchnęła, opadły, więc - nie wypuszczając jakiegoś opakowania - chwycił klamkę i przyjął na siebie ich cięż

zar. Wszedłszy do środka, zamknął drzwi, skinął głową Ashley i Mike'owi, posłał uśmiech Samowi, pochwalił Żeberko, który przestał jazgotać, cichym „dobry pies”, potem zaś spojrzał na Molly.

-Przyniosłem kolację - oświadczył z czarująco psotnym uśmiechem i podsunął jej pod nos duży zestaw z Kentucky Fried Chicken; pod pachą ścisnął dwulitrowy karton mleka.

Po całym ciele Molly rozlało się ciepło. Ucieszyła się na widok tego mężczyzny, nie było sensu się wypierać. Z radością go witała ze smażonym kurczakiem i mlekiem albo bez.

- Co on sobie myśli? Że trafi do twojego serca przez nasze żołądki? - warknął Mike i zniknął w pokoju dziennym.

Molly posłała bratu ostrzegawcze spojrzenie, co niewiele dało, gdyż chłopak już poszedł.

- Dziękuję - zwróciła się do Willa, wracając do kuchenki i zachowując dystans nie tylko poprzez odległość, ale i ton -

ale, jak widzisz, właśnie szykuję jedzenie. Wyobraź sobie, że potrafię gotować.

Sam mruknął coś pogardliwie, a gdy Susan wymierzyła mu kuksańca, zawył z bólu i odplącił jej się tym samym.

- Lekcje! - skarciła oboje Molly, zażegnując w załączku rodzinną kłótnię, by nie przerodziła się w prawdziwą wojnę. -

Susan, jeśli nie skończysz matematyki przed kolacją, nie będziesz mogła potem oglądać telewizji. Sam, skończmy wreszcie z tymi ćwiczeniami.

- Założę się, że on jest dobry z matematyki - oznajmiła Susan pełnym nadziei głosem kogoś, kogo rodzeństwo nie ma za grosz zdolności.

Zamknawszy drugie, drewniane drzwi, utkwiała spojrzenie dużych, brązowych oczu w gościu. Ubrana w dżinsy i dżinsową koszulę z wytartym kołnierzykiem, z kręconymi włosami ściągniętymi w kucyk i związanymi niebieską wstążką, Susan wyglądała słodko jak cukierek. Najwyraźniej oczarowany Will uśmiechnął się do małej.

- Nieźle sobie radzę - odparł z udaną skromnością, po czym wszedł do kuchni, przekazując kubeczek kurczaków i mleko Molly, która w końcu je przyjęła.

- Miło, że to przyniosłeś - powiedziała niechętnie, a potem *Ksieżyc myśliwego* 11 3

dorzuciła jeszcze bardziej burkliwie: - Dziś na kolację hamburgery z sosem. Możesz zostać i zjeść z nami.

- Hamburgery z sosem to moje ulubione danie. - Popatrzy!

jej w oczy z uśmiechem.

Choć Molly powtarzała sobie, że powinna mieć się przed Willem na baczności i nie zapominała ani o motywach, jakie nim kierowały, ani o okolicznościach, jakie ich połączyły - dała się oczarować temu spojrzeniu. I nim zdążyła nad sobą zapanować, odpowiedziała tym samym. Wątpiła, by Will jadł kiedykolwiek hamburgery z sosem. Ale idealnie pasował w ich malutkiej, ubogiej kuchni - chociaż był obcy, pochodził z północy, a do tego pracował jako agent w FBI.

- Umiesz mnożyć ułamki? - spytała Susan, ciągnąc gościa za rękaw granatowej marynarki.

- Chyba tak - rzekł Will pogodnie. - Jeśli nie zapomniałem.

- Mnie zawsze wszystko się płacze. Ułamki w ogóle są głupie - narzekała, prowadząc go do stołu.

Owo absolutne przekonanie, że Will naturalnie pomoże jej w lekcjach, równocześnie rozbawiło i przeraziło Molly. Susan niełatwo darzyła kogoś zaufaniem, a ten mężczyzna miał wszak tylko na krótko zagościć w ich życiu. Molly nie chciała, by Susan - czy którekolwiek z nich - za bardzo przywykło do jego obecności. Jeszcze parę tygodni i agent Lyman zniknie.

- Nie musisz się tym zajmować - powiedziała nad głowami dzieci, podczas gdy Susan odsuwała

ławkę, robiąc miejsce go

ściowi.

Ashley ze współczującym uśmiechem ustąpiła miejsca swemu wybawcy, podeszła do Molly, wyjęła jej z rąk kurczaki oraz mleko i postawiła jedzenie na blacie. Zawstydzona, że sama tego nie zrobiła, Molly całą uwagę skupiła na kuchence.

- Nie ma sprawy - powiedział Will w stronę jej pleców. -

Tak naprawdę to przepadam za mnożeniem ułamków.

Skwitowała to zapewnienie krzywym spojrzeniem, pełnym sceptycyzmu. Will się uśmiechnął.

- To bije na głowę wiele rzeczy, jakie w życiu robiłem. Daj mi chwilę, Susan, niech zakąszę rękawy i zobaczę, czy uda nam się przywołać te ułamki do porządku.

I zdjął marynarkę. Susan zachichotała, a Molly - udając że sprawdza, co z bułkami - zerknęła kątem oka. Położywszy marynarkę na ławce, Will rozluźnił krawat i zsunąwszy go przez głowę. Księżyc myśliwego

114 Księżyc myśliwego

wę, dołączył do marynarki. Z przesadnym zapałem rozpinając guziki przy mankietach i podwijając rękawy koszuli, gość, ku rozbawieniu Susan, udawał, że szykuje się do ciężkiej pracy.

Kiedy Will usadowił się obok jej młodszej siostry, Molly zauważyła, że jego bary pod niebieską koszulą są bardzo szerokie, a szyję i ramiona miał równie opalone jak twarz. W miejscu, gdzie koszula się rozchyłała, widać było kępki złocistych włosów.

- Przypalasz bułki! - syknęła jej do ucha Ashley.

Śmiertelnie zawstydzona, że ją przyłapano, jak stoi przy uchylonych drzwiczkach piekarnika i kątem oka przygląda się gościowi, Molly wzięła się w garść, chwyciła łąpkę i sięgnęła po bułki. Te w głębi piekarnika - grzał nierówno - za bardzo się spiekły, ale wciąż jeszcze nadawały się do zjedzenia. Wyjęła jedną i położyła na blacie. Ashley już czekała, by ułożyć ciepłe pieczywo w misce, wysłanej serwetką. Co prawda była to tylko papierowa, żółta serwetka, ale i tak stanowiła szykowny element domowej kuchni Ballardów.

- Nie możemy tego zrobić jutro? Dziś jest piątek - narzekał Sam, niezadowolony, że nikt nie zwraca nań uwagi.

Oparł się o szafkę przy kuchence, nieco zazdrośnie obserwując Susan i Willa. Przywołana do porządku Molly sięgnęła po łyżkę i zamieszała sos w garnku, rzucając okiem na leżący na blacie notatnik z wyrazami, które miała przećwiczyć z młodszym bratem. W każdy poniedziałek mieli w szkole dyktando i żeby Sam dostał przyzwoitą ocenę, musieli sumiennie ćwiczyć przez cały weekend. Molly zdążyła się już przekonać, że uleganie pokusie i przesunięcie tego na sobotę źle się kończyło.

Żelazna reguła brzmiała: najpierw lekcje. Nawet w weekendy.

- Sam znasz odpowiedź - ucięła. - Ambicja.

- A-m... - zaczął bez entuzjazmu chłopiec.

- Ja się tym zajmę - szepnęła jej do ucha Ashley, gdy Molly uparcie przewracała hamburgery. - Musisz się uczesać.

I włożyć buty! Nie zapomnij też o szmince.

- I-c... - ciągnął Sam.

Nie przestając kątem oka kontrolować poczynąń rodzeństwa, Molly zerknęła na swoje stopy. Znowu była boso - jak zwykle w domu. Dziś miała na sobie przedpotopowe, przykrótkie spodnie od dresu i kolejną za dużą koszulę Mike'a, w czerwono-czarną kratę, z podwiniętymi do łokci rękawami.

Twarz bez cienia makijażu, włosy ściągnięte w kucyk. Nawet *Xsiężyc myśliwego 11 5*

w najśmielszych marzeniach nie powiedziałyby, że wygląda cudownie.

A przecież niewiele lepiej prezentowała się dzisiaj w południe, gdy Will nazwał ją piękną.

-J-a.

Najwyraźniej Ashley pragnęła, by Molly zrobiła na Willu wrażenie, co oznaczało, że polubiła go i zaaprobowała, i chciałyby, żeby zagościł u nich przez jakiś czas. Było to głupie i niemożliwe, choć - oczywiście - siostra nie mogła się tego domyślać.

W takiej sytuacji ostatnia rzecz, na której zależało Molly -

to by wyglądać ładnie dla Willa. Nie zamierzała ani na chwilę zapomnieć, kim on naprawdę jest i czemu okazuje tyle uwagi jej i jej rodzinie.

Chciał od niej czegoś, a oczekując, aż Molly wywiąże się z zadania, odgrywał jej chłopaka i robił to całkiem przekonująco. Powinien zostać aktorem, nie agentem FBI.

Został jednak tym drugim i pojawił się w ich życiu tylko na krótko.

- Nie sądzisz, że wyglądam seksownie? - szepnęła do Ashley żartobliwie.

Siostra odpowiedziała zdecydowanym potrząśnięciem głową.

- Molly, słuchasz? - spytał oburzony Sam.

- Oczywiście.

- Nieprawda! Specjalnie opuściłem „b”, a ty nawet nie zauważyłaś.

- Skąd ta pewność? Właśnie miałam ci kazać jeszcze raz przeliterować.
- Kłamczucha!
- Ambicja - powiedziała z naciskiem Molly, posyłając bratu takie spojrzenie, że mały mądrała umilkł.
- A-m...
- Nakryję do stołu. - Ashley zrezygnowała z walki o poprawienie wyglądu siostry i sięgnęła do szafki po talerze.
- I-c...
- A gdzie „b”?
- Sprawdzalem, czy słuchasz.
- Słucham. Przeliteruj jeszcze raz. Jeśli się pomylisz, będziesz musiał napisać to pięć razy.
- Nienawidzę ortografii - oświadczył z mocą Sam. - A-m-b-116 Xsiętyc myśliwego
- Nie rozumiem! Dlaczego i licznik, i mianownik trzeba pomnożyć przez cztery? - jęczała Susan przy stole.
- C-j...
- Żeby znaleźć najbliższy wspólny mianownik - odparł cierpliwie Will i zaczął tłumaczyć od początku.
- Molly, nie słuchasz! - krzyknął rozzłoszczony Sam.
- Owszem, słucham - skłamała, zdejmując hamburgery z rusztu i wkładając je do białego naczynia, które Ashley podsunęła jej pod łokieć. - Dobrze przeliterowałeś. Wspaniale.

Bandaż.

Zadzwonił telefon. Molly odebrała, przytrzymując słuchawkę brodą i polewając hamburgery sosem. Równocześnie słuchała rozmowy i literowania Sama. Oczywiście telefon był do Mike'a. Molly zerknęła w stronę pokoju dziennego, zawahała się, ale wyrzuciła z serca litość i oświadczyła telefonującemu, że brat nie może podejść.

Rozłączyła się, rzuciła ostatnie słowo Samowi, wymieniła znaczące spojrzenia z Ashley, która dzieliła jej niepokój w sprawie Mike'a i wysypała do miski groszek.

- Kolacja - ogłosiła.

W tej samej chwili Susan z promiennym uśmiechem zatrzasnęła książkę, w ten sposób oznajmiając koniec odrabiania lekcji, a potem wniosła na stół naczynie z hamburgerami oraz miskę groszku.

Rozdział siedemnasty

W czasie kolacji telefon dzwonił trzykrotnie: dwa razy do Mi-ke'a, który się obraził, gdyż mu nie pozwolono rozmawiać z przyjaciółmi i raz - niespodzianka! - do Ashley.

- Chłopak - oznajmił Sam, podając siostrze słuchawkę.

Ta poczerwieniała, zerknęła po zebranych i wstała od stołu, aby porozmawiać. Kiedy Ashley nie mogła już go widzieć, wracający do stołu Sam znacząco wznosił oczy ku niebu i uśmiechnął się szeroko. Molly skarciła go wzrokiem i zaczęła coś mówić, by dać siostrze cień złudzenia, że cała rodzina nie słucha z zapartym tchem każdego słowa. Sama Molly miała wrażenie, że uszy jej zaraz odpadną od wytężonego nasłuchiwania. Udało jej się wychwycić tylko pojedyncze wyrazy, bo siostra oparła się o ścianę i odwróciła od stołu, rozmawiając znacznie ciszej niż zwykle i garbiąc się, jakby chciała zapewnić sobie maksimum prywatności. W wypadku Ashley telefon od chłopaka był rzeczą niezwykłą, bezprecedensową. Tam, gdzie chodziło o mężczyznę, Ballardowie nastawiali uszu.

Ciągle jeszcze zarumieniona dziewczyna wróciła do stołu, ale uśmiechała się teraz, a jej oczy błyszczały.

- Znalazłaś sobie chłopaka, Ash? - spytał Mike ze znaczącym spojrzeniem. Zawsze głodny, pochłaniał już dokładkę.

- Jak się nazywa? - chciała się dowiedzieć żywo zainteresowana Susan.

Z podniecenia zapomniała nawet o kolacji i połowa jedzenia została na talerzu. Susan często trzeba było przypominać 118 *Xsieżyc myśliwego*

o posiłku. Jedzenie nie znaczyło dla niej tyle co dla Mike'a czy Sama.

- Jedz, Susie - powiedziała Molly.

- Mam nadzieję, że nie będziesz taka okropna jak Molly -

Sam zwrócił się do Ashley. - Człowiekowi niedobrze się robi, kiedy patrzy na tych facetów, którzy się przy niej kręcą.

A większość to okropne typy.

- Sam! - syknęła Ashley, posyłając znaczące spojrzenie w kierunku Willa.

Głuchy odgłos spod stołu i zboląta mina Sama świadczyły, że bliźniaczka nagrodziła ów brak taktu celnym kuksańcem.

Mike prychnął ukradkiem, Molly zaś ostrzegawczo zmrużyła oczy, wymownie patrząc na obu braci.

- Nie chodziło mi o ciebie, Will. - Sam zwrócił na gościa błagalny wzrok. - Ciebie lubię.

- Dziękuję, Sam, ja też cię lubię.

Najwyraźniej niewzruszony Will jadł dalej. Mimo podejrzeń Molly, entuzjastycznie pochłaniał jedzenie i prawie całkiem opróżnił talerz.

- To był Trevor.

Ashley spojrzała na jedzenie, którego prawie nie tknęła, a potem popatrzyła ponad stołem na Molly. Policzki miała tak zaróżowione ze wstydu, a oczy tak promieniejące szczęściem, że Molly najchętniej podeszłaby do siostry, aby ją uściskać.

Powstrzymała się od tego, ale posłała jej uśmiech pełen zrozumienia i radości.

- Pytał, jakiego koloru sukienkę włożę na bal, bo kupi mi kwiaty. - Na twarzy dziewczyny zagościł promienny uśmiech. -

Och, Molly, i chciał wiedzieć, czy wolę bukietik przypinany do sukienki, czy zakładany na rękę.

- O rany! - jęknęła zazdrośnie Susan, odkładając widelec.

- Kwiaty, ohyda! - skomentował Sam.

- Baby! - mruknął Mike i jeszcze bardziej się przygarbił.

Z zapałem rzucił się na resztę jedzenia; najwyraźniej ów budzący odrazę temat rozmowy nie osłabił jego apetytu.

- Co mu powiedziałaś? - spytała Molly, starając się spokojnie jeść dalej.

Naprawdę zaś rozsadzało ją takie samo podniecenie jak siostrę. Choć Ashley nigdy o tym nie mówiła, Molly zdawała sobie sprawę, że młodszą siostrę martwi to odsunięcie od tutej-Xsiężyc myśliwego 11 9

szego życia towarzyskiego. Koleżanki ze szkoły drażniły się z nią, przezywając dziewczynę „jajogłową” i „mózgowcem”.

A chłopcy w ogóle jej nie zauważali.

- Powiedziałam, że dam mu znać, bo jeszcze nie mam sukienki. Och, Molly, co ja na siebie włożę?

Ashley zajęła się jedzeniem, ale nie ulegało wątpliwości, że straciła apetyt. Molly zastanawiała się, czy siostra w ogóle wie, co wkłada do ust.

- Bal jest w przyszły piątek? - spytała, choć doskonale zna

ła odpowiedź. - Jedz, Susie - odezwała się do małej łagodnie.

Upomniana Susan znowu sięgnęła po widelec.

W odpowiedzi na pytanie Molly, Ashley kiwnęła głową.

- W przyszłym tygodniu wybierzemy się po zakupy.

- Mogłabym włożyć tę złotą koronkową sukienkę, którą kupiłam w ubiegłym roku na ślub Rosalee.

Najwyraźniej do Ashley dopiero teraz dotarło, że na bal trzeba by kupić sukienkę i natychmiast się zasmuciła. W jej głosie i oczach pojawiła się troska. Świadoma potrzeb finansowych rodziny i jej ograniczeń, zamierzała się bronić przed wydawaniem pieniędzy na coś tak niepotrzebnego jak nowa suknia.

Molly twardo pokręciła głową.

- Potrzebna ci długa suknia, kochanie. Poza tym wybieranie jej to będzie świetna zabawa.

Jakoś ueziera pieniądze, poprzysięgła sobie w duchu, choćby musiała zastawić telewizor. Niestety, piątkowa wypłata nie wystarczy na zakup nowej sukienki, a Simpson - bodajby mu nóżka spuchła - nie wypłacił jej tamtej zaległej dwutygodniowej pensji, którą zatrzymał, gdy odeszła. Nagle zaświtała jej radosna myśl: może znajdzie się coś w sklepach z używaną odzieżą, których całe mnóstwo ostatnio pojawiło się w centrum Lexington. To by zminimalizowało wydatek.

- Kup sobie różową - radziła Susan. - Do twarzy ci w różowym. I z szeroką spódnicą, jak Kopciuszek. I z mnóstwem falbanek.

- Kopciuszek. Ohyda. - Sam zacisnął sobie ręce na szyi i udawał, że się dusi.

- Skończ kolację - skarciła go Molly. Dopiero wtedy przypomniała sobie o gościu, który zasiadał na honorowym miejscu na krześle, przysuniętym do stołu. - Moja siostra została zaproszona na bal w szkole.

120 X\$iężyc myśliwego

- Tak się domyślałem. - Will uśmiechnął się do Ashley. -

Na pewno będziesz się świetnie bawić.

- Mam nadzieję. - Ashley uśmiechnęła się nieśmiało, ale radośnie. Spojrzeniem szukała Molly. - Dopiero teraz sobie uświadomiłam... Nie umiem tańczyć.

- Wystarczy, że staniesz i zaczniesz trząść cyckami - zahuczał Mike. - Wiesz, o tak. - Zrobił krótką demonstrację ze swego miejsca.

- Jedz, Mike - powiedziała Molly.

- Zamknij się, Mike - zawtórowała Ashley i zerknęła na Molly. - Nie mogę tam pójść i deptać wszystkim po palcach!

Nie mogę!

- A sądzisz, że tamci umieją tańczyć? - uspokajała ją Molly. - Oczywiście, z wyjątkiem tego, co pokazał nam Mike.

Ashley skinęła głową.

- Dużo osób chodziło na kotyliony, Trevor też. Opowiadał mi o tym, zanim zaprosił mnie na bal. Mówił, że ich nie znosił, ale mama mu kazała.

- Co to są kotyliony? - spytał gość z nieukrywanym zaciekawieniem.

- Nie słyszałeś o kotylionach? - oburzyła się Susan.

- On pochodzi z Chicago - usprawiedliwiła Willa Molly, posyłając mu rozbawione spojrzenie. Agent skrzywił się, przepaszając za swą ignorancję.

- To coś wyłącznie dla elegancików - powiedział Mike. -

Istny dom wariatów!

- Ja nie będę na to chodził - włączył się Sam. - Wybijcie to sobie z głowy.

- Nawet byś nie mógł - dorzuciła z bólem Susan. - Żadne z nas by nie mogło. Trzeba otrzymać zaproszenie z któregoś z klubów.

- Trzeba też być bogatym - wyjaśnił Mike. - Bogatym snobem.

- Trevor nie jest snobem - oburzyła się Ashley. - Jest bardzo miły.

- Ashley się zakochaaaaała!

Mike cmokał, udając pocałunki. Ashley poczerwieniała z gniewu.

- Mike! - skarciła go Molly i zwróciła się do Willa. - Kotylion to rodzaj klubu tanecznego, do którego uczęszcza młokoKsiężyc myśliwego

121

dzień od piątej do dziewiątej klasy. Przychodzą dwa razy w tygodniu i uczą się tańca towarzyskiego.

- Oraz dobrych manier - dorzuciła Ashley.

- Dziewczyny są wystrojone, a chłopcy muszą wkładać garnitury i krawaty - dodał z odrazą Sam.

- Skąd wiesz? - Mike spojrzał zaskoczony na brata. Taka wiedza zupełnie nie pasowała do małego, który interesował się wyłącznie sportem. Sam przełknął makaron i wzruszył ramionami.

- Niektórzy z mojej klasy na to chodzą. Opowiadali.

- Molly, ty chodziłaś na potańcówki. Nauczysz mnie, dobrze? - Ashley spojrzała na siostrę z nadzieją.

- Jasne - odrzekła Molly, choć miała pewne wątpliwości.

Jej też nie uczył żaden instruktor. - Ale tak naprawdę, cały sekret polega na tym, żeby dać się prowadzić partnerowi. Ty masz robić to, co on, tyle że na odwrót.

- Cudownie - zasępiła się Ashley. - Nawet nie znam kroków i chcesz, żebym je robiła odwrotnie?

- Przewróci się na du... pośladki.

Sam szybko zerknął na Molly, upewniając się, czy zauważy

ła jego potknięcie. Żrebięca niezgrabność i brak wdzięku Ashley stanowiły przedmiot rodzinnych kpin.

- Sam! - rzuciła ostrzegawczo Molly, która wszystko słyszała.

- Na pewno się nie przewróci! - zaprotestowała jak zawsze lojalna Susan.

- Założę się, że tak - powiedziała Ashley, gniewnie wbijając widelec w Bogu ducha winne mięso. - A Trevor uzna mnie za łamagę.

- Wystarczy, że trochę poćwiczysz - odezwał się Will, patrząc na zwieszoną głowę dziewczyny. - Chętnie ci pomogę, je

śli chcesz.

- Umiesz tańczyć? - spytały unisono Ashley i Susan, a wszyscy obecni przenieśli wzrok na mężczyznę.

- Arthurem Murrayem nie jestem - oświadczył trzeźwo Will. - Ale Trevor zapewne też nie. Nauczę cię podstaw, to wystarczy.

- Cudownie! - zawołała Susan, klaszcząc w ręce.

- Dziękuję, Will - zapaliła się Ashley. - Byłabym ci bardzo wdzięczna.

Odsunęła talerze i od razu poderwała się na nogi.

- Po kolacji - przywołał ją do porządku, aż opadła na miejsce zawstydzona.

Po minie Sama było widać, jak bardzo wstrząsnęło nim oświadczenie Willa, że umie tańczyć. Mike pogardliwie wydał

usta, ale milczał, skupiając się na jedzeniu. Susan i Ashley mia

ły oczy niczym gwiazdy, a Molly zastanawiała się, dlaczego nawet jej to nie zdziwiło. Bardziej zaskakujące byłoby, gdyby mężczyzna w wieku Willa i jego pochodzeniu nie umiał tańczyć.

- Jedzcie! - rozkazała rodzinie.

Przez parę minut ciszę przerywało tylko szcęknięcie sztućców o poszczerbione talerze.

- Skończyłem. - Mike odsunął swoją część ławki.

- Czy mogę wstać? - automatycznie poprawiła go Molly.

- Wszystko jedno.

Chłopak pogardliwie machnął ręką i zniknął w pokoju dziennym. Molly miała ochotę zawołać go z powrotem albo przynajmniej skarcić za brak wychowania, ale uznała, że szkoda jej nerwów na scenę, jaka zapewne by się rozpiętała.

- Ja też *się* najadłem - pisnął Sam, wstając od stołu.

Już otwierała usta, by go poprawić tak samo jak Mike'a, ale westchnęła i zamilczała. Trzeba się skupiać na tym, co dobre, pomyślała. Przynajmniej ugryzł się w język i nie dokończył

brzydkiego słowa.

- Teraz będziesz uczył Ashley tańczyć? - niecierpliwie dopytywała się Susan.

- Jestem gotów, jeśli ona chce - odparł Will, z uśmiechem patrząc na dziewczynę.

Zarumieniła się, ale także i uśmiechnęła. Choć była taka nieśmiała, uśmiech i gotowość posłuchania Willa mówiły same za siebie. Już nie widziała w nim tego, kim naprawdę był - wła

ściwie nieznanego mężczyzny - lecz uważała go za kogoś zaufanego, do kogo mogła się zwrócić w potrzebie. Za przyjaciela.

- Jestem gotowa... ale właśnie sobie przypomniałam, że dziś moja kolej zmywania.

- Ja to zrobię - ofiarowała się Molly.

Co złego, jeśli Will nauczy Ashley tańczyć? To w końcu taka prosta sprawa...

Trzeba jednak uświadomić siostrze i reszcie rodzeństwa, że Will nie na długo pojawił się w ich

życiu. Nie chciała, aby się *Xsiężyc myśliwego 123*

do niego przywiązali, a potem pewnego dnia, przekonali się, że odszedł na zawsze.

- Mogę popatrzeć? - spytała Susan, gdy wszyscy odsunęli się od stołu.

- Mnie to nie przeszkadza - odrzekł Will z uśmiechem, a Ashley skinęła głową.

- Mnie też nie - wtrąciła Molly - pod warunkiem że sprzątniesz ze stołu. Dziś twoja kolej, zapomniałaś?

Susan jęknęła.

- Sam, dziś twój dyżur zmiatania - przypomniała bratu Molly i zawołała do pokoju dziennego: - Mike, dziś ty karmisz psa i wynosisz śmieci!

- Tak, tak - padła odpowiedź brata.

Zanim chłopak zjawił się w drzwiach, Susan zdążyła już zsunąć do miski kopiastą porcję jedzenia. Zmieszane z byle jaką psią karmą resztki stanowiły kolację Zeberka.

- Dobrze, lewa noga do tyłu - instruował Will Ashley.

Molly wycisnęła odrobinę płynu do zmywania do wody, lejącej się już do zlewu i kątem oka przyglądała się lekcji tańca.

Szczupłutka Ashley, w białych ogrodniczkach i puszystym, niebieskim golfie, ze śmiechem usiłowała wypełniać polecenia Willa. Okulary zsunęły jej się na nos, poprawiła je i z powrotem po

łożyła rękę na ramieniu partnera. Prawą dłoń splotła z jego dłonią. Jego druga ręka - opalona, o długich palcach - spoczywa

ła na jej talii.

Will z uśmiechem patrzył Ashley w oczy.

Molly z zaskoczeniem poczuła lekkie ukłucie czegoś podejrzanie bliskiego zazdrości. O Ashley? - pomyślała zdumiona.

Sam pomysł wydawał jej się idiotyczny.

Uświadomiła sobie jednak, że jest zazdrosna nie tyle o Ashley, ile o jej lewą rękę, spoczywającą na ramieniu Willa; o prawą dłoń, gdyż dotykała palców tego mężczyzny; o talię, którą obejmował Will.

Tak gorąco pragnęła być teraz na miejscu młodszej siostry, że ją samą to przerażało.

- Przesuń się w lewo! - polecił Will.

Ashley przesunęła się w prawo, rozminęła się z nim, gdy przesunął się w lewo i została pociągnięta na właściwe miejsce.

- Przepraszam!

124 Xsieżyc myśliwego

Ćwiczyła w skupieniu, ze ściągniętymi brwiami. Twarz mia

ła zaróżowioną, cała była sztywna, nawet z kręconych włosów, emanowało napięcie.

- Nic się nie stało - uspokajał ją Will. - Teraz przesunij się w lewo i do przodu, potem w prawo. I przećwiczymy jeszcze raz.

- Chodź, Żeberko - odezwał się Mike do psa, który w oczekiwaniu na kolację łąsił się do jego nóg.

Prawie nie odrywając wzroku od Ashley i Willa, Susan postawiła stertę wytartych talerzy na blacie, a Mike wyszedł

z psem na dwór.

- Dobrze, teraz lewa do przodu i krok w prawo - mówił Will.

Zrobił krok w tył, Ashley zaś w przód, ale nie tą nogą. Jej szczupła stopa w niebieskiej skarpetce wylądowała na czubku starannie wyczyszczonych, czarnych pantofli Willa.

Rozdział osiemnasty

Susan skrzywiła się współczująco.

Oparty o miotłę, obserwujący wszystko z nieskrywaną pogardą, Sam wybuchnął głośnym śmiechem.

- Sam! - skarciła go Molly.

Z rękami po łokcie zanurzonymi w ciepłej wodzie bezskutecznie usiłowała się skupić na zmywaniu, zamiast patrzeć na siostrę i Willa. Nawet jeśli poddała się jego urokowi, to szybko minie. Po prostu zmysły na moment wymknęły jej się spod kontroli, tłumaczyła sobie w duchu. Najlepiej nie myśleć o tym, a wszystko błyskawicznie zniknie. Tak jak on.

- Przepraszam - powiedziała Ashley, znowu podnosząc nogę.

- Nie ma za co - odrzekł Will. - Tylko pamiętaj: lewa, lewa, lewa, prawa.

- Nigdy się tego nie nauczę - jęknęła.

- Nigdy się tego nie nauczy - zawtórował z przekonaniem Sam.

- Zamknij się, Sam! - syknęła Susan.

- Zamiataj, Sam! - poleciła Molly, wkładając szklanki do gorącej wody.

Nie mogła się oprzeć pokusie i zerknęła na tańczącą parę.

Odprężony, cierpliwy Will wyglądał o niebo za seksownie, jak na gust Molly. Co prawda Ashley najwyraźniej tego nie dostrzegała. Nie ulegało wątpliwości, że nie tylko się w nim nie durzy, ale ciężko pracuje. Przygryzała dolną wargę, myśląc wyłącznie o tym, gdzie teraz postawić nogę.

Molly, Mike i Sam byli zręczni, czuli się swobodnie we własnych ciałach i doskonale radzili sobie z większością dyscyplin *126 Księżyc myśliwego*

sportowych, a do tego Molly przepadała za tańcem, podczas gdy Susan i Ashley nie posiadały tak dobrej koordynacji ruchowej.

Ashley tyle razy przewracała się podczas nauki jazdy na rolkach, że w końcu z nich zrezygnowała - a ilekroć wsiadła na konia, zawsze z niego spadała. Wolno biegła, słabo odbijała piłkę i równie kiepsko ją łapała; któregoś roku spadła z równoważni i złamała rękę. Nie potrafiła stanąć na rękach, zrobić mostka ani nawet gwiazdy i wychowanie fizyczne stanowiło jedyny przedmiot, z którego groziła jej ocena niższa od najlepszej.

Nie wyglądało też na to, by miała zdolności do tańca. Podobnie jak nie wyglądało na to, by Ashley dostrzegała w Willu mężczyznę. I vice versa.

- Lewa, lewa, lewa, prawa - liczyła kroki Ashley, sztywno poruszając się w ramionach partnera.

- Poradzisz sobie, Ash - zachęcała ją Susan.

- Rany, ale głupota! - mruknął Mike, przechodząc przez kuchnię.

Łypnąwszy jeszcze na Ashley i Willa, ponownie zniknął

w pokoju dziennym.

- Mike, śmieci! - zawołała za nim Molly.

- Lewa, lewa, lewa, prawa.

- Doskonale ci idzie - pocieszał ją Will.

- Wyglądasz, jakby ci ktoś wsadził kij w tyłek - skomentował Mike, zjawiając się w kuchni. Wziął worek i ruszył do drzwi. - Rozluźnij się trochę.

- Zamknij się, Mike! - krzyknęły prawie jednym głosem Molly z Susan i spojrzały na siebie z uśmiechem.

- Mam nadzieję, że to nie wygląda zupełnie głupio.

Ashley traciła już nadzieję, gdyż kolejny raz zatrzymali się z Willem, bo poplątały się jej kroki.

- Wygląda - uspokoił ją Sam.

Zamiótł już i przysiadł teraz na brzegu stołu kuchennego, krytycznie obserwując poczynania siostry. W dzinsach, adidasach i ciemnoniebieskiej bluzie Kentucky Wildcats, z blond grzywką wpadającą do oczu, wyglądał na swój sposób równie słodko jak Susan.

Szkoda że pozory mylą, pomyślała załamana Molly.

- Wcale nie wygląda głupio - powiedziała głośno, posyłając bratu mordercze spojrzenie, Susan zaś, która właśnie wstawiała do lodówki mleko i masło, zawołała: *Xsiężyc myśliwego 127*

- Potrzebna wam muzyka! - i wybiegła z pokoju.

- Świetnie nam idzie - ponownie zwrócił się do Ashley Will.

- Po prostu musimy poćwiczyć.

- Może ćwiczyć do znudzenia i nic jej to nie pomoże - stwierdzi! Mike, ponownie mijając ich w drodze do pokoju dziennego. - Spójrz prawdzie w oczy, Ashley, nie umiesz tańczyć.

- Mike! - warknęła Molly, ale chłopak już zniknął.

- Może powiem Trevorowi, że nie mogę iść. - Ashley zatrzymała się, opuściła ręce i smutno popatrzyła na siostrę.

Molly zmarszczyła brwi.

- Nie bądź niemądra. Oczywiście, że pójdziesz. Będziesz pięknie wyglądała, będziesz tańczyć równie dobrze jak wszyscy i masz się doskonale bawić.

- Bo ty tak mówisz? - spytała Ashley ze słabym uśmiechem, z rękami założonymi na piersi i dłońmi wsuniętymi pod łokcie.

- Bo ja tak mówię! - odparła Molly.

- Chciałabym, żebym ktoś mnie nauczył tańczyć - westchnęła z zazdrością Susan, która wróciła z niewielką pozytywką, wyjętą z komódki Molly. - Kto ciebie nauczył, Will?

Wzruszył ramionami.

- To samo przyszło.

- A kto ciebie nauczył, Molly? - Susan nakręcała pozytywkę.

- Mnie też samo przyszło. Wystarczy słuchać muzyki i dać się prowadzić partnerowi.

Molly skończyła płukać talerze i przystąpiła do sztućców.

Susan otworzyła wieczko pozytywki. Kuchnię wypełniły czyste, pogodne dźwięki „Edelweiss”.

...mała i biała, czysta i jasna, czekasz na mnie co rano...

- Spróbujcie z muzyką - zaproponowała dziewczynka.

Will wyciągnął rękę, Ashley westchnęła, wzniosła oczy ku niebu i stanęła w wyuczonej pozycji.

...mała i biała, czysta i jasna, witasz mnie z radością...

Will i Ashley sunęli niezgrabnymi kwadratami po kuchni, a Molly, słysząc ukochaną melodię, poczuła napływające do oczu łzy.

Śnieżny kwiatuszku, obyś rosła i rozkwitała...

Pozytywkę dostała od matki. Ilekroć zabrzmiały metaliczne dźwięki, przypominała sobie drobne radości i duże smutki, 128

Xsiężyc myśliwego

o większości których najchętniej by zapomniała. Dlatego tak rzadko słuchała tej piosenki.

...na wieki rosła i rozkwitała.

Edelweiss, Edelweiss, niech będzie błogosławiona moja ojczyzna.

Była zaskoczona, że Susan wie, gdzie przechowywała pozytywkę.

- Pokażesz mi, Molly? - poprosiła Ashley.

Muzyka ucichła. Molly rozejrzała się zaskoczona. Ashley i Will odsunęli się od siebie, oboje patrzyli na nią.

- Jeśli z nim zatańczysz, może zrozumie, na czym to polega. Wydaje mi się, że nie idzie mi dobrze.

Zaskoczona Molly zamrugła powiekami, pragnąc odgonić wspomnienia. Łagodne, brązowe oczy spoglądały prosząco.

- Pokaż jej, Molly, proszę - błagała Susan, trzymając palec na małym guziczku, który, naciśnięty, przerywał muzykę. -

Chcę zobaczyć, jak ty to robisz.

- Na pewno poradzisz sobie lepiej niż Ashley - mruknął

Sam, kręcąc głową.

- Ashley doskonale sobie radzi - wtrącił Will. - Ale rzeczywiście chyba by jej pomogło, gdyby zobaczyła, jak inni to robią. Molly?

Wyciągnął do niej rękę. Molly przypomniała sobie, jak tego samego dnia całował jej dłoń, nie objawiając przy tym żadnych emocji, podczas gdy ona przeżyła prawdziwy wstrząs. Nawet jeśli wbrew rozsądkowi dała się oczarować temu mężczyźnie, on nie odwzajemniał jej uczucia.

- Mam mokre ręce - protestowała.

Susan, która wycierała sztucce, bez słowa podała jej ścierkę. Molly nie znalazła żadnej przekonującej wymówki -

w końcu Will odgrywał jej chłopaka, a to był tylko taniec -

więc wytarła ręce i podeszła do niego.

Jego ramię było twarde, koszula zaś została uszyta z miękkiego, delikatnego materiału. Palce, które ścisnęły dłoń dziewczyny, okazały się ciepłe i silne. Czowała pewny dotyk drugiej ręki, otaczającej jej talię.

Instynkt nakazywał Molly spuścić wzrok, otoczyć się murem i nie patrzeć na tego mężczyznę. Ale co Will i rodzeństwo by o niej pomyśleli?

Podniosła głowę, spojrzała mu prosto w oczy, przywołała na usta uśmiech.

Xsiężyc myśliwego

129

Susan cofnęła palec z przycisku i popłynęła melodia „Edelweiss”.

...witasz mnie z radością...

Molly starała się nie słuchać.

Tak się starała, by nie okazać, jaką reakcję wywołuje w niej partner i muzyka, że nie myślała już o krokach. Po prostu dawała się prowadzić Willowi, a jej białe stopy przesuwały się po podłodze. Dzięki temu wyglądała, jakby świetnie umiała walczyć, którego tańczyła może ze trzy razy w życiu.

...Śnieżny kwiatuśku...

Molly dostrzegła wśród złocistych włosów nad uszami Willa kilka srebrnych nitki. Bruzdy przy ustach były głębsze niż zmarszczki w kąciach oczu. Usta miał wąskie, ale kształtne, teraz błękał się po nich lekki uśmiech, gdy mężczyzna spoglądał na nią z góry.

...obyś rosła i rozkwitała...

Oczy miał jeszcze bardziej niebieskie niż sweter Ashley.

Czubek jej głowy idealnie mieścił się pod jego nosem.

Opalona szyja Willa wydawała się mocna niczym kolumna.

A choć włosy na torsie były złociste, okazały się ciemniejsze niż te na głowie. Molly przyłapała się na tym, że się zastanawia, jak gęste miał owłosienie na klatce piersiowej. Chyba niezbyt gęste, uznała. Nie z tymi jasnymi włosami.

Niech będzie błogosławiona moja ojczyzna...

Jego ciało musiało promieniować ciepłem. A może było to coś innego? W każdym razie uderzały w nią fale gorąca. Zrobi

ło jej się bardzo, bardzo ciepło.

Muzyka umilkła. Will wykonał ostatni, teatralny obrót i pu

ścił Molly.

Zakręciło jej się w głowie. Susan, Sam i Ashley bili brawo.

- Dobrze tańczysz - pochwalił ją Will z uśmiechem.

- Dziękuję - Molly z zadowoleniem skostatowała, że jej głos niemal nie zdradza tego, co czuła. - Ty też.

- Podstawowy krok walca to nic trudnego.

- Ashley? Kolej na ciebie.

Molly odsunęła się, oparła o blat i z wolna dochodziła do siebie. Ashley i Will wrócili do nauki, ale wcale już nie czuła zazdrości. Gdyby Ashley odczuwała przynajmniej coś zbliżonego do tego, co przeżywała Molly w ramionach Willa, nie potrafiłaby tego ukryć. Zdradziłaby ją jasna cera. Kiedy się patrzyło na 9. Księżyc myśliwego

130 Księżyc myśliwego tych dwoje, nie miało się wątpliwości, że nie czują do siebie pociągu. Tańczyli po przyjacielsku, nic więcej.

Molly zastanawiała się tylko, jak wyglądała, tańcząc z Willem. Wątpiła, by można to określić mianem „po przyjacielsku”.

Jej rodzeństwa na pewno by to nie zaniepokoiło. W końcu Will podawał się za jej chłopaka.

Nagle Susan krzyknęła przeraźliwie. Ostry, przenikliwy pisk zjawił się znikąd i zburzył przytulny spokój kuchni. Pozytywka wysunęła się dziewczynce z rąk i z brzękiem upadła na podłogę. Muzyka

umilkła.

Blada jak kreda Susan szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w okienko. Zasłony własnej roboty, które i tak nigdy nie zasuwwały się do końca, były odsłonięte. Za oknem panował

nieprzenikniony mrok.

- Co się stało? Co takiego? - pytali jedno przez drugie.

Susan drżącym palcem pokazała okno.

- Ktoś tu zaglądał!

- Susan! Jesteś pewna? - Znowu chór głosów.

- Tam ktoś był! Był!

- Nie ruszajcie się! - rozkazał Will i wybiegł na zewnątrz.

Mike, który w parę sekund po krzyku Susan zjawił się w kuchni, chwycił strzelbę, stojącą w kącie przy lodówce i wypadł również. Drzwi zatrzęsły się za nim z hukiem. .

Na podwórku Żeberko zaczął ujadać. Molly podniosła z pod

łogi pozytywkę. Stawiając ją na blacie, wyczuła lekkie pęknięcie w gładkiej, owalnej ścianie i miała nadzieję, że to jedyne uszkodzenie. Ale tym zajmie się później, teraz ważna była tylko siostra.

Wkrótce zjawił Mike, trzaskając drzwiami. Molly, która uspokajała roztrzęsioną Susan, spojrzała na niego pytająco.

- Dupek! - syknął Mike przez zęby i wściekle kopnął

w ścianę.

Molly uniosła brwi. Wymieniły z Ashley pytające spojrzenia. Nim zdążyły cokolwiek powiedzieć, wrócił Will.

- Nikogo nie ma - odezwał się, zamykając drzwi.

Molly zauważyła, że teraz on trzymał broń i z nagłym zrozumieniem spojrzała na brata - widać Will zabrał Mike'owi strzelbę.

- Tam ktoś był. On... Oni... zagląдали do środka - upierała się Susan. - Widziałam ich!

Xsiężyc myśliwego 131

- To musiał być duch. Kiedy wyszliśmy na podwórze, Żeberko jadł i nikogo nie wyczuł. Ale trudno się dziwić, skoro był to duch - drażnił się Mike.

- Teraz ujada - zwróciła mu uwagę Ashley.

- Kot - wyjaśnił Will. - Popędził za nim do płotu, ale nie może przeskoczyć.

- Och.

Wszyscy znali stosunek ich pupila do kotów. Will przeszedł

przez kuchnię i odłożył strzelbę na miejsce.

- Nie powinnaś trzymać w domu broni, a już na pewno nie tam, gdzie dzieci mogą ją wziąć - zwrócił się do Molly.

- Mówiłem ci, że nie jest naładowana. - W głosie Mi-ke'a brzmiała nieskrywana wściekłość. Will zmierzył go wzrokiem.

- Nadal jednak jest niebezpieczna. A gdyby tam stał policjant? Mógłby cię postrzelić, uważając, że jesteś uzbrojony i przez to niebezpieczny.

- Ale tam nie było gliny. Ani nikogo! To tylko moją szanowną siostrzyczkę poniosła wyobraźnia.

- Nieprawda! Tam ktoś stał! Naprawdę! - protestowała Susan.

- Może widziałaś Libby Coleman? - złośliwie podsunął Mike.

- Usłyszała muzykę i też chciała zatańczyć.

Susan głośno wciągnęła powietrze.

- Mike!

Molly posłała mu mordercze spojrzenie, a Susan jeszcze bardziej pobladła.

- Co to za Libby Coleman? - spytał Will, sprawdzając, czy okno kuchenne na pewno jest zamknięte i wyglądając przez nie na podwórko.

I co on chce tam zobaczyć? - pomyślała Molly. Nawet agenci FBI nie mają w oczach rentgena.

- To tutejszy duch - wyjaśniła, usiłując nadać głosowi lekkie brzmienie. - Tyle że nikt nie wie, czy na pewno nie żyje.

- Na pewno kiedyś widziałeś jej zdjęcie na kartonach z mlekiem - dodała Ashley. - Zniknęła... dobre dziesięć lat temu. Miała jakieś dwanaście lat. Jakby się rozpułyła.

- Po lekcji tańca - podkreślił Mike, znacząco patrząc na Susan. - Tańca, rozumiesz? Założę się, że nadal lubi tańczyć.

- Zamknij się, Mike - syknęła Susan ze złością.

~ To się zdarzyło trzynaście lat temu. Pamiętam, bo byliśmy niemal rówieśnikami i dlatego tak się bałam. Wszędzie o niej mówiono, w telewizji, w prasie. Potem jeszcze przez parę ładnych miesięcy nigdzie nie puszczano nas samych - wspominała Molly.

- Mieszkałaś wtedy w Domu? - spytała Ashley, marszcząc brwi.

Molly potaknęła. Zerknęła na Willa, by się upewnić, czy nie zrozumiał wzmianki o współczesnym sierocińcu, w którym spędziła większość okresu dojrzewania. Ale zapewne i tak w ramach sprawdzania jej doszukał się informacji na ten temat.

A może nie. Twierdził, że interesują go „wyłącznie fakty”. Po raz kolejny Molly się zastanawiała, co oznaczają „wyłącznie fakty”.

Najwyraźniej nie zwrócił uwagi na pytanie Ashley albo nie uznał za stosowne drążyć tematu.

- Coleman... - powtórzył zamyślony. - Z tych Colemanów od stajni Greenglow?

Molly przytaknęła. Znacznie chętniej będzie kontynuować ten wątek niż tamten.

- Ich młodsza córka. Mieli... Mają jeszcze starszą i syna.

- A ta mała trzynaście lat temu zniknęła po lekcji tańca? -

Will potarł brodę. - Interesujące, ale nie sądzę, by to ona zaglądała do was przez okno.

- Tam ktoś był - upierała się Susan. - Widziałam. Naprawdę.

- Nawet jeśli tak, to już sobie poszedł, nie przejmuj się. -

Will zerknął na Molly. - Ale na wszelki wypadek obejrzą dom.

Pozwolisz?

Skinęła głową. Will przeszedł po parterze, sprawdzając okna i zamki. Potem udał się na górę. Po powrocie oświadczył

Molly:

- Zamek przy oknie w łazience na górze jest wyłamany. Zablokowałem okno kawałkiem listewki. Następnym razem to naprawię.

- Dziękuję - odpowiedziała z uśmiechem.

Mike spochmurniał.

- Co to? Teraz on tu rządzi? - mruknął i ruszył do siebie.

Echo gniewnego tupania rozniosło się po całym domu.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

Xsiężyc myśliwego 133

- Przechodzi trudny okres - odezwała się przeproszająco Ashley do Willa, który skinął głową.

- Muszę iść - zwrócił się do Molly. - Chyba że się boisz. Je

śli chcesz, zostanę.

- Poradzimy sobie - odparła, nadal opiekuńczo tuląc do siebie Susan. - Ale dziękuję za propozycję. I za kurczaka. Nie będę musiała jutro gotować obiadu.

- Na pewno?

- Tak. - Podała mu *marynarkę* i krawat. Will opuścił rękawy, włożył marynarkę i zawiązał krawat.

- Jeszcze parę razy przećwiczymy ten krok walca i w przyszły piątek będziesz tańczyć jak mistrzyni - obiecał Ashley.

- Mam nadzieję. - Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. -

Dziękuję, Will.

- Cześć, Will - odezwał się smutno Sam.

Molly zastanawiała się, od kiedy dzieci zaczęły doń mówić po imieniu. Ta poufałość wydawała się naturalna, ale nie była pewna, czy powinna na nią pozwolić. Przecież dzieciaki nie znają całej sytuacji.

Nic jednak nie mogła poradzić. Uznałyby, że jej odbiło, gdyby zażądała, by zwracały się do niego per „panie Lyman”.

Wszystkich jej chłopaków nazywały po imieniu.

- Cześć, Sam. Cześć, Susan. Nie przejmuj się. Najprawdopodobniej było to jakieś zwierzę - może sowa - które przysiadło na parapecie i przstraszyło się, gdy krzyknęłaś.

- Taaa... - Dziewczynka nie wyglądała na przekonaną.

- Odprowadzę cię do samochodu - zaproponowała Molly, sądząc, że może Will ma dla niej jakieś instrukcje.

- Nie. - Jego głos zabrzmiał ostro. Molly spojrzała pytająco, a Will wziął ją za rękę, przyciągnął do siebie i szepnął do ucha:

- Niczego nie widziałem, ale nigdy nie wiadomo. I ty, i cała twoja rodzina macie siedzieć dziś w domu i porządnie pozamykać drzwi. Na wszelki wypadek. Rozumiesz?

Skinęła głową w milczeniu. Will nie puszczał jej ręki, jego oddech grzał jej ucho. Czowała żar tego nawet w czubkach palców u nóg.

- W razie gdybyś coś zobaczyła albo usłyszała, znasz mój numer. Najpierw zadzwoń na policję, a potem do mnie, bo oni przyjadą tu szybciej. Jasne?

134 K siężyc myśliwego Znowu skinęła głową. Przestraszył ją. Troszeczkę. Przecież to nonsens. Trudno nazwać hrabstwo Woodford jaskinią zbójców, nawet o podglądaczy tu trudno. Najbliższymi sąsiadami byli Atkinsonowie, a ci mieszkali niecały kilometr dalej.

Zresztą, J.D. całą noc patrolował teren.

Will wypuścił jej dłoń, pomachał wszystkim na do widzenia i wyszedł.

Słowa, jakimi pożegnał Molly, brzmiały surowo:

- Zamknij drzwi na klucz. I, na miłość boską, pozbądź się tej strzelby.

Rozdział dziewiętnasty

14 października 1995

Kiedy Molly zatrzymała się pod domem, dochodziło wpół do szóstej wieczorem. Padała z nóg. Soboty były w Keeneland bardzo pracowitymi dniami; wtedy najwięcej się tam działo. A ponieważ Lady Valor nie mogła wystąpić w gonitwie klaczy, w stajniach panowała ogólna rozpacz. Główna rywalka Lady Valor, Alberta's Hope z kalifornijskiej stajni Nestora wygrała w czasie, który ich klacz - Molly nie miała co do tego wątpliwości - spokojnie by pobiła. Don Simpson podzielał jej zdanie.

Dlatego też chodził wściekły jak osa i lepiej było omijać go z daleka. Do tego jeszcze żaden z koni, których imiona podał

jej Will, nie okazał się podmieniony. A sprawdzenie każdego kosztowało ją wiele wysiłku (tym razem na liście widniało sześć!) i martwiła się, że nie trafiła na ślad oszustwa.

Czyli - ujmując rzecz we właściwy sposób - miała za sobą koszmarny dzień.

Kiedy Molly wysiadała z samochodu, z ich domu wychodzi

ła właśnie najlepsza przyjaciółka Ashley, Beth Osbourne. Molly pogawędziła z nią parę minut, zanim weszła do mieszkania.

Beth próbowała ją podpytać o nowego chłopaka. W duchu dając Ashley w ucho, Molly uśmiechnęła się i odparła coś nic nieznaczącego. Beth się roześmiała. Molly ciekawiło, co wła

ściwie Ashley powiedziała koleżance.

Pożegnawszy się z dziewczyną, weszła do środka.

- Cześć, bando, wróciłam! - zawołała, rzucając torebkę na stół i podchodząc do lodówki.

136

Księżyc myśliwego

Dziś też nie zdążyła zjeść lunchu i konała z głodu. Pomyśla

ła, że na kolację musi przygotować coś, co się robi błyskawicznie i przypomniała sobie o kurczakach od Willa. Idealnie.

- Cześć, Moll.

Do kuchni wkroczyła Ashley w turbanie z zielonego ręcznika.

- Czemu myjesz włosy o tej porze? - spytała Molly.

Właśnie wyciągała z wiaderka, wyjętego z lodówki, zimne udko kurczaka. Z bułką i sałatką miało stworzyć świetnie danie.

- Próbowałyśmy różnych fryzur. Beth zakręciła mi włosy na jedną ze swoich pianek i wyglądałam jak miotła, w którą uderzył piorun. Im bardziej je czesałam, tym bardziej robiły się nastroszone. Więc umyłam głowę.

- Aha. - Stojąc przed otwartą lodówką, Molly ugryzła udko. - Beth też idzie na zabawę?

- Tak. - Twarz siostry rozjaśnił promienny uśmiech. - Z An-dym Moormanem. Umówiliśmy się, że wcześniej we czwórkę wyskoczmy coś zjeść. Czyż to nie cudownie?

Pewna siebie Beth cieszyła się większym powodzeniem od nieśmiałej Ashley, lecz zdaniem Molly to jej siostra była z nich dwóch ładniejsza.

- Cudownie - zgodziła się i ugryzła kolejny kęs kurczaka. -

Gdzie Mike i bliźnięta? - spytała z pełnymi ustami.

- Mike siedzi na górze i słucha kasety, pożyczonej od kumpla. Sam poszedł do Ryana Lutza, a Susan do Mary Shelton.

Dzwoniła z pytaniem, czy może tam przenocować. Pozwoliłam jej. Sam wróci koło ósmej.

- Czyli do kolacji siądziemy tylko ty, ja i Mike - podsumowała Molly.

Dojadła udko i podziwu godną precyzją wrzuciła kość do śmieci. Zamknęła drzwi lodówki, ściskając

pod pachą wiaderko.

- To zależy. - Ashley popatrzyła na nią uważnie. - Dzwonił

Jimmy Miller. Mówił, że przyjedzie po ciebie za piętnaście siódma.

- Rany! Na śmierć zapomniałam.

Ręka pofrunęła jej do ust.

- Ostatnio dziwnie często zapominasz o randkach. - Ashley założyła ręce na piersi i przekrzywiła głowę. - Nie pójdziesz, prawda?

Molly właśnie się zastanawiała, czy lepiej zadzwonić do Jimmy'ego do domu, czy do warsztatu, aby powiedzieć, że coś *Księżyc myśliwego* 137

jej wypadło i dziś nie może wyjść. Jednak gdy o tym pomyśla

ła, zdała sobie też sprawę, dlaczego chce odwołać spotkanie i ta świadomość ją przeraziła: Will.

Nie jest moim chłopakiem, przywołała się w duchu do porządku.

- Oczywiście, że pójde. - Molly odwróciła się od siostry, spojrzała tęsknie na wiaderko z udkami i odstawiła je do lodówki. - Czemu miałabym nie iść?

- Nie możesz.

- Niby dlaczego?

- Co sobie pomyśli Will! - wybuchnęła Ashley.

Molly starannie zamknęła lodówkę.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytała lekko i wyszła z kuchni.

Skoro idzie z Jimmym Millerem na kolację, a potem na film

- zaprosił ją w poniedziałek, dwa dni przed tym, jak w jej życie wkroczył agent Lyman - musi się umyć i przebrać.

- Molly!

Ashley ruszyła za nią.

Molly weszła do swej małej sypialni i odsunęła zasłonki, pełniące rolę drzwi od szafy. Zlustrowała wzrokiem swoją skromną garderobę. Siostra stanęła w drzwiach. Molly usiłowała udawać, że jej nie widzi.

- Nie możesz tego zrobić - odezwała się Ashley.

- Czego?

Molly wyjęła czarną spódnicę i bacznie jej się przyjrzała.

Była czysta i uprasowana. Nawet jeszcze zachowała fason. Ze swetrem albo bluzką i żakietem ujdzie w tłoku.

- Pożyczysz mi szary żakiet?

- Nie! - W głosie siostry dźwięczało oburzenie. - Nie na randkę z Jimmym Millerem! Co z Willem?

- Nie rozumiem.

Molly przegrzebała zawartość szafy i wyciągnęła czarny golf, którego szukała.

- Nie umówiłaś się z nim?

-Nie.

Właściwie nawet nie kłamała. Zapewne Will do nich wpadnie - no dobrze, była tego prawie pewna - ale przecież się nie umawiali. Z wymianą informacji poczekają do jutra, gdy spotkają się na torze.

138 __ *Xsiężyc myśliwego*

- Czyli dziś nie przychodzi?

Molly wzruszyła ramionami.

- Może przyjdzie. Jeśli tak, powiedz, że byłam wcześniej umówiona.

- A co on, twoim zdaniem, pomyśli, gdy się dowie, że poszłaś na randkę z Jimmym Millerem?

- Wiesz co?

Molly uklękła, szukając na dnie szafy najlepszych, czarnych pantofli.

-Co?

- Niezbyt mnie to wzrusza.

- Pokłóciliście się? - W głosie Ashley brzmiał niepokój.

- Nie, nie pokłóciliśmy się, bądź spokojna.

Molly wstała z butami w ręku, wzięła golf i spódnicę, po czym odwróciła się, by starannie rozłożyć ubranie na spłowiealej, ale nadal ładnej, żółtej narzucie w kwiaty, przykrywającej łóżko.

- To dlaczego... - zaczęła Ashley, lecz siostra nie dała jej dokończyć.

- Nie jestem własnością Willa Lymana - oświadczyła zdecydowanie i podeszła do komódki.

Otworzywszy górną szufladę, rzuciła na łóżko świeżą bieliznę, później zaczęła grzebać pod bielizną i pożywką, szukając rajstop. Kątem oka dostrzegła swe odbicie w prostokątnym lustrze: zaciśnięte usta, pałający wzrok - wyglądała, jakby podjęła jakąś ostateczną decyzję. Tyle że sama nie wiedziała, jaką.

- Naprawdę polubiłam Willa, Moll.

- To się z nim umów.

- Wszyscy go polubiliśmy. Z wyjątkiem Mike'a, ale wiesz, jaki on jest. Oprzytomnieje.

- Słuchaj, Ash. - Molly znalazła czarne rajstopy, o które jej chodziło, zatrzasnęła szufladę i zwróciła się do siostry. - Po pierwsze, Will jest dla mnie za stary. Po drugie, nie jest w moim typie. Po trzecie, pochodzi z Chicago i wróci tam, gdy skończą się wyścigi. Dlatego nie wyobrażaj sobie, że połączyła nas miłość do grobowej deski, bo nic z tych rzeczy.

- Ale gdybyś chciała, mogłabyś sprawić, by tak się stało.

- Słuchaj, pożyczysz mi szary żakiet?

Molly rzuciła rajstopy na łóżko i zaczęła przeglądać szkatułkę ze skromną biżuterią w poszukiwaniu srebrnych kolczyków i łańcuszka.

Księżyc myśliwego 139

- Wczoraj i przedwczoraj z nim się umówiłaś, a nigdy tego nie robisz w dni powszednie. Czyli wpadł ci w oko.

- To nic poważnego, Ash. Wierz mi, zupełnie nic.

Molly znalazła łańcuszek i jeden kolczyk, ale gdzieś jej się zawieruszył drugi.

- Szkoda, że nie widzisz siebie, gdy na niego patrzysz.

- Ponosi cię wyobraźnia!

Molly znalazła drugi kolczyk i z trzaskiem zamknęła szkatułkę. Ashley pokręciła głową.

- Znam cię, Moll. Nie mów, że nie lecisz na niego z prędko

ścią światła. Ja wiem swoje.

- Bądź łaskawa się zamknąć, dobrze? - syknęła Molly przez zaciśnięte zęby.

Wzięła kosmetyczkę z przyborami do makijażu i skierowała

się do łazienki. Siostra odsunęła się, a Molly minęła ją bez słowa.

- Założę się, że mogłabyś sprawić, by się w tobie zakochał -

odezwała się Ashley zza jej pleców.

- Czytasz za dużo romansów - ucięła Molly i zamknęła jej przed nosem drzwi do łazienki.

Kiedy wynurzyła się po półgodzinie, po prysznicu, z umyтыми i ułożonymi włosami, umalowana, Ashley nie było widać w pobliżu. Molly w jednej ręce ścisnęła kosmetyczkę i brudne rzeczy, drugą przytrzymała ręcznik, w który była owinięta. Bezszelestnie przefrunęła do pokoju. Jeśli się pospieszy, zdąży zamknąć się w sypialni, zanim Ashley się zorientuje, że już wyszła z łazienki.

Na brzegu łóżka siedziała jej siostra, już bez zielonego ręcznika na głowie, ręką przeczesując schnące włosy. Na kolanach miała szary żakiet, a na nim leżała jeszcze buteleczka perfum.

Gdy Molly stanęła w progu, siostra podniosła oczy. Przez chwilę mierzyły się wzrokiem.

- Możesz założyć mój żakiet - odezwała się Ashley. -

A ostatnim razem dostałam w sklepie próbkę „Knowing”, proszę, możesz ich użyć.

- Dzięki. - Molly weszła do środka i wzięła perfumy, które podała jej siostra. - Skąd ta zmiana frontu?

- Pomyślałam, że odrobina zazdrości wyjdzie Willowi na zdrowie. Wiesz, jacy są faceci - odrzekła doświadczone Ashley.

Molly jęknęła.

140

Xsiężyc myśliwego

~ Zejdiesz ze mnie? Jest wpół do siódmej, a ja jeszcze się nie ubrałam.

- Will to wymarzony chłopak dla ciebie - oświadczyła z powagą Ashley, wstając. - Gdybyś z nim była, nie musiałabym się martwić, kiedy w przyszłym roku wyjadę do college'u. On by się tobą zajął. I Mikiem, i Susan i Samem też.

- Wynocha z mojego pokoju!

Molly wypchnęła ją, zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz.

Przez chwilę stała w głowię opartą o białą listwę. W końcu się wyprostowała.

- Will za dwa tygodnie wraca do Chicago! Wbij to sobie do głowy! - wrzasnęła do siostry przez drzwi.

- Właśnie podjechał Jimmy Miller - odkrzyknęła w odpowiedzi Ashley.

Klnąc pod nosem, Molly zaczęła się ubierać.

Jimmy Miller był krępy szatynem o czarującym uśmiechu. Choć prostokątnej twarzy z ostrym nosem nie można by

ło nazwać piękną, budziła sympatię. W okolicy uważano go za świetną partię. W końcu przecież pewnego dnia odziedziczy warsztat. Wszyscy wiedzieli, ile pracy ma ten jedyny w Versailles zakład samochodowy. I na domiar złego, Molly go lubiła.

Ale na tym się kończyły jej uczucia do niego.

Postawił jej kolację u Sizzlera, a Molly uśmiechała się, gdy opowiadał jej o planach otwarcia drugiego warsztatu niedaleko stolicy stanu - Frankfortu. Podczas filmu wziął dziewczynę za rękę, a Molly jej nie wrywała. Potem usiłował ją namówić, by wstąpili do klubu nocnego w Lexington, jednak się nie zgodziła: jutro rano musi wstać do pracy.

Powiedział, że właśnie to w niej najbardziej podziwiał: poczucie odpowiedzialności.

Jako przyzwoity chłopak, Jimmy odwiózł Molly do domu.

Dochodziło wpół do dwunastej.

Przed niebieskim plymouthem stał zaparkowany biały ford taurus Willa - zobaczyła Molly, gdy pojechali pod dom. Usiadła prosto, nerwy miała napięte jak postronki.

- Nowy wóz? - spytał Jimmy, wyłączając silnik i kładąc rękę na oparciu jej fotela.

- Nie, przyjaciela rodziny - odrzekła szybko.

Księżyc myśliwego 141

Jimmy zamierzał pocałować ją na do widzenia - już wcześniej to robił - a dziś mu na to pozwoli, a nawet da więcej, niż się spodziewał.

Bo w domu czekał Will, Bo w głębi serca zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę chciała, by to właśnie on ją pocałował.

Will - bez butów, w niebieskiej koszuli i szarych spodniach

- siedział w całkiem wygodnym, jak się okazało, starym fotelu w pokoju dziennym Ballardów, gdy usłyszał chrzęst kół na żwirze. Na ganku zaczął ujadać Żeberko.

Wróciła. Zacisnął dłonie na oparciu kanapy i zaczął analizować sytuację. Może zostać tu, gdzie jest i czekać na powrót Molly. Albo może wyjść na ganek niczym nadopiekuńczy ojciec i w ten sposób uniemożliwić jej i chłopakowi całowanie się na dobranoc.

Poczuł się rozdrażniony tym, że denerwuje go myśl o ich pocałunku. A jeszcze bardziej drażniło go własne spostrzeżenie, że bynajmniej nie miał względem Molly żadnych ojcowskich zapędów.

Sam leżał skulony na kanapie, gdzie zasnął w czasie końcowych napisów wypożyczonego filmu. Ashley siedziała u stóp brata, a powieki jej opadały, gdy oglądała, jak Jay Leno rozmawia z Elizabeth Taylor. Mike był na górze, gdzie przeniósł się natychmiast po filmie, gdyż- nawet jego niechęć do gościa nie przewyciężyła pokusy obejrzenia Arnolda Schwarzeneggera w „Prawdziwych kłamstwach”.

- Molly wróciła - odezwała się Ashley, zerkając przez ciemny pokój na Willa.

Nie pierwszy raz tego wieczoru Will zastanawiał się, co wła

ściwie knuje ta dziewczyna. Kiedy zjawił się tu o wpół do ósmej z torbą jedzenia i kasetą, powitała go nieoczekiwaną, doprowadzającą do furii informacją, że Molly wyszła na randkę. Ashley uparła się, by został. Żeby obejrzeć z nimi film - jak twierdziła.

I, jeśli będzie miał ochotę, by kontynuować naukę tańca. Oraz...

żeby ich pilnować, gdyż bez Molly ona i Mike odrobinę się boją.

Will zauważył oczywiście, że gdy to mówiła, Mike'a nie by

ło w pobliżu. I jego zdaniem Ashley wcale się nie bała. Ale jako że zaproszenie dziewczyny idealnie współgrało z jego pragnieniami, został. Naprawił drzwi z siatką oraz okno na górze, *142 Xsiężyc myśliwego*

ćwiczył walca z Ashley - najwyraźniej taniec nie stanowił jej mocnej strony - a potem mocował się z Samem. I obejrzał

film. Cały czas starannie panując nad swoim gniewem.

- Naprawdę?

Nie odrywał wzroku od telewizora, jakby nagle poczuł się zainteresowany tym, co też Elizabeth Taylor ma do powiedzenia o swej ostatniej chorobie. Tak naprawdę to równie dobrze telewizor mógłby być wyłączony, bo do Willa nic nie dochodziło.

Molly coś strasznie długo nie wysiadała z samochodu i nie wracała do domu.

- Chyba się położę - odezwała się Ashley, wstając. - Dziękuję, że zostałeś, Will.

- Drobiazg. - Nadal wpatrywał się w ekran.

Ashley obudziła Sama i popychała go przed sobą w stronę schodów.

- Dobranoc! - zawołała cicho.

- Dobranoc! - odpowiedział Will, licząc, że jego głos nie zdradza rozdrażnienia, które czuł.

Nie trzeba było mieć bujnej wyobraźni, żeby się domyślić, co Molly robiła w tym samochodzie.

Zamożny, miejscowy biznesmen - tak Ashley opisała faty-ganta Molly. Podobno też szaleje za nią.

Do licha, chyba połowa tutejszych facetów szalała za Molly.

Lecz Will nie zamierzał znaleźć się w ich gronie.

Był za stary i zbyt doświadczony, żeby zaangażować się w związek z kobietą, która przyciągała mężczyzn niczym żarówka ćmy na ganku. Z kobietą młodszą od niego o piętnaście lat.

Z kobietą o twarzy anioła - i figurze, na której widok mężczyźni się ślinili.

W końcu mama nie wychowała go na durnia.

Co ona, u licha, robi w tym samochodzie?

Głupie pytanie.

Will nie mógł tego dłużej znieść. Jeśli ona chce się puszczać z tym typkiem, to niech ma dość przyzwoitości, by robić to gdzie indziej, nie na własnym podjeździe.

Nie zamierzał tu siedzieć przez cały wieczór, ogryzając paznokcie, podczas gdy ona będzie się zabawiać na tylnym siedzeniu jakiegoś durnia. Wywlecze ją z samochodu i powie, co ma do powiedzenia, a potem wróci do swojego pokoju w hotelu i położy się spać.

Xsiętyc myśliwego 143

Już wstał, gdy usłyszał trzask drzwiczek samochodu, a zaraz po nim trzask drugich. Albo ten prymityw nie uznaje otwierania drzwiczek przed kobietą, albo Molly nie czekała.

Potem dobiegł go odgłos kroków dwóch osób na schodach, zgrzyt otwieranych drzwi i trzask klucza Molly w zamku.

Cisza.

Will odruchowo ruszył w stronę wejścia, lecz zmusił się, by stanąć, oparł się o futrynę i czekał.

Nie spieszyła się z otwarciem tych drzwi.

- Jeszcze jeden, Molly. Tylko jeden - błagał dureń, gdy drewniane drzwi się uchylily.

- Dobranoc, Jimmy - odparła ze śmiechem i weszła do środka.

Żeberko wepchnął się razem z nią, mimo ciemności wytropił

Willą między kuchnią a pokojem dziennym i podszedł się przywitać, merdając ogonom. Molly i jej absztyfikant nawet się nie rozejrzeli.

- W następną sobotę?

Ależ skamlał. Will przypomniał sobie, jak jego ciało zareagowało na nią wtedy w Keeneland od samego pocałunku w rękę i poczuł nagły przypływ współczucia dla tego kretyna.

Do licha, od samego tańca z Molly dostawał wzvodu - a przecież cały czas obserwowali ich jej bracia i siostry.

Ta dziewczyna to nieszczęście i taka była prawda. Will nie zamierzał przyłączyć się do stada, które za nią leciało z wywieszonym ozorem. Po tamtym tańcu podjął decyzję: jeśli chodzi o tę dziewczynę, rękę zawsze będzie trzymał przy sobie.

- Zadzwoń.

Obiecała, niczego nie obiecując. Facet chwycił Molly za rękę i przyciągnął do siebie, by jeszcze raz pocałować dziewczynę. Miał ciemne włosy, był krępy, a do tego nosił zbyt obcisłe džinsy. Teraz zaś całował Molly, zanurzając palce w jej włosach.

Wyraźny brak techniki nadrabiał zapalem.

Will odsunął się od drzwi. Uświadomił sobie, jak agresywną przyjął postawę i zmusił się, by się rozluźnić.

Ta dziewczyna nie jest moją własnością, powtarzał sobie w duchu. Tylko udajemy, że coś nas łączy. I tak niech już zostanie.

- Dobranoc, Jimmy.

Molly uwolniła się z objęć tamtego i sięgnęła po klamkę.

A gdy je zamknęła, bałwan w końcu niechętnie odszedł.

144

Xsiężyc myśliwego

- Zadzwonię jutro - obiecał jeszcze matowym głosem.

- Zgoda. Życzę ci dobrej nocy - odpowiedziała przez siatkę w drzwiach.

Posłała mu ostatniego całusa, pomachała na pożegnanie i w końcu zamknęła drzwi. Zachrobotał zamek. Dziewczyna skierowała się w stronę pokoju.

Will wyciągnął rękę i zapalił światło w kuchni.

Włosy Molly gęstą, ciemną falą opadały na ramiona. Oczy, obrysowane kredką, z rzęsami pociągniętymi tuszem, spoglądały zmysłowo spod opuszczonych powiek. W kącikach ust zostały jeszcze ślady ciemnoczerwonej szminki.

Will wolał nie myśleć, w jaki sposób szminka zniknęła z tych ust. Molly miała na sobie szary żakiet sięgający za biodra, spódnicę najwyżej pięć centymetrów dłuższą i obcisły, czarny golf, obciskający ją niczym druga skóra.

Nogi w czarnych butach na obcasie i czarnych rajstopach by

ły smukłe, kształtne i ciągnęły się w nieskończoność. To wrażenie pogłębiał fakt, że spódnica kończyła się w połowie uda.

- Co tu robisz?

Ton jej głosu i nagły błysk oczu były buntownicze.

- Czekam na ciebie.

Zapanowawszy nad sobą, Will znowu oparł się o futrynę.

- Gdybym wiedziała, zostałabym dłużej.

Molly podeszła do lodówki, zdejmując żakiet, i rzuciła go na stół. Will widział teraz jej plecy, gdy otworzyła lodówkę i wyjęła puszkę napoju.

- Chcesz coli? - spytała przez ramię, jakby sobie przypomniwała o roli wzorowej gospodyni. I zanim Will zdążył odpowiedzieć, dorzuciła z uśmiechem: - Przepraszam, zapomnia

łam, powinnam spytać: chcesz szklankę mleka?

-Nie.

10. Księżyc myśliwego

146

Xsiężyc myśliwego

Ubranie było za obcisłe, za krótkie, za... wszystko. Molly wyglądała smukło, wręcz krucho - z wyjątkiem kuszącej, nieda-jącej spokoju krągłości pośladków. A gdy zamknęła lodówkę i odwróciła się twarzą do niego, widział tylko jej pełne piersi.

Will zdał sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie oglądał tej dziewczyny z potarganymi włosami, umalowanej, ubranej w spódnicę, rajstopy i buty na obcasie.

Z włosami ściągniętymi w kucyk, w spodniach od dresu albo dzinsach wyglądała pięknie. Wyszykowana jak dzisiaj - zatykała dech w piersiach.

W życiu nie widział równie seksownej kobiety.

- Masz do mnie jakąś sprawę? Jeśli nie, to pójdę już spać.

Otworzyła puszkę coli i wypła łyk, spoglądając nań wyzywająco.

Na próżno usiłował wypędzić z myśli erotyczny obraz Molly leżącej w łóżku. Popatrzył na nią przymrużonymi oczami.

- Zrobiłaś, co ci kazałem? - spytał cicho.

Telewizor obok grał na tyle głośno, że zagłuszał ich rozmowę, a dzieci poszły już spać, ale Will nadal nie chciał ryzykować, że ktoś ich podsłucha. Kiedy dziś po południu przekazała mu w Keeneland wyniki kontroli tatuaży - negatywne, do czego już powoli zaczęli się przyzwyczajać - zlecił jej kolejne zadanie: sfotografować dokumenty w gabinecie Dona Simpsona. Dał jej nawet specjalny aparat fotograficzny ukryty w długopisie.

- A miałam inne wyjście? - Molly wypła kolejny łyk coli.

-Nie.

Sączyła napój bez słowa.

- Więc? - ciągnął Will, z trudem zachowując cierpliwość.

Odsunęła się od lodówki. Mimo szczerych chęci nie potrafił

oderwać wzroku od nóg Molly, gdy podeszła do szafki, otworzy

ła szufladę, wyjęła aparat, wyglądający jak zwyczajny długopis Parkera i rzuciła mu go trochę mocniej, niż to było konieczne.

- Ł a p !

Schwycił go jedną ręką i wsunął do kieszeni koszuli.

- Dobra robota - powiedział.

- Nie umawialiśmy się wcześniej, że będę się zakradać do gabinetu pana Simpsona i fotografować dokumenty szpiegowskim aparatem. Żądam dodatkowej zapłaty.

-I tak daję ci dużo.

- Sądziłam, że to rząd mi płaci.

- Owszem. Ale ja decyduję o rozdzielaniu funduszy.

- I pewnie dlatego uważasz się za szefa.

- Owszem.

Widział, że jej to nie odpowiada. Wypiła następny łyk coli.

- Skoro już dostałeś to, co na co czekałeś, może byś sobie poszedł? Jestem zmęczona.

- Nie wątpię.

Te cierpkie słowa wyrwały mu się, nim zdążył zapanować nad językiem. Molly się nastroszyła.

- A co w tym dziwnego? Wstałam o czwartej rano, harowa

łam cały dzień, poszłam na kolację i do kina, a teraz dochodzi północ. Ja zaś jutro muszę znowu wstać o czwartej.

- Przecież jest niedziela.

- I co z tego? Konie nie uznają szabasu. W niedzielę trzeba się nimi opiekować tak samo jak w każdy inny dzień.

- Jutro musisz pójść ze mną na nabożeństwo za Howarda Lawrence'a - wyjawiał drugi, oficjalny pretekst, dla którego tak długo na nią czekał.

- Nie mogę. Pracuję.

- Zadzwoń, że jesteś chora.

Molly parsknęła śmiechem. Will zastanawiał się głośno.

- Nabożeństwo jest o dziesiątej. Pierwsza gonitwa zaczyna się o pierwszej. Jeśli nie możesz udawać, że zachorowałaś, urwij się na godzinę.

- Jasne i mam się zjawić w kościele w dżinsach i bawełnianym podkoszulku? Kiepski pomysł.

- To weź coś na zmianę i przebierz się w samochodzie.

- Założę się, że to by ci bardzo odpowiadało?

Gdyby była mowa o ustach mniej zmysłowych niż Molly, grymas, jaki się na nich pojawił, można by określić mianem naburmuszenia.

- Sądysz, że będę podglądał w lusterku?

- Niewykluczone.
- Pomyliłaś mnie ze swym śliniącym się chłopakiem.
- Wszyscy faceci się ślinią.
- Może, ale niekoniecznie na twój widok.

Stwierdzenie, iż on na jej widok się nie ślini, było wierutnym kłamstwem, lecz koniecznym, Will działał w obronie własnej. Czuł, że wpadłby w nie lada kłopoty, gdyby kiedykolwiek się zorientowała, jak silną fizyczną reakcją w nim budzi.

148 K sieżyc myśliwego Molly milczała ze wzrokiem utkwionym w puszcze coli. Po chwili spojrzała na Willa.

- Czemu mam tam iść?
- Zidentyfikować pewne osoby.
- A twój komputer sobie z tym nie radzi? - W jawny sposób kpiła sobie z niego. Will pokręcił głową, nie dając się sprowokować. - W porządku - nieoczekiwanie skapitulowała ze znużeniem. - Powiem panu Simpsonowi, że idę. Nie będzie zachwycony, ale nie wyleje mnie za to.
- Przyjadę pod stajnię o wpół do dziesiątej.

Molly potrząsnęła głową.

- Spotkajmy się poza terenem wyścigów. Nie chcę, żeby Simpson pomyślał, że urywam się z pracy na randkę. I tak już będzie wściekły.
- To gdzie się umówimy?
- A gdzie będzie to nabożeństwo?
- W Versailles, w episkopalnym kościele Świętego Łukasza.
- W takim razie może przy sklepie 7-Eleven przy Versailles Road. Wiesz, gdzie to jest?
- Wiem — odrzekł sucho Will, doskonale pamiętając gumę do zucia na podeszwie. - Wpół do dziesiątej?
- Za piętnaście. Nie mogę zniknąć na zbyt długo.
- Czyli spotykamy się za piętnaście dziesiąta.
- To wszystko? - Molly odstawiała puszkę na blat i wzięła się pod boki, najwyraźniej czekając, aż Will sobie pójdzie.

- Swojego chłopaka nie wyganiałaś z takim zapalem. - Mimo mocnego postanowienia, że już wychodzi, Will nie mógł się powstrzymać od kąśliwego komentarza.

- Ale ty nie jesteś moim chłopakiem, prawda? - odparła Molly z słodziutkim uśmiechem i odgarnęła włosy. - W każdym razie nie naprawdę.

- Masz malinkę.

Wypatrzył brązowy ślad na delikatnej, jasnej skórze, tuż pod brodą i na sam jego widok poczuł dreszcz. Molly spłonęła rumieńcem i podniosła rękę do szyi.

- I co z tego? - powiedziała tonem obrony.

- Jutro lepiej ją przypudruj. Nie chcę, żeby ludzie myśleli, że to moje dzieło. Takie rzeczy nie są w moim stylu.

Willa zaskoczyło rozdrażnienie, jakie czuł, spoglądając na ów ślad pocałunku na szyi Molly.

Księżyc myśliwego

149

- Racja. - Znowu posłała mu ów przesłodzony uśmiech i przestała zasłaniać szyję. - Jesteś na to za stary.

- Mam skończone trzydzieści dziewięć lat - odparł dotknięty.

- Staruszek. - Molly pokiwała głową.

Will poczuł w żołądku znajome pieczenie. Właśnie tak jego organizm reagował na stres, napięcie i gniew - a właśnie wszystkie te uczucia teraz mu doskwierały.

- Tylko dwudziestoczworoletce trzydzieści dziewięć lat mo

że się wydawać podeszłym wiekiem.

- Za miesiąc będę już miała dwadzieścia pięć, ale trzydzie

ści dziewięć nadal uważam za starość. Pijesz mleko, nie robisz malinek - więc jesteś stary.

Will odwrócił się i bez słowa przeszedł do pokoju dziennego.

- W razie gdybyś zapomniał: drzwi są tam - odezwała się dziewczyna, stojąc w progu.

- Chcę zabrać buty. I marynarkę. I krawat. I wyjść.

Mówiąc to, Will zbierał poszczególne fragmenty garderoby.

Z butami w ręce, z marynarką i krawatem przerzuconymi przez łokieć, odwrócił się do Molly. W telewizji Jay Leno sypał dowcipami. Poza jasnym ekranem i smugą światła padającą z kuchni, pokój tonął w mroku.

Jeszcze ten wesoły program - tego Willowi było już za dużo.

Przechodząc koło telewizora, wyłączył go wściekłym ruchem, od razu poczuł się lepiej.

Molly nie ruszyła się z miejsca, gdy do niej podszedł. Blokowała mu przejście, więc musiał się zatrzymać. Zaskoczony Will zorientował się, że gdy dziewczyna ma buty na wysokich obcasach, a on jest bosy, ich oczy znajdują się niemal na tym samym poziomie.

Podobnie jak usta.

Popatrzył na te delikatne, rozchylone wargi z resztkami szminki i poczuł, jak sztywnieje mu członek.

Tak strasznie chciał przykryć te wargi swoimi, że bał się, czy Molly nie wyczyta tego w jego oczach. Will spuścił wzrok, ale nic mu to nie pomogło, gdyż jego spojrzenie zatrzymało się na śladzie na szyi - pocałunku innego mężczyzny.

- Dopóki nie zamkniemy tej sprawy, masz się nie umawiać z innymi mężczyznami - powiedział stanowczym tonem, modląc się w duchu, by jego głos nie zdradził napięcia, czego się obawiał. - Zapominasz, że połączyło nas ogniste uczucie?

ISO K siężyc myśliwego

- Nie zabronisz mi chodzić na randki.

Głos Molly był chłodny, brzmiało w nim wyzwanie. I nadal nie odsunęła się z przejścia. Will popatrzył jej w oczy.

- Czyżby? - spytał.

Buntowniczo potrząsnęła głową.

Owionął go zapach perfum dziewczyny. Jej oczy słały mu wyzwanie. Ciało też.

Powtarzał sobie w duchu, że to długonogie, wielkookie stworzenie jest ludzką wersją rosiczki, zwanej Pułapką Wenus, z tym że w roli much występują mężczyźni. Powtarzał sobie, że ta dziewczyna przez ostatnie pół godziny obściskiwiała się w samochodzie z innym, czego dowód stanowił ów ślad na jej szyi.

Powtarzał sobie w duchu, że nigdy nie łączy życia osobistego z zawodowym. Przypominał sobie, że jest o wiele starszy, że ona dla niego pracuje i że ich bliższa znajomość oznacza kłopoty przez wielkie K.

- Mogłabyś mnie przepuścić? - spytał uprzejmie.

Zacisnęła usta, zmrużyła oczy, ale się odsunęła. Will przeszedł do kuchni, usiadł na ławce i włożył buty. Czuł, że Molly obserwuje każdy jego ruch.

Wstał, wsunął ramiona w rękawy marynarki, krawat schował do kieszeni.

- Zamknij za mną drzwi na klucz - polecił, ruszając do wyjścia.

- Bardzo chętnie - odparła kąśliwie.

Will otworzył drzwi i spojrzał na nią przez ramię.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś jutro ubrała się nieco bardziej... konserwatywnie.

- Nie podoba ci się ten zestaw? - W jej głosie znowu zabrzmiał bunt.

Will potrząsnął głową.

- Jest cholernie krótki i cholernie obcisły. Za bardzo - powiedział i wyszedł na cudownie chłodne powietrze.

Rozdział dwudziesty pierwszy

15 października 1995

Molly przebrała się w toalecie sklepu 7-Eleven. Z czystej zło

śliwości - a także dlatego że jej możliwości ubraniowe były naprawdę ograniczone, choć mogła *coś* pożyczyć od Ashley - wło

żyła tę samą krótką, czarną spódnicę, co wczoraj wieczorem.

W przezroczystych, czarnych rajstopach i czarnych pantoflach na obcasie jej nogi wyglądały, jakby miały co najmniej metr.

Zauważyła, że Will zerkał na nie wczoraj.

Biała, zapięta pod szyję bluzka i długi, dwurzędowy, czarny blezer wyglądały wystarczająco skromnie, by się w nich pojawić w kościele. Bluzkę zdobiła z przodu delikatna koronka.

W uszach Molly miała perełki. Dzięki grubej warstwie pudru w płynie ślad na szyi stał się praktycznie niewidoczny.

W akcie przekory Molly zamierzała go zostawić, ale na myśl, że miałyby siedzieć w kościele z wyraźnie widoczną malinką natychmiast zmieniła zdanie.

Wystarczy spódnica. Nie musi się narażać na żenującą sytuację tylko po to, by zrobić na złość

agentowi FBI.

Wolała nie wnikać, czemu właściwie chciała zirytować Willa.

Wiedziała tylko, że ma na to ochotę i z trudem opierała się pokusie.

Patrząc w lustro, pomalowała tuszem rzęsy, przypudrowała nos i pociągnęła po ustach ciemnoróżową szminką.

Słodka i niewinna, uznała, przeglądając się raz jeszcze w lustrze. Oczywiście, z wyjątkiem kusej spódnicy.

Molly uśmiechnęła się przekornie, zamknęła torebkę i odwróciła się od lustra. Bardzo liczyła na to, że Will już na nią czeka na parkingu.

152

Księżyc myśliwego

Zamierzała włożyć w ten spacer od sklepu do jego samochodu wszystkie swoje zdolności.

W samochodzie na parkingu dwóch mężczyzn zauważyło, jak Molly wychodzi z toalety i rozgląda się wkoło. Siedzącemu za kierownicą Willowi wystarczyło jedno spojrzenie na króciutką spódnicę, niewyobrażalnie długie nogi w czarnych rajstopach i w butach na wysokim obcasie, by poczuć, że skacze mu ciśnienie.

Włożyła tę spódnicę, gdyż jej zabronił, Will był tego najzupełniej pewien.

Zauważyła samochód i skierowała się w ich stronę. Ale sposób, w jaki się poruszała, bynajmniej nie przypominał tego, jak Willa nosiły po ziemi jego dwie nogi. Musiało istnieć jakieś określenie na to, co właśnie robiła. Nie był to chód. Może raczej seks na dwóch kończynach.

Najwyraźniej Murphy też obserwował dziewczynę z tylnego siedzenia, gdyż gwizdnął z podziwem.

- Nie wierzę własnym oczom. Stał mi od samego patrzenia, jak idzie.

- Zamknij się - rzucił Will, wbijając kamienny wzrok w swego partnera. - Po prostu się zamknij.

- Przepraszam - odpowiedział zaskoczony Murphy.

Ku wściekłości Willa po paru sekundach w oczach kolegi pojawił się błysk. A po chwili na twarz wypełził mu złośliwy uśmiech.

W tym czasie Molly zdążyła dojść do samochodu. Will ostatni raz spojrzął wrogo na Murphy'ego i wysiadł. Partner poszedł w jego ślady.

Will obszedł maskę, żeby otworzyć Molly drzwiczki. Był

wściekły na nią, na tamtego, na siebie, ale postanowił, że nic nie okaże.

Kiedy podszedł do Molly, uśmiechnęła się doń, ale tak słodko i niewinnie, że Will uznał to za czystą kpinę. Otworzył

drzwiczki, tocząc wewnętrzną walkę z samym sobą, by nie zmarszczyć brwi, nie warknąć na dziewczynę ani nie zrobić nic, co dałoby jej satysfakcję i świadomość, że załazła mu za skórę.

- To John Murphy. Pojedzie z nami - przedstawił swego partnera, który mniej lub bardziej dyskretnie mierzył ją wzrokiem nad dachem taurusa. - Murphy, to Molly Ballard.

Księżyc myśliwego _____ 153

- Cześć - powiedziała z uśmiechem.

- Miło mi panią poznać - odrzekł Murphy.

Kiedy wsiadła do auta, przeniósł wzrok na Willa. Na jego twarzy znów pojawił się szeroki, domyślny uśmiech.

Nabożeństwo okazało się krótkie i - nawet dla Molly, która właściwie nie знаła zmarłego - wzruszające. Nie było trumny, gdyż ciało skremowano. W kościele nie dałoby się wcisnąć nawet szpilki.

Molly klęczała w tylnej ławce między oboma agentami i ponaglana przez Willa, szeptem streszczała mu życiorys każdego, kto się liczył w tym świecie. Zjawili się przedstawiciele niemal wszystkich największych stadnin. Oprócz stajni Cloverlota, z której stawili się prawie wszyscy pracownicy, by po

żegnać swego kolegę, przybyły też delegacje stadniny Sweet Meadow, stajni Greenglow, Farmy Wylanda, stajni Rock Creek, Oak Hill, stadniny Mobridge i Hillside.

- To są Wylandowie - szepnęła Molly, szturchnięta przez Willa, gdy z ławki wysunęło się kilka osób, pochodząc do komunii. - Ta w kapeluszu to Helen Wyland Trapp. Za nią stoi córka, Neilie, której towarzyszy mąż Helen, Walt Trapp. Znasz już Tylera i Thorntona. Blondynka obok Thorntona nazywa się Allison Weintraub. Ona i jej matka - stoi obok tych dwojga -

polują na niego od lat.

- Zazdrosna? - spytał niemal bezgłośnie Will, patrząc na Molly z ukosa.

-Nie.

Nawet się nie zdenerwowała. Ponieważ w kościele panował

łtok, klęczała tuż przy Willu, ramieniem dotykając rękawa jego granatowego garnituru. Zastanawiała się, czy jej bliskość robi na nim jakieś wrażenie. Miała nadzieję, że tak. Bo jego bliskość na nią -

niewątpliwie.

Tymczasem niemal nie odczuwała na udzie kontaktu ze spodniami Murphy'ego, klęczącego z drugiej strony. Równie dobrze mógł być manekinem, jej ciało zupełnie na niego nie reagowało.

W przeciwieństwie do niej Will najwyraźniej zupełnie swobodnie się czuł w tym otoczeniu pełnym dostojeństwa i bogactwa. Jego garnitur i krawat były równie eleganckie jak ubra-154 Księżyc myśliwego

nia tamtych mężczyzn. Molly powoli dochodziła do wniosku, że popełniła błąd, wkładając tę spódnicę - choć spełniła ona zamierzone zadanie, denerwując Willa. Pozostałe kobiety miały kostiumy albo sukienki do kolan i dłuższe, wszystkie bardzo stonowane. Ilekroć dziewczyna powiodła wzrokiem po kościele, wracała bolesna świadomość, że jej bluzkę uszyto z nylonu, nie z jedwabiu, a sweter kupiła dwa lata temu w T. J. Maxx za dwadzieścia dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów.

W kościele królowały mahoń, witraże i świece. Członkowie chóru ubrani w alby śpiewali cicho zza ołtarza. W powietrzu unosił się zapach kadzidła. Will klęczał z pochyloną głową. Jego profil wydawał się surowy, a przy tym w pewien sposób pociągający. Na tle nieskazitelnej bieli koszuli twarz wydawała się jeszcze bardziej opalona; mimo słabego światła jego krótko ostrzyżone włosy lśniły złotem. Molly przyłapała się, że wodzi wzrokiem po twarzy agenta, więc opuściła powieki, wpatrując się w swe złożone dłonie.

Kolejny kuksaniec zwrócił jej uwagę na następną grupkę, która wychodziła z ławki.

- To Colemanowie ze stajni Greenglow. Pamiętasz, jak ci opowiadałam o tej małej, zaginionej dziewczynce, Libby Coleman?

Will potaknął.

- Siwa kobieta z przodu to jej matka, Clarice. Za nią stoi starsza córka, Donna Coleman Pierce z mężem, Tedem Pierce'em. Syn Clarice, Lincoln Coleman, przyszedł ze swą żoną, Diane. Za nimi jest Tim Harden, trener Greenglow, wraz z żoną. Dalej stoi Jason Breen, trener stadniny Sweet Meadow. Za nim są państwo Armitage, właściciele Sweet Meadow.

Molly dalej opowiadała Willowi o wszystkich, których jej wskazał, dopóki nie przyszła kolej na ich ławkę. Agent wstał, puszczając Molly przodem. Z nim i Murphym za plecami podeszła do ołtarza i przyklękła, by przyjąć komunię.

Will ukląkł przy niej, Murphy za nim. Molly kątem oka patrzyła, jak przyjmuje komunię. Klęcząc z Willem w kościele czuła się tak... dziwnie na miejscu, choć zarazem poruszona.

To dobry człowiek, pomyślała. Przyzwoity, dobry i silny. Taki, który troszczy się o bliskich.

Lecz ona musi pamiętać, że nie należy do niego.

Kiedy wrócili na miejsce, dopilnowała, by uklękli na tyle daleko, żeby ich ciała się nie stykały.

Zebrani odmówili modlitwę, chór zaśpiewał i na tym skończyło się nabożeństwo.

Will odwiózł Molly do 7-Eleven, żeby tam się przebrała i wsiadła do swojego samochodu. Po drodze prawie się nie odzywała. Nie zauważyła natomiast, że Will też prawie nic nie mówił.

- Nie mogę się pozbyć wrażenia, że śmierć Lawrence'a była dla wielu aż nadto wygodna - zwrócił się Will do Murphy'ego, gdy już zostali sami.

- W raporcie koronera za przyczynę zgonu uznano samobójstwo. - Murphy, który przesiadł się na miejsce obok kierowcy, w zamyśleniu ssał kciuk.

- Wiem, co napisano w raporcie.

- Ciało zostało skremowane. Musimy się opierać wyłącznie na wynikach sekcji zwłok.

Will nic nie powiedział, tylko zapatrzył się przed siebie.

Dzień był szary, pochmurny, deszczowe chmury wisiały nisko na niebie.

- Tatuże wszystkich koni, sprawdzonych przez Molly, się zgadzają. Lawrence twierdził, że zwykle podmieniają wierzchowce parę razy w tygodniu. Skoro do tej pory nie udało nam się trafić na ślad podstawionego konia, nie można wykluczyć, że ktoś ich ostrzegł. Możliwe, że ktoś wie o naszej obecności, więc postanowili zaniechać swego procederu, dopóki nie odpuścimy.

- Naprawdę sądzisz, że są na naszym tropie? - Murphy zmarszczył brwi.

Will pokręcił głową.

- Nie wiem. Niewykluczone. Może się dowiedzieli, że Lawrence z nami współpracował i zabili go, żeby mu zamknąć usta.

Następnym logicznym krokiem byłoby zaprzestanie wszelkich machlojek z gonitwami, dopóki tu wężymy. Możliwe, że nie znajdujemy podmienionych koni, bo takowych wcale nie ma.

- Możliwe też, że Lawrence popełnił samobójstwo, a nam po prostu jeszcze nie dopisało szczęście - argumentował rozsądnie jego partner.

- Tak, to też prawdopodobne.

Obaj przez chwilę milczeli w zadumie. Murphy zerknął na Willa.

1 56 Księżyc myśliwego

- A nie przyszło ci na myśl, że Molly może prowadzić podwójną grę?

- Co?

Lyman spojrzał na niego zaskoczony.

- Może dała im cynk, że wężymy. W końcu niewielu ludzi wie, że tu jesteśmy. Tylko szefostwo z Chicago, ty, ja i ona.

- Molly nie dała im cynku - odparł zimno i pewnie Will.

- Wiem, że trudno nie zauważyć, jaka to piękna dziewczyna i że między wami coś się chyba dzieje, ale nie powinieneś odrzucać tej możliwości.

- Między mną a Molly nic się nie dzieje. - Głos Willa brzmiał

ostro.

Murphy wzruszył ramionami.

- A nawet gdyby, to nie moja sprawa. Ale wcale bym cię nie winił. Wierz mi, gdybym był kawalerem i znalazł się na twoim miejscu, zajechałbym tę dziewczynę na śmierć.

- Słuchaj, Murphy - syknął Will. - Nie śpię z Molly. To niemal dziecko, ma dwadzieścia cztery lata. Pracuje jako nasza wtyczka.

Współczuję jej, rozumiesz? Życie jej nie rozpieszczęło. Ale nie

„zajeżdżam” jej na śmierć, ani nie zamierzam tego robić.

- Powiedziałem: twoja sprawa - odparł jego partner, wzruszając ramionami.

Bojąc się odezwać, by kumpel nie uznał, że za bardzo się wypiera, Will zastanawiał się, jakie to by było uczucie, gdyby zacisnął dłonie na szyi Murphy'ego, aż temu kretynowi zsinieje gęba. Mimowolnie obracał też w myślach wyjaśnienie podsunięte przez partnera: czy Molly gra na dwa fronty?

- Chwileczkę. Lawrence kopnął w kalendarz właśnie, gdy pierwszy raz rozmawiałem z Molly. Byłem z nią wtedy - oznajmił z triumfem, przypomniawszy sobie okoliczności. - To ją eliminuje. Nie miała kiedy zawiadomić reszty.

- Zgadza się - przytaknął Murphy, znowu ssąc kciuk. - I co twoim zdaniem powinniśmy teraz zrobić?

*

Molly nie była pewna, ale chyba dochodziła północ albo też niedawno minęła. Leżała na plecach, z ramionami założonymi za głowę, nie mogąc zasnąć. Deszcz dudnił w szyby. Niskie chmury przesłaniały księżyc i gwiazdy, za oknem panowały ciemności. W jej pokoju też było ciemno.

Był to jeden z nielicznych przypadków w życiu dziewczyny, kiedy nie mogła zasnąć. Złościło ją to, bo padała ze zmęczenia, ale jej ciało ciągle jeszcze nie mogło się rozluźnić.

Całe szczęście że jutro poniedziałek i nie musi wstać rano do pracy. Jeśli zechce, pośpi dłużej.

To jutro jedzie z Mikiem do biura szeryfa na rozmowę. Pewnie dlatego nie może zasnąć. Martwi się o brata.

Organizm nie zamierzał jej posłuchać. Przekręciła się na brzuch, ułożyła inaczej poduszkę i zamknęła oczy, licząc, że si

łą woli zmusi się do snu.

Jednak zacisnąwszy powieki, zobaczyła twarz Willa. Wyobraziła sobie, że leży przy niej w łóżku, wodzi dłońmi po jej ciele...

Błyskawicznie otworzyła oczy, zgrzytając zębami. Nie ma mowy, wykluczone, nie życzy sobie żadnych fantazji seksualnych z agentem FBI w roli głównej.

Nie zjawił się u nich wieczorem, choć widzieli się przelotnie w Keeneland po drugiej gonitwie. Wtedy Molly pokręciła głową, potwierdzając to, czego zapewne sam się wcześniej domy

ślił - tatuaże wszystkich sprawdzonych koni się zgadzały -

a potem zniknął w tłumie. Od tamtej pory go nie widziała.

Może jeszcze się wściekał za tę spódnice.

Albo za malinkę.

Tak dłużej być nie może, pomyślała i usiadła na łóżku. Opu

ściła nogi na podłogę i zapaliła lampkę nocną. Ubrana w o wiele za dużą bawełnianą koszulkę, w których najlepiej jej się spało, z potarganymi włosami, poszła do łazienki. Pod

łoga chłodziła bose stopy Molly, a przedpotopowy piec stękał

i chrzęścił, gdy usiłowała go nastawić.

Właśnie wychodziła z łazienki, kiedy to usłyszała: przenikliwe, zawodzące rzenie konia. Śmiertelnie przerażonego albo cierpiącego.

Rozdział dwudziesty drugi

16 października 1995

Na zewnątrz, w tę chłodną, dżdżystą noc czyjaś ręka z no

żem uniosła się i opadła szaleńczym ruchem, przepelnionym nienawiścią i pożądaniem. Ostry niczym brzytwa nóż przeciął

sierść i skórę, otwierając ujście krwi tak ciepłej, że unosiły się nad nią obłoczki pary. Klacz poruszyła się z jękiem. Ręka odrzuciła nóż i chwyciła kij od miotły. Zanurzanie jej głęboko, z całej siły w zwierzęciu przynosiło rozkosz i ulgę.

W domu u stóp wzgórza zabłysło światło.

Klacz zakwiczała raz i drugi, próbując dźwignąć się na nogi.

Człowiek z niewysłowioną rozkoszą przyglądał się męczarni zwierzęcia. Należało do niego, było na niego skazane. Panował

nad nim. Może zadawać mu ból albo okazać miłosierdzie. Mo

że darować życie - albo zabić. Dla tej klaczy był teraz bogiem.

Ktoś wyszedł na ganek i spoglądając ku polom, usiłował

przeniknąć wzrokiem ciemności.

Ręka zadrżała i znieruchomiała.

Ale klacz nadal zawodziła.

Postać zbiegła po schodach, kierując się ku pastwisku.

Przez chwilę człowiek z nożem przyglądał się jej niemal łakomie. Czy już czas...?

Nie, jeszcze nie, postanowił i odwróciwszy się, zniknął w zimnym mroku nocy.

Rozdział dwudziesty trzeci

Chyba jeszcze nigdy w życiu Will tak szybko nie prowadził.

Kiedy zatrzymał samochód za policyjnymi radiowozami na podjeździe przed domem Molly, zobaczył na wzgórzu światła i ruch.

Wyskoczywszy zza kierownicy, nawet nie poczuł lodowatej mżawki, która siekła go po twarzy, i rzucił się ku wzgórzu, zatrzymując się tylko przed czarnym płotem. Stał tam już Żeberko ze zjeżoną sierścią i wpatrywał się w przestrzeń pomiędzy deskami. Pies powitał przybysza lekkim machnięciem ogona.

Will poszedł za jego wzrokiem. Latarki i reflektory czarnego jeepa cherokee oświetlały scenę na

pastwisku.

Na ziemi leżał koń, nogi mu drżały, łeb złożył na kolanach Molly. Pochylała się nad nim, tuląc go, powtarzając jego imię i starając się w miarę możliwości osłonić zwierzę przed deszczem. Nawet ze swego miejsca Will dostrzegał jej cierpienie i grozę sytuacji.

- Co, u licha? - szepnął i przesadził płot z taką łatwością, jak robił to, mając dziewiętnaście lat.

Wokół konia stanęli półkolem ludzie: Tyler i Thornton Wylandowie, Helen Trapp, paru policjantów, dwóch agentów.

Obok Molly przykucnął J.D. Hatfield, kierując strumień światła na umięśnione ciało zwierzęcia. Ballardowie, w kurtkach narzuconych na piżamy, kulili się za siostrą. Ashley rozpostar

ła nad głową Molly zniszczony parasol, Mike - oczywiście - ścisnął strzelbę, a bliźnięta tuliły się do siebie. Chudy starszy mężczyzna w drogim płaszczu pochylał się nad koniem, szykując się do wbicia igły w smukły, ciemny kark. Will zauważył, że 160

Księżyc myśliwego

tylne nogi zwierzęcia leżą w jakiejś mazistej cieczy. Dopiero gdy omal w nią nie wszedł, zrozumiał, że to krew.

- Will!

Ashley zauważyła go pierwsza. W tym jednym słowie zabrzmiała niewysłowiona ulga. To ona zadzwoniła pod numer telefonu komórkowego i przyłapała Lymana w trakcie przeszukiwania gabinetu Howarda Lawrence'a. Chociaż była zbyt wstrząśnięta, by mówić do rzeczy, to, co Will zrozumiał, wystarczyło, żeby rzucił wszystko. Zdarzyło się nieszczęście i Molly bardzo go potrzebuje.

Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że pobił rekord tej trasy. Z ulgą zobaczył, że nieszczęście nie dotknęło dziewczyny ani żadnego z dzieci, tylko konia.

Nie zważając na spojrzenia ludzi zebranych wokoło, Will kucnął przy Molly. Klęczała w mokrej trawie, siedząc na piętach, i najwyraźniej nie dostrzegała niczego z wyjątkiem drżącego angloaraba, którego uspokajała. Choć Will zupełnie nie znał się na koniach, doskonale widział przerażenie, malujące się w oczach konia. Czerwonawa piana pokrywała jego chrapy.

W powietrzu unosił się słodkawy zapach. Will po chwili się zorientował, że to mieszkanka woni krwi i potu przerażonego zwierzęcia.

-Molly.

Jej skóra była lodowata i wilgotna. Okazało się, że Molly miała na sobie jedynie luźną bawełnianą koszulkę z krótkimi rękawami. Nóg od kolan w dół nic nie przykrywało, dziewczyna nie włożyła też butów. Will dotknął jej ubrania - bawełna przemokła od deszczu. Włosy zresztą także. Widocznie

Ashley spóźniła się z parasolem.

- Molly.

Nie poruszyła się i nie zareagowała. Will zaklął pod nosem i wstając, zdjął prochowiec, który wcześniej zarzucił na siebie, wychodząc z auta. Otulił nim ramiona dziewczyny. Ponownie wypowiedział jej imię. Brak reakcji.

J.D., który stał najbliżej, zmierzył go wzrokiem nad pochyloną głową Molly. Ona sama nawet nie spojrzała na przybyłego.

- To złagodzi ból - odezwał się weterynarz, wyjmując igłę i z trudem dźwigając się na nogi. - Gdzie, do licha, jest ta karetka?

- Niech piekło pochłonie tego przeklętego zbrodźcę!

Xsiężyc myśliwego 161

Głos Helen Trapp drżał. Kobieta mogła liczyć sobie czterdzieści parę lat, miała krótkie, przyprószone siwizną włosy i ogorzałą twarz. Ubrana w gumki i kurtkę przeciwdeszczową z kapturem, zarzuconą chyba na koszulę nocną, stała między bratem i bratankiem. Tak Tyler, jak i Thornton Wylandowie byli całkowicie, acz nieco przypadkowo ubrani. J.D., w którym obecność Willa najwyraźniej wzbudziła niechęć, miał na sobie ten sam kapelusz, buty i kurtkę co przy ich pierwszym spotkaniu. Will nie potrafił stwierdzić, czy dzinsy i koszula też się powtórzyły.

Koń konwulsyjnie przebierał nogami. Molly przemawiała do niego, gładziła po szyi. Słuchając jej urywanych słów, Will czuł, że jak serce mu się kraje.

- Czy nie może tego robić ktoś inny? - zwrócił się do Wylandów, do Helen Trapp, do weterynarza i policji. - Po co jeszcze ją dręczyć? Przecież ta dziewczyna jest w strasznym stanie.

Jedynym sprzymierzeńcem okazał się J.D., który też coś mruknął.

- Klacz zna Molly - odparł weterynarz. - Musimy uspokoić zwierzę, dopóki nie zacznie działać środek przeciwbólowy. To już niedługo.

Lekarza, podobnie jak Helen Trapp i Wylandów najwyraźniej bardziej obchodził stan zwierzęcia niż Molly. Will zacisnął

zęby i popatrzył nad nią na J.D. Czy im się to podobało, czy nie, on i ten nedorobiony kowboj stali się sprzymierzeńcami.

- Wytrzyma - powiedział J.D.

Will wiedział, że ma na myśli Molly, nie konia.

- Co się stało? - spytał.

Wszystko w nim aż krzyczało, żeby wyciągnąć odznakę i przejąć kontrolę nad sytuacją, lecz powstrzymała go myśl o śledztwie, które właśnie prowadził. Powodzenie tej sprawy zależało od utrzymania tajemnicy. Gdyby się zdemaskował, równie dobrze mógłby spakować manatki i wrócić do Chicago.

- To ten sadysta od koni. - J.D. pokręcił głową. - Kilkana

ście razy poprzecinał biedaczce tylne nogi. A potem jeszcze wetknął jej... kij od miotły w... rozumiesz.

- Sadysta od koni? - Willowi nie mieściło się to w głowie.

- Mogę prosić pana nazwisko?

Funkcjonariusz policji stanowej Kentucky wyrósł przed Willem z notesem i ołówkiem w ręku, mierząc go wzrokiem.

11. Księżyc myśliwego

162

Xsiężyc myśliwego

- Wszystko w porządku, to chłopak Molly - oświadczył ponuro J.D., zerkając na tamtego.

- Molly?

Policjant uniósł brwi i skinął w jej stronę głową. Will wstał.

- Molly Ballard. A ja nazywam się Will Lyman - powiedział

i przeliterował nazwiska, by funkcjonariusz mógł je zapisać. -

O co chodzi z tym sadystą od koni?

- To już szósty napad na angloaraba w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Wszystko to klacze, poranione w tylne nogi.

- Jest karetka!

J.D. wyprostował się, gdy w ich kierunku podjechała biała furgonetka, przecinając reflektorami ciemności nocy.

Nie zwracając uwagi na deszcz, który moczył mu włosy i marynarkę, Will patrzył na dziewczynę, skuloną u jego stóp.

Molly nadal pochylała się nad klaczą, gładząc ją i przemawiając czule, lecz zwierzę się nie

poruszało.

- Zdaje się, że środek przeciwbólowy zaczął działać - zwrócił się do weterynarza, usiłując nadać głosowi choć cień uprzejmości.

Lekarz spojrział na konia.

- Na to wygląda.

- W takim razie nic tu po nas.

Will znowu kucnął przy Molly, objął ją i wyszeptał prawie do samego ucha dziewczyny:

- Przyjechała karetka. Teraz już inni mogą się zająć tą biedaczką. Czas wracać do domu.

Kiedy nie zareagowała, Will zaczął się niepokoić. Wyciągnął rękę i odgarnął z twarzy Molly kręcone, wilgotne włosy.

Policzki miała kredowoblade.

- Molly - powiedział, muskając jej skórę. Była zimna jak lód.-Molly!

Podniosła ku niemu oczy i zobaczył, że płacze. W olbrzymich oczach płonął gniew. Usta jej drżały; policzki błyszczały od łez i deszczu.

- Will? - Głos miała piskliwy i słaby. - Musisz znaleźć tego, kto to zrobił. Potrafisz, prawda? W końcu jesteś...

Była w takim stanie, że nie wiedziała, co mówi. Musiał powstrzymać Molly od wygadania tego, co miało być tajemnicą, pochylił się więc nad nią i przycisnął usta do jej warg. Powinno to bardziej przypominać knebel niż pocałunek, ale błyskawicz-Xsiżyc myśliwego 163

nie stało się inaczej. Jej wargi zadrżały, rozchyliła je i otoczyła ramionami jego szyję, jakby już nigdy nie zamierzała go puścić.

Usta miała ciepłe i miękkie, i niewyobrażalnie słodkie. Na języku czuł słony smak jej łez.

Ciało Willa zareagowało natychmiast. W głowie mu zawirowało, serce waliło jak młotem.

Cholera, pomyślał, ale było już za późno. Tym pocałunkiem Pułapka Wenus schwytała kolejną ofiarę. Przekroczył symboliczną linię, którą w myślach sobie wyznaczył. Wszystko się zmieniło. Czuł się jej opiekunem, panem i właścicielem. Od tej chwili ta dziewczyna naprawdę zaczęła doń należeć.

Wziął ją w ramiona, zawiniętą w prochowiec i podniósł.

Uwolniwszy usta, pocałował Molly w policzek, szepnął jej do ucha: „ciii” i przytulił twarz dziewczyny do piersi.

Obejrzawszy się, Will zlokalizował Ballardów, którzy - co do jednego - wpatrywali się w nich dwoje szeroko otwartymi oczami.

- Do domu - polecił, ruchem głowy wskazując kierunek.

Nie ulegało wątpliwości, że to rozkaz. Nie kwestionowali go, nawet Mike, tylko posłusznie udali się w stronę domu. Will, niosąc Molly na rękach, doszedł do ogrodzenia. Dzieciaki przeskakiwały już przez płot.

Płakała, wtuliwszy twarz w jego ramię, a Willa paliły te łzy.

Jej ciałem wstrząsał głęboki szloch. Gwałtownie wciągała powietrze.

- Chwileczkę, proszę pana. Ona musi złożyć zeznania.

Gliniarz, który zapisał ich nazwiska, podreptał za nimi do płotu. Will zatrzymał się i odwrócił.

- To niech pan zaczeka do jutra. Dziś nie jest w stanie składać żadnych zeznań - odparł twardo.

Funkcjonariusz zerknął na dziewczynę i skinął głową. Will przypomniał sobie o ogrodzeniu.

- Proszę ją chwilę potrzymać.

Nie czekając na odpowiedź, podał mu Molly. Kiedy mężczyzna wyciągnął po nią rękę, Molly mruknęła coś w proteście i mocniej zacisnęła dłoń na karku Willa.

- Tylko na moment, muszę przejść przez płot - powiedział jej do ucha.

Ustała. Policjant trzymał ją niezręcznie, nie wiedząc co zrobić z tą roztrzęsioną, szlochającą, mokrą od łez kobietą. Kie-164

Xsigżyc myśliwego

dy Will wyciągnął nad sztachetami rękę, by odzyskać swój ciężar,

na twarzy tamtego odmalowała się ulga.

W domu Ashley zajęła się już rodzeństwem, pilnując, żeby wszyscy się przebrali, i dała każdemu ręcznik do wysuszenia włosów. Spojrzała z niepokojem na Willa, który wszedł, niosąc Molly i kopniakiem zamknął drzwi, gdyż nie miał już wolnej ręki. Żeberko w ostatniej chwili zdążył się wcisnąć do mieszkania i teraz się otrząsnął, aż kropelki wody poleciały dokoła.

Dzieci się uchylili; Mike zaklął.

- Macie kawę? - spytał Will, kierując się do pokoju dziennego. A gdy Ashley twierdząco kiwnęła głową, polecił: - Zaparz.

Mocną i bardzo słodką. I przynieś mi ręczniki, koce i suche ubranie dla niej, dobrze?

Przerzuciwszy dziewczynę z jednego ramienia na drugie, udało mu się zdjąć mokrą bluzę od dresu i zapalić lampę przy kanapie, nie upuszczając przy tym swego szlochającego ciężaru.

Wraz z Molly usiadł w fotelu i starał się powstrzymać jej łzy.

Wtuliła się w jego ramię, tak że nie widział jej twarzy, i zaplotła mu ręce na szyi. Pocałował odwrócony policzek, a potem ucho, mruzczał uspokajające słowa, palcami odgarniał wilgotne włosy z szyi dziewczyny. Nadal trzęsła się i szlochała. Bose nogi wysunęły się spod płaszcza, więc Will spróbował rozgrzać dłonią jej palce. Miała długie, delikatne stopy, zimne teraz jak kostki lodu.

Zza drzwi do pokoju zaglądali Susan i Sam. Z potarganymi po suszeniu ręcznikiem włosami, w suchych ubraniach (Sam w piżamie, Susan zaś w nocnej koszuli) zobaczyli swą zwykle wszechmocną siostrę, płaczącą teraz jak dziecko w ramionach Willa i nagle jakby się skurczyli. Wyczuwszy obecność bliźniaków, Will uniósł głowę. Ręka, którą gładził Molly po włosach, znieruchomiła.

- Czy nic jej się nie stało? - spytała Susan cicho, podchodząc do fotela.

Will sam zaczynał mieć wątpliwości. Nie dziwił się, że sprawa z koniem tak dziewczyną wstrząsnęła, ale mimo to reakcja była z pewnością niewspółmierna do sytuacji. Molly chyba wyczuła obecność Susan i to, że przeraziła dziewczynkę swym zachowaniem, bo nagle jej szloch stał się mniej rozpaczliwy, chociaż zaczęła jeszcze mocniej się trząść. Jeszcze bardziej wtuliła twarz w ramię Willa, jak gdyby tylko w ten sposób mogła zdławić miotające ją emocje.

Xsigżyc myśliwego 165

- Przejęła się, ale niedługo wróci do siebie - odrzekł Will, pozornie bez troskim tonem.

W tej samej chwili zjawiała się Ashley z ręcznikami, kocem i różową bawełnianą koszulą z króliczkiem i jakimś napisem.

Potargane włosy otaczały jej głowę niczym kłębiasta chmurka, okulary zsunęły jej się na nos. Spod niebieskiej podomki wyglądała koszulka bliźniaczo podobna do tej, którą przyniosła.

- Molly, przyniosłam ci suchą koszulę - odezwała się głośniejszym niż zwykle i zatroskana popatrzyła na siostrę.

Molly jeszcze mocniej wtuliła się w Willa. Zrozumiał, że wstydzi się, iż rodzeństwo widziało jej łzy i chyba tylko siłą można by ją teraz wyrwać z jego ramion. Spojrzał na Ashley i pokręcił głową.

- Zostaw to na stole, zaraz się przebierze. Wytrzymaj jej stopy i owiń kocem. I daj mi ręcznik do włosów.

Ashley posłuchała. Will, na ile mógł, wytarł gęste, ciemne loki Molly. Ashley wzięła od niego wilgotny ręcznik i przez sztywny prochowiec Willa poklepała siostrę po ramieniu. Szlochanie Molly cichło z wolna, lecz Will czuł gwałtowne dreszcze, jakie ją przeszywały i wiedział, że nadludzkim

wysiłkiem woli stara się nie przerazić bardziej rodzeństwa.

Oczy Ashley wypełniły się łzami, gdy patrzyła na siostrę.

- Na Boga - jęknął Will - przynajmniej ty nie zaczynaj.

Pociągnęła nosem, kręcąc jednak stanowczo głową.

Do pokoju weszli Sam i Mike, który miał na sobie tylko dzinsy i kolczyk w uchu. Will uznał, że chłopak pewnie śpi w bieliź-

nie i zrzuci spodnie, gdy znajdzie się na górze.

Niezręcznie się czuł, tuląc Molly przy tak młodej i śledzącej ich uważnie publiczności. Opuścił ręce, luźno splatając je na plecach Molly. Przyciskała się skulona do niego, drżąc tak gwałtownie, że tylko czekał, kiedy zacznie szcząkać zębami. Choć przestała już szlochać i teraz tylko od czasu do czasu mocno wciągała powietrze, nadal płakała bezgłośnie. Will czuł na szyi ciepłą strugę jej łez.

- To przez krew - odezwał się Mike, z powagą przenosząc wzrok z siostry na Willa. - Molly nie znosi widoku krwi.

- Cicho, Mike! - ostro ucięła Ashley.

- Skoro ma zamiar wypłakiwać się facetowi w klapę, to niech on chociaż wie dlaczego, inaczej uznaj ją za szurniętą.

- Nie chciałyby, żebyśmy mu mówili.

166 Xsiężyc myśliwego

- O czym? - Will popatrzył na chłopaka, a potem na Ashley.

- Susan i Sam, do łóżek - rozkazała Ashley.

- Musimy? - jęknął Sam.

- Tak - oświadczył Will tonem nieznoszącym sprzeciwu.

To poskutkowało. Bliźnięta wyszły, ograniczając się do paru mruknięć pod nosem.

- Powiedźcie!

Ashley i Mike wymienili między sobą spojrzenia. Dziewczyna pokręciła głową.

- Cztery lata temu nasza mama popełniła samobójstwo. Po

łożyła się w wannie, w mieszkaniu przyjaciela w Lexington i podcięła sobie żyły. To Molly ją znalazła. Od tamtej pory na widok krwi Molly odlatuje. A dziś zobaczyła jej aż nadto dużo

-wyjaśnił Mike.

Ashley zmarszczyła brwi.

- Chryste!

Will aż się skrzywił na myśl o tym, przez co przeszła ta młoda kobieta. Poczł, jak wstrząsa nią dreszcz i słyszał szcęknięcie jej zębów. Ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku i Will zdał sobie sprawę z tego, że podziwia Molly i jest z niej dumny.

Chciał ją pocieszyć, ale musiał zostać z nią sam. Nie odważył się nawet szepnąć jej niczego do ucha pod baczny i pełny ciekawości spojrzeniem czternastolatka i siedemnastolatki.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dziękuję, że mi powiedziałaś, Mike. A teraz idź do łóżka -

rozkazał.

Mike popatrzył na niego, dotknięty. Przez chwilę Will sądził, że wrodzona buntowniczość weźmie górę i chłopak odmówi. Ale Mike go zaskoczył: ograniczył się do zaciśnięcia ust, a potem wyszedł z pokoju.

- Zrobiłaś kawę? - zwrócił się Will do Ashley.

- Zaraz przyniosę -- powiedziała i wybiegła do kuchni, zabierając ze sobą wilgotne ręczniki.

Will ułożył wygodnie Molly na kolanach i wtulił usta w jej gęste, wilgotne włosy, ale w tej samej chwili wróciła Ashley.

Niosła gliniany, wypalany kubek, niemal po brzegi wypełniony parującą kawą.

- Wsypałam trzy łyżeczki cukru - powiedziała, stawiając kubek na stole, w zasięgu ręki Willa.

- Dobrze.

- A teraz każesz mi się położyć.

- Owszem.

- W porządku. Dobranoc.

- Dobranoc.

-Will?

- H m ?

- Zaopiekuj się Molly.

- Dobranoc, Ashley. - Jego głos brzmiał sucho.

- ...branoc. ...branoc, Molly.

168

Xsiężyc myśliwego

Wyszła, a po chwili światło w kuchni zgasło. Will słyszał, jak dziewczyna wchodzi po schodach na górę.

Wsunął rękę pod rozpuszczone włosy Molly i lekko gładził

jej aksamitny kark. Siedzieli sami w kręgu słabego światła.

W zadumie spoglądał na poplątaną gęstwinę jej ciemnych loków na swym ramieniu, na szczupłe barki, niemal całkowicie ukryte w jego marynarce. Nie była ciężka. Will nagle zdał sobie sprawę, że dla tej dziewczyny jego kolana są schronieniem, o którym marzyła od dawna i równocześnie rozumiał, że on sam też wpadł po same uszy.

Ale w tym momencie nic go już nie obchodziło.

- Molly.

Żadnej reakcji. Nie widział jej twarzy. Odgarnął jej włosy z ucha - jedyne skrawka ciała, do jakiego mogły dotrzeć jego usta - i pocałował je.

- Hej - szepnął. - Napędziłaś mi stracha!

Znowu nierówno, z drzeniem wciągnęła powietrze, a potem odwróciła głowę, opierając policzek na jego ramieniu. Rozluźniła uścisk. Nie dusiła go już, zsunęła rękę i opuściła je - jakby poczuła się zmęczona - na jego tors. Nie otworzyła oczu, ale wreszcie ujrzał jej twarz. Molly nadal płakała; łzy cicho, bez końca spływały jej po policzkach; ciało przeszywał dreszcz za dreszczem.

- Molly. - Odgarnął jej włosy z twarzy, delikatnie otarł palcem łzy. - Usiądź prosto i napij się trochę kawy. Zrobisz to dla mnie? Proszę.

Kiedy nie odpowiedziała, przytulił wargi do mokrego policzka i błędził nimi, aż dotarł do kącika jej ust. Zadrżały, i przesunęły się, szukając jego warg. Will zaczął ją całować, powtarzając sobie w myślach, że musi być delikatny; sam się dziwił, że tak dobrze mu idzie. Już od jakiegoś czasu na samą myśl o tej dziewczynie odczuwał przypływ niepohamowanego pożądania. Dziś jednak okazało się, że troska o nią wzięła górę nad żądzą.

Odsunął się, zanim pocałunek nie rozplomienił go na tyle, by stracił panowanie nad sytuacją i głęboko zaczerpnął powietrza, próbując jasno myśleć.

Molly nadal nie otwierała oczu, opierając głowę na jego ramieniu, lecz jedna ręka dziewczyny - nie wiadomo kiedy - zakradła się do jego karku.

Księżyc myśliwego 16 9

Na jej twarz zaczęły wracać rumieńce; Will walczył z pokusą, by znowu ją pocałować.

- Jeśli nie zrobisz, co ci każę, załaduję cię do samochodu i zawiozę do szpitala - zagroził. - A tam potraktują cię jak pacjentkę w szoku. Chcesz tego?

Lekki ruch jej głowy uznał *za* odpowiedź przeczącą .

- W takim razie usiądź prosto i wypij kawę.

Użył tego samego, surowego, nieznoszącego sprzeciwu tonu, którym wcześniej zwrócił się do jej rodzeństwa. Molly zadrżała i otworzyła oczy, potem zaś oderwała się od niego i usiadła sztywno, otulając się szczelniej prochowcem. Nie patrzyła na Willa, lecz utkwiała oczy w podłogę, zastanawiał się, czy to skrępowanie, czy też nieśmiałość.

Na myśl o nieśmiałej Molly omal się nie uśmiechnął. Z charakterkiem, może. Zdziorna, niewątpliwie. Jednak nieśmiała

- absolutnie nie.

- Proszę.

Podał jej kubek i patrzył, jak podniosła go do ust. Ręce Molly drżały, a choć Will był gotów do pomocy, udało jej się nie rozlać ani kropli.

Uznał, że jej włosy same się kręcą, gdyż wilgotne stworzy

ły niemal czarną aureolę wokół głowy i ramion. Rzęsy miała gęste i długie, ciemniejsze niż włosy, jeszcze wilgotne od łez, brwi grube, z leciutkim zarysem łuku i nos prosty, delikatny.

Miękkie usta nieustannie zapraszały do pocałunku. Cudownie wyrzeźbione broda i kości policzkowe odznaczały *się* subtelnym kształtem. Niezrównaną gładkość skóry Molly zakłócały teraz tylko srebrzyste ślady łez. Nadal owinięta w prochowiec, wyglądała jak krucha, nieco obszarpana wersja anioła prera-faelickiego. Koc zsunął jej się z nóg. Siedząc z łydkami przerzuconymi przez kolana Willa, stopami nawet nie dotykała podłogi.

- Zimno mi - poskarżyła się cienkim głosem, nadal nań nie patrząc i zadrżała.

Will przypomniał sobie o przemoczonej koszuli nocnej dziewczyny i wyjął Molly z rąk na wpół opróżniony kubek.

- Zaraz się tym zajmiemy - odrzekł, siłąc się na pogodny ton.

Znowu wziął ją na ręce, równocześnie podnosząc koszulę, którą Ashley zostawiła na stole.

- Nie musisz mnie nieść, potrafię chodzić.

170 K iężyc myśliwego

Mimo tego protestu, Molly wtuliła się w jego ramiona, jakby nie wyobrażała sobie bezpieczniejszego schronienia. Will spojrzął w jej wilgotne od łez, brązowe oczy i poniosł ją w stronę kuchni.

- Zamknij się i pozwól, by choć raz ktoś się tobą zajął.

Przez chwilę sądził, że dziewczyna dalej będzie walczyć, ale ustąpiła ze zmęczonym uśmiechem i na powrót oparła głowę na jego piersi. Zamknęła oczy, wolniej oddychała. Nadal jednak trzęsa się, gdy Will niósł ją przez kuchnię do łazienki, zapalając po drodze wszystkie światła.

Oby tylko te dreszcze były z zimna.

Jednym rzutem oka ogarnął wyposażenie łazienki. Wanna była przedpotopowa, z rodzaju tych na nóżkach w kształcie smoczych łap. Najwyraźniej prysznic zamontowano tu całkiem niedawno. Składał się z cienkiej mosiężnej rury sięgającej do połowy wyłożonej zielonymi płytkami ściany, zakończonej sitkiem, skierowanym na wannę. Na zamocowanej pod sufitem poprzeczce wisiała zwykła, biała zasłona z plastiku.

Nie wypuszczając Molly z ramion, Will pochylił się i zatkał

odpływ. Odkręcił kran, a woda trysnęła do wanny. Will sprawdził temperaturę, odczekał chwilę, potem zdjął z Molly prochowiec, rzucił go wraz z suchą koszulą nocną na zamkniętą klapę sedesu i ostrożnie włożył dziewczynę do wody.

Przez chwilę chciał jej zdjąć białą koszulkę z wizerunkiem radosnej Myszki Miki, ale była i tak kompletnie przemoczona, a w tej sytuacji nie uważał, by należało rozbierać Molly.

Puszczając szyję Willa, otworzyła oczy. Były wielkie i ciemne; gdy zatrzymały się na jego twarzy, dostrzegł wyraz zagubienia. Cierpienie, które się w nich malowało, raniło i jego.

Przykucnął przy wannie, chwycił Molly za rękę i przycisnąwszy do policzka jej lodowate palce, ucałował wnętrze dłoni.

- To była Sheila - powiedziała dziewczyna, zamykając oczy.

Głowa ze znużenia opadła jej na krawędź wanny, włosy spłynęły w dół, sięgając prawie do podłogi.

- To była Sheila.

Will nie rozumiał, o co jej chodziło. Znowu ucałował jej dłoń.

- Już dobrze - uspokajał. - Wszystko będzie dobrze.

Znowu łzy popłynęły jej spod powiek. Pokręciła głową, a potem wysunęła rękę z jego uścisku i znowu otworzyła oczy.

- Już sobie poradzę - odezwała się spokojnie. - Dziękuję.

Księżyc myśliwego 171

Will zrozumiał, że go wyprasza. Popatrzył na nią, zawahał się i wstał.

- Na pewno?

- Tak.

- Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebowała.

Z tymi słowami wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Rozdział dwudziesty piąty

Kiedy dziewczyna zebrała się na odwagę i wyszła z łazienki, Will stał w kuchni oparty o blat i pił mleko ze szklanki. Miał na sobie czarne spodnie od dresu, białą, bawełnianą koszulkę z krótkim rękawem i napisem „Nike” na przodzie, a do tego bia

łe skarpetki frotte. Popatrzył na Molly, wodząc wzrokiem od jej wypucowanej twarzy po boscie nogi i z powrotem. Uczesała się, wyszorowała zęby i tak długo ochlapywała twarz zimną wodą, aż skóra jej się napięła, choć oczy nadal pozostały zapuchnięte i czerwone. Na to nic nie mogła poradzić, podobnie jak na koszulę nocną, przedstawiającą zaspanego króliczka w lokówkach z napisem: „Rano na mnie nie licz!”.

- Znowu mleko? - spytała, marszcząc nos.

To wstyd trzymał ją w łazience jeszcze długo po tym, jak się wykąpała i wzięła w garść. Co ma powiedzieć mężczyźnie, którego przed chwilą całowała, na którego ramieniu się wypłakiwała i który poznał najboleśniejszą tajemnicę jej życia?

A przede wszystkim mężczyźnie, który niesamowicie, wręcz nieprzyzwoicie ją pociągał. I którego, jeszcze wieczorem, zamierzała trzymać na dystans.

Miłość do niego byłaby z góry skazana na niepowodzenie, nawet gdyby Molly na tyle straciła rozum, by się zadurzyć.

- Znowu mleko?

Tylko na tyle było ją stać.

- Mam wrzody - odparł naturalnym tonem. - Lekarz, który się ich u mnie doszukał, twierdzi, że nie najlepiej znoszę stres.

Xsiężyc myśliwego

173

Wypił kolejny łyk, spoglądając na nią znad szklanki. Molly uświadomiła sobie, że owo wyznanie stanowiło upominek, swoisty rewanż za to, czego Will się dowiedział o niej.

- Skąd masz takie ubranie?

Weszła do kuchni i powiesiła jego prochowiec na oparciu krzesła. Potem sięgnęła po dzbanek z kawą, pilnując, by zbytnio nie zbliżać się do Willa. I tak wystarczająco daleko się posunęli jak na jeden wieczór. Miała wrażenie, że jeśli chodzi o tego mężczyznę, znalazła się na krawędzi przepaści. Jeden nieopatrzny krok, a spadnie.

- Trzymam w bagażniku strój sportowy. Na wypadek gdyby mi się trafiła okazja do ćwiczeń.

A musiała się często trafiać, pomyślała Molly, przyglądając mu się spod oka. W dresie prezentował się nawet lepiej niż w drogich garniturach. Miał silną i zgrabną sylwetkę atlety.

Szerokie bary, umięśnione ramiona, wąskie biodra i uda, brzuch płaski jak deska, długie i bardzo silne nogi. Nawet kark wyglądał na silny.

- Ćwiczysz ze sztangą? - spytała, odwracając się do mężczyzny. Kubek z kawą stał się swoistą barierą między nimi. Podniosła go do ust. Zastrzyk kofeiny - oto, czego jej trzeba, pomyślała, pijąc. Może gorąca kawa pomoże jej wrócić do rzeczywistości.

- Jasne. A jak sądzisz, skąd miałbym tyle sił, żeby cały wieczór cię dźwigać?

Posłał jej psotne, chłopięce spojrzenie. Molly zrozumiała, że Will żartuje.

- Nie ważę znowu aż tak wiele.

Błady uśmiech pojawił się na jej ustach. To było dobre i Molly poczuła wdzięczność, że Will go wywołał. Dzięki temu odepchnęła straszne wydarzenia tej nocy głębiej, do czarnego dołu, w którym grzebała wszystkie bolesne wspomnienia.

- Nie da się ukryć, prawda?

Will dopił mleko i podszedł do zlewu. Molly patrzyła, jak umył szklankę, zanim ją odstawił. Widocznie dostrzegł jej zaskoczenie, bo się odwrócił.

- Hej, jestem mistrzem w zmywaniu. Musisz kiedyś mnie wypróbować.

Z rozkoszą by to zrobiła, ale on przecież wkrótce wróci do Chicago i nie będzie już miała okazji.

- Nie wierzysz?

Wyglądało na to, że bez trudu czytał z jej twarzy.

- Uwierzę na słowo.

- To gdzie zniknął twój uśmiech?

- Chyba jestem zmęczona - powiedziała, odstawiając kubek na blat.

Umyje go później, gdy Will nie będzie już stał przy zlewie.

Dziś nie panowała nad uczuciami. A ujawnić je, by potem mógł po nich deptać... To nie jest najlepszy pomysł.

- Powinnaś się położyć do łóżka - zauważył, patrząc na nią spokojnie. Molly modliła się, by nie zdradził jej rumieniec.

Pójść do łóżka - bardzo chętnie, lecz pod warunkiem, że on by jej towarzyszył. Ale właściwie nie chciałaby tego przecież. Tak przynajmniej sobie wmawiała.

Przespać się z nim, choć tylko przelotnie zagości w jej życiu? To można by umieścić na poczesnym miejscu w wykazie największych popełnionych przez nią głupot.

- Idziesz już? - spytała, licząc, że zabrzmiałoby to wyłącznie jak grzeczne pytanie.

Potrząsnął głową.

- W tej sytuacji resztę nocy przekimam na waszej kanapie.

A jutro z samego rana każę zainstalować system alarmowy. Do tego momentu będziesz skazana na mnie.

- System alarmowy? Po co nam to?

Przez chwilę Will przyglądał jej się bez słowa. Z jego twarzy nie dawało się wyczytać niczego.

- Właśnie, co po? Wczoraj Susan wydawało się, że widzi kogoś za oknem. J.D. powiedział, że ktoś okalecza konie. A dziś...

cóż, dziś... Nie mogę tu siedzieć bez przerwy, a nie będę też mógł spokojnie pracować, jeśli zacznę się martwić o ciebie i twoje rodzeństwo. Dlatego musisz mieć założony system alarmowy.

- To droga impreza. Nie stać nas na coś takiego.

- Rząd chroni swoich informatorów.

- Widocznie rząd nie narzeka na brak pieniędzy.

- Owszem.

- A jeśli powiem, że nie życzę sobie, abyś spał u nas na kanapie?

Will uniósł brwi.

- Czyżbyś składała mi bardziej interesującą propozycję?

Księżyc myśliwego 175

W kąciку jego ust znowu pojawił się uśmiech. Nadal się z nią droczył. Na pewno.

-Nie.

Molly nic nie mogła poradzić na to, że poczucie humoru nagle ją opuściło. Odwróciła głowę.

- Szkoda.

Czyli jednak się przekomarzał.

- Przygotuję ci posłanie.

Zadowolona, że ma coś do roboty, pośpiesznie wyszła po zapasową pościel, którą trzymała w szafie pod schodami. Kiedy wróciła, światło w kuchni było już zgaszone, a Will siedział w fotelu w pokoju dziennym i przeglądał jedno z czasopism motoryzacyjnych Mike'a. Podniósł wzrok i zobaczył Molly w drzwiach.

- Rzuć to na kanapę. Rozścielę sobie, gdy będę się kładł -

powiedział.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Sama to zrobię.

Podeszła do kanapy, położyła na stoliku obok Willa pościel i zaczęła szukać prześcieradła.

Will wstał nieoczekiwanie. Ten ruch tak zaskoczył Molly, że gwałtownie się odwróciła, upuszczając pościel. Był blisko. Za blisko. Instynktownie cofnęła się o krok.

- Idź już spać, Molly.

Na jego twarzy pojawiło się rozbawienie. Jest przystojny, seksowny i męski, pomyślała. Właśnie o kogoś takiego poprosiłaby na najbliższe urodziny, gdyby istniał Bóg, który pamięta o ludzkich sprawach.

- Pójdę, gdy pościelę - odrzekła, sięgając po prześcieradło.

Ostatnie, co teraz powinna zrobić, to zadurzyć się w Willu, skarciła się w duchu. Popęłniłaby błąd i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Jeszcze mogłaby się cofnąć znad krawędzi i przynajmniej spróbować oszczędzić sobie bólu. Tymczasem głęboko zaczerpnęła powietrza i zrobiła krok naprzód.

- Właśnie, dzięki, że... się wszystkim zająłeś. Że zająłeś się mną.

- Drobiazg.

Nadal stał, obserwując ją z rozbawieniem. Choć Molly nań nie patrzyła, czuła ciężar jego spojrzenia.

- Zawsze całujesz informatorów? - spytała, rozpościerając prześcieradło.

176 Xsiężyc myśliwego

- Słucham?

- Słyszałeś.

- Nie, zwykle nie całuję informatorów, ale też nigdy nie miałem takiego, który by wyglądał tak jak ty albo który zaplatałby mi ręce na karku i wypłakiwał mi się w marynarce.

- Rozumiem.

Molly wygładziła prześcieradło z drugiej strony i podwinę

ła rogi. Potem - nadal nie patrząc na Willa - sięgnęła po kolejne, na które położy koc.

- Odwzajemniłaś pocałunek - zauważył Will.

- Wiem o tym.

Rozłożyła prześcieradło.

- Zechcesz wyjaśnić, dlaczego?

Wzruszyła lekko ramionami.

- Hej, sam mówiłeś, że jesteś szefem. Może uznałam, że ca

łowanie się z tobą należy do moich obowiązków służbowych?

- Molly! - W jego głosie zadźwięczało coś między rozbawieniem a irytacją. Wyjął jej z rąk pościel. - Zostaw na chwilę to cholerne prześcieradło.

Odwrócił ją do siebie, przytrzymując za ramiona, tuż nad łokciami. Molly uniosła głowę i zobaczyła, że Will ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w jej twarz. Gdy ich spojrzenia się spotkały, jego

oczy zrobiły się intensywnie niebieskie i odmalowało się w nich napięcie.

- Postawię to jasno: nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz -

ciągnął. - To nie należy do naszego układu.

- Czego nie muszę robić?

Wytrącał ją z równowagi, czuła cudowny, wszechogarniający niepokój, jakiego chyba jeszcze żaden mężczyzna w niej nie wzbudził. Zwykle to mężczyźni błagali, a Molly obdarzała ich -

albo nie - swymi łaskami, zależnie od nastroju. Zawsze to ona miała przewagę. Lecz z Willem... Molly poważnie się obawiała, że w tym wypadku ostatnie słowo może należeć do niego. A najbardziej przerażało ją, że ta myśl nawet jej się spodobała.

- Przespać się ze mną - dokończył.

Aż jej zaszumiało w głowie od tak otwartego postawienia sprawy.

Dzieliły ich tylko centymetry. Nagle Molly zaczęła się rozkoszować wolnością, którą oferowały jego słowa. Nie musiała już udawać, mogła się nim cieszyć, jeśli tylko chciała. Wsunę-

Xsiężyc myśliwego 177

ła mu dłonie pod koszulkę, położyła je płasko na jego torsie, rozkoszując się ciepłem jego ciała. Gdy oboje stali boso - on w skarpetkach - okazało się, że jednak znacznie przewyższał

ją wzrostem.

- Spanie z tobą nie stanowi elementu naszego układu? -

spytała czujnie i przesunęła rękę wyżej.

Oczy mu zapłonęły, mocniej zacisnął dłonie na jej ramionach. Molly poczuła się oszołomiona ciepłem bijącym z jego palców. Słyszając jej pytanie, uniósł gwałtownie głowę i pokręcił ją, mrużąc oczy.

- Jaka szkoda! - odezwała się z żalem Molly, posyłając Willowi uśmiech Mony Lisy i przesuwając dłonie jeszcze wyżej, by zapleść mu je na karku. - I pomyśleć, że już w najdrobniejszych szczegółach zaplanowałam sobie mój pozew o molestowanie seksualne.

Parsknął śmiechem, a gdy się śmiał, wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

To był wyuczony pocałunek, delikatny i prowokujący. Przykryła ustami jego wargi, wsunęła między nie język i robiła, co w jej mocy, by zwalić go z nóg. Kiedy jednak przycisnęła się do Willa, okazało się, że ciało miał twarde jak deska, a ramiona, które ją otoczyły, spokojnie mogłyby ją złamać na pół. Uwielbiała tę męską stanowczość i siłę.

Tylko w owym pierwszym momencie to ona była górą. Potem Will zaczął ją całować, niwelując wszelkie próby przejęcia kontroli. Całował pewnie, umiejętnie. Przesunął ją, by oparła głowę na jego ramieniu i zaczął gładzić po brodzie i szyi. Poczuli się zaskoczona tą zmianą układu sił, ale potem przeszły

ją dreszcz. Ostatnią świadomą myślą Molly, gdy Will językiem badał wnętrze jej ust, było, że ten mężczyzna wie, jak pieścić kobietę. Z lekkim, rozkosznym drzeniem uświadomiła sobie, że niewiele brakuje, by to ona została zwalona z nóg.

Dopiero po dłuższej chwili Will uniósł głowę. Popatrzył na Molly, ujmując jej twarz w dłonie.

- Jesteś piękna - powiedział chrapliwie.

- Ty też jesteś niczego sobie - szepnęła i wspięła się na palce, by lekkimi pocałunkami zasypać twardą linię jego szczęk.

Odkryła, że blondyni nie mają sztywnego zarostu i powiodła językiem po szorstkiej skórze. Pod opuszkami palców poczuła, jak napinają się mięśnie Willa. Przesunął ręką po jej plecach, 12. Księżyc myśliwego

178 Xsiężyc myśliwego

zatrzymał się na pośladkach i mocno przycisnął jej biodra do twardego wybrzuszenia wyczuwalnego przez spodnie.

Potem znowu ją pocałował.

Molly zaplotła mu ręce na szyi i przywarła do niego, rozkoszując się siłą jego mięśni, jego męskością, dowodem jego po

żądania. Ścisnął i puszczał jej pośladki, przez koszulkę pieścił

jej miękkie kształty. Gniotąc w ręce różową bawełnę, stopniowo unosił koszulkę Molly, drżącej i płonącej z niecierpliwości, by wreszcie poczuć jego dłonie na nagiej skórze.

Marzyła o dotyku jego rąk tak gorąco, że aż ugięły się pod nią kolana.

W końcu wsunął rękę pod koszulkę, przyciskając Molly do siebie i unosząc nieco do góry, by ich biodra się zetknęły. Dłoń miał twardą i ciepłą, była to prawdziwa ręka mistrza. Dziewczyna miała wrażenie, że w reakcji na jego pieszczoty cała się rozplywa. Will nie pozostawił cienia wątpliwości, kto decyduje o ich pieszczotach: on.

Drugą dłonią przykrył jej pierś. Kciukiem odnalazł brodawkę pod materiałem i teraz pieścił ją, i tak już twardą i nabrzmiąłą. Pod zamkniętymi powiekami Molly wystrzelały fajerwerki.

Toczyła ciężką walkę z samą sobą, by nie poddać się potężnej, niemal wszechogarniającej fali namiętności. Jeszcze trochę i ten mężczyzna sprawi, że będzie go błagać, a do tego nie mogła

dopuszczyć. Jeśli chce zachować szacunek do siebie, musi odwrócić rolę i wypróbować na nim swoje umiejętności.

Wsunęła rękę pod koszulkę Willa i powiodła dłonią po gładkiej, ciepłej skórze jego pleców.

- Molly, właśnie... och.

W drzwiach pojawiła się Susan, mrugając oczami, by odgonić sen. Oboje gwałtownie odskoczyli od siebie, Will poprawił

podkoszulek, koszula nocna Molly sama się zsunęła na miejsce.

- O, cześć, Will, nadal tu jesteś? - odezwała się Susan, ziewając.

- Przenocuje u nas... na kanapie. Żeby się upewnić, że nic nam nie grozi - wyjaśniła zawstydzona Molly i ku swemu przerażeniu poczuła, że oblewa się rumieńcem.

Zauważyła też, że Willowi daleko było do jego zwykłego chłodu i opanowania. Policzki miał zaczerwienione, przegarnął

ręką włosy.

Księżyc myśliwego 179

- Coś w rodzaju ochroniarza? - upewniła się Susan, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

- Coś w tym stylu - zgodziła się Molly, a Will przytaknął.

- Czyli nie muszę się już bać. - W głosie dziewczynki zabrzmiała ulga. - To dobrze, bo bardzo chcę mi się spać. Dobrze się już czujesz, Moll?

- Tak, Susie.

- Wiedziałałam, że z Willem będzie ci lepiej - oświadczyła zadowolona mała, po czym odwróciła się i podreptała do łazienki. W kuchni zabłyśło światło. Po chwili, w czasie której Molly nie odważyła się spojrzeć na Willa, światło ponownie zgasło i Susan wróciła.

- Pójdę już spać - oznajmiła, mijając ich i kierując się ku schodom. - Dobranoc.

- ...branoc, Susie.

- Dobranoc, Susan.

Molly słuchała jej oddalających się kroków, a potem popatrzyła na Willa, który stał niecały metr od niej, potargany, z ża

łosną miną.

- Przepraszam cię za to - odezwała się cicho.

- To nie twoja wina.

Wyciągnął rękę, chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

Rozległ się kolejny tupot na schodach. Kiedy owinięty kocem Mike w drodze do łazienki przemaszerował obok drzwi, Will i Molly już się nie dotykali. Mike załatwił swe potrzeby i wrócił na górę, rzucając tylko przelotne spojrzenie na stojącą w pokoju parę.

Molly spojrzała na Willa.

- To chyba jednak nie miejsce ani czas - zauważyła.

Przetarł twarz dłonią.

- Powoli zaczynam to dostrzegać.

- Lepiej żebyśmy... nic nie robili... przy dzieciach.

- Zgadza się.

- A ja naprawdę powinnam iść spać.

- Świetna myśl.

- Kanapa...

- Przestań ciągle myśleć o tej nieszczęsnej kanapie. Sam umiem sobie posłać.

- Dobrze.

Molly ruszyła do wyjścia. Will stał między nią a drzwiami.

180 Xsiężyc myśliwego

Wyglądał na wyjątkowo rozdrażnionego. Zatrzymała się przed nim, pogładziła ręką umięśnione ramię i wspięła się na palce, żeby przelotnie pocałować go w usta.

- Dobranoc - szepnęła, dotykając jego warg.

- Dobranoc, niech to szlag!

Otoczył ją ramionami. Pocałunek był mocny i gorący, aż nogi się pod nią ugięły. Odchyliła głowę pod naporem ust Willa i zaplotła mu ręce na karku. Ciało miał twarde, napięte. W odpowiedzi Molly prowokacyjnie poruszyła biodrami.

- Całują się, ohyda!

Ten pełen odrazy komentarz sprawił, że odskoczyli od siebie. Molly oddychała ciężko. Odwróciła się i dostrzegła w drzwiach Sama.

- Co tu robisz? - wykrztusiła, bojąc się spojrzeć na mężczyznę.

- Chciałem napić się wody.

- Kuchnia jest tam - pokazała mu Molly.

- Wiem. - Sam ruszył w tamtą stronę. - Chciałem się tylko upewnić, czy śpisz. Nie wiedziałem, że Will jeszcze tu jest. Nie wiem, jak on może robić takie rzeczy.

Ostatniemu, wymamrotanemu już, komentarzowi towarzyszyło pełne niesmaku potrząśnięcie głową.

Molly zerknęła z ukosa na Willa. Był tak rozdrażniony, że musiała się uśmiechnąć.

- Nieważne - warknął. - Idź do łóżka!

Nie zdołała nad sobą zapanować i parsknęła śmiechem.

- To się nazywa życie rodzinne - powiedziała na wpół przepraszająco.

- Jazda do łóżka! - To był rozkaz.

- I d e .

Nadal cicho się śmiejąc, ruszyła do drzwi. Sam był w kuchni. Słyszała plusk wody.

- Molly? - dobiegł ją chrapliwy głos Willa.

- H m ?

Obejrzała się przez ramię. Stał przy częściowo posłanej kanapie, trzymając w rękach białą powłoczkę na poduszkę. Wyglądał na zmęczonego i złego, a był przy tym taki seksowny, że z trudem się powstrzymała, by do niego nie wrócić.

- Co robisz jutro wieczorem?

Na jej twarzy zagościł leniwy uśmiech.

- Co zechcesz...

Xsiężyc myśliwego 181

- Obiecujesz?

Gdy skinęła głową, jego oczy pociemniały. Z kuchni wynurzył się Sam z dużą szklanką wody i zadumą w oku.

- Mógłbym pooglądać telewizję? Nie mogę zasnąć.

- Nie! - odpowiedzieli unisono Molly i Will. Sam powiódł

wzrokiem od jednego do drugiego.

- Tylko pytałem! Rany!

Sam poszedł do siebie, Molly też. Właśnie układała się pod kołdrą, gdy usłyszała skrzypienie otwieranej lodówki.

Zapewne Will pije kolejną szklankę mleka, pomyślała. Zasnęła, z uśmiechem myśląc o najświeższej przyczynie jego stresu.

Rozdział dwudziesty szósty

Ranek wstał zbyt wcześnie, jak to zwykle z nimi bywa. Zaspana Molly uniosła powieki, czując na ustach krótki, mocny pocałunek.

- Do zobaczenia wieczorem, moja śliczna - powiedział Will prostując się i tyle go widziała.

Molly spojrzała na zegarek. Za piętnaście siódma. Brzęk naczyń w kuchni powiedział jej, że dzieci już wstały i szykują się do szkoły. Jęknęła, ale nie poddała się i wstała z łóżka. Powinna się czuć świeżo, jak na nią była to późna pora wstawania.

Kiedy wkładała dzinsy i podkoszulek, a potem szła do kuchni, wspomnienie tego, co stało się z Sheilą, wisiało nad nią niczym mroczna chmura. W te poranki, gdy nie pracowała, chodzi

ła zawsze na pastwisko dać swej ulubienicy trochę smakołyków.

Ale nie dziś. I może już nigdy.

Lecz Molly już dawno się nauczyła nie myśleć o bolesnych wydarzeniach, na które nic nie mogła poradzić. Wygnała z pamięci straszne sceny z Sheilą i zastąpiła je wspomnieniami o Willu. Przynajmniej tym razem z tragicznych wydarzeń zrodziło się coś niezwykłego. Pora stawić czoło prawdzie: wczoraj zadurzyła się po uszy w tym mężczyźnie.

Z uśmiechem weszła do kuchni. Rodzeństwo natychmiast umilkło. Wszyscy czworo z pełnymi winy minami spuścili głowy i zajęli się płatkami śniadaniowymi. Nie trzeba było agenta FBI, żeby zgadnąć, że ona i Will stanowili temat wcześniejszej rozmowy.

Nie potrafili jednak długo wytrzymać w milczeniu.

Xsieżyc myśliwego 183

- Hej, Molly, czy ty nie jesteś już za stara, żeby tak siedzieć Willowi na kolanach? - spytał krytycznie Sam po paru sekundach.

- Płakała. Można siedzieć komuś na kolanach i płakać, nawet jeśli jest się dorosłym - ruszyła na odsiecz siostrze Susan.

- Dziewczyny zawsze mogą siadać chłopakom na kolanach -

oznajmił Mike. - Chłopaki to lubią. Nie wiedziałaś?

- I chłopcy mają się całować i tak dalej? - zwrócił się do starszego brata Sam z niepokojem w głosie.

- Molly i Will się całowali - wtrąciła Susan. - Czy to znaczy, że wyjdiesz za niego, Molly?

- Oczywiście, że nie. Ludzie nie pobierają się tylko dlatego, że się pocałowali - powiedział Mike i podejrzliwie zerknął

na Molly. - A jeśli chcesz za niego wyjść, to ja się wyprowadzam. Strasznie się rządzi.

- Ja go lubię! - oświadczyła Susan.

- Ja też! - zawtórował Sam.

- I ja! - przyłączyła się Ashley.

' - Ale z was głupki. - Mike zmierzył rodzeństwo lodowatym wzrokiem.

- Niniejszym informuję, że nie wychodzę za mąż za Willa -

oświadczyła Molly - a jeśli się nie pośpieszycie, spóźnicie się na autobus. Jest już piętnaście po siódmej.

Jak zwykle wszyscy rzucili się w popłochu do łazienki i do drzwi. Pierwszy przyjechał autobus po bliźnięta. Ten, który zabierał Mike'a i Ashley, zjawił się po kwadransie. Biała furgonetka z napisem z boku „DTM, systemy alarmowe” zatrzyma

ła się pod domem w chwili gdy ci dwoje wychodzili.

- Zakładamy system alarmowy? - spytała Ashley z niedowierzaniem, gdy Molly - wraz z Mikiem, Żeberkiem i kierowcą furgonetki - pojawiła się na ganku.

Ranek był chłodny, ale pogodny, po nocnej mżawce zostało tylko wspomnienie.

- Tak - odrzekła Molly, podpisując kwit i licząc, że bratu i siostrze wystarczy to stwierdzenie. Naiwna.

- Chyba żartujesz?

Oboje wpatrywali się w nią ze zdumieniem, gdy pracownik firmy wszedł do domu sprawdzić liczbę okien i drzwi.

- Molly, masz pojęcie, ile to kosztuje? - szepnęła cichutko Ashley, żeby tamten jej nie usłyszał. - Widziałam u dołu rachunku: półtora tysiąca dolarów!

184 Księżyc myśliwego

- Will za to płaci - przyznała się pokonana Molly. Wiedzia

ła, że tylko w ten sposób może wyjaśnić tak kosztowną inwestycję.

- Will za to płaci! - zawołało chórem jej rodzeństwo.

- Tak - potwierdziła i spojrzawszy na drogę, dostrzegła swą ostatnią deskę ratunku. - Jedzie autobus!

- Nie zamierzasz za niego wyjść, prawda? - spytał Mike, porzucając pozę obojętności i pozwalając sobie na lekko zaniepokojony ton.

- Oczywiście że nie - zapewniła go Molly. - Po prostu się o nas martwi.

- I lepiej niech ci się nie spodoba ten pomysł! - odparł brat, idąc do autobusu.

- Pamiętaj, że spotykamy się po lekcjach. O wpół do czwartej mamy się stawić w biurze szeryfa! - zawołała za nim Molly.

- Dobra, dobra.

Chłopak nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Jeśli tak jest naprawdę, pomyślała Molly, to ten smarkacz nie ma za grosz rozumu. Ona się bała.

- Molly, pomyślałam, że to cię zainteresuje: dziś rano, wychodząc, Will gwizdał - szepnęła jeszcze konspiracyjnym tonem Ashley.

- Pójdieszże do tego autobusu! - niemal ryknęła Molly.

Siostra uśmiechnęła się szeroko, pomachała jej i popędziła ścieżką, Molly spod ściągniętych brwi obserwowała szczupłą figurkę w dzinsach. Ashley wskoczyła do środka, autobus odjechał i Molly wyobraziła sobie gwizdzącego Willa. Nie mogła się oprzeć temu obrazowi i nawet nie zauważyła, jak zaczęła się uśmiechać.

Dopiero wczesnym popołudniem zamontowano i uruchomiono system alarmowy. W czasie gdy instalator pracował, Molly sprzątała, sortowała ubrania przed pójściem do pralni i w końcu - zmuszając się do tego - zadzwoniła do doktora Motta, spytać, co z Sheilą. Czekać, aż weterynarz podejdzie, omal nie odłożyła słuchawki, tak była pewna, że usłyszy złe wiadomości.

Tymczasem lekarz powiedział, że klacz się trzyma. Została ciężko poraniona i nadal była pod wpływem środków usmierzających ból, ale miała szansę. Molly rozłączyła się i odmówiła krótką modlitwę w intencji Sheili: „Proszę, Boże, nie pozwól jej umrzeć”.

W chwili gdy odjeżdżała furgonetka firmy od alarmów, pod domem zjawił się radiowóz. Kiedy Molly skończyła już odpowiadać na pytania policjanta, miała łzy pod powiekami. Wypiła dwa kubki kawy, wzięła długi prysznic i w końcu udało jej się ponownie usunąć z pamięci tamten koszmar.

Szukając właściwego stroju na przesłuchanie w biurze szeryfa, Molly zrobiła najazd na szafę Ashley. Wybrała kremową, dzianinową sukienkę boucle z zapinanym na guziczki golfem, a do niej skórzany pasek. Długość za kolano stanowiła specjalność siostry, nie jej, ale i tak podobała się sobie, zwłaszcza gdy włożyła jeszcze małe, złote kolczyki, cieliste rajstopy i brązowe buty Ashley na obcasie. Ułożyła sobie włosy elektryczną lokówką, pomalowała usta cynamonową szminką, lekko pociągnęła rzęsy tuszem i uznała, że wygląda całkiem ładnie.

Postawiłaby dziesięć dolarów przeciwko dziurawym skarpetkom, że Will pochwaliby ten zestaw. Właśnie w takim stroju najchętniej widziałby swoją dziewczynę.

Skoro naprawdę stała się dziewczyną Willa, może nawet -

od czasu do czasu! - coś dla niego zrobić. Ale z pewnością nie zamierzała pożegnać się na dobre z czarną, kusą spódniczką.

Spotkanie z zastępcami szeryfa nie poszło najlepiej. Prawnik, Tom Kramer, spotkał się z nimi już na miejscu: w piętrowym, ceglany budynku w samym centrum Versailles. Adwokat był wysokim mężczyzną o pogodnej twarzy, z łysiną na czubku głowy. Okazało się, że wszyscy w biurze szeryfa doskonale go znali i traktowali z szacunkiem. Molly była mu wdzięczna, że przyszedł. W obecności prawnika zastępca szeryfa okazywał Mike'owi obojętną uprzejmość. Molly bała się pomyśleć, co by się stało, gdyby ona i jej brat zjawili się tu sami.

Musiała jednak przyznać, że Mike - uczesany w kucyk, z kolczykiem w uchu, ubrany w spłowiałą flanelową koszulę i podniszczone džinsy - nie prezentował się szczególnie zachęcająco. A sytuacji nie poprawiał fakt, że był akurat w buntowniczym nastroju i odpowiadał monosylabami, wręcz burkliwie.

Podczas gdy jeden z funkcjonariuszy pod czujnym okiem Kramera przesłuchiwał Mike'a, drugi odciągnął Molly na bok.

Z identyfikatora, który miał przypięty do kieszeni koszuli, wynikało, że nazywa się D. Hoffman.

- Co pani wie o satanizmie, panno Ballard? - spytał bez wstępów.

186

Xsieżyc myśliwego

Molly przypominała go sobie z owej wieczornej wizyty u nich w domu: był to ów krępy policjant z pokaźnym brzuchem. Drugi, wysoki, patykowaty rozmawiał teraz z Mikiem.

Na identyfikatorze widniało nazwisko: C. Miles.

- O czym?

Molly słuchała jednym uchem, gdyż równocześnie chciała wiedzieć, o co pytał C. Miles, więc sądziła, że źle rozumiała.

- O satanizmie, panno Ballard. Wie pani, kulcie szatana.

- Nie mam o tym zielonego pojęcia.

Ogarnęło ją zniecierpliwienie. Co ma do tego kult szatana?

- Jak się orientujemy, pani wie, że wczoraj na pastwisku Farmy Wylanda poraniono angloaraba. Co więcej, zdaje się, że to pani... i pani brat... pierwsi znaleźliście się na miejscu.

- Zgadza się.

- Jak to się stało? To znaczy: że pani z bratem pierwsi to zobaczyliście?

- Złożyłam już zeznania funkcjonariuszom policji stanowej i nie chcę więcej do tego wracać. - Molly nie zniósłaby, gdyby po raz kolejny kazano jej opisywać szczegóły wczorajszego wydarzenia.

- Dobrze.

Policjant zerknął na Kramera i ustąpił. Spojrzał w notes, który trzymał w ręce.

- Parę miesięcy temu również zaatakowano zwierzę z Farmy Wylanda, prawda? Kuca?

-Ofelię. Tak.

- Ofelia. Rozumiem, że tak się nazywał ten kuc.

Molly skinęła głową. Zapisał.

- Najwyraźniej dobrze pani zna tego kuca. Czy znała też pani klacz, którą teraz napadnięto? Czy i ona panią znała?

- Tak - wykrztusiła Molly z ściśniętego gardła.

- A pani brat?

- Jak to: mój brat?

- Czy któreś z tych zwierząt znało pani brata?

Molly wpatrywała się w niego wstrząśnięta.

- Zechce mi pan wyjaśnić, jaki to ma związek z naszą obecnością tutaj. Sądziłam, że szukacie grupy nastolatków, którzy pili piwo i palili trawkę na terenie stadniny Sweet Meadow.

- Owszem. - Hoffman się zawahał i ponownie zerknął na Kramera.

Xsigzyc myśliwego 18 7

Prawnik, odwrócony tyłem do Molly, rozmawiał z drugim funkcjonariuszem. Mike gapił się w ścianę. Jakby myślami był

już w domu na lunchu, pomyślała z irytacją Molly.

- Badamy też sprawę okaleczeń koni - ciągnął Hoffman. -

Kuc, Ofelia, najwyraźniej był pierwszą ofiarą. Potem jeszcze poraniono sześć koni pełnej krwi. Cztery zdechły. Wiedziała pani o tym?

- Nie, nie wiedziałam. A można spytać, do czego zmierza ta rozmowa?

- Podejrzewamy, że okaleczenia koni wiążą się z rytuałem.

Rytuałem kultu szatana. Pewne sygnały wskazują, że w okolicy powstała grupa satanistyczna.

- Grupa satanistyczna? - Molly nie wierzyła własnym uszom.

Hoffman skinął głową.

- To bardziej rozpowszechnione, niż się ludziom wydaje.

Zwykle do takiej grupy należy nastoletnia młodzież, która nie może sobie znaleźć miejsca w społeczeństwie, przechodzi okres buntu. Tak jak pani brat.

Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, do czego ten człowiek zmierza.

- Sądzi pan, że to Mike...? - Molly aż się zachłysnęła i potrząsnęła głową. - Wykluczone. Piwo albo trawka, to jeszcze byłoby możliwe, ale kult szatana, nigdy! Poza tym Mike za nic by nie skrzywdził tych koni! Kocha zwierzęta!

- Jest pani całkowicie pewna?

- Jak najbardziej! Przysięgam na własne życie!

- Na pani życie. - Hoffman się nie uśmiechał. - A może na cudze życie? Czasem czciciele szatana przechodzą od krzywdzenia zwierząt do ataków na ludzi. Od wiosny powtarzają się doniesienia o znęcaniu się nad królikami, wiewiórkami i ptakami. Latem doszły zwierzęta domowe: koty i psy. Teraz konie.

Jak pani sądzi, na co przyjdzie kolej potem?

- Pan chyba oszalał! - zawołała Molly i popatrzyła na Toma Kramera. Niech usłyszy te oskarżenia i zareaguje na nie odpowiednio. Okazało się, że już to zrobił. Zastępca szeryfa Miles zadawał Mike'owi niemal te same pytania, a chłopak za radą prawnika, nie udzielił na nie odpowiedzi. A jako że policjanci nie mieli żadnych dowodów na istnienie grupy satanistycznej ani na przynależność do niej Mike'a, musieli zakończyć przesłuchanie, gdy Kramer oświadczył, że to już koniec rozmowy.

188 Xsiężyc myśliwego

Jeśli mają dodatkowe pytania, niech zatelefonują do niego, do kancelarii. I przypomina, że nie wolno im przesłuchiwać jego klienta bez adwokata.

- Czy oni mówili poważnie? - spytała Molly, gdy wraz Mikiem i Kramerem wyszli z biura szeryfa.

Świeciło słońce. Wróciło piękne, ciepłe babie lato, ale to jej teraz nie pocieszało. Była tak przerażona, że aż zbierało jej się na mdłości; nawet Mike - co zauważyła z ulgą - stracił nieco ze swej wcześniejszej hardości.

- Ja tego nie zrobiłem - powiedział z napięciem, wodząc wzrokiem od Molly do prawnika.

- Wiem o tym. - Molly cieszyła się, że mogła to stwierdzić z pełnym przekonaniem.

- Mówili jak najbardziej poważnie - odparł Kramer bez uśmiechu. - Ale nie mają dowodów. Spójrz na to od innej strony: przynajmniej nie czepiali się tamtej sprawy.

- Super! - Padła ponura odpowiedź Mike'a.

- A jeśli znajdą dowody na istnienie takiej grupy, o ile w ogóle im się to uda, i stwierdzą, że Mike do niej należy, wtedy skontaktują się ze mną. Na razie więc bym się nie przejmował. Tylko unikaj kłopotów, młodzieńcze.

Wyszli na ulicę, gdzie przy krawężniku stały ich samochody. Niebieski plymouth z łuszczącą się farbą i skorodowaną blachą wyglądał jak śmieć w porównaniu z obszernym, szarym mercedesem prawnika. Molly uśmiechając się w duchu ironicznie do samej siebie, odnotowała tę różnicę i starała się nie myśleć, ile usługi prawnika będą kosztowały rząd - albo Willa.

Stała, wyciągając rękę. Oczywiście, Mike wszedł do samochodu, nie podziękowawszy ani się nie pożegnawszy.

- Nie wiem, co byśmy zrobili bez pańskiej pomocy - odezwała się, posyłając karcące spojrzenie bratu, który nawet go nie zauważył. Już szperał w kasetach.

Kramer uściśnął jej rękę z uśmiechem.

- Cieszę się, że się mogłem przydać. Gdyby ci z biura szeryfa się odezwali, możliwe że złożę pani wizytę, rozejrzę się po okolicy, popatrzę, gdzie zaatakowano konie, tego rodzaju rzeczy. Nie będzie

to pani przeszkadzać?

- Zawsze jest pan mile widziany - zapewniła go Molly.

-1 niech się pani nie przejmuj - poradził, puszczając jej dłoń. - Prawdopodobnie to wiele hałasu o nic. Jak zdążyłem *Xsiężyc myśliwego 189*

się zorientować, błądzą po omacku. W dodatku zapomnieli o poprzednich oskarżeniach.

- Oby pan miał rację - pożegnała go Molly bez przekonania.

Pomachała Kramerowi i wsiadła do samochodu. Plymouth jednak nie chciał zapalić. Zawstydzony Mike mruknął coś pod nosem i głębiej wsunął się w fotel, gdy najpierw Molly, a potem Tom Kramer próbowali wszystkich możliwych sztuczek, by zmusić wóz do posłuszeństwa. W końcu Molly musiała się przyznać do klęski i zatelefonowała do warsztatu Millera. Nie zastała Jimmy'ego, ale mechanik obiecał, że gdy tylko znajdzie czas, zobaczy, co się stało, ale jako że był sam, mogło minąć parę godzin, nim uda mu się wyrwać.

Tom - w tym momencie mówili już sobie z Molly po imieniu - zaproponował, że ich odwiezie. Powiedział, że upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu, bo przy okazji obejrzy miejsce wydarzeń z ubiegłej nocy.

Zanim dotarli do domu, zrobiło się już wpół do szóstej. Popołudniowe słońce oświetlało pola; pastwiska, trawa, nawet sam dom tonęły w złocistej poświacie. Susan i Sam, w starych dzinsach, grali na podwórku w piłkę. Żeberko siedział pod dębem i z nadzieją spoglądał w górę na złociste liście, wśród których zapewne kryła się wiewiórka. Na podjeździe stał już czarny jeep cherokee. Jego właściciel - z kapeluszem w ręce, za to bez skórzanej kurtki - rozmawiał przy drzwiach wejściowych z Ashley, która przytrzymała ramę z siatką. Słyszając zbliżający się samochód, odwrócił się z radosnym uśmiechem, który natychmiast zmienił się w gniewny grymas, gdy J.D. uświadomił sobie, że Molly przyjeżdża mercedesem, w dodatku z jakimś nieznanym mężczyzną.

- Założysz się o dolara, kogo przyszedł odwiedzić? - mruknął Mike do Molly, gdy wysiedli.

Siostra jednak zignorowała go, pomachała kontynuującym grę bliźniętom i poklepała psa, który zorientowawszy się, kto przyjechał, przestał ujadać. Tom ruszył wraz z nimi do domu.

Wzruszywszy ramionami, gdy J.D. powitał ich wylewnie, Mike wszedł do środka, a Molly przedstawiła Tomowi Ashley, gdy ta wyszła na ganek. Przez chwilę cała czwórka stała, gawędząc. Na podwórku Susan pisnęła, gdy nie złapała piłki, którą przechwycił Żeberko. Bliźnięta puściły się w pogoń za psem, ten zaś nie puszczał piłki, tylko uciekał merdając ogo-190 *Xsiężyc myśliwego*

nem, zachwycony nową zabawą. Mimo późnego popołudnia temperatura przekraczała dwadzieścia stopni. Tylko Tom, ubrany w garnitur, nie zdjął marynarki.

- Wpadłem zobaczyć, jak się czujesz - cicho zwrócił się do Molly J.D., wykorzystując chwilę, gdy Tom wymieniał zwykłe banalne uwagi z Ashley.

- Nic mi nie jest - odrzekła.

Nie zdążyła niczego dodać, bo chrzest żwiru ogłosił przy-

/ jazd kolejnego gościa. Molly skrzywiła się, rozpoznawszy wóz: była to czerwona corvetta Thorntona Wylanda.

Okazało się, że towarzyszył mu Tyler. Żeberko wypuścił piłkę, żeby obszczekać przybyłych, dzieci zaś złapały ją i wróciły do gry. Thornton uśmiechnął się i pomachał Molly, Tyler zaś ograniczył się do kpiącego grymasu.

Ashley wystarczyło jedno spojrzenie na Thorntona, by z rumieńcami na policzkach uciekła do domu. Molly już wcześniej dostrzegła, że siostra w jego obecności stawiała się wyjątkowo skrępowana, zapewne przystojny młody człowiek tak ją onie

śmiał. J.D., najwyraźniej wytracony z równowagi pojawieniem się kolejnych dwóch mężczyzn, pamiętał równocześnie, że to jego pracodawcy i starał się nie patrzeć na szefów krzywo. Tom Kramer przywitał się z przybyłymi, Molly zaś przedstawiła ich sobie. Potem, nie wiedząc, co z nimi wszystkimi zrobić, zaprosiła, by usiedli.

- Wpadliśmy z Tylerem sprawdzić, jak się czujesz - odezwał

się Thornton z diabolicznym uśmieszkiem. - Wszyscy widzieliśmy, jaka byłaś wczoraj wstrząśnięta. Nie wiem, jak inni, ale ja doznałem wprost szoku, gdy zobaczyłem, że nasza twarda panna Molly potrafi też płakać.

- Jak zwykle taktowny Thornton - zauważył Tyler i uśmiechnął się do Molly. - Mamy szczęście, że tak blisko mieszkasz. Bez ciebie stracilibyśmy tę klacz.

- Są jakieś wieści? Nic jej nie będzie?

Molly usiadła na huśtawce na ganku, wdzięczna Tylerowi, że dzięki niemu mogła pominąć milczeniem kpiny Thorntona.

Ten zaś natychmiast skorzystał z okazji i przysiadł na metalowej poręczy. Tego również nie skomentowała.

- Zdaniem doktora Motta jej losy jeszcze się ważą.

Nie ulegało wątpliwości, że J.D. przymierzał się, by zająć wolne miejsce obok Molly, ale przypomniał sobie, kim są je-Xsiężyc myśliwego 191

go rywale, więc z niezadowoloną miną pozostał na miejscu. Zamiast niego obok Molly przysiadł Tom, z ciekawością przysłuchując się rozmowie.

- Wyznaczyliśmy nagrodę - mówił Thornton. - Dwa tysiące dolarów za informację, umożliwiającą odkrycie sprawcy, bądź

sprawców.

- Sądźcie, że może ich być więcej? - spytał adwokat.

Molly, która pamiętała słowa zastępców szeryfa, zastanawiała się, co znaczy owa niewinna uwaga Thorntona. Jeśli biuro szeryfa istotnie brało pod uwagę możliwość istnienia grupy satanistycznej, to Wylandowie na pewno o tym wiedzieli. I zapewne wiedzieli nawet, że Mike jest podejrzany. Tak właśnie wyglądało życie w hrabstwie Woodford.

Na samą myśl o tym, dziewczynę przeszył zimny dreszcz. Je

śli Wylandowie sądzą, że skuszą Mike'a nagrodą, to się grubo mylą, pomyślała z furją. W tej konkretnej sprawie jej brat był

równie niewinny jak ona, Molly nie miała co do tego cienia wątpliwości.

J.D. wzruszył ramionami.

- Policjanci tak przypuszczają. Twierdzą, że inaczej trudno byłoby wytłumaczyć, by jeden człowiek potrafiłby zapanować tak długo nad sześciusetkilogramową kłaczą.

W tej samej chwili przed dom podjechał beżowy chrysler, a za nim niebieski plymouth Molly. Żeberko zaczął ujadać.

Rozmowa się urwała i wszyscy patrzyli, jak Jimmy Miller wysiada z chryslera. Był ubrany nietypowo jak na siebie, w skórzaną kurtkę i brązowe spodnie. Z plymoutha wygramolił się mechanik w niebieskim kombinezonie. Obaj mężczyźni skierowali się w stronę ganku.

- Tak szybko naprawiłeś samochód? - powitała Jimmy'ego uradowana Molly.

- Wystarczyło go pociągnąć - odparł, uśmiechając się do niej, i skinął głową pozostałym mężczyznom. - Akumulator się rozładował. Widocznie zostawiłaś włączone światła albo coś w tym stylu.

- Dziękuję. - Molly odpowiedziała mu uśmiechem. - I dziękuję, że mi go odstawiłeś. Nie musiałeś tego robić.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Jimmy popatrzył na nią znacząco, przywołując wspomnienie ich pocałunków w samochodzie zaledwie sprzed dwóch 192

Xsieżyc myśliwego

wieczorów. Molly przypomniała sobie o malince - co prawda już mniej wyraźnej i ukrytej pod golfem oraz grubą warstwą pudru - i poczuła ukłucie zażenowania oraz wyrzuty sumienia.

Zażenowania, bo w normalnej sytuacji nie pozwoliłaby się tak całować; wyrzuty sumienia - gdyż Jimmy najwyraźniej uwa

żał, że te pocałunki znaczyły coś więcej.

- Czy ktoś napiłby się kawy albo coli? - spytała, wstając.

- Ja poproszę o colę.

Jimmy usiadł na stopniach. Jego pracownik przez chwilę się wahał, w końcu przysiadł obok szefa.

- I dla Buddy'ego też. Właśnie, Molly, to Buddy James.

- My już się znamy - odrzekł Buddy, nieśmiało uśmiechając się do Molly.

Miał okrągłą, krostowatą twarz nastolatka, pod nosem sypał mu się wąs. Molly skinieniem głowy potwierdziła to, co powiedział, choć nawet jeśli faktycznie się już znali, to nie pamiętała, skąd. Przedstawiła sobie gości i spytała:

- Kawy czy coli, panowie?

Właśnie starała się zapamiętać, co który z gości sobie zażyczył, gdy na podjeździe zjawił się kolejny samochód.

Biały ford taurus.

Rozdział dwudziesty siódmy

Druga Scarlett O'Hara! To spostrzeżenie nasunęło się Willowi, gdy wysiadł z samochodu, automatycznie pogłaskał psa i w pełni ogarnął scenę na ganku. Pięciu - nie, sześciu mężczyzn: dwóch na stopniach, dwóch na huśtawce i dwóch stojących obok - a wszyscy gapili się łakomie na ponętą ślicznotkę o wyzywającym chodzie i kokieteryjnym uśmiechu.

Jego ponętą ślicznotkę.

Kiedy Will zbliżył się do ganku, Molly posłała mu wyżej wspomniany uśmiech. W odpowiedzi zdobył się tylko na grymas.

Jeśli się poderwie najładniejszą dziewczynę w okolicy -

mówił sobie w duchu - to nie należy się potem dziwić, że ma się konkurencję. To jest wpisane w koszta.

- Will! Will!

Dostrzegły go bliźnięta i ani się obejrzała, jak odruchowo łapał piłkę.

- Zagrasz z nami?

- Później - obiecał, odrzucając im ją pewnym ruchem.

Sam podskoczył i złapał piłkę, po czym dzieciaki wróciły do zabawy.

Molly zdażyła właśnie się odwrócić i znikać we wnętrzu domu. Will z aprobatą śledził kuszący ruch jej bioder. Kiedy zamknęły się za nią drzwi z siatką, spojrział wokoło i stwierdził, że wszyscy mężczyźni napawali się tym samym widokiem.

Dotarł do ganku i stanął, gdyż dwaj faceci zatarasowali schody. Jeden to jeszcze dzieciak - Will natychmiast skreślił go z listy potencjalnych rywali. Drugi, krępy, mógł sobie liczyć jakieś 13. Księżyc myśliwego

194 Księżyc myśliwego

trzydzieści lat i wyglądał dość zamożnie. Było w nim coś znajomego - Will zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć tego faceta, a równocześnie przebiegał wzrokiem po pozostałych mężczyznach na ganku. Bez entuzjazmu skinął głową J.D., Thorntonowi i Tylerowi Wylandowi. Kolejnym gościem okazał

się prawnik, Tom Kramer. Will zapamiętał go, gdyż w ubiegłym tygodniu złożył adwokatowi wizytę w kancelarii. Jako chłopak Molly, pokrywał koszty pomocy prawnej dla Mike'a, więc zapłacił rachunek. Co ten człowiek tu robi? Nie przyjechałby do niej w celach towarzyskich po pierwszym ich spotkaniu! Zresztą, nie wyglądał na kandydata do świty Molly.

Ale cóż, on sam też na takiego nie wyglądał.

- Przepraszam - odezwał się krępy facet ze schodów. - Wstał

i przepuścił Willa. Dzieciak też się podniósł. - Nazywam się Jimmy Miller, a to Buddy James.

- Will Lyman - przedstawił się, ściskając wyciągniętą do siebie rękę.

Jimmy Miller - nazwisko brzmiało znajomo. A tak, to tamten fagas. Natychmiast po tym przyszło drugie, znacznie mniej sympatyczne wspomnienie: malinka. Will olbrzymim wysiłkiem woli zmusił się, by nie zmiażdżyć podanej mu dłoni.

Dzieciak też zafundował mu piątkę.

- Jesteś przyjacielem rodziny, tak? - odezwał się Miller z pogodnym uśmiechem. A najwyraźniej dostrzegłszy zaskoczenie na twarzy Willa, dodał: - Poznałem samochód. Ostatnio też tu stał.

- Można tak powiedzieć - odparł Will.

W tej samej chwili Molly pchnęła biodrem drzwi i wyszła na ganek, niosąc tacę ze szklankami. Will chciał pomóc, ale ubiegł go J.D., który próbował wiać tacę z rąk dziewczyny.

Molly potrząsnęła głową, oparła tacę na biodrze, po czym podała J.D. szklanę z ciemnym, pianistym napojem, zapewne -

jak domyślił się Will - z colą. W każdej szklance pływała kostka lodu. Najwyraźniej pani domu nie była przygotowana na taki najazd, pomyślał Will z lekkim rozbawieniem. Ale żadnemu z wielbicieli to nie przeszkadzało. Rozdawała wszystkim colę, przy wtórze pełnych zadowolenia męskich pomruków.

- To dla ciebie - zwróciła się do Willa.

Przypadła mu w udziale podniszczona, plastikowa szklanka z różowym flamingiem - było w niej mleko.

Xsigżyc myśliwego 195

- Dzięki - powiedział z uśmiechem.

W oczach Molly błysnęły psotne iskierki. Will poczuł szum w głowie i po raz kolejny przypomniał sobie, że stoi przed nim Pułapka Wenus. Wszyscy mężczyźni na ganku wpatrywali się w nią z zachwytem, popijając ciepłą colę z porysowanych, plastikowych szklanek. Sądząc po wyrazach ich twarzy, można by uznać, że sączą francuskiego szampana z kryształowych kieliszków. On też nie był wyjątkiem. Wściekł na własną głupotę, wypił łyk mleka i zaczął obserwować grę bliźniąt.

- Czy wszyscy już się znają? - spytała Molly, obdzielając ca

łe towarzystwo uśmiechem jasnym niczym tysiącwatowa żarówka.

- Nie przedstawiono nas sobie oficjalnie - zwrócił się z leniwym uniesieniem warg Thornton Wyland do Willa. Wstał

i podał mu rękę. - Nazywam się Thornton Wyland.

- Will Lyman.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Mmm... Molly, masz jakieś plany na wieczór? - odezwał

się półgłosem Jimmy Miller.

Will, choć odwrócony plecami, usłyszał to pytanie i poczuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie. Wysiłkiem woli zmusił

się, by się uspokoić.

- Przepraszam, Jimmy, ale jestem zajęta - odrzekła cicho Molly z większym żalem, niż - zdaniem Willa - wymagała tego sytuacja.

Skinąwszy Thorntonowi Wylandowi, odwrócił się i patrzył, jak jego dziewczyna radzi sobie z upartym absztyfikantem.

- Skoczylibyśmy na pizzę - nie ustępował Miller.

Facet wyglądał na przyzwoitego, miał piegowatą twarz i z pewnością nie zasługiwał na tak głęboką niechęć, jaką darzył go Will. Miller zatrzymał się na ostatnim stopniu, co oznaczało, że czubkiem głowy sięgał do nosa Molly, która stała na ganku. W jego wzroku wyraźnie malowało się uczucie. Will pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział kogoś aż tak ostentacyjnie zadurzonego i poczuł ukłucie irytacji.

Ta dziewczyna należy do niego.

- Nie mogę... - zaczęła się tłumaczyć Molly.

Will wypił jeszcze trochę mleka i stanął za nią.

- Idzie dziś na kolację ze mną - odezwał się do młodszego rywala.

196 Xsiężyc myśliwego

Miller spojrzał na niego oszołomiony, po czym wbił w Molly okrągłe ze zdumienia oczy, w których także malował się wyrzut.

Otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale nic nie powiedział. Ze swego miejsca Will nie widział twarzy dziewczyny, ale domyślił się, co zamknęło usta Jimmy'emu; Miller dostrzegł, że Molly patrzy nań ze współczuciem.

Modlił się teraz żarliwie, by kiedyś tak nie spojrzała na niego.

- W takim razie przy innej okazji - tamtemu udało się odzyskać panowanie nad sobą. Zerknął na zegarek. - Muszę już zniknąć. Chodź, Buddy, odwiozę cię do warsztatu.

Po ich odjeździe reszta towarzystwa pojęła aluzję i również się oddaliła. Podczas gdy samochody się rozjeżdżały, Will pomagał Molly pozbierać szklanki. Milczała zamyślona. Przyglądał

się jej, gdy schyliła się po szklankę, zostawioną przez kogoś pod huśtawką. Kremowa, dzianinowa sukienka zasłaniała sylwetkę dziewczyny od szyi po kolana, ale była obcisła i podkreślała wszystkie odpowiednie - albo wręcz przeciwnie, zależy od punktu widzenia - miejsca. Nogi w cielistych rajstopach i butach na wysokim obcasie okazały się równie ponętne jak dzień wcześniej, obleczone w czerń. Cudowne, gęste włosy miękkimi falami spływały nieco poza ramiona. Smukła i kształtna, była niewyobrażalnie seksowna - a gdy się jeszcze wyprostowała i wdzięcznym ruchem odwróciła do niego, także i czarująca.

Jej uśmiech był niczym strzała wymierzona prosto w serce agenta Lymana.

- Kolacja aktualna? - spytał.

- Jeszcze jak.

Ten pogodny, ciepły głos przyprawił go o zawrót głowy. Will uświadomił sobie, że wpadł. Może nawet bardziej niż tamten palant, choć miał nadzieję, że tego po nim nie widać.

Pułapka Wenus już się szykowała, by pochłonąć kolejną ofiarę, a on nawet nie próbował walczyć.

Rozdział dwudziesty ósmy

Biedactwo, zawsze miałaś problem, bo mężczyźni cię nie zauważali? - spytał złośliwie Will w połowie kolacji.

Siedzieli w gospodzie Merricka w Lexington, niewielkim, wyłożonym drewnem lokalu, o którego istnieniu Molly nawet nie wiedziała. Na ścianach wisiały olejne obrazy, stoły przykrywały białe obrusy, stały na nich zielone świece. Restauracja stanowiła przybytek dobrego smaku i spokoju. Will wyjaśnił, że poznał to miejsce niejako służbowo w ramach dochodzenia.

Często jadali tu koniarze, gdyż serwowano tradycyjną, wytworną kuchnię Południa. Ceny były nieziemskie, ale Molly starała się o tym nie myśleć.

Przełknęła rozplływający się w ustach kęsek wiejskiej szynki - lepszej nigdy nie jadła - i bacznie przyjrzała się Willowi.

Na granatowym garniturze, który dziś włożył, dostrzegła subtelny wzór w jodełkę. Strój uzupełniały biała koszula i czerwony krawat. W blasku świec włosy mężczyzny jaśniały złotem, twarz zaś wydawała się jeszcze ciemniejsza i bardziej wyrazista. W jego oczach widziała coś, od czego przechodził ją dreszcz. Przyjemny dreszcz. Czy naprawdę kiedyś nie uważała go za przystojnego, zdumiewała się Molly. Gdzież ona miała wtedy oczy?

- Zawsze - odparła z uśmiechem i wzięła do ust kolejny kawałek szynki.

- Założę się, że już w podstawówce musiałaś się od nich opędzać kijem.

- Nigdy nie nosiłam kija.

198 Xsiężyc myśliwego

Szynka była pyszna, ale słona i Molly popiła ją łykiem mro

zonej herbaty. Will oczywiście pił mleko. Zamówił steki. Molly odnosiła wrażenie, że powinna być mu wdzięczna, iż nie jedzą jakichś włoskich dań.

- Tylko pozwalałaś, by cię oblegali? T'ak jak dzisiaj. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek przyjechał po dziewczynę, z którą się umówiłem i zastał przy niej sześciu absztyfikantów.

Molly połknęła solidną porcję nieprzyzwoicie smacznego groszku z szynką i migdałami, po czym zerknęła na Willa rozbawiona i szczęśliwa.

- Jesteś zazdrosny - oświadczyła.

Na moment zastygł w bezruchu, krojąc mięso i spojrzał jej w oczy. Przez chwilę wpatrywał się w dziewczynę zaskoczony, a w końcu posłał jej nieco wymuszony uśmiech.

-Masz rację.

- To mnie cieszy.

- A mnie nie.

- Niniejszym informuję, że jedyny wielbiciel, z którym kiedykolwiek się umawiałam, to Jimmy Miller.

- Palant od malinek! - Will powiedział to z takim jadem, że Molly parsknęła śmiechem.

- Podziękuj sobie samemu.

- Za co?

- Za malinkę - szepnęła cichutko ze względu na innych go

ści, którzy, choć zajęci jedzeniem, mogli usłyszeć.

- Mam winić siebie, bo jakiś palant zrobił ci malinkę?

Will nie zniżył głosu. Molly szybko rozejrzała się po ciemnym wnętrzu, ale nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Cii... - Skinęła głową.

- Jakim cudem?

- Wyobrażałam sobie, że to ty.

-Co?

- Słyszałeś.

- Chryste! - Will głęboko zaczerpnął powietrza. - Skończy

łaś już?

- Jeszcze nie.

Zaskoczona Molly zerknęła na talerz. Zjadła dopiero połowę, a jedzenie było pyszne.

- Nakarmię cię innym razem.

Wstał i przywołał kelnerkę. Zanim kobieta zjawiła się z rachunkiem, Molly zdążyła jeszcze przełknąć kawałek szynki i dopić herbatę. Will zerknął na kartkę, dał kelnerce pieniądze, a Molly włożyła sweter i jeszcze raz skusiła się na szynkę.

- Czyżby nie smakowało państwu jedzenie? - spytała zatroskana kelnerka, zerkając na niemal pełne talerze.

- Było doskonałe, ale niestety wzywają nas ważne sprawy

- wyjaśnił Will, chwytając Molly za rękę.

Rzuciwszy ostatnie, tęskne spojrzenie na smakołyki, złapa

ła torebkę i dała się oderwać od stołu i pociągnąć do drzwi.

- Co to za ważne sprawy? - spytała, gdy szli do samochodu.

Zapadł już mrok i zrobiło się chłodniej niż w ciągu dnia. Brązowy sweter, który Molly narzuciła na sukienkę Ashley, okazał

się dobrym pomysłem. Nad ich głowami mrugały gwiazdy niczym świetliki w letnią noc. Nisko na niebie wisiał jasny półksiężyc.

Will się roześmiał.

- Ja. Wsiadaj do samochodu.

Otworzył drzwiczki, a Molly wsiadła, rozbawiona, ale i zaniepokojona tym wyznaniem. Zatrzaskała drzwiczki od jej strony.

Zapinała pas bezpieczeństwa, gdy Will usiadł na miejscu obok.

Zerknęła na niego zaskoczona, kiedy położył jej rękę na dłoni.

Był bardzo blisko, pochylał się nad nią, szerokie bary zasłania

ły jej cały świat za przednią szybą. Wpatrywał się w nią z napięciem. Molly przez chwilę obserwowała jego stanowczą, przystojną twarz. Nigdy nie sądziła, że na ten widok serce będzie jej kiedyś tak szybko bić.

Will pocałował ją bez słowa. Molly zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła pieszczotę. Po paru minutach podniósł głowę i powiedział zduszonym głosem:

- Jestem za stary, żeby się obściskować w samochodzie.

Z trudem złapała powietrze i szepnęła:

- A ja nie.

Will zaśmiał się głucho.

- Wiem.

- Więc?

Znowu ją pocałował - szybko i mocno - a potem przyłożył

czoło do jej czoła.

200

Księżyc myśliwego

- Mamy publiczność - powiedział.

Molly zobaczyła dobrze ubraną, starszą parę, która najwidoczniej właśnie skończyła kolację i mijając samochód, popatrzyła na nich karcąco. Dziewczyna poczuła, że twarz jej płonie ze wstydu. Wóz stał zaparkowany przy samym chodniku, prowadzącym do restauracji, tak że wszyscy przechodzący tamtędy doskonale ich widzieli.

Will rozplótł dłonie Molly i sięgnął po jej pas bezpieczeństwa. Zapiął go i jeszcze raz ją pocałował.

- Mam pokój w hotelu - powiedział.

Najwyraźniej był to moment podjęcia decyzji, ale nawet gdy dziewczyna to sobie uświadomiła, wiedziała, że nie ma się nad czym zastanawiać. Bez względu na to, jak się skończy ich znajomość, właśnie tego pragnęła. Jego.

Skinęła głową.

Will zapiął swój pas, uruchomił silnik i wyjechał z parkingu.

Do hotelu nie było daleko. Molly przeczytała podświetlony napis: „Embassy Suites”, ford zwolnił i wtoczył się na parking.

Will ustawił samochód, a zanim zdążył podejść i otworzyć drzwiczki, poczuła, że serce wali jej jak młotem. Była przera

żona, podniecona i zupełnie straciła rozum. Przez Willa.

Podał jej rękę, a Molly dała się wyprowadzić z samochodu.

Gdy ruszyli przez parking i podwójne drzwi do oświetlonego westybulu, Will nie wypuszczał jej

dłoni ze swojej, ciepłej i twardej. Dopiero po chwili wzrok dziewczyny przyzwyczaił się do jaskrawego światła. Ale wtedy szli już po mięsistym szarym dywanie w kierunku błyszczących chromem, wypolerowanych drzwi windy. Z ulgą stwierdziła, że dwóch mężczyzn i kobieta, znajdujący się w recepcji, nawet nie zwróciło na nich uwagi.

W pomieszczeniu obok wind, gdzie stały obszerne kanapy i szklane stoliki, cicho grał duży telewizor. Jedyne goście gapiący się w ekran w ogóle ich nie dostrzegli.

Otworzyły się drzwi i Molly z Willem u boku weszła do wyłożonego lustrami pudełka.

Nadal trzymał ją za rękę. Kiedy drzwi się zasunęły, podniósł jej dłoń do ust i pocałował. Przyglądając się jego jasnej głowie tuż przy jej ciemnych włosach oraz ich odbiciom w lustrze, Molly miała wrażenie, że to wszystko tylko sen. Czyżby naprawdę jechała do pokoju hotelowego, żeby pójść do łóżka z agentem FBI?

Xsiężyc myśliwego 201

To się wydawało niemożliwe.

- Wyglądasz na śmiertelnie przerażoną - odezwał się Will, spoglądając na nią spod spuszczonej powiek.

- Nieprawda.

Powiedziała tak z czystej brawury, bo rzeczywiście się bała.

Ale nie przyzna się. Ani się nie wycofa.

- Mogę cię odwiedzić do domu.

Odwrocił jej rękę i pocałował wewnątrz dłoni. Gorący dotyk jego warg Molly czuła nawet w palcach u nóg. Zadrzała.

- Nie.

- Na pewno?

W milczeniu skinęła głową, w windzie rozległ się gong, sygnalizujący, że dotarli do trzeciego piętra. Drzwi się rozsunęły.

Will uwolnił jej rękę, a Molly sama wyszła na korytarz, wyłożony szarym dywanem.

Will był za nią. Obejrząwszy się, zobaczyła, że trzyma w ręce kartę-klucz.

Na korytarzu było pusto. Will ruszył przodem do drzwi, przy których na mosiężnej tabliczce widniał

numer trzysta osiemnaście, i wsunął kartę do zamka. Zapłonęło zielone światelko.

Will obrócił gałkę, pchnął drzwi i odsunął się, przepuszczając Molly.

Tak mocno ścisnęła pasek od torebki, że paznokcie wbiły jej się w skórę. Minawszy Willa, weszła szybko do pokoju.

Drzwi się zamknęły i wokoło zapadły nieprzeniknione ciemności. Molly poczuła dreszcz, słysząc, jak Will porusza się w mroku. Ze zdenerwowania kręciło jej się w głowie, dłonie miała przeraźliwie zimne - nie, całe ciało miała lodowate.

Z trudem powstrzymała się, by nie szczekać zębami, choć w pokoju panowało miłe ciepło.

Spodziewała się, że zaraz otoczą ją ramiona Willa. Spodziewała się, że odwróci ją twarzą do siebie, pocałuje i...

Delikatne światło zalało pokój. Nagle Will wysuwał rękę spod gustownej, beżowej lampy, którą właśnie zapalił. Stał na tle zasłony w abstrakcyjny wzór w odcieniach szarości i beżu.

Obok lampy umieszczono dwa szare, aksamitne fotele. Po prawej stronie znajdowały się ciemne szafki, a na nich błyszczący sprzęt kuchenny. Na wyłożonej dywanem podłodze, pod szarym żyrandolem na złotym łańcuchu stał okrągły stół i cztery krzesła. Na prawo od Molly była łazienka. W głębi pokoju, po tej samej stronie co łazienka, zobaczyła dwa szerokie łóżka; starań-

202 Xsiężyc myśliwego

nie wygładzone narzuty pasowały do zasłon, ciemne, drewniane wezgiłowia, ozdobione mosiądzem, kontrastowały z szarymi ścianami.

Kiedy przeniosła wzrok z łóżek na Willa, okazało się, że ją obserwuje. Stał na lekko rozsuniętych nogach, z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie idealnie skrojonych spodni. Drogi, granatowy garnitur, nieskazitelnie biała koszula, starannie zawiązany czerwony krawat - wszystko to tak dalece odbiegało od stylu ubierania się dotychczasowych chłopaków Molly, że nie mogła wprost uwierzyć, iż naprawdę z nim tu jest. Widocznie Will dostrzegł jej wahanie, bo kiedy na nią spojrzał, na jego twarzy nie było już uśmiechu.

- Odwiozę cię do domu - powiedział.

I zrobiłby to. Wystarczyłoby, żeby skinęła głową. Nagle uświadomiła sobie, co tak ją w nim pociąga: spośród tylu znanych jej mężczyzn tylko on jeden sprawiał, że czuła się bezpieczna.

Popatrzyła na Willa - na jego krótko przystrzyżone jasne włosy, opaloną, pokrytą delikatnymi zmarszczkami twarz, na ciało sportowca, kryjące się pod drogim garniturem, i zrozumiała

ła, że gdyby teraz uciekła z podkulonym ogonem, nigdy potem by sobie tego nie darowała. Nieważne, co stanie się później -

choćby nawet i miała cierpieć, teraz go pragnęła. Pragnęła tak, jak jeszcze nikogo w całym życiu.

- Nie chcę wracać do domu - oświadczyła i podeszła do niego zdecydowanym krokiem.

Rozdział dwudziesty dziewiąty Kiedy się zbliżyła, Will wyjął ręce z kieszeni, złapał ją za łokcie osłonięte szorstkim, wełnianym swetrem i przyciągnął

do siebie. Torebka spadła z jej ramienia. Will podniósł ją i rzucił na krzesło za sobą. Kiedy znowu się odwrócił, Molly objęła go za szyję, lekko zaciskając palce na karku.

- Nie chcę wracać do domu - powtórzyła.

- Jesteś pewna? - spytał.

- Jestem pewna.

Uśmiechnęła się do niego. Nie odpowiedział tym samym, tylko z powagą, która nieco zaniepokoiła dziewczynę, przyglądał się jej twarzy.

- Skąd to wrażenie, że uwodzę nieletnią?

Dłońmi otoczył jej policzki. Dotyk jego ciepłych palców sprawił, że Molly przeszedł dreszcz. Na ustach Willa pojawił

się lekki uśmiezek, ale oczy pozostały ciemne, poważne.

- Za dwa tygodnie kończę dwadzieścia pięć lat. Wierz mi, jestem zupełnie dorosła.

- Ale na to nie wyglądasz. - Powiódł wzrokiem po jej figurze. - Choć właściwie, może i tak.

- Dziękuję. Sądzę, że tak.

Odgarnął loki, które opadały na jej prawe ramię, i starannie założył za ucho. Drugą ręką objął Molly i przyciągnął ją do siebie. Czowała ciepło jego silnego, twardego ciała. Will pochylił

głowę i odnalazł ustami delikatne miejsce pod uchem Molly.

Odsunął wysoki golf sukienki i mocno, zaborczo wessał się wargami w szyję Molly tuż pod brodą. Doznanie było tak niewiary-

204 *Księżyc myśliwego* godnie erotyczne, że dziewczyna dopiero do dłuższej chwili uświadomiła sobie, co robił: zastępował malinkę Jimmy'ego Millera swoją.

- Podobno robienie malinek nie jest w twoim stylu - udało jej się wykrztusić, gdy Will w końcu podniósł głowę.

Usta miał rozchylone, oczy mu płonęły.

- To draństwo doprowadzało mnie do szału - wymamrotał

i znowu przywarł ustami do jej szyi.

Molly poczuła, że jej wszystkie mięśnie osłabły nagle.

Z trudem utrzymywała się na nogach.

- Doprawdy?

Z trudem chwyciła powietrze, z jeszcze większym trudem dobywała głosu. Twardy męski tors napierał na jej piersi, które nabrzmiwały pod jego dotykiem. Ramiona Willa były silne, zaborcze. Jedną ręką przytrzymał jej głowę, drugą głaskał po policzku, odsuwał włosy z twarzy.

- Omal nie zwariowałem.

Wodził ustami po linii jej brody. Molly poczuła dreszcz i przymknęła oczy.

- Naprawdę? - Z zadowoleniem stwierdziła, że jej głos brzmiał niemal normalnie.

-1 z czego tak się cieszysz? - Gdy ucałował kącik jej ust, instynktownie rozchyliła wargi. - Przynajmniej teraz, patrząc na nią, będę wiedział, że to moja.

- Zazdrośnik - zdążyła szepnąć, zanim przykrył ustami jej wargi.

- Jeszcze jaki - powiedział jeszcze, a potem całował ją, a Molly jego, i żadne już się nie odzywało.

Uwielbiam jego pocałunki, pomyślała, gdy Will mocniej otoczył ją ramionami, i oparła głowę na jego piersi. Uważała się za mistrzynię w całowaniu, a z tego, co już zdążyła poznać, nie wątpiła, że on też znał się na rzeczy. Stwierdziła wręcz, gdy językiem obrysowywał kształt jej ust - że to godny przeciwnik. Usta miał twarde i gorące, uwodzicielski język zachęcał, nie żądając odpowiedzi. Całowała go zapamiętane, przywierając doń i głaszcząc jego szyję, by wzbudzić w nim jeszcze silniejszą reakcję niż on w niej.

To pojedynek mistrzów, pomyślała jak przez mgłę, gdy tak mocno ją do siebie przyciągnął, że musiała aż wspiąć się na palce, i z całych sił oparła mu ręce na ramionach, by wziął na *Księżyc myśliwego* 205

siebie ciężar jej ciała. Całował ją, póki się nie odsunęła, chcąc złapać oddech, po czym natychmiast ponowił pieszczoty.

Wsunął ręce między ich ciała, szukając jej piersi, a gdy znalazł, przykrył je otwartymi dłońmi. Pieścił je przez warstwy swetra, sukienki i stanika, z takim zapamiętaniem, że nabrzmiałe brodawki aż ją paliły.

- One też doprowadzały mnie do szału.

Will powtórzył swoje czary.

- Doprawdy?

Molly słyszała, że głos jej drży, ale nic nie mogła na to poradzić. W głowie jej szumiało, cała płonęła i z trudem zbiera

ła myśli, a co dopiero mówić o skleceniu rozsądnego zdania.

- Omal nie zwariowałem.

Gdy ponownie znalazł jej usta, wygięła się w łuk, głośno chwytając oddech i przywierając piersią do tej wszechwładnej dłoni.

Will uniósł głowę. Molly zmusiła się do otwarcia oczu i z drzeniem wciągnęła w płuca powietrze. Z satysfakcją stwierdziła, że też ciężko dyszał, a policzki miał zarumienione.

W jego oczach odbijało się światło lampy i wyglądały, jakby w ich niebieskich głębinach płonął ogień.

Will spojrzał niżej, Molly poszła za jego wzrokiem. Długie, ciemne palce spoczywały na zapięciu sukienki. Widok jego ręki na jej piersiach był podniecający, erotyczny i jeszcze mocniej rozpałał płomień pożądania.

Przesunął rękę do paska, związującego blezer. Molly obserwowała, jak zmagił się z supłem. Sweter się rozchylił, odsłaniając dzianinową sukienkę, która wcześniej wydawała się taka nobliwa. Teraz, gdy wyraźnie rysowały się pod nią brodawki, sukience można było przypisać każdą cechę, z wyjątkiem skromności.

Sterczące sutki błagały o dotyk jego ręki.

Usunąwszy przeszkodę w postaci swetra, dłonie Willa wróci

ły do jej piersi. Patrząc, jak obejmuje nimi dwie, jędrne kule, Molly poczuła dreszcz, przesywający całe ciało. Will mocniej zacisnął ręce i dreszcz zmienił się w regularne trzęsienie ziemi.

Specjalnie się nie spieszył, rozumiała, dając jej mnóstwo czasu na wycofanie się. Cały Will: dżentelmen w każdym calu.

Z jednej strony doprowadzało ją to do szału, z drugiej uspokajało.

206

Xsiężyc myśliwego

A przy tym było seksowne jak licho.

Molly podniosła wzrok i zobaczyła, że Will jej się przygląda. Zwilżyła dolną wargę, gdyż nagle zaschło jej w ustach. Pociemniały mu oczy, pochylił głowę i wessał jej język w usta, sycąc się nim. Wnętrze ust miał ciepłe, wilgotne, podniecające.

Molly zadrżała i przystąpiła do ataku, gładząc ciepłą skórę nad kołnierzykiem jego koszuli, wodząc palcami po krótkich, szorstkich włosach z tyłu jego głowy. Jednak sama też padła ofiarą owego ataku, bo zachwycał ją dotyk włosów Willa. Cudowne było to, że jej nie poganiał, nie nalegał - choć coś w niej pragnęło, by się pospieszył, wziął, co chce i dał jej spokój.

Coś w niej pragnęło, by nie musiała myśleć. By mogła potem usprawiedliwić się przed sobą: „To jego wina” i w ten sposób się rozgrzeszyć.

Chwycił ją za łokcie, zmuszając do opuszczenia ramion, ściągnął z niej sweter i rzucił na krzesło obok torebki, ani na moment nie przerywając pocałunków, jakby nie miał zamiaru już nigdy przestać.

Molly wsunęła mu ręce pod marynarkę i objęła go w pasie, jeszcze mocniej doń przywierając. Will odgarniał jej włosy, a potem poczuła lekkie szarpnięcie i usłyszała znajomy szelest rozsuwanego zamka błyskawicznego, muśnięcie powietrza na gołych plecach i dopiero wtedy sobie uświadomiła, że Will ją rozbiera.

Krew jeszcze mocniej zapłonęła jej w żyłach. Molly walczy

ła, by nie ulec, walczyła o panowanie nad sytuacją. Odsunęła się i odetchnęła głęboko, by uspokoić szalejące zmysły, a potem sięgnęła po jego krawat. Był chłodny, gruby, elegancko zawiązany. Jego wygląd i gładkość świadczyły, że musiał drogo kosztować. Szarpnęła za węzeł, ale dopiero Will musiał jej pomóc, wysuwając węższy koniec. Dwa pasy żywej czerwieni ko

ływały się na białym gorsie koszuli. Zdjąwszy marynarkę, Will rzucił ją na krzesło i ponownie wziął Molly w objęcia.

Kiedy ją całował, nie mogła powstrzymać się od wrażenia, że wszystko wokół wiruje. Objęła Willa w pasie, przez delikatną koszulę wbijała mu palce w plecy, usiłując odzyskać równowagę i nie przestając przy tym go całować.

W końcu uniósł głowę, a Molly otworzyła oczy, walcząc o złapanie tchu i otrzeźwienie.

Skoro mają się nawzajem rozbierać, nie będzie przed tym uciekać, pomyślała.

Xsiężyc myśliwego 207

Wsunęła mu dłonie pod gors koszuli, usiłując nie stracić głowy, gdy poczuła twarde mięśnie pod miękką tkaniną, i zaczęła rozpinać guziki. Will całował ją w policzek, w ucho, potem odsunął rozpięty golf i pieścił ustami jej szyję.

Molly wychowała się na opowieściach o tym, jak dawno temu panny z południa mdlały od pocałunku mężczyzny. Teraz wiedziała, co musiały czuć.

Nie rozpięła nawet jednej trzeciej guzików, gdy zapomniała, co robi, i dłonie jej znieruchomiały. Usta Willa rysowały linię ognia na nagiej skórze nad mostkiem aż do miękkiego zaokrąglenia piersi. Pieścił ją zębami, ustami, językiem. Efekt był druzgoczący.

Will rozpiął jej pasek od sukienki i zaczął ją zsuwać w dół.

Ześlizgnęła się z ramion, a potem wzdłuż ciała, aż opadła na podłogę. Molly zachowała dość przytomności umysłu, by

„wyjść” z sukienki i odsunąć ją na bok.

Została teraz w białym, koronkowym staniku i wyciętych majteczkach od kompletu, przezroczystych, cielistych rajstopach i pantoflach na obcasie.

Will nagle znieruchomiał, Molly podniosła wzrok i zobaczy

ła, że wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Policzki mu płonęły, oczy, które wreszcie zatrzymał na jej twarzy, też. Molly wydawało się, że jego dłonie, obejmujące ją w talii, lekko drżą.

- Ładne. Lubię biel - odezwał się, jakby z trudem panował

nad głosem.

- Tak przypuszczałam.

Od niej też chłodna odpowiedź wymagała wielkiego wysiłku.

- Włożyłaś to dla mnie?

Mimo żaru płonącego w oczach Willa, kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiešku.

- A dla kogóż by innego?

Nadała głosowi kpiący ton, nie chcąc wyznać prawdy: rzeczywiście włożyła tę białą, koronkową bieliznę, gdyż domyśli

ła się, że go tym podnieci. A strasznie chciała go podniecić -

tak, jak żadna kobieta jeszcze go nie podnieciła.

- Dla nikogo innego - niemal warknął. - Jeśli masz choć trochę oleju w głowie.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Will delikatnie wysunął jej jedną pierś ze stanika. Patrzył na nią, Molly zaś obserwowała 208

Xsiężyc myśliwego

wyraz jego twarzy. Szczęki miał zaciśnięte, usta też. Krwiste rumieńce zalały mu policzki. Oddychał ciężko.

Otoczył dłonią nagi sutek Molly.

Wtedy zrozumiała, że pojedynek dobiegł końca, a ona - mistrzyni w tej grze - została pokonana. Pierwszy raz w życiu przegrała. Ona, której jedno spojrzenie wystarczało, by mężczyźni topnieli jak wosk, sama zmiękała jak wosk w rękach tego mężczyzny.

Nigdy nie traciła głowy przy pocałunkach. Nigdy nie traci

ła głowy przy kochaniu się. I nigdy nie traciła głowy dla mężczyzn. Teraz jednak zmysły Molly szalały, straciła nad nimi wszelką kontrolę.

Straciła głowę dla Willa.

Gdy to sobie uświadomiła, zadrżało w niej nie tylko serce, ale i całe ciało.

Rozdział trzydziesty

Gorące, wilgotne usta Willa otoczyły jej brodawkę. Molly zacisnęła palce na jego ramionach, zachłysnęła się i wypowiedziała jego imię, gdy ciało jej przeszywały rozkoszne dreszcze.

Przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej, ustami doprowadzając do wrzenia, a drugą ręką wysunął ze stanika drugą pierś.

Molly czuła twardy wznórek w jego spodnich. Przywarła do Willa jeszcze mocniej, ocierając się o niego, gdy fale żaru przeszywały jej uda. Ta pieszczota wyzwała w niej wprost nieprzytomne pożądanie. Wszystko się zmieniło - pierwszy raz w życiu myślała tylko o sobie i swoich pragnieniach.

Musi się z nim kochać. Tu. Teraz.

Jego ręka znalazła się na środku jej pleców. Bezbłędnie znalazł i rozpiął klamerkę stanika. Ramiączka się zsunęły, a Will schwycił miękki skrawek materiału i odrzucone białe koronki wylądowały na podłodze.

To był najlepszy, najdroższy stanik Molly, ale nawet o tym nie pomyślała.

W głębi pokoju kątem oka dostrzegła jakiś ruch w lustrze -

dopiero teraz je zauważyła - na lekko uchylonych drzwiach szafy. Stała pod kątem do lustra i żeby zobaczyć własne odbicie, musiała odwrócić głowę. Zrobiła to i nagle ujrzała najbardziej wyuzdany widok w swoim życiu: stała oto, naga do pasa, z ciemnymi włosami rozsyanymi na plecach i ustami obrzmiałymi od pocałunków Willa. Oczy miała wielkie, nieprzytomne, policzki jej płonęły z podniecenia. Rajstop właściwie nie było widać.

Kuse, białe figi osłaniały ostatni zakryty skrawek ciała. Panto-14. Księżyc myśliwego

210 Księżyc myśliwego

fle na obcasach zlewały się z kolorem skóry, tak że nogi wydawa

ły się nieprzyzwoicie długie i smukłe. Brzuch płaski, pośladki zaokrąglone, wąska talia. Piersi wielkości pomarańczy i równie jędrne i dojrzałe jak ona. Jasnokremowe sutki zwieńczały różowe brodawki, jeszcze błyszczące po pocałunkach Willa. Opalona ręka o długich palcach spoczywała na jej plecach, kontrastując z mleczną skórą. Obejmowała Molly intymnym, zaborczym gestem.

Przenosząc spojrzenie ze swego odbicia na Willa, dziewczyna uświadomiła sobie, że on jest nadal ubrany. Mankiety zapięte, koszula od pasa do piersi też, wąski, czarny pasek nadal podtrzymywał spodnie, skarpetki i buty były na miejscu.

Podczas gdy ona, niemal naga, stała w jego objęciach!

Ich wzrok spotkał się w lustrze.

- Jesteś piękna - powiedział.

Oboje patrzyli, jak podniósł rękę i pieścił jej pierś. Kciukiem wodził po i tak nabrzmiałej brodawce. Od tego dotyku ciało dziewczyny przeszywały błyskawice namiętności. Molly z trudem chwytiała powietrze, kolana się pod nią ugiwały, musiała przycisnąć się do Willa, by się nie osunąć na podłogę.

- Pragnę cię - wyszeptał zduszonym głosem.

Nieoczekiwanie wsunął rękę pod jej kolana, drugą otoczył

plecy i pokój naprawdę zawirował, gdy została poderwana do góry i ułożona na łóżku. Wyciągnął się obok niej. Materac ugiął

się pod ciężarem jego ciała i Molly potoczyła się w stronę Willa. Skwapliwie wtuliła się w jego ramiona, zarzucając mu dłonie na szyję, szukając ustami jego ust. Gdy pocałował ją namiętnie, w mózgu miała papkę, a całe jej ciało stanęło w płomieniach.

Jego ręce parzyły, gdy wsunął dłonie pod pasek rajstop i opuścił je na biodra. Zakradł się do wnętrza koronkowych majteczek, a jego palce delikatnie odnalazły i pieściły trójką-

cik szorstkich włosków między udami. Po chwili białe figi podzieliły los rajstop i Will wsunął palce głębiej.

- O, tak - jęknęła Molly, nie odrywając ust od jego warg, gdy znalazł miejsce, którego szukał.

Dotykał jej tam, gładził i naciskał, aż sądziła, że umrze z pragnienia. Prężyła się i wyginała pod tą doświadczoną ręką i mruknęła z niezadowolenia, gdy cofnął dłoń. Potem i on sam się odsunął. Drżąca Molly patrzyła, jak Will siada i zsuwa z niej resztę bielizny. Kiedy szybko i sprawnie skończył ją roz-
Księżyc myśliwego 211

bierać, zorientowała się, że nie ma już na nogach butów, choć nie pamiętała, kiedy je zdjęła.

Teraz sam się rozbierał, szarpiąc guziki i spinki. Molly przez chwilę obserwowała jego zmagania z paskiem, w końcu usiadła i pomogła mu rozpiąć koszulę. Ale bardzo szybko zapomniała o całym świecie, zachwycona męską urodą torsu, który odsłoni

ła. Szeroki i umięśniony, na środku porośnięty wąskim paskiem złocistych włosków, aż prosił, by go dotykać. Posłuchała wołania, zmysłowo, z rozkoszą wodząc po jego twardych mięśniach.

U nasady szyi tętnił puls. Pochyliła się, by ucałować to miejsce, a w tej samej chwili Will poradził sobie w końcu z paskiem i wstał, by zdjąć spodnie. Molly nie chciała go puścić, więc uniosła się na kolana na brzegu łóżka, zasypując pocałunkami jego szyję i tors.

Zrzucił spodnie, buty i bieliznę. Wyprostowawszy się, pieśczośliwie powiodł dłonią po pośladkach Molly i jej plecach, po czym skupił się na spince przy lewym mankiecie. Z wyjątkiem koszuli - z ciągle jeszcze nierozpiętymi rękawami - i czarnych skarpet też był już nagi.

Z nietypowym u niego zniecierpliwieniem zmagał się z opornymi zapięciami, a tymczasem Molly spojrzała na jego członek: nabrzmiały i olbrzymi, sterczał wyprostowany sztywno. Opuściła dłonie, zsunęła się niżej i wzięła go w usta.

Will znieruchomiał na moment. Głośno wciągnął powietrze, a potem chwycił jej głowę, odsunął ją od siebie, pchnął Molly na plecy i przygniótł swym ciężarem. Jeszcze nie zdążyła dobrze paść, gdy gwałtownie się w nią wsunął. Molly krzyknęła z rozkoszy, a Will zamknął jej usta pocałunkiem.

Miażdżył ją w uścisku. Gorące, wilgotne usta i język całowały ją z zapamiętaniem. Molly odpowiedziała mu z równym żarem. Wsunęła ręce pod koszulę, której nie zdążył zdjąć, wbijała mu paznokcie w plecy, unosila biodra, by głębiej czuć jego gwałtowne pchnięcia. Był tak rozpalony, że aż parzył, tak wielki, że wypełniał ją po brzegi. Wszedł w nią z takim żarem i po

żądaniem, że wiała się i napinała, otwierając się przed nim w odpowiedzi. Will zasypywał pocałunkami jej usta, szyję, piersi, dotykał ręką miejsca, w którym się połączyli. Molly zanurzyła twarz w zagłębienie jego szyi, oplotła mu biodra nogami i przywarła doń z jękiem i drzeniem, podczas gdy z jego cia

ła do niej przenikały elektryzujące iskry napiętności.

212 __ *Księżyc myśliwego* Ona, która zawsze panowała nad sytuacją, teraz została opanowana. Zdominował ją, brał od niej, co chciał i było to najbardziej erotyczne, wstrząsające przeżycie, jakiego kiedykolwiek doświadczyła.

Uczył ją swoją własnością, a ona się tym rozkoszowała.

- Will, och, Will! Och, Will!!!

Orgazm spadł na nią jak lawina, wybuchnął w niej z siłą potężnej eksplozji, zalewały ją fale rozkoszy jedna za drugą.

Dała się porwać nawałnicy, jak przez mgłę słysząc jego jęk, gdy wbił się głębiej w jej drżące ciało i pulsował w jej wnętrzu.

Rękami nadal oplatała szyję Willa, gdy przeszły go dreszcze i bezwładnie na nią opadł.

Do przytomności przywołały ją drobiazgi - zimne stopy i narzuta, która zwinęła się i teraz uwierała ją w plecy, i to że chciało jej się kichnąć. Na pewno od ich wejścia do pokoju hotelowego nie upłynęło więcej niż dwadzieścia minut, lecz w tym krótkim czasie cały świat Molly stanął na głowie.

Stało się to, czego najbardziej się lękała: zakochała się w tym mężczyźnie.

Rozdział trzydziesty pierwszy Świadomość owego faktu przeraziła Molly. Znieruchomiała, wpatrując się w biały sufit nad sobą i usiłowała odrzucić tę myśl.

W rogu pokoju wypatrzyła pajęczyny.

Will leżał na niej. Ważył chyba z tonę.

Światelko na wykrywaczu dymu przy suficie mrugało niczym czerwone oczko.

Jej ręce nadal spoczywały na silnych plecach Willa, pod koszulą, której ciągle jeszcze nie zdjął. Skórę miał ciepłą i wilgotną od potu.

W przeciwległym rogu sufitu Molly dostrzegła małe pęknięcie.

Will odwrócił głowę i potarł szorstką brodą jej policzek.

Mocniej otoczył ręką jej talię i przywarł ustami do miękkiej skóry tuż pod uchem.

Molly zeszywniała i próbowała się dźwignąć.

Uniósł głowę i uśmiechnął się do niej. Był to cudowny uśmiech, od którego serce przestawało bić w piersi. Podobnie jak od blasku, jaki zobaczyła w jego oczach.

Wysunęła dłonie spod koszuli Willa, starając się nie czuć jedwabistego dotyku jego skóry i twardych mięśni. Nie zamierzała poznawać go ani odrobinę lepiej. Wystarczająco dużo już wiedziała.

Aż za dużo.

- Chcę wstać.

- Już?

Zmarszczył się lekko, potem zaś najwyraźniej uznał, że wzywa ją potrzeba naturalna i odsunął się na bok. Molly wstała *214 Xsiężyc myśliwego*

z łóżka i zaczęła się rozglądać za swym ubraniem, próbując nie dostrzegać, że Will odwrócił się teraz na plecy i obserwował ją z rękami za głową. Z wyjątkiem rozpiętej koszuli, która zasłaniała mu tylko ramiona i boki, oraz skarpetek był nagi. I chyba zupełnie mu to nie przeszkadzało.

Ona też była naga. Instynktownie chciała złapać cokolwiek, aby się okryć, gdyż czuła na sobie uważne, pełne uznania spojrzenie mężczyzny. Lecz osłaniając się, ujawniłaby własne za

żenowanie i w ten sposób osłabiłaby swą pozycję. Przy Willu zaś za żadne skarby świata nie zamierzała okazać słabości.

Dlatego stała naga u stóp łóżka, udając, że jej to nie przeszkadza. Dumnie uniosła głowę, odrzuciła włosy z twarzy i pozwalała mu oglądać się ze wszystkich stron, powtarzając sobie, że wcale jej to nie przeszkadza, choć prawda wyglądała inaczej.

Od lat Molly była mistrzynią w pokazywaniu światu obojętnej twarzy i ów trening teraz się przydał. Całe swe wnętrze i słabe punkty osobowości ukrywała starannie pod zewnętrzną twardą osłoną, niczym krab pod skorupą.

Dawno już się przekonała, że to jedyny sposób, by przeżyć.

Obok łóżka leżały spodnie Willa, niemal przewrócone na lewą stronę. Z kieszeni wypadł portfel, drobne i złote, foliowe opakowanie z prezerwatywą i teraz wszystko to leżało na dywanie. Molly zakładała, że w prezerwatywę zaopatrzył się z myślą o ich spotkaniu, ale nie zdążył z niej skorzystać. Finał

okazał się tak namiętny, szybki i płomienny, że nie było czasu na praktyczne myślenie.

Najpierw wypatrzyła białe figi i rajstopy, potem buty i podeszła do nich, z premedytacją uwodzicielsko kołysząc biodrami. Wolno schyliła się po poszczególne części ubrania.

Złapanie tego wszystkiego i czmychnięcie najszybciej jak się da - co bardziej by odpowiadało jej obecnemu nastrojowi -

byłoby upokarzające.

- Co robisz? - spytał leniwie Will.

- Ubieram się - padła krótka odpowiedź.

Kiedy sięgała po stanik i sukienkę, bardziej usłyszała, niż zobaczyła, że usiadł na łóżku.

- Co się stało?

Kiedy odważyła się zerknąć nań kątem oka, zauważyła, że zmarszczył brwi. Siedział na łóżku, potargany, z podciągnięty-Księżyc myśliwego 215

mi kolanami, ubrany wyłącznie w rozpiętą koszulę i czarne skarpetki, i pomyślała, że w życiu nie widziała równie seksownego mężczyzny.

- Nie znoszę kochać się z mężczyznami w skarpetkach - powiedziała złośliwie.

Wzięła torebkę i ruszyła do toalety. Will poderwał się z łóżka, ale Molly go ubiegła. Dopadła do zbawczej łazienki i zamknęła za sobą drzwi na zamek. Oparła głowę o chłodne, szare drewno.

Klamka zazgrzytała.

- Molly, wpuść mnie.

Odsunęła się od drzwi.

- Jestem zajęta.

I na dowód spuściła wodę.

- Molly.

- Idź sobie.

Rozłożyła ubranie. Kątem oka dostrzegła własne odbicie i przyglądała się sobie przez chwilę. Włosy miała potargane, usta nabrzmiałe od pocałunków, w oczach malował się dziwny wyraz - wstrząs połączony z niedowierzaniem. Niżej nie odwa

żyła się patrzeć. Jeśli na jej ciele zostały ślady pieszczot Willa, wołała ich nie widzieć.

- Molly!

- Biorę prysznic! - odkrzyknęła, odsunęła się od lustra i zamieniła słowa w czyn.

Kiedy już wyszła spod ciepłego strumienia wody, była chłodna, opanowana i znowu kontrolowała sytuację. Wytarła się, ubrała, uczesała, poprawiła makijaż. Gdy skończyła toaletę, nikt nigdy by się nie domyślił, że dopiero co uprawiała niewiarygodny, namiętny seks z ukochanym mężczyzną.

Ukochany mężczyzna! - Te słowa budziły w niej panikę.

W ogóle nie będzie o tym myśleć.

Miłość równa się złamanemu sercu. Wystarczająco dużo bolesnych nauczek dostała w przeszłości.

Była głupia, pozwalając, by sprawy z Willem posunęły się aż tak daleko. Co ona sobie wyobrażała? Jakim cudem nie dostrzegła, że jej atawistyczne pragnienie silnego, dobrego mężczyzny, który by się nią zaopiekował, w połączeniu z pociąganiem seksualnym i wielką sympatią, stworzy razem mieszaninę wybucho-216 Xsieżyc myśliwego

wą. Wystarczy jeszcze dodać seks, od którego aż mózg się lasuje

- i oczywiście musiała się w nim zakochać. To była niezawodna receptura.

I jakiego ciągu dalszego się spodziewała? Że pojedą razem w stronę zachodzącego słońca, gdzie będą żyli długo i szczęśliwie? Will za parę tygodni wróci do Chicago. I co? Miałby ją tam zabrać ze sobą? Wraz z dziećmi, psem i całym majdanem?

Jasne. Jednego zdążyła się nauczyć: w życiu nie zdarzają się szczęśliwe zakończenia.

Za drzwiami łazienki panowała cisza. Molly nastawiła uszu, ale nie usłyszała niczego. Wiedziała jednak, że Will nie wyszedł. Był tam, czekał, a ona musi stawić mu czoło.

Wyprostowała się, dumnie uniosła głowę i wzięła do ręki torebkę. Potem otworzyła drzwi i z powrotem weszła do pokoju.

Will siedział w jednym z welurowych foteli. Miał na sobie do połowy zapiętą koszulę i wąskie, niebieskie szorty oraz czarne skarpetki. Założył nogę na nogę i lekko kołysał jedną stopą. Pił mleko. Na widok Molly odstawił szklankę na stolik.

- Wrzody się odezwały? - spytała z kpiącym uśmiechem.

Postanowiła odpychać Willa na wszelkie możliwe sposoby, usiłując ratować resztki złamanego serca, zanim ten mężczyzna na dobre się w nim rozgości. Ironiczne uwagi na temat choroby wrzodowej były chwytem poniżej pasa, gdyż zwierzył jej się w zamian za to, czego dowiedział się o jej matce. Ale Molly musiała ratować się od bólu i będzie walczyć, nawet nieuczciwymi metodami.

- Można tak powiedzieć.

Nawet jeśli zabolą go ta złośliwość, nie okazał tego, tylko wypił jeszcze łyk mleka. Z zadumą powiódł wzrokiem po Molly, zatrzymując spojrzenie na jej twarzy.

- Mógłbyś mnie odwiedzić do domu? Robi się późno.

- Dopiero dziewiąta.

- Jestem zmęczona.

- Taka krótka randka?

Wzruszyła ramionami bez słowa.

Will wstał i podszedł do niej. Molly zmusiła się z trudem, by nie uciec. Wytrzymała w miejscu z dumnie podniesioną głową.

Włożyła już buty, on zaś stał bosy i czubek jej głowy znajdował

się niemal na wysokości jego brwi. Jednak nie zmieniało to faktu, że był znacznie roślejszy, bary miał szerokie i muskularne, *Xsieżyc myśliwego 217*

i zdążyła się właśnie przekonać, że ważył dobre trzydzieści parę kilogramów więcej niż ona.

Powinien budzić w niej lęk. I tak było. Ale nie z powodu gabarytów. Budził w Molly obawę z powodu tego, co doń czuła.

Zatrzymał się przy niej, próbując ją objąć i przytulić, lecz mu się wyrwała. Przez chwilę przyglądał się jej z uwagą, zało

żywszy ręce na piersi.

- Co się stało, Molly?

Tym razem pytanie brzmiało niemal czule. Zaciśnęła usta.

- Nic się nie stało.

Westchnął.

- Kobiety zawsze tak mówią, gdy coś jest nie tak. Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że nagle się na mnie wściekłaś. Pytanie tylko, dlaczego?

- Nie jestem na ciebie wściekła. Po prostu chcę wrócić do domu. Jeśli mnie nie odwiedzisz, pójdę pieszo.

- Trzydzieści kilometrów w środku nocy? Wątpię.

- W takim razie złapię okazję. Albo zadzwonię po Ashley, aby po mnie przyjechała.

Nadal patrzył na nią uważnie. Musiał dostrzec w jej twarzy coś, co go przekonało, że mówi poważnie, bo zmienił ton.

- Naprawdę chcesz wracać?

-Tak.

- W takim razie cię odwiozę. Poczekaj, aż się ubiorę.

Starła się nie patrzeć, gdy podszedł do szafy, wyjął dres i rzucił go na łóżko. Dopasowane szorty sięgały mu trochę za pośladki. Nie mogła nie dostrzec, że miał zgrabne nogi: muskularne, brązowe,

mocno owłosione. Rozpiął koszulę i zdjął

ją tak swobodnie, jakby był zupełnie sam, podczas gdy Molly przestępowała z nogi na nogę, patrząc wszędzie, byle nie na niego.

- W lodówce jest cola. Kupiłem specjalnie dla ciebie.

Spojrzała na Willa i to okazało się błędem. Miał na sobie tylko spodnie i jego ciało, któremu wcześniej nie zdążyła się dokładnie przyjrzeć, teraz objawiło się w całej swej krasie. By

ło fantastyczne. Opalone, umięśnione i szerokie bary, ramiona także. Mocna klatka piersiowa porośnięta dokładnie tyłoma, ile trzeba złocistymi, kręconymi włoskami. Brzuch, widoczny nad paskiem szortów, też umięśniony. Wąskie uda, nogi długie i silne.

218

Księżyc myśliwego

Molly wpatrywała się w niego, a potem odwróciła wzrok.

To, co się tu wydarzyło, więcej już się nie powtórzy. Nie pozwoli sobie na choćby nawet cień pożądania. Ani innych uczuć.

- Nie chcę coli - odpowiedziała stanowczo.

- W lodówce jest też jedzenie. Kurczak.

Will włożył spodnie od dresu, nie śpiesząc się, jakby miał przed sobą całą noc.

- Nie jestem głodna.

- Wcześniej doskwierał ci głód.

Molly nie przeoczyła dwuznacznika.

- Przeszło mi.

- A wszystko dlatego, że nie zdjąłem skarpetek?

Will wiązał sznurek w pasie. Molly ponownie odwróciła wzrok.

- Mógłbyś się pośpieszyć? Powinnam już być w domu.

- Czemu? Ostatnim razem wróciłaś z randki prawie o północy.

Wsunął przez głowę bluzę i włożył ręce w rękawy. Podobnie jak spodnie, była szara, ze znakiem

jakiejś firmy sportowej.

Oczywiście chodziło o randkę z Jimmym Millerem, o którego był tak strasznie zazdrosny. Echa tamtych emocji dźwięcza

ły teraz w powietrzu, choć mówił zupełnie spokojnie. Molly pomyślała o malince i załała się rumieńcem na wspomnienie, że właśnie zaliczyła drugą - tym razem autorstwa Willa - i stara

ła się odsunąć od siebie tę refleksję.

- Czyżbyś należał do facetów, którzy rozpamiętują wszystko aż do śmierci? Uprawialiśmy seks, wielka mi rzecz. Chciałeś tego, ja też, zrobiliśmy to i mamy sprawę z głowy. Życie płynie dalej.

Przez chwilę Will przyglądał się jej w milczeniu.

- Czyżbyś dawała mi do zrozumienia, że, przynajmniej jeśli chodzi o ciebie, była to przygoda na jedną noc?

W jego głosie dźwięczało lekkie rozbawienie. Molly założy

ła ręce na piersi i przyglądała się, jak Will się pochyła, wkłada czarne adidas i wiąże sznurowadła. Była rozdrażniona, resztkami sił zachowywała panowanie nad sobą, a leniwe tempo, w jakim się ubierał, doprowadzało ją do szału.

- Nie ujęłabym tak tego, ale owszem, coś w tym rodzaju.

- Nie dzwoń do mnie, ja zadzwonię? - spytał, prostując się Will.

, *K sieżyc myśliwego 219*

-Tak.

Podszedł do niej - wreszcie zupełnie ubrany. W szarym dresie wyglądał niewiarygodnie seksownie. Nie uśmiechał się.

Spodziewała się... Czego? Że chwyci ją w ramiona i będzie ca

łował? Że powie, iż Molly zachowuje się niemądrze i poprosi, by jeszcze raz się zastanowiła? Że będzie wściekły, dotknięty albo zacznie ją błagać?

- Skoro tak sobie życzysz.

Wzruszył ramionami i podał jej brązowy sweter, który wziął

z krzesła.

Rozdział trzydziesty drugi

Kiedy podjechali pod dom, Will uparł się, że odprowadzi Molly do drzwi. Poszła przodem, nie zwracając uwagi na psa, który powitał ich pełnym radości ujadaniem. W domu płonęły światła, z okien padała złocista poświata. Na ganku panował

mrok, ale nie aż tak głęboki, żeby niczego nie widziała. Dotarłszy do drzwi, Molly odwróciła się do Willa, który - oczywiście

- doszedł za nią aż tutaj.

- Nic mnie nie zjadło, widzisz? Już możesz wrócić.

- Nie, dopóki nie znajdziesz się w środku - odrzekł spokojnie.

Tak pogodnie zniósł odrzucenie, że aż kipiała ze złości. Każdy inny mężczyzna, niezależnie czy się z nim przespała, czy nie.

- a szczerze powiedziawszy, spała ze zdumiewająco małą liczbą facetów - już by błagał o wyjaśnienia. Co więcej, jej chłód działał lepiej od najpotężniejszego afrodyzjaku. Im bardziej im powtarzała, że ich nie chce, tym bardziej się zakochiwali.

Z wyjątkiem tego jednego.

- Niech ci będzie - warknęła.

Szarpnęła ramę z siatką i wsunęła klucz w zamek. Kiedy uchyliła drzwi, zobaczyła, że w kuchni pali się światło, lecz nikogo tam nie ma. W pokoju dziennym ryczał telewizor. Podejrzewała, że właśnie tam zgromadziło się jej rodzeństwo.

- Molly, to ty? - zawołała Ashley, potwierdzając jej przypuszczenia.

- Tak, to ja! - odkrzyknęła i odwróciła się do Willa, blokując mu wstęp do domu.

- Rozumiem, że nie zaprosisz mnie do środka.

Xsieżyc myśliwego ' 221

W jego głosie znowu usłyszała lekkie rozbawienie. Przytrzymał ramę zewnętrznych drzwi, więc nie mogła mu zatrzasać ich przed nosem.

- Nie zaproszę.

-1 nie pocałujesz mnie na dobranoc?

Molly nawet nie raczyła odpowiedzieć.

- Co sobie pomyśli twoje rodzeństwo?

Nie mieściło jej się w głowie, że ten drań jeszcze się z nią przekomarza! Zaciśnęła zęby.

- Szczerze powiedziawszy, niezbyt mnie to obchodzi. Chcę tylko, żebyś się wyniósł z tego ganku i z mojego życia.

Zapadło milczenie; Will uśmiechał się do niej łagodnie.

- Chyba o czymś zapominasz.

- O czym? - spytała podejrzliwie.

- Niezależnie od tego, co sobie o mnie myślisz, nasz poprzedni układ się nie zmienił. Nadal dla mnie pracujesz, nadal słuchasz moich poleceń i zachowujesz pozory, że jestem twoim chłopakiem. Jasne?

Wpatrywała się w niego przez chwilę z zaskoczeniem. Faktycznie, zapomniała o całej sprawie. Nie zdołała go w tym momencie wyrzucić ze swego życia. Będzie musiała codziennie oglądać Willa, dopóki ten nie wróci do Chicago.

I to on będzie dyktował warunki.

- Wyśpij się, kochanie - odezwał się nagle pieszczotliwie.

Molly kątem oka dostrzegła, że do kuchni weszła Ashley, i uznała, że ów pieszczotliwy ton to przedstawienie dla siostry.

Potem Will objął ją za szyję, pochylił się i szybko i zdecydowanie pocałował w usta.

- Nie waż się więcej tego robić! - syknęła tak, by tylko on to usłyszał, gdy już ją uwolnił.

Ku jej wściekłości, podrapał ją pod brodą jak miłutkiego kociaka, pogodnie życzył Ashley dobrej nocy i dopiero wtedy zszedł z ganku.

Nawet nie była jej dana satysfakcja trzaśnięcia za nim drzwiami. Przy siostrze musiała zamknąć je cicho, ulżyła sobie jednak o tyle, że włożyła w ten gest całą swą zimną furję.

- Wcześniej wróciłaś - zauważyła Ashley bez żadnego podtekstu. - Will nie chciał wejść?

Molly przywołała na twarz uśmiech i tak oto zaczęła snuć kolejną pajęczynę kłamstw.

222 *K sigzyc myśliwego* Potem poszła do swojego pokoju, położyła się i do końca nocy leżała bezsennie.

*

Dochodziła północ, gdy Will znowu przejeżdżał obok domu Molly. Kiedy ją odwiózł, nagle okazało się, że ma zbyt dużo wolnego czasu i wykorzystał go, wracając do biura Howarda Lawrence'a i podejmując poszukiwania. Tym razem znalazł

coś, co wzbudziło w nim dłuższe niż tylko przelotne zainteresowanie: list szantażysty. A przynajmniej na taki wyglądał.

Wiadomość ułożono z różnej wielkości liter, wyciętych z gazet i przyklejonych do białej kartki, a brzmiała: „wiem, Co zRObiłeŚ”. Nie była to wyraźna groźba ani też żądanie pieniędzy -

co, zdaniem Willa, świadczyło, że ten list był tylko jednym z wielu, lecz poszukiwanie następnych nie przyniosło rezultatów. Jednak instynkt, który rzadko zawodził agenta Lymana, podpowiadał mu, iż właśnie trafił na tak poszukiwany ślad. Nigdy nie wierzył w bajeczkę o samobójstwie trenera. Po prostu zmarły nie był tym typem człowieka. A list stanowił pierwszy konkretny dowód, że Will się nie mylił. Ktoś jakoś się dowiedział, że Lawrence z nimi rozmawiał i dostrzegął w tym możliwość szantażu. Czy właśnie dlatego ów człowiek zginął? Całkiem niewykluczone.

Nie znalazł adresu - zresztą na prawdziwość danych dotyczących nadawcy i tak nie można było liczyć - a na kartce nie zauważył śladu po zagięciu, który by pozostał, gdyby ją złożono i wsunięto do koperty; dlatego Will uznał, że list doręczono adresatowi bez pośrednictwa poczty. Jutro z samego rana każe sprawdzić, czy nie zostały na nim odciski palców. Sprawdzi też rachunki bankowe Lawrence'a i wypłaty z ostatniego okresu.

Nie spodziewał się, żeby trener wystawił szantażyście czek, ale jakaś nietypowa wypłata potwierdziłaby jego teorię.

Pierwszy przełom od śmierci ich informatora! Mimo sprzeczki z Molly, Will wracał do Lexington właściwie w całkiem niezłym nastroju.

Choć nie było mu to po drodze, skręcił w drogę biegnącą niedaleko domu dziewczyny. Koniarze na ogół wcześniej się kładli spać, gdyż wcześniej wstawali i niemal każdy mijany budynek tonął w mroku. Również i Ballardów. Domek stał spokojnie pod rozgwieżdżonym niebem, spokój zakłócało tylko kołysanie *Księżyc myśliwego* 223

gałęzi potężnego dębu na podwórzu i cienie, rzucane przez chmury, które przekornie co chwila zasłaniały tarczę księżyca.

Molly - i cała jej rodzina - z pewnością śpią jak susły.

Will wiedział, że zachowuje się jak skończony dureń, przejeżdżając w środku nocy obok tego domu. Pomyślał o tamtym zadurzonym w niej palancie i omal głośno nie prychnął. Na szczęście jemu nie groziło nic takiego. A jeśli nawet, to pierwaj go lichy porwie, niżli to okaże.

Nadal nie rozumiał, co się zepsuło między nim a Molly tego wieczoru, ale znał jedną, podstawową prawdę: im bardziej się za czymś goni, tym prędzej to ucieka. Był za starym wygą i za dobrze znał kobiece sztuczki, żeby lecieć z wywieszonym ozorem za Molly, gdy ona chce się wycofać.

W takim momencie właściwą taktyką jest odejść samemu.

Ale w tym wypadku nie było to takie proste. Seks, który uprawiali, był fantastyczny i tylko zaostrzył mu apetyt. Will zapragnął więcej. Znacznie więcej.

Zanosi się, że będzie musiał na to zapracować.

Bałwan - po raz kolejny sklął sam siebie w duchu. Od początku wiedział, że idzie prosto w pułapkę żywej, seksownej diablicy, zastawiającej sidła na mężczyzn, połykającej ich, przeżuwiającej i wypluwającej niczym gumę balonową.

A czego się spodziewał? Przecież niczego trwałego. Przede wszystkim nie zamierzał angażować się na wieki. Nie chciał

niczego, co ma trwać wiecznie.

Pragnął wziąć Molly do łóżka i nie ruszać się stamtąd przez miesiąc, a potem...

Pewnie by się nią nasycił. Pocałowałby ją na do widzenia, wróciłby do Chicago i żył jak dawniej.

Ale to on by zerwał, do licha. Nie ona. I nie teraz.

Już prawie minął dom, gdy coś dostrzegł: ciemna sylwetka, przemykała się po podwórzu. Przez moment nie wierzył własnym oczom. Mrugnął, spojrzął jeszcze raz i omal nie wjechał

w drzewo.

W ostatnim momencie udało mu się uniknąć zderzenia.

W pierwszym odruchu chciał wcisnąć hamulec, wyskoczyć i pogonić za tym typkiem, ale zapanował nad sobą, dojechał

do zakrętu, zgasił światła i zawrócił.

Zjechał na wyboistą drogę, wiodącą wśród starych, wysokich jaworów niedaleko domu Molly i wyłączył lampkę w samocho-224

Ksigzyc myśliwego

dzie, by otworzyć drzwi, nie zapalając przy tym światła, a potem wysiadł z wozu. W ręce ścisnął pistolet, wyjęty ze schowka.

Wysoko na niebie świecił księżyc. Will przemknął obrze

zem podwórka, trzymając się w cieniu, wzrokiem przebiegał

gęstwinę krzaków. Były to jakieś wyrosnięte iglaki, które aż się prosiły, żeby ktoś je przystrzygł. Stanowiły idealną kryjówkę dla podglądacza lub złodzieja.

Przez moment Will sądził, że się spóźnił i tamten ktoś już zniknął. Ale kiedy wszedł za dom, zauważył, że ktoś się tam czai. Co więcej, ów typ zmierzał w kierunku okna Molly.

Willa ogarnęła nagła furia.

Pochylony, z gotową do strzału bronią, pognął w stronę intruza.

Tamten obejrzał się, zobaczył go i rzucił się do ucieczki.

- Stać!

Will wymierzył z pistoletu do uciekającej postaci, która jednak nadal biegła. Zaklął pod nosem, zatknął broń za pasek i ruszył w pogoń. Na pewno to ten zboczeniec, którego zobaczyła tamtej nocy Susan, gdy on tańczył z Molly, Will nie miał co do tego wątpliwości. Możliwe że to ten sam szaleniec, który poranił

konia. Niezależnie, kto to jest, nie ma prawa zakradać się pod okno sypialni Molly.

W swoim czasie Will był gwiazdą bieżni i nadal pozostał mistrzem w ściganiu przestępcy na własnych nogach. Błyskawicznie zaczął deptać typkowi po piętach, i tuż przy drodze dopadł

uciekiniera i rzucił się na niego.

Dopiero gdy go powalił, wgniótł mu kolano w krzyż i żelaznym chwytem ścisnął ramieniem szyję, uświadomił sobie, że złapał dzieciaka.

A dokładniej Mike'a. Ciemny kucyk i lśniący kolczyk nie pozostawiały cienia zastrzeżeń co do jego tożsamości.

- Głupi gnojku - odezwał się Will, lekko rozluźniając uścisk, ale nie puszczając chłopaka i dziękując niebiosom, że nie strzelał najpierw, a potem pytał. - Gdzieś ty podział rozum, żeby nie zatrzymać się, gdy ci każą stać? Mogłem cię zastrzelić.

- Zostaw mnie, palancie - wydyszał Mike.

- Co robisz o tej porze poza domem? Dochodzi północ.

- Nie twój interes, co tu robię. To, że pieprzysz moją siostrę, nie daje ci żadnych praw do mnie.

- Hola - powiedział Will, znowu zaciskając chwyt.

Xsiężyc myśliwego

225

- Puść mnie!

- Nie wyrażaj się tak o Molly!

- To moja siostra i będę się o niej wyrażał, jak zechcę!

Puszczaj mnie!

- Albo co, twardzielu?

Will zmienił pozycję i jedną ręką obmacał kieszenie chłopca. Były wypchane.

- Nie możesz tego robić! Zabiję cię! Klnę się na Boga, zabiję!

Mike próbował się wyrwać, podczas gdy Will zaczął opróżniać mu kieszenie. Ostatnim skarbem okazała się torebka wypełniona czymś, przypominającym tytoń. Will skrzywił się i pomachał nią chłopakowi przed nosem.

- Co to jest, bohaterze?

Mike szarpnął się z całych sił, a gdy nic nie wskórał, zasypał

mężczyznę taką litanią przekleństw, że nawet Madonnie spuchłyby uszy. Will nawet nie drgnął.

- Nie twój interes, co tam jest - wyrzucił w końcu.

- W porządku. - Will nadal kolanem przygniatał mu krzyż, a ręką przytrzymał ramię. Chwilę milczał.

- Widzę to tak - odezwał się w końcu. - Masz trzy wyjścia.

Albo od razu sprowadzę policję i przekażę im ten interesujący drobiazg. Możemy też wejść do domu; obudzimy Molly, opowiemy jej o wszystkim i niech podejmie decyzję. Albo pójdiesz teraz ze mną i spróbujesz mnie przekonać, dlaczego nie powinienem robić ani jednego, ani drugiego.

Mike przetrwał to przez chwilę. W każdym razie przestał

się szarpać.

- Iść z tobą? Gdzie? - spytał podejrzliwie.

Will omal się nie roześmiał. Zaufanie do ludzi, podobnie jak w przypadku siostry, nie stanowiło mocnej strony tego chłopca.

- Do mojego samochodu. Zaparkowałem go przy drodze.

- Co to? Jesteś zbrojcem? Jeśli myślisz, że w zamian za zachowanie milczenia obciągnę ci druta, to się grubo mylisz.

Will wzmocnił chwyt i chłopak jęknął.

- Jeszcze jedna taka uwaga, a nie pozostawię ci żadnego wyboru - oświadczył kategorycznym tonem.

- Już dobrze, pójdę do twojego samochodu! - Mike z trudem wybywał z siebie głos.

- Nie usłyszałem przeprosin.

15. Księżyc myśliwego

226 *Księżyc myśliwego*

- Przepraszam!

- Od razu lepiej.

Will wypuścił swego więźnia i wstał. Chłopak też się podniósł, z powrotem chowając skarby do kieszeni. Will zatrzymał

torebkę, którą wsunął do kieszeni.

- Dupek - mruknął Mike.

Rozdział trzydziesty trzeci

Spróbuj uciec, a wzywam gliny - ostrzegł Will, doskonale zdając sobie sprawę, że właśnie o tym myśli Mike. Jego mina tylko potwierdziła te podejrzenia. - Idziemy.

Ruszył w stronę samochodu. Zerknąwszy za siebie, upewnił się, że chłopak idzie za nim. Will wsiadł do wozu i włożył

broń do schowka. Mike zajął miejsce obok kierowcy.

- Wychodziłeś czy wracałeś? - spytał, gdy chłopak zatrzasnął drzwiczki.

W aucie panował mrok, ale mimo to Will widział minę tamtego. Brat Molly patrzył na niego z nieskrywaną antypatią.

- Wracałem.

- Gdzie byłeś?

- Czy to twój interes?

Lyman zmierzył go wzrokiem.

- Owszem, mój.

Mike się nadał.

- Spotkałem się z kumplami.

- W stajni stadniny Sweet Meadow?

- Nie jesteśmy głupi.

- Znaleźliście sobie inne miejsce?

- Taa...

- A co z tą trawką? - spytał Will.

- Czasem sobie zapalę. I co z tego?

- To, że jest to wbrew prawu i jeśli cię na tym złapią, trafisz do poprawczaka. Że nie wspomnę już, jakbyś zranił swoją rodzinę i ile by kosztowało wyciągnięcie cię z tarapatów - je

śli w ogóle by się dało.

228 Xsiężyc myśliwego

Mike wzruszył ramionami.

- Poza tym postępujesz jak bałwan, bo policja i tak już cię ma na oku. Wiedzą, że byłeś tam wtedy z innymi chłopakami, ale nie mogą tego dowieść. A taka sytuacja doprowadza ich do furii. Jeśli cię złapią z trawką, już po tobie. Poza tym chętnie wrobiliby cię w coś jeszcze, na przykład w tę sprawę z okaleczaniem koni. Tak więc pakując się dobrowolnie w kłopoty, ułatwiasz tylko im zadanie.

- Gówno prawda. Nawet nie ruszyłem tego konia.

- Tak twierdzi Molly i wierzę jej na słowo. Ale gliny nie. Podejrzewają, że zrobiłeś to ty albo któryś z twoich kumpli, więc jeśli cię złapią z towarem, będzie im łatwiej cię udupić.

- Nawet jeśli mnie złapią, to co mi zrobią? Mam czterna

ście lat.

- Jeśli przestępstwo jest poważne, mogą cię sądzić jak dorosłego. To oznacza, że do osiemnastego roku życia siedzisz w poprawczaku, a potem idziesz do normalnego więzienia. By

łeś kiedyś w poprawczaku, Mike?

- Nie - odparł Mike i dorzucił po chwili: - Molly była.

Twierdzi, że nie jest tam aż tak źle.

Will przetrwał tę informację.

- Ona chętnie udaje twardziela. W poprawczaku jest bardzo źle. Nie chciałbym, żebyś tam trafił.

- A co cię to wzrusza? Nawet mnie nie lubisz.

- Ale lubię twoją siostrę i całą waszą rodzinę. A ty przecież aż tak bardzo się nie wyrodziłeś.

Na twarzy Mike'a pojawiło się coś bliskiego uśmiechowi.

Willowi nagle przyszło coś na myśl.

- Jak w ogóle wyszedłeś z domu, nie budząc nikogo? Nie włączyliście alarmu?

- Tego, który kupiłeś? - Chłopak znowu przybrał wrogi ton.

- Włączyliśmy. Ale ja go wyłączyłem.

- Nie masz klucza w kieszeni. Jak zamierzałeś wrócić? Tylko nie mów, że nie dość, że wyłączyłeś alarm, to jeszcze zostawiłeś otwarte drzwi?

Po ostatnich wydarzeniach na myśl, że ktoś mógłby zakraść się do domu, gdy Molly śpi, włos mu się z jeżył na głowie.

- Kto dał ci prawo grzebać mi po kieszeniach? Zresztą, wyszedłem przez okno. To, które naprawiłeś. Przy okazji, zamek świetnie się spisuje.

Xsiężyc myśliwego 229

- Dziękuję - odparł sucho Will. - Wiesz, że przez to okno może wejść i wyjść ktoś inny? Nie przyszło ci to na myśl?

- Kto miałby przez nie wchodzić? - spytał pogardliwie Mike.

- Na przykład ten ktoś, kogo widziała Susan.

- Poniosła ją wyobraźnia. Zawsze była tchórzem.

- Może tak, a może nie. Ważniejsze jest to, że ilekroć wymykasz się oknem i zostawiasz je otwarte, wystawiasz całą swą rodzinę na niebezpieczeństwo.

Will postanowił na tym poprzestać. Wychował już syna i zdążył się przekonać, że drażnienie tematu w nieskończoność to niezawodny sposób, by osiągnąć skutek przeciwny do zamierzonego. A punkty zyskiwało się dzięki subtelności, nie zaś wbijając prawdy młotem do głowy.

- Chodzisz do drugiej klasy?

- Nie, do pierwszej. - W głosie Mike'a nadal brzmiała czujność, ale cieszył się ze zmiany tematu.

- Lubisz swoją klasę?

- Ujdzie.

- Grasz w coś?

- Nie.
- Dlaczego?
- Sport jest dla tępaków.
- Nie lubisz koszykówki? - Will był zdumiony. Chłopak wzruszył ramionami.
- A w ogóle grałeś w kosza?
- Jasne. Na wuefie. - Mike przybrał obronny ton.
- Szkoła ma reprezentację?
- Oczywiście. Widziałeś ogólniak, który by nie miał reprezentacji?
- Ale ty do niej nie trafiłeś.
- Nie.
- A próbowałeś?
- Po co? Tak samo prawdopodobne jest, że stado rozpędzonych bizonów zdepta mnie na podwórku.
- Czyżby? Dziwne. Jesteś wysoki, szybko biegasz, masz świetną koordynację. W czym problem?

Mike wzruszył ramionami.

- Za moich szkolnych lat dziewczyny uganiały się za sportowcami. Koszykarze, zapaśnicy, piłkarze, lekkoatleci... Dziewczyny ustawiały się do nas w kolejce.

230 K sigzyc myśliwego

- Byłeś w reprezentacji szkoły? W czym? - W głosie Mike'a zadźwięczała ciekawość.
- W lekkoatletyce. I w koszykówce. Lubiłem dziewczyny.
- Taaa. - Mike powiedział to tak ponuro, że Will upewnił się, iż trafił w samo sedno.
- Ale pewnie to się zmieniło. Teraz dziewczyny są za mądre, żeby uganiać się za chłopakiem tylko dlatego, że jest dobry w sporcie.
- Niekoniecznie.
- Naprawdę? - Will zerknął na chłopaka. - Wiem, gdzie jest boisko do koszykówki. Masz ochotę

wrzucić parę koszy?

- Nie trafiłbym nawet w stodołę.

- Popracujemy nad tym. Wszystko polega na opanowaniu techniki. Uczyłem mojego chłopaka i całkiem nieźle rzuca. Co więcej, dostał w college'u stypendium koszykarskie.

- Masz dziecko?

- Tak. Syna, Kevina. Ma osiemnaście lat. W tym roku zaczął studia w college'u Western Illinois.

- Naprawdę? - Najwyraźniej Mike'owi przyszło coś do głowy, bo się najeżył. - Więc masz i żonę. A równocześnie kręcisz z Molly?

Will się roześmiał, zadowolony, że chłopak troszczy się o siostrę.

- Nie, nie mam żony, umarła wiele lat temu.

- Rany. Ale musisz być stary.

Znowu parsknął śmiechem, chociaż to już mniej go rozbawiło.

- Nie jestem aż taki stary. Mogę cię wykiwać pod koszem i wrzucić tyle piłek, ile zechcę.

- Uważaj, bo uwierzę - odrzekł Mike, ale się uśmiechnął.

- Tak myślisz? - Will popatrzył na niego. - Zawrzemy umowę. Obiecasz, że wieczorami będziesz siedział w domu i będziesz się trzymał z dala od trawki, a ja nauczę cię grać w kosza. Co ty na to?

- Naprawdę? - Mike nadal był czujny. I znowu przypomniał

Willowi Molly.

- Naprawdę. Możemy zacząć od jutra. Wpadnę... koło szóstej.

- Zwykle wychodzisz gdzieś z Molly.

Will wzruszył ramionami.

- Molly się na mnie obraziła, a ja chętnie bym ci pokazał

parę niezłych zagrywek. Mam wrażenie, że będzie z ciebie pojętny uczeń.

Księżyc myśliwego 231

- Nie zalewasz? - Tym razem w głosie chłopca obok czujności pojawiło się też zadowolenie.

- Nie zalewani - zapewnił go Will. I dodał: - Tego... Mike?

Mógłbyś coś dla mnie zrobić?

-Co?

Jego głos natychmiast stał się ostry. Will zastanawiał się, czego chłopak się spodziewał. Uśmiechnął się, przypominając sobie oskarżenie o pedofilię.

- Nic strasznego - uspokoił. - Powiedz mi, jaka była Molly, gdy dorastała. Jak wam się żyło...

- Aha. - Mike zerknął na niego z ukosa. - Chciałbyś się więcej dowiedzieć o samobójstwie mamy.

- Tak - przyznał Will. - O tym wszystkim, co jest drażliwym tematem dla twojej siostry. Molly unika rozmów o rodzinie.

O waszych rodzicach.

- Zawsze powtarza, że nie wolno oglądać się wstecz. Musimy patrzeć przed siebie. - Chłopak rzucił mu kolejne spojrzenie z ukosa. - I rzeczywiście, ona nie chce o tym wszystkim pamiętać. Bo też trudno nazwać jej życie cudownym.

- Tyle sam się domyśliłem. Wiem, że wasza matka popełni

ła samobójstwo. A co się stało z ojcem?

- Mój stary odsiadyuje wyrok. Za napad z bronią w rękę. - Mike oznajmił to niemal z dumą. - A Molly nie ma pojęcia, gdzie jest jej ojciec. Ulotnił się, gdy była mała i nie dał znaku życia.

- Macie różnych ojców?

- Wszyscy. Oczywiście, z wyjątkiem bliźniąt.

- Twoja matka musiała wychodzić za mąż parę ładnych razy.

Mike pokręcił głową.

- Wzięła ślub tylko z ojcem Molly i chyba z ojcem Ashley.

Potem już nie zawracała sobie głowy.

- Była dobrą rnatką? - Will bardzo się starał mówić neutralnym tonem.

- Czasami. Czasem była najcudowniejszą matką pod słońcem.

Chłopcu zadrżał głos; głęboko zaczerpnął powietrza. Will uświadomił sobie, że podobnie jak Molly, Mike dotąd nie pogodził się ze śmiercią matki. Po chwili opowiadał dalej:

- A czasem nie. Bywało, że spiknęła się z jakimś facetem i nas zostawiała. Albo próbowała odebrać sobie życie i zamykali ją w szpitalu. W domu ciągle zjawiali się ludzie z opieki 232 *Księżyc*

myśliwego

społecznej i umieszczali nas w rodzinach zastępczych. Ja zaliczyłem ich siedem.

- A Molly?

- Molly też oddawali, ale uciekała. W końcu trafiła do ośrodka dla dziewcząt. To jej bardziej odpowiadało, lecz przy

łapali ją na kradzieży w sklepie i zamknęli w poprawczaku.

- Długo tam przebywała? - spytał cicho Will.

W tej krótkiej, bolesnej opowieści krył się klucz do tajemnicy tej dziewczyny. Jej dumy, pozornej twardości, niedopuszczania nikogo zbyt blisko. Tego mechanizmu obronnego nauczyła się w twardej szkole życia; Will nie był pewien, czy sam by to wytrzymał.

- Ze dwa lata. Wypuścili ją, gdy skończyła osiemnaście lat.

Wtedy zamieszkała z mamą. W poprawczaku nauczyli ją zajmować się końmi, więc po wyjściu stamtąd znalazła pracę u Wylandów. Dlatego mama przyjęła Molly z otwartymi ramionami.

Tego cynicznego stwierdzenia nie zabarwiała gorycz.

- Czy któreś z was mieszkało wtedy z matką?

Mike pokręcił głową.

- Kiedy Molly się dowiedziała, że pracując w stadninie, mo

że taniej wynając ten dom, mama pozabierała nas z rodzin zastępczych. Obie się nami zajmowały. Molly pracowała, a nawet jeśli mama odleciała albo się ulotniła, nic się nie działo, bo by

ła z nami Molly. Wydawało się, że całkiem dobrze nam się żyje, aż tu nagle mama się zabiła. Molly wytłumaczyła nam, że mama była chora. Tak jakby miała raka, ale w głowie. Nie chcia

ła tego zrobić, ale to po prostu było silniejsze od niej.

Ostatnie słowa wypowiedział bardzo cicho. Will w pierwszym odruchu chciał położyć chłopcu rękę na ramieniu, lecz zapanował nad sobą. Przypuszczał, że Mike nie byłby tym zachwycony. Za bardzo przypominał siostrę.

- Po śmierci mamy nie musieliście wracać do rodzin zastępczych? - spytał po chwili.

Mike pokręcił głową.

- Molly chyba nie zawiadomiła opieki społecznej o śmierci mamy. Po prostu dalej się nami

zajmowała, Ashley była już na tyle duża, by jej pomóc i zostaliśmy razem.

Will przetrwał to w milczeniu. Po chwili postanowił zmienić temat na lżejszy.

- Czy Molly zawsze miała wielu chłopaków?

Xsiężyc myśliwego

233

Chłopiec spojrzał w jego stronę.

- Zalazła ci za skórę, co?

Will wzruszył ramionami.

- Niech ci będzie, tak. Ale nie mów jej o tym, zgoda?

- Zgoda. - Wyraźnie ucieszył go ten ton „między nami mężczyznami”.

- Więc? - nalegał Will.

- Ach, faceci. - Mike zamyślił się na moment. - Pętali się za nią, odkąd pamiętam. Jest całkiem ładna, wiesz?

- Wiem - odparł sucho.

- Will... - Mike odwrócił się twarzą do niego.

Lyman zdał sobie sprawę z tego, że brat Molly po raz pierwszy nazwał go po imieniu. I z poważnego tonu Mike'a wywnioskował, że ten chce mu powiedzieć coś, co dla niego bardzo się liczy.

- Tak? - zachęcił chłopaka, okazując mu całą uwagę.

- Molly to naprawdę dobra dziewczyna. Łazi za nią wiele typków, ale ona nie jest... nie jest...

Will domyślał się, co tamten chciał powiedzieć.

- Łatwa? Wiem.

- Chciałem, żebyś o tym pamiętał.

- Dziękuję. I dziękuję, że opowiedziałeś mi o tamtych sprawach. - Will zerknął na zegar na desce rozdzielczej. - Minęła już pierwsza. Nie masz aby jutro szkoły?

- Mam - odrzekł chłopiec bez entuzjazmu.

- To lepiej kładź się spać. Odprowadzę cię do domu. Wejdz

przez okno, zamknij je i nigdzie już się nie ruszaj, słyszysz?

- Słyszę - powiedział Mike.

Rozdział trzydziesty czwarty

17 października 1995

Następnego wieczoru Will zjawił się, jak gdyby nigdy nic, w porze kolacji. Mieli za sobą kolejny ciepły, jesienny dzień, pe

łen słońca i delikatnego wiatru. Nawet o zmierzchu było jeszcze ciepło. Z dębu na podwórku spadły prawie wszystkie liście i teraz szeleściły pod nogami przy każdym kroku. Zajęta szykowaniem wieczornego posiłku, Molly zerknęła przez otwarte drzwi, gdy Żeberko zaczął ujadać. Przez siatkę zobaczyła samochód Willa, a po chwili i jego samego, idącego po czerwono-złotym kobiercu z liści. Miał na sobie szary dres, pod pachą ścisnął

pułdo owinięte w kolorowy papier.

Molly zareagowała mieszaniną uczuć; na sam jego widok serce ją zabolalo niczym chory ząb; tupet, z jakim się tu zjawił, jakby sądził, że zawsze zostanie przyjęty z otwartymi ramionami, wzbudził w niej gniew; a mimo postanowienia, że na gruncie osobistym nie będzie miała już z Willem nic wspólnego, na widok upominku ogarnęła ją, jakże ludzka, satysfakcja.

Prezent niczego nie zmieni, ale była to typowo męska propozycja zawieszenia broni.

Wszyscy faceci są tacy sami: uganiają się za tym, co nieosiągalne.

Molly miała za sobą ciężki dzień. Ponieważ nie musiała pracować, gdyż wypadał wtorek i tory były nieczynne, zrobiła milion innych rzeczy, trwając w mocnym postanowieniu, że nie będzie myśleć o Willu ani o niczym innym. Wysprzątała dom, poszła do pralni i pojechała do Lexington, żeby wyszukać w sklepach z używanymi rzeczami jakąś sukienkę dla Ashley, gdyż do balu pozostało zaledwie parę dni. Gdyby znalazła coś *Xsieżyc myśliwego* 235

godnego uwagi, zamierzała przyjechać później z siostrą, tymczasem jednak zakochała się w długiej, wąskiej, lekko rozszerzanej sukience w kolorze kości słoniowej na cieniutkich ramionach. Kupiła ją za śmieszne pieniądze, a przy tym umówiła się, że będzie mogła ją zwrócić, gdyby nie spodobała się Ashley. Siostra już ją przymierzyła i oświadczyła, że jest zachwycona, choć Molly miała pewne wątpliwości. Jej zdaniem sukienka była za dorosła dla nastolatki. Jeśli jednak nie znajdą do piątku czegoś lepszego, będzie trzeba się nią zadowolić.

A może namówić siostrę, by zakryła nieprzyzwoitą nagość swetrem?

Ashley stała teraz przy kuchni, nucąc radośnie przy tłuczeniu ziemniaków. Molly wrzucała widelcem porcje kurczaka na rozgrzany tłuszcz, równocześnie pilnując groszku, który pyrkotał w rondlu. Sam i Susan kończyli przy stole pracę domową, polegającą na ulepieniu z gliny całej osady Komanczów. Mike siedział w pokoju dziennym, pozorując pracę nad referatem.

- To Will! - wykrzyknęła z podnieceniem Susan, kiedy przybysz zastukał do pierwszych drzwi. Pobiegnęła go przywitać, a na widok paczki szeroko otworzyła oczy. - To dla Molly? -

spytała z nabożeństwem, gdy gość wszedł do kuchni.

Odwrócona plecami Molly szykowała się, by potraktować prezent i jego ofiarodawcę pogardliwie.

- Pudło - odparł pogodnie Will, nie zwracając uwagi na lodowate milczenie pani domu i tylko przelotnie zerkając na jej flanelową koszulę, spodnie od dresu oraz białe stopy. - To dla Ashley.

- Dla mnie?

Dziewczyna spojrzała zaskoczona, gdy podał jej pięknie opakowany podarunek. Will z uśmiechem skinął głową. Ashley rzuciła tłuczek na kuchenkę i wzięła do ręki prezent. Przez chwilę wpatrywała się w pudło, a potem spojrzała na Willa.

- Otwórz - zachęcił.

- Otwórz, otwórz! - zawołały bliźnięta.

Sam porzucił indiańską osadę i wraz z Susan kręcił się przy Ashley. Mike, którego zainteresował hałas, stanął w progu i także patrzył.

Starając się zapanować nad zazdrością, Molly przerzucała mięso z patelni na półmisek i kątem oka obserwowała rozwój wydarzeń.

236 Xsigzyc myśliwego

Ashley wolno rozpakowywała podarunek - ku niezadowoleniu bliźnięt, któremu głośno dawały wyraz - starannie składając papier i wstążkę, by kiedyś jeszcze je wykorzystać. W końcu zobaczyli lśniące, białe opakowanie z wypisaną złotymi literami nazwą drogiego sklepu odzieżowego. Kiedy Ashley niepewnie podniosła wieko, ukazały się warstwy białej bibułki.

- Co to może... - szepnęła Ashley, kładąc pudło na stole i zanurzając palce w bibułce; niecierpliwość brała górę nad nieśmiałością. - Wielkie nieba!

Głośno wciągając powietrze, wyjęła z warstw papieru sukienkę. A dokładniej suknię balową w delikatnym odcieniu różu, ze skromnym dekoltem, na środku ozdobionym jedwabną różą. Suknię dopasowaną w talii i suto przymarszczoną, kaskadami spadającą do ziemi.

- Wielkie nieba! - powtórzyła Ashley, nie odrywając wzroku od sukni, którą odsunęła od siebie na długość ramienia.

- Ashley, jaka piękna! - szepnęła Susan.

- To sukienka - oznajmił Mike'owi Sam, nie kryjąc rozczarowania. Mike skrzywił się współczująco.

- Spójrz, Molly!

Ashley odwróciła się do siostry, by jej pokazać prezent.

- Cudowna - odparła Molly.

Nie chciała psuć Ashley radości, tylko dlatego że postanowiła nie mieć więcej nic wspólnego z Willem. Siostra z całą pewnością będzie niebiańsko wyglądać w tej sukience, która *notabene* musiała kosztować majątek. Znacznie więcej, niż mogłyby wydać.

- Po prostu fantastyczna.

- Przecież mam już tę kremową sukienkę.

Zawsze skrupulatna Ashley przypominała sobie o kreacji, wygrzebanej przez siostrę i na jej twarzy zagościł niepokój.

Molly pokręciła głową.

- Ta idealnie się nadaje. A tamtą mogę zwrócić.

- Jest prześliczna.

Na wargach dziewczyny drżał uśmiech. Jej oczy lśniły, gdy znowu popatrzyła na sukienkę. Widząc ten nieskrywany zachwyty Ashley, Molly poczuła przypływ wdzięczności do Willa i natychmiast go stłumiła. Tak, był dobry. I silny, i przystojny, i seksowny - jeśli już ma być szczerą, ale wyjedzie. A gdy to *XSiężyc myśliwego*

237

się stanie, Molly zupełnie nic już nie będzie do niego czuła.

Takie podjęła postanowienie.

- Dziękuję, Will - odezwała się cicho Ashley, odwracając się ku niemu.

Stał, uśmiechając się przyjaźnie. Ashley przeszła przez kuchnię, położyła mu rękę na ramieniu, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Drobiazg - odparł, gdy się cofnęła. - Pomyślałem, że chociaż w ten sposób przeproszę, że tyle razy deptałem ci po palcach.

- Ty deptałeś mi po palcach...!

Ashley wybuchnęła radosnym śmiechem i pokręciła głową.

Przez ułamek sekundy Molly widziała tę cudowną kobietę, jaką wkrótce stanie się jej siostra.

- Przymierz - nalegała Susan.

Obdarowana nie potrzebowała dalszej zachęty. Wzięła sukienkę i pobiegła do łazienki.

- Pewnie zostaniesz na kolacji - zauważyła kąśliwie Molly na stronie, ratując ziemniaki, które zostawiła Ashley. Zaczęła je tłuc z większą gwałtownością, niż było trzeba.

- Nie dziś. - Zerknął w stronę Mike'a, który stał oparty o futrynę drzwi i powiedział głośniejszym głosem: - Idziemy z Mikiem rzucić parę razy do kosza. Pomyślałem, że potem wyskoczmy coś zjeść.

- Naprawdę?

Zdumiona Molly wodziła wzrokiem od Willa do brata, który oderwał się od futryny z entuzjazmem, jakiego u niego nie widziała od miesiąca.

- Tak - odparł chłopak z udaną nonszalancją, po czym zwrócił się do Willa. - Gotowy?

- Tylko niech jeszcze pozachwykam się twoją siostrą - powiedział Will.

Z łazienki wynurzyła się Ashley, pytając nieśmiało:

-1 jak wyglądam?

Pięknie, pomyślała Molly, gdy nieśmiało okręciła się przed nimi. W tym odcieniu różu jej cera wydawała się nie tyle blada, ile mleczna, a dekolt był skromny i zarazem podkreślał ramiona. Właśnie taką sukienkę powinna włożyć dziewczyna na swój pierwszy bal; Molly poczuła nagłą radość i dumę, że Ashley ma ten strój, nawet jeśli ofiarodawcą był Will.

238 Xsieżyc myśliwego

- Wyglądasz fantastycznie - powiedziała do siostry i wszyscy - nawet Mike z Samem - powtórzyli to zapewnienie.

Zaróżowiona od pochwał Ashley z uszczęśliwioną miną poszła się przebrać.

- Gotowy? - zwrócił się Will do Mike'a, gdy dziewczyna ponownie zniknęła w łazience.

Chłopak przytaknął i ruszył do drzwi.

- Wróci o przyzwoitej porze! - zawołał Will przez ramię, idąc za Mikiem. - Na razie!

Molly gapiała się za nimi, ciągle jeszcze trzymając w ręku tłuczek do ziemniaków.

- Dasz wiarę? - zwróciła się do siostry, która w dzinsach wynurzyła się z łazienki i teraz z nabożeństwem wkładała sukienkę między białe bibułki.

- Czemu? - spytała rozmarzona.

Patrząc na twarz Ashley, Molly nie miała cienia wątpliwo

ści, iż siostra była tak zachwycona Willem oraz sukienką, że nie dostrzegłaby nic dziwnego w tym, iż Mike tak chętnie poszedł z ich gościem, więc powstrzymała się od komentarzy. Ale podczas kolacji siedziała ze zmarszczonymi brwiami, a do końca wieczoru chodziła zła.

Rozdział trzydziesty piąty

18 października 1995

Następnego dnia przed świtem Will siedział w furgonetce przed monitorem i nachmurzony patrzył, jak Molly sprząta boks. Stała tyłem do kamery - jak zresztą przez cały czas, odkąd zaczął ją oglądać. Całą noc przeglądał dokumenty Dona Simpsona. Pod powiekami czuł piasek, gdy śledził ruchy dziewczyny. W tym momencie miał kamery we wszystkich stajniach Keeneland, kopie wszystkich dokumentów z biur czterech podejrzanych, informacje o ich rachunkach bankowych i przebiegu pracy zawodowej oraz kartoteki policyjne i osiągnięcia niemal wszystkich wierzchowców w Keeneland. Wszystko to razem sprowadzało się do jednego - niczego. Marzył, by znaleźć przynajmniej jednego podstawionego konia. Najbardziej dręczył go fakt, że angloaraby podejrzewanych trenerów nadal wygrywały

- choć nie były faworytami. Ale ich zwycięstwa były uczciwe -

przynajmniej z tego, co wiedział Will. Zostały dwa wytłumaczenia: albo nie podmieniano wierzchowców, co oznaczałoby, że od początku schrzanił sprawę, a Lawrence ich okłamał - albo też coś przegapili. Choć Will niechętnie się przed sobą do tego przyznawał, dręczyła go świadomość, że najprawdopodobniej to drugie wyjaśnienie jest właściwe. Coś przegapili. Ale co?

Choć myśl, że oto pod jego nosem ktoś dopuszcza się oszustwa, którego mechanizmu on nie potrafi rozgryźć, była niczym sól na otwartą ranę, Will obawiał się, że właśnie tak wygląda prawda.

Kolejny sygnał stanowiło „samobójstwo” Lawrence'a. Wypadło w zbyt poręcznym momencie. Will gotów się był założyć, że coś tu nie gra.

240

Xsieżyc myśliwego

List szantażysty, z którym wiązał tyle nadziei, też w niczym nie pomógł; jedyne odciski palców należały do samego Lawrence'a. Jeśli w ogóle był to list szantażysty. W tym momencie Will niczego już nie wiedział na pewno.

W tej konkretnej sprawie najwyraźniej zawodził go instynkt, na którym do tej pory zawsze mógł polegać. Will potrafił nawet wskazać przyczynę swego niepowodzenia: nie mógł się skupić. A odpowiedź na pytanie: dlaczego?, właśnie wypełniała ekran monitora: Molly. Choć brzmiało to sentymentalnie, dziewczyna oczarowała go, opętała i omotała.

W dodatku aż palił się do niej, choć to już wątek z innej bajki.

Związek z Molly przeszkadzał Willowi w pracy.

Otworzyły się drzwi furgonetki i ujrzał Murphy'ego, który dobre pół godziny przed czasem zjawił się w kombinezonie pracownika firmy, zajmującej się trawnikami. Przybyły także wyglądał na zaskoczonego widokiem partnera. Umówili się, że w związku z tym, że Will udaje chłopaka Molly, będzie się trzymał jak najdalej od ich samochodu.

Jedno spojrzenie na ekran wystarczyło Murphy'emu za odpowiedź na niepostawione pytanie o obecność kumpla. Will zaczerwienił się i musiał zwalczyć pokusę wyłączenia monitora.

- W stajni numer piętnaście nic się nie dzieje - odezwał

się, nonszalancko odwracając się od ekranu.

Murphy jednak nie dał się nabrać. Usiadł na kanapce i z papierowej torebki wyjął pączka w polewie czekoladowej.

- Co dziś słyhać u ślicznotki z hrabstwa Woodford? - spytał, unosząc brwi i popatrując na Molly, po czym wyciągnął

otwartą torebkę do kolegi.

Ślicznotka z hrabstwa Woodford, to do niej pasowało. Will wzruszył ramionami i machnięciem podziękował za pączka.

- Jeśli mi wiadomo, wszystko dobrze.

Murphy wbił zęby w czekoladę i ponownie zerknął na monitor.

- Coś mi na to nie wygląda.

- Jak to? - Will okręcił się w fotelu, żeby popatrzeć.

- Płacze.

Molly na klęczkach rozkładała świeżą słomę na posadzce boksu. Była zwrócona twarzą do ekranu i zobaczyli wyraźnie łzy, spływające jej po policzkach. Przez moment Will wpatrywał się w ekran jak sparaliżowany.

Księżyc myśliwego 241

- Cholera - powiedział i wstał.

Ten drań, Murphy, z szerokim uśmiechem patrzył, jak wychodził z samochodu.

Choć na zewnątrz robiło się coraz jaśniej, w stajni paliło się światło. Wchodząc, Will skinął głową spacerującemu strażnikowi, mężczyzna obojętnie odpowiedział mu tym samym.

W boksie przy wejściu niski, żyłasty mężczyzna trzymał za uździenicę wyraźne wzburzonego konia i przemawiał do niego po hiszpańsku. Masztalerz obejrzał się za Willem, ale nic nie powiedział. Koń wierzgnął. Potem Will minął puste stanowiska, w końcu przeszedł obok kucyka - którego imienia nie pamiętał; zwierzę zastrzygło nań uszami. Dalej inny koń wysunął

łeb z boksu i odprowadził przybyłego wzrokiem z niemal ludzką ciekawością.

Molly pracowała w przegrodzie w głębi stajni. Will oparł się o dolną, zamkniętą połowę drzwi, obserwując dziewczynę. Nadal klęczała tyłem do niego, pracowicie rozkładając słomę.

Rozsypane na ramionach włosy lśniły w blasku lampy. Will uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nie widział, by chodziła w pracy z rozpuszczonymi włosami. Potem domyślił się, że w ten sposób chciała zasłonić ślad na szyi. Ostatni raz zrobił

dziewczynie malinkę w szkole średniej. Na wspomnienie okoliczności, w jakich zrobił tę, poczuł ukłucie pożądania, które natychmiast rozdrażniło wrzody. Przyglądając się odwróconej dziewczynie, Will skrzywił się, w duchu kiwając głową nad sobą. Ubrana w stare dżinsy i adidasów oraz rozpiętą flanelową koszulę, zarzuconą na golf, Molly nadal wyglądała tak ślicznie, że czuł ściskanie w żołądku.

Kiedy tak patrzył, podniosła rękę do oczu. Usłyszał ciche chlipnięcie.

- Co się stało, Molly? - odezwał się miękko.

Poderwała się jak dźgnięta ostrogą i gwałtownie obróciła się do niego, rękami trąc sobie policzki.

- Co tu robisz? - przywitała go niemal wrogo, ale kolejne chlipnięcie zepsuło cały efekt.

- Właśnie byłem w pobliżu - powiedział kpiącym tonem, otwierając drzwi i wchodząc do boksu. - Powiesz mi, co się sta

ło, czy mam zgadywać? Chodzi o Mike'a? - zapytał ostrzej.

Stał teraz przed nią. Gdy Molly popatrzyła na niego, dostrzegł, że mimo wysiłków w jej dużych oczach nadal błyszcza-242 Xsigzyc myśliwego

ły łzy. Zastanawiał się, czy płakała od dawna. Jak na jego oko, to tak.

- Idź sobie.

Łza spłynęła jej po policzku; Molly wytarła ją ze stłumionym przekleństwem, po czym zmierzyła Willa wzrokiem.

- Czy coś się stało dzieciom?

Sam czuł się zaskoczony tym, że aż tak się zaniepokoił. Podobnie jak najstarsza siostra rodzeństwo Ballardów niepostrzeżenie znalazło drogę do jego serca.

- Nie - odparła krótko Molly. Odwróciła się od niego, wzię

ła widły i zaczęła rozrzucać słomę. - Idź sobie. Nie chcę cię widzieć, poza tym jeśli pan Simpson cię tu zastanie, będę miała kłopoty. Nie wolno nam przyjmować gości w godzinach pracy.

- Nie ruszę się, dopóki mi nie wyjaśnisz, co się stało. Bo jakoś mi nie wyglądasz na dziewczynę, która zalewa się łzami, gdy dopadł ją wyjątkowy wredny atak napięcia przedmiesiączkowego.

Will miał do czynienia z wystarczająco wieloma kobietami, by wiedzieć, że wzmianka o napięciu przedmiesiączkowym działa na nie jak czerwona płachta na byka. Teraz stary chwyt także poskutkował. Molly odwróciła się doń z błyszczącymi oczami, zaciśniętymi zębami i widłami w rękach.

- Spadaj - rzuciła tonem, niepozostawiającym wątpliwości co do jej intencji.

- Nie odejdę, póki mi nie powiesz, dlaczego płaczesz.

Will nie ruszył się z miejsca, ale podejrzliwie przyglądał się widłom.

- Skoro już musisz wiedzieć, to z powodu Sheili - wyjaśni-

ła po chwili.

Już słyszał to imię, ale z niczym mu się nie kojarzyło. Wyciągnął rękę, chwycił widły i wyrwawszy je dziewczynie z rąk, odstawił pod ścianę.

- Z powodu Sheili? - spytał, odwracając się do Molly.

- Tej klaczy - wykrztusiła z siebie Molly.

- Klaczy? - powtórzył tępo Will, nadal nie widząc związku.

- Klaczy. Którą ktoś okaleczył na pastwisku. Przypominasz sobie?

Molly wyrzucała z siebie te słowa, jakby mówiła mu, że go nienawidzi. Widząc jej zaciśnięte pięści i oczy płonące z gniewu, Will dałby się nabrać i uwierzyłby, że rzeczywiście jest *Księżyc myśliwego*
243

wściekła, a nie wije się z bólu, gdyby nie kolejna wielka łza, która potoczyła się po jej policzku.

Spojrzał na nią i zaklął pod nosem, złapał ją za nadgarstki i chwycił w ramiona. Molly się broniła. Cała sztywna, wbiła mu dłonie w pierś i próbowała go odepchnąć.

- Co z Sheilą? - spytał miękko.

Patrzył na nią łagodnie. Obejmował ją w talii, nie zamierzając wypuścić z uścisku.

Dolna warga dziewczyny zadrżała. Nagle cała jej wola walki gdzieś się ulotniła. Spuściła wzrok i oparła głowę na jego torsie.

- Dziś rano ją uśpili - wyznała stłumionym głosem drogiemu, jedwabnemu krawatowi Willa.

Ramiona jej drżały. Uświadomił sobie, że dziewczyna płacze i że jej słowa oznaczają, iż klacz nie żyje. Mocniej otoczył

ramionami szczupłą talię Molly, pochylił głowę i przycisnął

usta do włosów. Szepcząc urywane słowa pociechy, kołysał ją, całował czubek ucha, skroń. Wtuliła się w niego mocniej, niczym dziecko szukające ciepła. Wsunęła mu rękę pod marynarkę i zaplotła wokół pasa.

Dopiero kiedy Molly podniosła oczy, a Will pochylił się, by ją pocałować, uświadomił sobie, że pewien typek przy monitorze ma teraz świetną zabawę. Przesunął rękę za plecy i pogroził Murphy'emu. Potem dotknął ust Molly i natychmiast zapomniał o koledze.

Przerwały im czyjeś zbliżające się głosy, Will podniósł wzrok.

Molly wyrwała się z jego objęć, odepchnęła go, pospiesznie doprowadziła do porządku włosy i ubranie, ręką koszuli wytarła twarz. Will poprawił krawat, zapiął marynarkę i pytająco spojrzał na dziewczynę. Nawet na niego nie zerknęła, podbiegła do drzwi boksu i wyszła na szeroki korytarz, zamykając za sobą wrota.

- Hej-ho, Molly!

Radosne powitanie nie pozostawiało cienia wątpliwości co do tożsamości przynajmniej jednego z przybyłych: Thornton Wyland. Will ruszył za dziewczyną, chcąc ujawnić swą obecność w stajni, ale się zawahał. Mówiła, że wizyty w godzinach pracy nie są mile widziane. Uświadomił sobie, że gdyby wyma-szerował z tego samego boksu, z którego dopiero co wyszła, rzeczywiście mógłby przysporzyć jej kłopotów. Schował rękę do 244 K *siężyc myśliwego* kieszeni i zosta! na miejscu. Czuł się jak dureń, ukrywając się w cieniu.

- Cześć... Molly.

Głos, który przywitał dziewczynę z lekkim wahaniem, jakby nie był pewien jej imienia, należał do kobiety. Wyglądając przez szparę w drewnianej przegrodzie i czując się jak dziesięcioletni szkrab, Will rozpoznał Helen Trapp.

- Szukamy Dona - ciągnęła Helen. Will uświadomił sobie, że chodzi o trenera. - Wiesz, gdzie jest?

- Pewnie na torze - odparła Molly. - Chciał sprawdzić postępy Tabasca. Pan Simpson *wiąże* duże nadzieje z jego występem w sobotnim Biegu Kentucky.

- Właśnie, skoro o tym mowa - zwrócił się do Molly Thornton - po wyścigu urządzamy przyjęcie. Wyłącznie dla śmietanki towarzyskiej. Bal z tańcami, stroje wieczorowe. Mogę po ciebie wpaść o

siódmej.

Helen Trapp wyglądała na zaskoczoną i niezbyt zadowoloną z tak nieoczekiwanego zaproszenia. Will również był niezadowolony, ale przypuszczał, że nie ma co liczyć, by Wyland -

i wszyscy pozostali mężczyźni - po prostu się poddali i zostawili Molly w spokoju. Czekał, aż dziewczyna, w mniej lub bardziej uprzejmy sposób, powie temu padalcowi, żeby spadał.

- Nieźle się to zapowiada - odpowiedziała tymczasem Molly, posyłając Thorntonowi uśmiech, który fatalnie wpłynął na ciśnienie Willa. - Bardzo chętnie przyjdę.

Willowi opadła szczeka. Nie wierzył własnym uszom. Przecież Molly uważała tego faceta za oportunistę i gnidę. Ale niemal w tej samej chwili, gdy owa myśl przebiegła mu przez głowę, zrozumiał, czemu dziewczyna przyjęła zaproszenie Thorntona, choć przedtem tyle razy mu odmawiała: bo zdawała sobie sprawę, że Will to słyszy.

Postanowiła pójść na przyjęcie tylko po to, żeby go zirytować.

Will zacisnął ręce, aż mięśnie mu się napięły. W żołądku mu kipiało. Uświadomił sobie, że zupełnie nic nie może zrobić.

Mógł jedynie udawać, iż to wszystko go nie obchodzi.

- To znaczy, że się zgadzasz?

Młody Wyland sprawiał wrażenie równie zaskoczonego jak Will. Kiedy skinęła głową, uśmiechnął się niczym ktoś, kto właśnie wygrał los na loterii - i w pewnym sensie tak było, pomy

ślał Will.

Xsieżyc myśliwego 245

- Będziemy się świetnie bawić. Obiecuję.

- Nie mogę się doczekać.

Molly przyłączyła się do Thorntona i jego ciotki, rozmawiając z nimi zupełnie bez troski. Gdyby Will na własne oczy nie widział, nigdy by się domyślił, że zaledwie parę minut wcześniej płakała w jego ramionach i całowała go, jakby to coś dla niej znaczyło.

Patrząc za oddalającą się trójką, która właśnie wychodziła ze stajni, Will nie wiedział, czy kłąć, czy też kopnąć w ścianę.

Zrobił i jedno, i drugie, lecz wcale nie zrobiło mu się lepiej.

Jedynie - z odrazą to sobie uświadomił - jeszcze bardziej ubawiło Murphy'ego, siedzącego przy monitorze.

21 października 1995

Wieczór jeszcze nie zaczął się na dobre, gdy Molly zdała sobie sprawę z tego, że popełniła fatalny błąd. Przede wszystkim jeśli chodzi o Thorntona. Przy każdej okazji obmacywał ją, gdzie się dało. Podczas jazdy czerwoną corvetta do rezydencji Wylandów trzymał dłoń na kolanie dziewczyny. Przy stole tyle razy zarzucał rękę na jej ramię, że miała ochotę go spytać, czy nie myślał o karierze złodzieja srebrnych lisów; teraz tańczyli i wtulił twarz w szyję Molly, podczas gdy jego palce coraz niebezpieczniej zbliżały się do jej pośladków.

Najwyraźniej uznał, że przyjmując zaproszenie, zgodziła się też wreszcie pójść z nim do łóżka. Najgorsze było to, że Molly zdawała sobie sprawę, iż tak będzie myślał, przewidując, jakiego finału wieczoru się spodziewał. A mimo to przyjęła zaproszenie. Bo Will ją pocałował, a ona go kochała i choćby ze wszystkich sił starała się tego wyprzeć sama przed sobą, uczucie nie mijało.

Wmawiała sobie, że w końcu każdy mężczyzna jest dobry, a Thornton, przystojniejszy, młodszy i bogatszy od Willa skutecznie wyrzuci miłość z jej myśli.

Problem polegał jednak na tym, że Thornton pod względem dobroci i zachowania nie umywał się do Willa. Nie był też ani tak stały, pewny i godny zaufania jak Will. Nie czuła się też przy nim bezpieczna.

I mimo swej urody i bogactwa zupełnie jej nie podniecał.

Przy Thorntonie nie przeszywał jej dreszcz. Kiedy trzymał ją w ramionach, miała najwyżej ochotę kopnąć go w goleń.

Księżyc myśliwego

247

Poszczególne przyjaciółki Thorntona nie spuszczały z nich wzroku, a najgorsza była Allison Weintraub. Molly z widzenia знаła tę smukłą blondynkę, w której niebieskich oczach płoną

ła zazdrość, ale dopiero dziś je sobie przedstawiło. Ze wzmianki innej dziewczyny, Molly zorientowała się, że Allison towarzyszyła Thorntonowi tego dnia, gdy Will całował ją w rękę. Plotka głosiła, że zamierzała zostać panią Thorntonową Wyland.

W każdym razie Allie, jak nazywał ją Thornton, najwyraźniej uważała młodego człowieka za swoją własność. I równie wyraźnie nie znosiła Molly, wręcz jej nienawidziła. Dziewczyna nie wątpiła, że gdyby Allison miała nóż, wbiłaby go jej w plecy.

Przyjaciele Thorntona, z których Molly znała zaledwie paru, gdyż obracali się w zupełnie innych kręgach, również obserwowali jego partnerkę, ale już bez niechęci. Nie mogli się doczekać, by ich jej przedstawiło.

Wyrzucali kumplowi, że ukrywał taki skarb przed nimi i próbowali odbijać ją w tańcu. Thornton wesoło, ale zdecydowanie niweczył wszelkie próby tamtych. Ku rozdrażnieniu Molly nazwał ją „swoją prywatną własnością”.

- Jaki miły ten materiał. Co to, satyna? - szepnął jej do ucha, zapewne w ten sposób usiłując znaleźć wytłumaczenie dla swych dłoni błędzących po jej sukni.

- Jedwab - odrzekła uprzejmie Molly. Wiedziała, że doskonale wygląda w sukience koloru kości słoniowej, którą kupiła dla Ashley, choć równie dobrze zdawała sobie sprawę, że nawet nie umywa się ona do strojów pozostałych kobiet. - A je

śli nie zaczniesz trzymać rąk przy sobie, kopnę cię w bolesne miejsce tu, na środku sali.

Thornton roześmiał się, mocniej przyciągnął ją do siebie i zawirował z nią w tańcu. W klasycznym smokingu prezentował się bardzo elegancko i Molly wiedziała, że powinna być oczarowana. Ale nie była, a gdy pocałował ją w szyję, z trudem się powstrzymała od spełnienia groźby.

Jedynie, co ją od tego odwodziło, to niechęć do urządzania scen w obecności tak wielu gości. W sali balowej rezydencji Wylandów zgromadziło się co najmniej dwieście osób, a trzeba jeszcze dodać tych, którzy krążyli po przyległych salonach.

A choć Molly zabraniała sobie czuć się gorsza, cały czas towarzyszyła jej świadomość, że wszyscy tu zgromadzeni stoją o parę klas wyżej od niej.

248

Księżyc myśliwego

Z drugiego końca sali Helen Trapp, wspaniale się prezentująca w połyskliwej, złotej sukni, która musiała kosztować majątek, z niepokojem obserwowała tę dziwną parę, rozmawiając z Tylerem. Słowa brata najwyraźniej musiały ją uspokoić, gdyż *po* chwili jej twarz się *wypogodziła*, i Helen odwróciła się, by porozmawiać z przyjaciółką.

Zapewne Tyler uciszył obawy siostry, tłumacząc, że nie wyniknie niewątpliwie nic złego z chwilowego zauroczenia Thorntona jedną z pracownic stajni.

Od chwili wejścia do rezydencji o wysokich na cztery metry ścianach, obserwując lśniące, kryształowe żyrandole, imponujące orientalne dywany i antyki, Molly czuła się nie na miejscu. I nie chodziło nawet o zachowanie Helen Trapp oraz jej córki Neilie - posągowej brunetki - choć obie też się do tego przyczyniły. Kiedy witały gości, w bardzo subtelny sposób patrzyły z góry na towarzyszkę Thorntona, choć ani na moment nie przestały z nią mile gawędzić i się uśmiechać.

Molly przypuszczała, że boją się, by nie udało jej się na trwałe zauroczyć owego niepoprawnego kobieciarza.

Ma dla nich dobrą nowinę, pomyślała Molly, gdy dłoń Thorntona ponownie zabłądziła zbyt nisko: nie chcę na zawsze mieć tego podrywacza. W ogóle go nie chcę.

- Przepraszam, muszę wyjść do łazienki - powiedziała, gdy muzyka ucichła, a Thornton bynajmniej nie zamierzał wpu

ścić jej z objąć.

Do tej pory orkiestra grała wyłącznie wolne melodie i Molly nawet zastanawiała się, komu powinna za to podziękować.

Nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że Thornton maczał

w tym palce, ale ponieważ od paru godzin, czyli od chwili gdy przekroczyli drzwi rezydencji, nie odstępował jej na krok, mogła się tylko domyślać. Ale możliwe, że na wytwornych przyjęciach tańczono wyłącznie wolne tańce. Nigdy na takim nie była, więc nie miała porównania.

- Jeśli umykasz, by przypudrować nosek, nie marnuj czasu.

Wyglądasz tak ślicznie, że można by cię zjeść. - Thornton uśmiechnął się do niej i żartobliwie skubnął ustami jej białe ramię.

- Nie - powiedziała Molly, wysuwając się z jego ramion. -

Muszę się wysikać.

Xsiężyc myśliwego 249

Specjalnie użyła tego słowa i z prawdziwą przyjemnością obserwowała zaskoczenie swego towarzysza. Obiecała sobie, że nie da się stłumić ani tym snobom, ani otaczającemu ją ze wszystkich stron bogactwu. Thornton parsknął śmiechem. Odchodząc, czuła na plecach jego spojrzenie.

Łazienka dla pań przylegała do holu i była większa od sypialni Molly. Podłogę i toaletkę wykonano z szarego marmuru, tapeta przedstawiała ręcznie malowane ptaki, zaś białą, porcelanową umywalkę dopasowano do całości wnętrza. W olbrzymim lustrze w złożonych ramach odbijało się światło dwóch kryształowych kinkietów o niezwykle oryginalnym kształcie. Skorzystawszy z toalety, Molly odkryła, że spłuczka bezgłośnie spuszczała wodę, a małe, różowe mydełko w kształcie róż faktycznie pachniały różą. Pojemnik z rżniętego kryształu zawierał balsam do rąk - co stwierdziła po naciśnięciu dozownika. Wtarłszy go w dłonie, natychmiast zakochała się w delikatnym, kwiatowym zapachu.

Z całą pewnością nie był to krem Vaseline Intensive Care.

Molly uczesała się, przypudrowała nos, poprawiła szminkę i odsunęła się, krytycznie przeglądając się w lustrze.

Nic dziwnego, że zakochała się w tej sukience, pomyślała, gdyż była uszyta dla niej, nie dla Ashley. Cieniutkie ramiączka i głębokie wycięcie odsłaniały jej ramiona i zaokrąglenie piersi. Cudowny jedwab przylegał do ciała i połyskiwał przy każdym ruchu. Barwa kości słoniowej podkreślała ciemne oczy i włosy, a cera wyglądała kremowo jak ulubiony deser waniliowy Molly.

I co z tego, że sukienka jest używana i kosztowała trzydzie

ści siedem dolarów? Nic. Nikt o tym nie wiedział, a Molly wyglądała w niej jak marzenie - nie miała co do tego wątpliwości.

To czemu czuła się tak nie na miejscu?

„Można zabrać dziewczynę z poprawczaka, ale coś stamtąd na zawsze już w niej pozostanie”. Słowa te zadźwięczały jej nagle w głowie, aż cała się skuliła w środku.

Nie dam się im stłamsić. Jestem warta tyle samo, powiedzia

ła sobie w duchu, co Wylandowie czy ich goście. Jak mawiała jej matka: nie liczy się, skąd pochodzisz, ale dokąd zmierzasz.

W tym momencie jednak, stwierdziła w duchu Molly, ona powinna zmierzać do domu.

250 Xsigzyc myśliwego

Zrobiła głupstwo, przychodząc tutaj, ale tylko by je spotęgowała, zostając do końca wieczoru. Nie ulegało wątpliwości, jak wyglądały plany Thorntona względem niej.

Oczywiście, mogłaby stawić mu opór, ale musiałyby naprawdę walczyć, a nie miała na to sił. Najrozsądniej będzie wymknąć się teraz i wrócić przez pola do domu.

Kiedy wyszła, pod drzwiami łazienki stały dwie kobiety.

Molly uśmiechnęła się do nich, odpowiedziały jej tym samym.

Dziewczyna poczuła przyływ pewności siebie. Te dwie nieznajome, elegancko uczesane, w strojach od znanych projektantów mody, nie dostrzegły w niej nic niewłaściwego. Musia

ła sobie powtarzać, że jej pochodzenie nie jest piętnem, które każdy już z daleka może zauważyć.

Z uśmiechem na twarzy szła w stronę kuchni.

W sali balowej orkiestra zagrała tusz. Zadźwięczały dzwonki i coś ogłoszono, choć Molly nie słyszała słów.

- Szampana, panno Molly?

Ku jej konsternacji w chwili, gdy właśnie zbliżała się do kuchni, wyszedł z niej Thornton, niosąc w rękach kieliszki złocistego szampana.

- Trzeba wznieść toast za zwycięstwo Tabasca.

Parę godzin wcześniej ogier wygrał Bieg Kentucky. Na pewno to wydarzenie świętowano owym

toastem. Nie widząc wyj

ścia, a poza tym pragnąc uczcić to, co i jej dotyczyło tak samo, jak i pozostałych gości, Molly przyjęła kieliszek. Zwycięstwo Tabasca sprawiło, że był to radosny dzień dla Farmy Wylanda.

- Za Tabasca! - wznosił toast Thornton, trącąc się z nią kieliszkiem.

Molly wypła łyk szampana i uznała, że cieszy się on niezasłużoną sławą.

- I za naszą pierwszą randkę. - Wyland wysączył kieliszek i odstawił go na tacę przechodzącego kelnera.- Długo na nią czekałem, a teraz sprawdzę, czy było warto.

Z tymi słowami próbował chwycić Molly. Odskoczyła, żeby nie znaleźć się w jego niedźwiedzim uścisku, wylewając szampan na sukienkę. Z przerażeniem patrzyła na powiększającą się plamę i nawet się nie cofnęła, gdy Thornton z żartobliwym cmoknięciem wyjął jej z rąk kieliszek.

- Obok jest łazienka - powiedział, wciągając Molly do jakiegoś obitego boazerią zakątka.

Xsigżyc myśliwego 251

Faktycznie mieściła się tam łazienka o nieco bardziej męskim wystroju, ale równie elegancka jak pomieszczenie dla pań. Odstawiwszy kieliszek Molly na parapet, Thorton wziął

ręcznik i uniósłszy jej sukienkę, zaczął wycierać plamę.

- Nie trzeba.

Bynajmniej nie marzyła o tym, by znaleźć się z nim sam na sam, do tego w łazience. Wyrwała mu sukienkę i skierowała się do drzwi.

- Wybij to sobie z głowy.

Znowu schwycił ją w niedźwiedzi uścisk, objął mocno w talii i przyciągnął do siebie.

- Wreszcie znaleźliśmy się sami i już cię nie wypuszczę.

Oddychał jej prosto w twarz; Molly zdała sobie sprawę, że za dużo wypił.

- Pocałuj mnie, moja śliczna.

Przykrył ustami jej wargi. Pachniał szampanem i czosnkiem

- taka kombinacja budziła w Molly odrazę. Wepchnął jej do ust język i całował ją namiętnie. Nie broniła się, ale z rozczarowaniem stwierdziła, że jego umiejętności pozostawiają wiele do życzenia. Thornton był taki przystojny, doskonale umięśniony, spokojnie mógłby stawać w szranki z muskularnym Willem, a gdyby dodać do tego jeszcze majątek Wylandów, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywałyby, że powinien bez problemu wymazać z jej pamięci pocałunki Willa. Guzik z

pętelką, pomyślała.

I należało się tego spodziewać. Między nimi po prostu nie było tej iskry. Molly spokojnie przeczekiwała pocałunek, licząc, że po jakimś czasie Thornton będzie miał dość i da jej spokój.

I znowu się pomyliła.

Ustami błdził teraz po jej szyi, jego dłoń uniosła się po żebrach do piersi.

- Dość tego, Thorntonie!

Odepchnęła go stanowczo, by nie było wątpliwości, że chce, aby ją puścił. Nie zwrócił na to uwagi, niezdarnie usiłując wsunąć jej rękę za dekolt. Molly zaczęła się szarpać, ramiączko pękło i lewa strona sukni opadła. Jedną ręką przytrzymując sukienkę, Molly, kipiąc ze złości, zacisnęła pięść i z całej siły rąbnęła Thorntona w nos.

-Au!

Wypuścił ją z objęć i cofnął się, podnosząc rękę do twarzy.

Z nosa kapłała mu krew. Molly z prawdziwą satysfakcją patrzyła na niego, jak Thornton odchylił do tyłu głowę, zaciskając dłońią nozdrza. Jedno trzeba przyznać wychowaniu, jakie otrzymała: przynajmniej nauczyło ją troszczyć się o siebie.

- Bardzo ci tak dobrze - oświadczyła niefortunnnemu zalotnikowi, który po omacku wodził ręką po jej udach, zapewne w poszukiwaniu ręcznika. Wręczyła mu go i wyszła.

Parę minut później biegła po wysypanej okrągłym żwirem alejce na tyłach rezydencji, potem zaś otworzyła furtkę z kutego żelaza, która dzieliła ogród i trawnik od pastwisk.

Do domu miała niewiele ponad trzy kilometry i nieraz chodziła tą trasą. Tyle że zawsze pokonywała ją w adidasach albo botkach i dzinsach. Dziś natomiast miała buty na obcasie i długą, obcisłą wieczorową suknię.

Na szczęście noc była ciepła, a gwiazdy i księżyc w trzeciej kwadrze oświetlały drogę.

Nie brakowało jej też towarzystwa w postaci grupki pasących się koni, rozproszonych po całym pastwisku. Od wypadku Sheili - Molly natychmiast zdławiła wspomnienie, które wiązało się z klaczą i zabroniła sobie do tego wracać - zatrudniono drugiego strażnika, który pomagał J.D. w nocy. Ale teraz nie widziała ani J.D., ani jego kumpla.

Molly wysoko podciągnęła spódnicę i szła po gąbczastej trawie, uważając, by nie wdepnąć w końskie odchody. Pastwisko otaczały wysokie świerki, tworząc mroczną, ciemną granicę, przez którą nie przenikała księżycowa poświata. Odgłosy nocy - pohukiwanie sowy, pisk jakiegoś gryzonia, szelest liści i jej własne kroki w wysokiej po kostki trawie - brzmiały znajomo. Nieraz chodziła nocą po pastwiskach.

Jednak dzisiejsza noc czymś się różniła. Było w niej coś upiornego.

Choć Molly usiłowała nie dopuścić do głosu złych myśli, wróciły wspomnienia o Sheili.

Nocą na tych łąkach działo się coś straszego.

Dziewczyna poczuła zimny dreszcz, zatrzymała się i szybko rozejrzała dokoła.

Nie była tchórzem, ale nie była też głupia. Poniewczasie za

świtała jej myśl, że powrót przez pastwiska o tej porze nie należał chyba do najlepszych pomysłów.

Ale teraz już za późno. Nie zawróci. Zresztą, przeszła już jedną trzecią drogi.

• *Xsięyc myśliwego* 253

Znowu się wzdrygnęła, ale wytłumaczyła sobie, że to wiatr mocniej powiał. Ruszyła dalej, skupiając się na przyjemnych myślach.

Ashley w różowej sukience wyglądała po prostu cudownie.

Twarz Molly złagodniała, gdy przypominała sobie rumieniec, z jakim Ashley powitała wczoraj chłopca, który po nią przyszedł.

Trevor, podobnie jak jej siostra, skończył siedemnaście lat, był

wysoki, chudy, pryszczaty, nosił okulary i miał jasne włosy przystrzyżone na Piasta Kołodzieja. Ashley wpatrywała się w niego, jakby stał przed nią najprzystojniejszy facet pod słońcem.

Kto trafi za ludzkim gustem, pomyślała Molly, kręcąc głową. Choćby ona sama. Thornton Wyland - przystojny, bogaty, ze wspaniałej rodziny - budził w niej obrzydzenie.

Natomiast Will ją podniecał.

Nagle Molly stąpnęła w jakiś dołek i upadła na biodro. Przez chwilę siedziała, bardziej zaskoczona niż obolała. Gdy wstała, okazało się, że stoi na pokrywie od studni. Kamienny okrąg miał

średnicę jakichś dziewięćdziesięciu centymetrów. Najprawdopodobniej studnia była bardzo stara, gdyż wokół niej i na samej okrągłej płycie rosła gęsta trawa. Molly nawet by nic nie zauwa

żyła, gdyby niechcący nie postawiła stopy w jedynym miejscu gdzie kamienie się wykruszyły. Dlatego się przewróciła.

Chciała ruszyć w dalszą drogę, ale spotkanie ze studnią zakończyło się złamaniem obcasa. Co gorsza były to srebrzyste sandałki Ashley, kupione specjalnie na bal. Molly się skrzywi

ła. Siostra nie będzie zachwycona z powodu tego obcasa. Ciekawe, czy da się to naprawić.

Utykając, przeszła jeszcze parę kroków, ale znowu się zatrzymała. Klnąc pod nosem, zdjęła dobry pantofel i próbowała oderwać od niego obcas. Oczywiście ani drgnął. Oto życie w całej jego krasie! Molly z powrotem włożyła pantofel, równocześnie rozglądając się dokoła i upewniając, czy w pobliżu nikogo nie ma. Nie będzie przecież tak kuleć całą drogę do domu. Nie uśmiechało jej się też, żeby iść bosą. Oprócz końskich odchodów w trawie mogły czaić się węże.

Najrozsądniej było zadzwonić do domu i poprosić, żeby Ashley przyjechała po nią do rezydencji Wylandów.

Zawsze miała refleks szachisty.

Jeszcze raz powiodła wzrokiem po okolicy. Chyba nie wszystko stracone. Przecież jest w okolicy dawnego kompleksu-254 Xsietyc myśliwego

su weterynaryjnego z basenami dla koni. Musi tylko przejść dwieście metrów prostopadle do drogi. Kopuła budynku jasno rysowała się na tle rozgwieżdżonego nieba. Pomieszczenia sta

ły teraz puste, gdyż Farma Wylanda wolała korzystać z usług okolicznego weterynarza niż zatrudnić własnego, ale był tam telefon, jeśli Molly dobrze pamiętała, nadal czynny. Don Simpson wykorzystywał dawną klinikę na magazyn.

Nawet jeśli telefon nie będzie działał, to ona przynajmniej wróci do domu drogą. Na szosie będzie się czuła znacznie bezpieczniej.

Molly wiedziała, że zaczyna histeryzować, ale... gdzie, ach, gdzie się podziewa J.D., gdy naprawdę jest potrzebny?

Pewnie rozbił się obozem przed jej domem, pomyślała z pogardliwym prychnięciem, spoglądając w okna budynku.

Po pięciu minutach kuśtykania dotarła na miejsce. Niestety, okazało się, że drzwi są zamknięte na kłódkę. Zrezygnowana, przez chwilę wpatrywała się w zamek, myśląc o długiej drodze powrotnej do domu. Kulejąc, obesła cały budynek, sprawdzając wszystkie drzwi i okna. Zamknięte, co do jednego.

Bolały ją nogi, czuła coraz większy niepokój, a wcale się nie zbliżyła do domu.

Mam to gdzieś, pomyślała, sięgnęła po kamień i stłukła szybę. Kiedy ucichł trzask pękającego szkła, wszędzie znowu zapadła cisza. Molly stała ukryta w cieniu stajni. Płyta z pleksi-glasu zakrywała głęboki basen. W blasku księżycy lśniła nieziemską, srebrzystą poświatą.

Dziewczyna uświadomiła sobie, że nie warto czekać, aż ktoś ją namierzy.

Wsunęła rękę w dziurę, którą wybiła i przekręciła klamkę.

Potem otworzyła okno i weszła do środka.

W pomieszczeniu panowały nieprzeniknione ciemności. Molly nie widziała nawet własnej ręki. Przez moment stała nieruchomo, biorąc się w garść. Na policzku poczuła chłodne, pachnące pleśnią powietrze. Zamarła przerażona, a potem uświadomiła sobie, że wiatr wpada przez otwarte okno i wywiewa stęchliznę. W budynku wykorzystywano teraz tylko parter, gdzie mieściły się: niewielki gabinet, laboratorium, dwa boksy, duża sala operacyjna i niewielka izolatka - wszystko to zajmowało powierzchnię około stu czterdziestu metrów kwadratowych.

Molly przypuszczała, że weszła do gabinetu. Gdy jej wzrok przyzwyczał się do ciemności, zobaczyła rząd metalowych szafek, ustawionych pod ścianą. Do drugiej ściany tułiło się biurko, na nim zaś stał telefon.

Dziewczyna już sięgała po słuchawkę, gdy z głębi budynku dobiegł ją przytłumiony, głuchy dźwięk.

Znieruchomiała, nasłuchując. Wszystko ją ostrzegało, że nie jest tu sama.

Znowu ten sam odgłos, a potem jakby sapanie. Molly zmarszczyła brwi. Brzmiało to znajomo. Koń, dmuchający w paszę?

Ale przecież nie powinno tu być żadnego konia. Odkąd zaczęła pracować w stadninie, budynek wykorzystywano tylko na magazyn.

Kolejne stuknięcie, szelest i sapanie prowokowało Molly do wyjścia na korytarz.

256 Xsiężyc myśliwego

Stała w drzwiach, myśląc intensywnie. Jeśli w budynku znajdowała się jakaś osoba - wrogo, bądź przyjaźnie nastawiona

- musiała już zdawać sobie sprawę z jej obecności: ów ktoś na pewno usłyszał trzask wybijanej szyby. Poza tym, gdyby ktoś tu faktycznie był, świadomy jej obecności i mający wrogie zamiary, Molly woląłaby stawić mu czoło w pełnym blasku niż w całkowitych ciemnościach. Powiodła ręką po ścianie w poszukiwaniu włącznika.

Trudno by nazwać to światło pełnym blaskiem. Była to raczej nędzna poświata z najwyżej czterdziestowatowej żarówki umieszczonej w matowej plafonierze. Molly ogarnęła wzrokiem pomieszczenie. Rzeczywiście znajdowała się w gabinecie z szafkami i telefonem.

Wyszła na korytarz, gdzie mrok rozjaśniało słabe światło z gabinetu. Obok gabinetu mieściło się laboratorium. Drzwi również nie były zamknięte na klucz. Błyskawiczna inspekcja wykazała, że tu też stały same szafki. Po drugiej stronie mie

ściła się pusta sala operacyjna, w której pozostał tylko zardzewiały pręt pod sufitem i resztki wyciągu hydraulicznego.

W izolatce piętrzyły się kartonowe pudła.

Idąc za odgłosami stukania i cichego rżenia, Molly dotarła do drugiego boks. Stała tam kasztanka, spokojnie przeżuając owies. Popatrzyła na Molly łagodnymi, ciemnymi oczami.

Klacz była pełnej krwi, mogła mieć jakieś trzy, cztery lata

- czyli w pełni formy wyścigowej. Angloaraby tej samej wielkości i umaszczenia, w tym samym wieku, trudno odróżnić, chyba że ma się z nimi na co dzień do czynienia. Molly nie by

ła pewna, ale wcześniej chyba nie widziała tej klaczy. Kasztanka nie pochodziła raczej ze stadniny Wylandów. A jeśli nawet, to co robiła w tym opuszczonym budynku?

Dziewczyna rozejrzała się szybko; brak parujących, końskich odchodów na podłodze potwierdził jej podejrzenia, że klacz niedawno umieszczono w tym boksie.

- Spokojnie, mała.

Molly weszła do boks, poruszając się wolno, żeby nie spłoszyć kasztanki. Przeciągnęła ręką po jej żebrach, a później po grzbiecie. Klacz tupała i kręciła łbem.

Ostatnio tyle razy sprawdzała koniom tatuaże, że weszło to jej już w nawyk. Uspokajająco pogładziła kasztankę po chrapach, szepcząc pieszczotliwie i odciągnęła dolną wargę.

Xsiężyc myśliwego 257

Klacz nie miała numeru. Na wardze nic nie było.

Wszystkim rocznym angloarabom wykonywano tatuaż, który pomagał w ich identyfikacji. Skoro ta klacz go nie miała, coś tu musiało nie grać.

Molly przetrwała znaczenie tego faktu, a następnie wyszła z boks. Wróciwszy do gabinetu, najpierw sięgnęła do torebki po świstek papieru, na którym Will napisał numer swojego telefonu komórkowego. Potem zgasiła światło.

A później zadzwoniła do Willa.

Rozdział trzydziesty ósmy

Gdy po kwadransie przyjechał, Molly czekała na niego przy drodze. Wyszła z cienia, machając ręką, a ford zatrzymał się tuż przy niej. Z samochodu wysiadł Will.

Wysłuchał jej relacji, kierując wzrok za palcem, którym wskazywała klinikę.

- Chodźmy - ponaglała, nie mogąc się doczekać, by mu pokazać swe odkrycie.

- Ja pójdę, a ty poczekasz w samochodzie.

Ton agenta Lymana nie dopuszczał sprzeciwu. Gdy spojrza

ła mu w twarz, nie dostrzegła nawet śladu tego czarującego, czulego mężczyzny, w którym się zakochała. Oczy miał pochmurne, usta zaciśnięte.

- Ale.... - zaczęła, lecz Will natychmiast ją uciszył.

Chwycił ją za ramię, pociągnął na drugą stronę auta, otworzył drzwiczki i wcisnął w fotel pasażera. Ze schowka wyjął pistolet.

Molly szeroko otworzyła oczy. Więc jej agent jednak nosił broń!

Will rzucił jej na kolana kluczyki.

- Kiedy odejdę, pozamykaj drzwi. Nie ruszaj się z samochodu. Gdyby coś wzbudziło twój niepokój, jedź. Ale nie do domu, tylko do biura szeryfa w Versailles. I pod żadnym pozorem nie wysiadaj z samochodu ani nikogo nie wpuszczaj. Jasne?

Molly skinęła głową. Z pistoletem w ręku Will wyglądał imponująco i obco. Wreszcie zdała sobie sprawę z faktu, że praca agenta federalnego to nie przelewki. Może się łączyć z zabijaniem.

X\$ie±yc myśliwego 259

- Uważaj - powiedział, skinął jej głową i zatrzasnął drzwiczki.

Dziewczyna odprowadzała go spojrzeniem, gdy ruszył zarośniętym podjazdem do opuszczonej kliniki, dopóki nie zniknął

za rogiem.

Dokładnie dwanaście i pół minuty później - nie spuszczała wzroku z zegara na tablicy rozdzielczej - pojawił się z powrotem. Szedł po trawie, trzymając w dłoni telefon komórkowy.

Kiedy dotarł do wozu, zatrzymał się na chwilę, zapewne by dokończyć rozmowę. Parę minut później wsiadł do forda.

- No i...? - spytała Molly, gdy pochyliwszy się nad nią, odłożył

broń na miejsce, a telefon wsunął w uchwyt między fotelami.

- Chyba znalazłaś to, czego szukaliśmy - odparł bez uśmiechu. - Założę się o ostatni grosz, że to właśnie tego konia zamierzali podmienić.

- Tak! - zawołała rozpromieniona, triumfalnie wznosząc w górę pięść.

Ku zaskoczeniu Molly Will najwyraźniej nie podzielał jej radości. Siedział bez słowa, nadal z ponurą miną. Uzmysłowiła sobie, że skończyły się czasy ich dobrych stosunków. Od kiedy Will pocałował ją w stajni, a ona odeszła i przyjęła zaproszenie Thorntona, ich rozmowy ograniczały się do wymiany niezbędnych informacji. Agent podawał jej imiona koni, które miała sprawdzić i dwukrotnie prosił, by używając jego sprawdzonego, szpiegowskiego aparatu sfotografowała pewne dokumenty. Kiedy wieczorem zabierał Mike'a na koszykówkę, traktował Molly po prostu jak starszą siostrę chłopca. Ni mniej, ni więcej.

W podnieceniu, że wreszcie znaleźli konia, zapomniała o tym wszystkim, lecz sroga mina mężczyzny przywołała ją do porządku.

- Czekamy na coś? - Molly nie rozumiała, czemu nie odjeżdżają.

- Murphy jest już w drodze. Nie chcę, żeby ten koń zniknął

mi przed nosa, zanim się dowiem, co zamierzają z nim zrobić.

Kiedy przyjedzie mój partner, odwiozę cię do domu. Potem muszę tu wrócić.

Spojrzał na nią z boku. Coś w wyrazie jego twarzy nie dawało Molly spokoju. Nie zachowywał się jak człowiek, który właśnie rozwiązał zagadkę.

260

Xsiężyc myśliwego

- A żeby sobie skrócić czas oczekiwania - dodał - może mi opowiesz, jak to się stało, że znalazłaś się tu sama w środku nocy.

Na drodze pojawił się jakiś pojazd, mocne reflektory rozcinały ciemność. Oświetliły taurusa, gdy samochód stanął za nimi.

- Murphy - odezwał się Will, wysiadając. - Nie ruszaj się.

Wrócił po paru minutach i zajął miejsce za kierownicą. Kiedy uruchomił silnik, tamten wóz odjechał. Molly zerknęła na Willa pytająco.

- Musi znaleźć mniej widoczne miejsce do parkowania.

Will wyjechał z pobocza, zawrócił z takim impetem, że Molly dziwiła się, jakim cudem nie wylądowali w rowie, i ruszył

w stronę jej domu.

- A teraz - odezwał się - bądź łaskawa od początku opowiedzieć mi, co się stało. Podobno miałaś mieć randkę z Thornto-nem Wylandem.

- Owszem. Byliśmy na przyjęciu w rezydencji Wylandów.

I... postanowiłam wrócić do domu pieszo. Najkrótsza droga prowadzi przez pastwiska i tamtędy właśnie szłam. Ale odpadł

mi obcas od buta - właściwie to od pantofla Ashley - i było chłodniej, niż przypuszczałam, a gdy zobaczyłam budynek kliniki, przypomniałam sobie, że jest tam telefon. Pomyślałam, że zadzwonię po Ashley, żeby po mnie przyjechała.

Z ust Willa wydobył się bliżej nieokreślony dźwięk. Molly zerknęła na niego zdziwiona.

- Więc wybiłaś szybę, żeby tam się dostać - podsumował

jej opowieść.

To już mu zrelacjonowała w czasie rozmowy telefonicznej.

Przypuszczała, że wszedł przez to samo okno. Skinęła głową.

- Będąc w gabinecie, usłyszałam jakiś dźwięk. Zapaliłam światło i poszłam sprawdzić, co to. Okazało się, że koń.

Wyjrzała przez okno. Właśnie mijali jej dom.

- Hej, przejechałeś.

- Zaraz cię odstawię na miejsce, ale chcę dokończyć tę rozmowę bez hordy dzieciaków, które wpadają w słowo przy każdym oddechu - odparł Will, zjeżdżając na pobocze.

Zatrzymał samochód, włączył światła postojowe i odwrócił

się w fotelu twarzą do Molly.

Wysoko na niebie świecił księżyc, ale jego blask nie przebijał się przez korony drzew. Will był tylko dużą, mroczną sylwetką obok niej. Nie widziała wyrazu jego twarzy.

Księżyc myśliwego 261

- Niech sprawdzę, czy dobrze zrozumiałem - powiedział. -

Postanowiłaś w środku nocy wrócić samotnie przez puste pastwiska. Czy nie wzięłaś pod uwagę tego drobnego faktu, że w okolicy grasuje przynajmniej jeden, albo i więcej, czubek, którego rajcuje znęcanie się nad końmi?

- Przypomniałam sobie o tym dopiero w drodze - przyznała się Molly z odrobiną skruchy. - Wtedy trochę się zaniepokoiłam, naprawdę. To był kolejny powód, dla którego tam się włamałam, aby znaleźć telefon. Nie chciałam już sama dalej iść.

Will przez chwilę milczał.

- Czyli włamałaś się, żeby skorzystać z telefonu. W rzekomo opustoszałym budynku usłyszałaś jakiś odgłos. I dlatego zapaliłaś światło i poszłaś zbadać, co to może być?!

- To był koń - broniła się Molly. - Wiedziałam, że to koń!

- A skąd wiedziałaś, że przy koniu nie ma też ludzi? Ludzi, którzy nie byliby zachwyceni, że jakaś głupia smarkuła wlaźła im w paradę?

- Nie nazywaj mnie głupią smarkułą - ostrzegła Molly, mrużąc oczy.

Głośno nabrał powietrza.

- Bardzo przepraszam - odparł grzecznie. - Głupia stara baba. Albo kobieta. Jak sobie życzysz. Akcent kładę na „głupia”.

- Znalazłam konia, którego tak szukałeś!

- Owszem.

Nad ich głowami zapłonęła lampka. Will zdjął rękę z włącznika i uważniej przyjrzał się dziewczynie.

- Co się stało z twoją sukienką?

Molly zerknęła na swą kreację. Zapomniała o zerwanym ramiączku i o tym, że lewa strona dekoltu opada jej niebezpiecznie. Na razie mieściło się to jeszcze w granicach przyzwoitości, ale ledwo-
ledwo.

- Zerwało mi się ramiączko - wyjaśniła.

- Czy to krew? - Will dotknął rdzawych plamek na jej brzuchu.

Najwidoczniej krew trysnęła Thorntonowi z nosa mocniej, niż Molly sądziła.

- Zapewne.

- Coś ci się stało? - Jego głos zabrzmiał ostro.

- To nie moja krew.

- A czyja?

262 K siężyc myśliwego

- Thorntona - wyznała niechętnie dziewczyna. Mina Willa podziałała na nią jak czerwona płachta na byka. - Chcesz znać całą historię? Proszę uprzejmie: Thornton za dużo wypił, próbował mnie

całować, pchał mi łapę w dekolt i zerwał ramiączko.

Dałam mu w nos, aż mu się puściła krew. Wybiegłam z rezydencji i ruszyłam przez pastwiska, przestraszyłam się, zobaczyłam budynek i postanowiłam zadzwonić po Ashley, żeby po mnie przyjechała. Tyle że znalazłam konia i zamiast do niej, zatelefonowałam do ciebie. I to był mój błąd.

- Wielki błąd - zgodził się Will. Usta miał zaciśnięte, a oczy tak mroczne, że wcale nie wyglądały na niebieskie. Molly uświadomiła sobie, że jest zły. - Prawie mi szkoda Wylanda.

Kiedy przyjąłś zaproszenie, wiedziałaś, w co się pakujesz. Wątpię, by ów biedny dureń spodziewał się, że dostanie w nos za coś, co - o tym i ty, i on doskonale wiedzieliście - powinno nastąpić tego wieczoru.

- Idź do diabła! - warknęła Molly, otwierając drzwi. - Nie muszę tego słuchać. Nie jestem twoją własnością, panie wielki mi agencie.

Wysiadła, zatraskując drzwi. Zamierzała przejść ten krótki odcinek drogi sama. Światło w samochodzie zgasło, Will wysiadł

szybko i jednym susem zablokował drogę Molly, zatrzymując ją przed maską. Chwycił dziewczynę za ramię. Był blisko, górował

nad nią, mimo ciemności widziała jego oczy: ciemne, skupione

- i pełne gniewu.

- Puść mnie!

Próbowała się wyszarpnąć. Przez materiał sukni poczuła twardy zderzak samochodu.

- Życie ci niemiłe? - spytał Will z pozornym spokojem. Trzymał jej ramię w żelaznym uścisku. - Umawiasz się z draniem, który nie potrafi trzymać łap przy sobie i spodziewasz się, że cię nie tknie? Samotnie idziesz nocą przez opustoszałe pastwiska, na których grasuje jakiś wariat i dociera to do ciebie niemal w ostatniej chwili. Wiesz, że badamy sprawę kryminalną.

Ostrzegałem cię, że to może być niebezpieczne, a włączysz do opustoszałego budynku i w dodatku usłyszawszy jakiś odgłos, postanawiasz sprawdzić, co to! W życiu nie widziałem głupszego zachowania!

- A co ci do tego?

Xsiężyc myśliwego 263

Stał tak blisko, że musiała odchylić głowę, żeby zobaczyć jego twarz. Gdy była boso -w samochodzie zrzuciła z nóg zniszczone pantofle - Will znacznie górował nad nią wzrostem. Wielki, szeroki w barach, był niemal groźny.

Tyle że ona wcale się nie bała Willa Lymana - ani groźnego, ani nie.

- Co mi do tego? Co mi do tego? To! - powiedział przez zęby i pocałował ją gwałtownie.

Pod dotykiem jego ust cały gniew Molly znikł, podczas gdy jego furia właśnie wybuchła z całą siłą. Will zawsze był taki chłodny i spokojny, zawsze panował nad sytuacją. Od pierwszej chwili ich znajomości korciło ją, by go doprowadzić do utraty kontroli.

I miała, czego chciała. Nie panował nad sobą, kipiał z wściekłości i aż się trząsał - oto teraz będzie musiała znieść skutki eksplozji, którą sprowokowała.

Jego usta całowały ją twardo, stanowczo, ręce z całej siły zacisnęły się na jej ramionach. Gorący, niemal parzący język wepchnął się jej do ust. Will nie myślał teraz o ars amandi, kierowała nim nieokiełznana namiętność. Molly zamknęła oczy i zgodziła się na wszystko. Przywarła do niego, całując go równie żarłocznie jak on ją, stając w płomieniach, gdy wodził rękami po gładkim jedwabiu, wszędzie ją pieszcząc, i przyciągając bliżej do siebie. A gdy duże, ciepłe ręce zawędrowały na jej po

śladki, jęknęła i jeszcze mocniej doń przywarła. Prawie nie czu

ła, że ją podnosił, dopóki nie siedziała na masce, opierając się stopami o zderzak.

Molly otworzyła oczy, gdy pchnął ją na plecy i gwałtownie zadarł jej sukienkę. Leżała z rozchyłonymi nogami na twardym, zimnym metalu. Will miał na sobie ciemny garnitur i krawat.

Gors białej koszuli kontrastował z ciemnością nocy. Twarz tonęła mu w cieniu. Pod miękką wełną spodni czuła jego mocne nogi.

Szerzej rozsunął nimi uda Molly i szorstki dotyk materiału na jej nogach w cienkich rajstopach nieprzytomnie ją podniecał. Will wodził teraz ustami po jej szyi, piersiach. Szarpnął delikatny jedwab i drugie ramiączko pękło, a kremowa sukienka opadła.

Will otoczył ustami sutek Molly.

Zamknęła oczy, jęknęła i mocniej przycisnęła do siebie jego głowę. Gorącymi, wilgotnymi ustami ssał jej pierś niczym 264

Xsieżyc myśliwego

niemowlę. Molly wyprężyła się i wygięła w łuk, obiema rękami trzymając jego głowę, podczas gdy ssał i kąsał jej brodawki, a ona wiała się z rozkoszy.

Ręka, wsunięta między ich ciała, ściągnęła z niej rajstopy, a potem figi. Will dotknął jej, znalazł nabrzmiały pączek, który drżał pod jego palcami, a potem wsunął się niżej, głębiej.

Molly przywarła do jego ramion i dyszała mu prosto w usta, gdy zostawiwszy jej piersi, znowu zaczął ją całować. Pochylał się nad nią, wspierając się na jednej ręce, podczas gdy drugą bezlitośnie

zawładnął jej ciałem. Uniosła biodra w niemym błaganiu, witając jego dotyk, tak jak od wieków czyniły to kobiety.

- Will!

Wydyszała jego imię, wtulona w jego szyję. Tak mocno zacisnął zęby na jej sutku, że poczułaby ból, gdyby nie pragnęła Willa tak bardzo. Cofnął rękę, a Molly jęknęła, naprężyła się, całym ciałem błagając, by wrócił.

- Kochaj mnie, Will - szepnęła, otwierając oczy.

Przez moment stał, wpatrując się w nią z twardą, ostrą twarzą i pociemniałymi oczami.

Potem wbił się w nią, wielki i gorący, wypełniając ją po same brzegi. Pchał, pieścił, dawał, brał i sprawiał, że czuła coraz więcej, więcej i więcej, aż wreszcie z jej ust wyrwał się szloch ekstazy. Odchodziła wprost od zmysłów. Przez marynarkę i koszulę wbijała mu paznokcie w plecy.

- Will, Will, Will, Will, Will!!! - krzyczała, gdy jej świat wybuchnął kaskadą milionów jasnych gwiazdek rozkoszy.

Jęknął w odpowiedzi i sam szczytował, głęboko wciskając się w jej drżące ciało.

Potem Molly leżała pod nim z zamkniętymi oczami osłabła, tylko od czasu do czasu przesywały ją ostatnie dreszcze rozkoszy. Definitywnie i nieodwołalnie przegrała tę wojnę. Jej serce, umysł i ciało zostały zniewolone. Wszystko to należało do Willa.

Problem jednak tkwił w tym, że Will nie należał do niej.

Rozdział trzydziesty dziewiąty il

Will podniósł się i odsunął. Spodnie i szorty miał na wysokości kolan. Podciągnął je, włożył koszulę w spodnie, zapiał

pasek. Wszystko to robił bez słowa.

Molly usiadła i podciągnęła górę sukienki, aby zasłonić biust. Nic nie mogła poradzić na podartą bieliznę, tylko ukryć ją pod spodem. Rajstopy i figi nadawały się do wyrzucenia.

Nie mieściło jej się głowie, że właśnie uprawiała miłość na masce samochodu. Nawet w najśmielszych fantazjach seksualnych nie przyszłoby jej na myśl coś takiego. Ani jak wspaniałym przeżyciem to się okaże.

I jak strasznie będzie się czuła, gdy wszystko się skończy.

Co teraz? Kocha tego mężczyznę. A Will wkrótce wyjedzie i serce jej pęknie.

Zsunęła się z maski. Kolana się pod nią uginały, wzięła się jednak w garść. Musiała przytrzymać

sukienkę, inaczej góra by się zsunęła.

- Jesteś praktycznie naga - warknął Will, a w jego głosie nadal brzmiał gniew.

Dziewczyna buntowniczo podniosła głowę.

- To suknia wieczorowa - oświadczyła zdumiewająco spokojnie. - A przynajmniej nią była.

- Nie założyłaś stanika.

- I co z tego? Nie miałam takiego, który pasował by do tej sukienki. Zresztą, nie potrzebuję stanika.

Nadal przytrzymując sukienkę, stanęła bokiem do Willa i ostentacyjnie wypięła biust.

266 *Księżyc myśliwego*

- Widzisz? Wszystko na miejscu.

Przez chwilę milczał, ale Molly odniosła wrażenie, że zgrzytał zębami.

- Nie możesz tak się pokazać w domu. Mam tu jakieś ciuchy, w które możesz się przebrać.

Podszedł do bagażnika, Molly za nim. Patrzyła, jak otwiera pokrywę i grzebie w niebieskiej torbie sportowej.

- Skoro znaleźliśmy podstawionego konia, dochodzenie można uznać za zamknięte, prawda?

Trzeba przyznać, że to pytanie zabrzmiało obojętnie. Will wyciągnął coś z torby, zasunął ją i zatrzasnął klapę.

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to tak. Proszę.

Molly złapała rzucone jej ubrania: spodnie od dresu i koszulkę. Jego odpowiedź przeszła jej sercem niczym strzała.

- Więc kiedy dostanę pieniądze?

Za nic w świecie nie pokazałaby, jak bardzo lęka się tej odpowiedzi. Pieniądze już jej nie interesowały. Kiedy otrzyma czek, Will ostatecznie zniknie.

Roześmiał się, ale nie był to przyjemny śmiech.

- Przed moim wyjazdem.

- To znaczy?

- Dam ci znać. Pewnie niedługo.

- Nie powinieneś być wkładać się w łaski dzieci. Odrabianie lekcji z bliźniętami, sukienka dla Ashley, gra w koszykówkę z Mikiem.. Nie mają pojęcia, że szykujesz się do powrotu i znikniesz z ich życia.

- Przeboleją.

- Zapewne - odparła gorzko Molly, wiedząc, że to dotyczy także i jej.

Tyle że ona nie przeboleje. A na pewno nie nastąpi to szybko.

- Dam ci mój numer w Chicago. Gdybyś czegoś potrzebowała... albo któreś z was... zadzwoń.

- Jasne, infolinia siostry miłosierdzia. Dziękuję, nie skorzystam. Świetnie sobie radziliśmy, zanim się zjawiłeś, więc równie dobrze będziemy sobie radzić po twoim wyjeździe.

- A ty odfajkujesz kolejną zdobycz?

Zesztywniała z urazy.

- Żebyś wiedział.

- Zmień ubranie, muszę się zbierać.

Księżyc myśliwego 267

- Oczywiście, Jakżebym śmiała odrywać oddanego agenta rządowego od jego pracy!

To mówiąc, przestała przytrzymywać przód sukni, a połyskliwy jedwab z cichym szelestem spłynął do talii, odsłaniając piersi. Will nie odrywał wzroku do Molly, gdy zsuwała jeszcze niżej sukienkę, wraz z podartą bielizną. Przez chwilę stała naga w blasku księżyca, zdając sobie sprawę, że jej bezwstyd go irytuje - co bardzo ją cieszyło.

„Odfajkujesz kolejną zdobycz” - nigdy nie sądziła, że słowa mogą aż tak zranić. Uważał ją za łatwą, puszczałską. Cóż, pocieszała się w duchu, lepsze to, niżby miał się domyślić prawdy: oddała się mu szybko, bo pokochała go tak bardzo, że aż ją to bolało.

A on odejdzie.

- Dziewicza skromność nie jest twoją główną cechą, co? -

spytał.

- Nie - odparła arogancko, bo wiedziała, że go tym zdenerwuje.

Ale Will milczał. Ostatni raz powiódł wzrokiem po jej nagim ciele, potem odwrócił się i wsiadł do samochodu. Włożyła jego spodnie, ściągnęła się w pasie sznurówką. Tonęła w nich, ale przypominały jej Willa i już sama myśl o tym sprawiała, że serce jej pękało. Sięgnęła po równie obszerną bawełnianą koszulkę, włożyła ją przez głowę, a potem zebrała z ziemi swoje zniszczone ubranie i wsiadła do samochodu.

- Będzie mi ciebie brakować - odezwał się, wyprowadzając forda na drogę.

- Naprawdę?

Molly spojrzała na niego z nagłą nadzieją. Może, może jednak...

- Jasne. Muszę przyznać, że w łóżku jesteś niezrównana.

Przez chwilę siedziała jak skamieniała. Okrutne słowa dźwięczały jej w głowie, bezlitośnie wbijając

się w świadomość. Potem zakipiała w niej złość. Cudowna, błogosławiona furia.

- Doprawdy? - odrzekła miło, niemal serdecznie, skutecznie ukrywając wściekłość i ból, które się w niej kłębiły. Uśmiechnę

ła się do niego aż nazbyt słodko. - Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o tobie. Prawie, prawie, ale to jeszcze nie to.

268 _ *Księżyc myśliwego* Tak się rozstali. Will odwiózł ją do domu, odprowadził do drzwi, a potem odwrócił się i zniknął z jej życia. Molly więcej go nie widziała, nie zdążyła nawet się pożegnać. Trzy dni później otrzymała przesyłkę z Federal Express: potwierdzony czek na pięć tysięcy dolarów oraz wizytówkę firmy zajmującej się trawnikami. Na odwrocie nabazgrane były trzy numery telefonów.

Niewątpliwie infolinia siostry miłosierdzia. Molly wpatrywała się w czek i serce jej pękało, jakby miała zaraz umrzeć.

Zrozumiała bowiem, że teraz już naprawdę i ostatecznie Will odszedł z jej życia.

Rozdział czterdziesty

15 października 1995

Minęły ponad trzy tygodnie. Wyścigi w Keeneland się skończyły i Molly wróciła do dawnego rytmu zajęć w stadninie Wylandów. W środowisku koniarzy krążyły pogłoski, że zebrała się wielka ława przysięgłych i że przygotowywano akty oskarżenia przeciwko wielu miejscowym trenerom, ale nikt nie znał żadnych konkretów, nic się nie działo. Parę koni z Farmy Wylanda wyjechało na wyścigi w innych stanach, żaden jednak z podopiecznych Molly nie był w wystarczająco dobrej formie, toteż została w domu. Don Simpson wyruszył wraz z Tabaskiem, więc pracowała w mniejszym stresie. I dobrze, bo nie była w najlepszej formie. Co rano z trudem zwlekała się z łóżka i brnęła byle do końca dnia.

Nieobecność Willa odczuwała niczym fizyczny ból, który nie ustępował, choć starała się nie zwracać na niego uwagi. Pierwszy raz w życiu nie potrafiła zepchnąć nieprzyjemnych myśli do czarnej dziury, którą sobie stworzyła. Bólu nie dało się oszukać.

I nie chciał ustąpić.

Całe rodzeństwo tęskniło za Willem, ale ku zaskoczeniu Molly, najciężej zdradę przeżył Mike. Początkowo się dąsał, potem gniewał, aż w końcu zionął chęcią odwetu. Molly podejrzewała, że znowu zadaje się z niewłaściwymi kumplami i bała się my

śleć, co z tego wyniknie. A rozmowy z bratem nic nie dawały.

Ilekcóż coś mówiła, udawał głuchego albo pyskował.

Trevor rzucił Ashley i zaczął chodzić z Beth Osbourne, więc oprócz własnego złamanego serca

Molly musiała też leczyć serce siostry. Musiała przyznać, że Ashley znacznie, radziła sobie z zawodem miłosnym.

270 *Xsieżyć myśliwego*

Doszło do kolejnego ataku na konia pełnej krwi, tym razem na pastwisku Cloverlotów. Zastępcy szeryfa powiadomili Toma Kramera, że chcą ponownie rozmawiać z Mikiem. Przyjechała nawet po niego policja. Na szczęście, chłopak miał alibi: był

w domu, leżał w łóżku - całe rodzeństwo zgodnie to potwierdzało.

Jimmy Miller i Thornton Wyland bombardowali Molly pro-pozycjami randek, dzwoniło też wielu przyjaciół Thorntona, których poznała na przyjęciu. Molly wszystkim odmówiła. W takim nastroju, w jakim była obecnie, przysięgłaby, że po kres swoich dni już się z nikim nie umówi.

Skoro niczego do nich nie czuła, to po co się umawiać?

A gdyby miała coś poczuć, to potem za bardzo boli.

W drugim i trzecim tygodniu listopada ożywiało się koło myśliwskie z Lexington. Jeźdźcy z hałasem przemierzali pola w poszukiwaniu nieistniejącego lisa. Doroczne pojawienie się okolicznej śmietanki w nieodzownych czerwonych surdutach zawsze zwiastowało chłody. I faktycznie, temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni i tam się zatrzymała. Liście zniknęły z drzew, bujne trawy zbrunatniały. Ponury, jesienny krajobraz idealnie odzwierciedlał uczucia Molly.

Miała wrażenie, że już nigdy nie zaświeci dla niej słońce.

Jedynym jasnym punktem był udział Susan w szkolnym przedstawieniu „Czarnoksiężnik z krainy Oz”. Grała tam Czarownicę z Zachodu i cały czas po lekcjach spędzała na próbach. Najgorzej było, opowiadała Susan, z wiadrem wody.

Dziewczynka, grająca Dorotkę, ciągle pudłowała. A trudno przekonująco umrzeć, gdy nie jest się nawet mokrym.

Była środa wieczór. Molly smażyła w kuchni jajecznicę, słuchając półuchem, jak Susan ćwiczy rolę. Sam siedział przy stole nad lekcjami. Ashley i Mike zaszyli się w różnych częściach domu z książkami. Ashley miała w piątek duży sprawdzian z chemii, który musiała zaliczyć celująco. Mike'a czekała klasówka z socjologii. Molly byłaby szczęśliwa, gdyby przynajmniej zaliczył.

- „Mam cię, złociutka...” - zaczęła Susan z ochrypłym chichotem, gdy Molly nakładała jajecznicę na talerze.

Tyle razy słyszała te wszystkie kwestie, że znała je już na pamięć, a chytry rechet czarownicy, w wykonaniu Susan, przyprawiał ją o migrenę. Znowu była rozdrażniona, co ostatnio nie *Xsieżyć myśliwego* 271

stanowiło szczególnej nowości. Od kiedy odszedł Will, gama jej nastrojów ograniczała się do

gniewu, burkliwości albo przygnębienia.

Zdawała sobie sprawę, że nie postępuje uczciwie wobec rodzeństwa, ale nie potrafiła nad sobą zapanować.

- Mogłabyś zanieść to na stół? - Bezlitośnie przerwała w pół słowa monolog Susan i pokazała siostrze talerze.

Wzięła półmiski z bekonem i tostami i ustawiła je na stole.

Za jej plecami Susan wykrzywiła się i zrobiła, co jej kazano.

Molly krzykiem ściągnęła domowników na kolację.

- Zajęłaś się już moim kostiumem? - spytała Susan podczas posiłku.

Aktorzy sami musieli się zaopatrzyć w kostiumy. Choć Molly nie mówiła tego na głos, w głębi ducha zastanawiała się, czy udział Susan w przedstawieniu stanowi nagrodę czy karę.

- Nie, ale pamiętam o tym.

- Muszę go mieć na przyszłą środę.

- Wiem.

Molly liczyła, że w sklepie z używanymi ciuchami wygrzebie odpowiednią, przedpotopową czarną suknię. Jeśli nie, trzeba będzie poszukać na wyprzedazy. Dzięki pięciu tysiącom dolarów, które zarobiła, pracując dla Willa, nie było już krucho z forszą i mogła wyłożyć jakąś sumę na przyzwoity strój dla Susan.

Czyli jednak znajomość z Willem na coś jej się przydała.

- Nie liczcie, że pójde na to głupie przedstawienie - odezwał się Mike.

- Tym lepiej - odparowała Susan. - Twoja pryszczata gęba wszystkich by odstraszyła.

- Zamknij się, mała! Ja przynajmniej nie mam króliczych zębów!

- Za to masz króliczy mózdek! - stanął w obronie bliźniaczki Sam. - Jesteś taki głupi, że pewnie wyleją cię ze szkoły.

- Przestańcie! Dość tego. - Molly potoczyła wzrokiem po rodzeństwie. - Jaka jest zasada?

- Lepiej milczeć niż powiedzieć coś niemiłego - zaskrzeczeli chórem Susan i Sam.

Mike łypnął na nich ponuro. Na Molly też.

- Chrzanicie - oświadczył.

Wstał, wziął talerz i szklankę, po czym ostentacyjnie przeniósł się do pokoju dziennego. Po chwili Molly usłyszała włączy-272

Księżyc myśliwego

ny telewizor. Wiedziała, że powinna zawołać brata do stołu albo chociaż skarcić Mike'a za słownictwo, ale nie miała siły. Jej zły nastrój wpływał na wszystkich, nie pamiętała, kiedy ostatnio tak sobie dogryzali. I do tego tak zjadliwie.

Po kolacji Ashley pomogła jej w sprzątaniu. Susan i Sam poszli, odpowiednio: powtarzać rolę i odrabiać lekcje. Ostatnio Mike stał się taki nieznośny, że Molly przestała już o cokolwiek go prosić. Jeśli zapomniał, a ona zwróciła mu uwagę, nieodmiennie kończyło się to awanturą. Prościej było samej wszystko zrobić.

- Masz wiadomości od Willa? - spytała Ashley, wycierając naczynia, umyte przez Molly.

Początkowo, tuż po jego wyjeździe, rodzeństwo pytało o to parę razy dziennie. Teraz minęły całe dwa dni od ostatniej wzmianki o Willu, więc Molly uważała, że powinna docenić chociaż tę przerwę.

- Nie - odparła krótko.

- Miłość jest trudna, prawda?

Współczucie w głosie Ashley było dla Molly niczym zgrzyt paznokci o tablicę. Wiedziała, że siostra ma dobre chęci i pragnie się z nią podzielić swym cierpieniem, ale nieobecność Willa stanowiła dla Molly otwartą ranę i nie chciała, by jej dotykano. Sama rozmowa o nim bolała.

- Życie jest trudne - odparła, podając Ashley na koniec patelnię.

Odwróciwszy się od siostry, wzięła miskę z resztkami dla psa i wyszła na ganek. Żeberko, który cierpliwie czekał na zewnątrz, omal jej nie zepchnął ze schodów, entuzjastycznie witając jedzenie. *Molly ryknęła na niego i natychmiast tego pożałowała.* Postawiła miskę na ziemi i przepraszająco pogładziła psa po łbie, podczas gdy ten wsadził pysk w jedzenie i zaczął pochłaniać kolację.

Przez chwilę stała z rękami na piersi, głęboko wciągając w płuca chłodne, wieczorne powietrze. Wielki, żółty księżyc wschodził nad horyzontem. Księżyc myśliwego. Na niebie migotały gwiazdy. Wiatr szumiał w nagich gałęziach dębu. Zwykle Molly słyszałyby rzenie albo tupot koni lub inny odgłos ich obecności na pastwiskach. Ale teraz zwierzęta przeniesiono pod dach. Po części dlatego, że nie miały już czego skubać na polach, a po części, by ich strzec przed atakami szaleńca. J.D. i strażni-Księżyc myśliwego 273

cy całą noc pilnowali stajni - co było dobre dla koni. Jednak nieobecność zwierząt i świadomość, że J.D. nie krąży po okolicy w ramach nocnego obchodu, sprawiały, że Molly czuła się samotna. Patrząc na księżyc, wyobrażała sobie Chicago: wysokie budynki, nieustanny ruch, tłumy ludzi, tłok na ulicach o każdej porze dnia i nocy. W tym momencie Will siedzi zapewne w jakiejś włoskiej restauracyjce i je na kolację lazanię. Towarzyszy mu nowa dziewczyna albo też dawna, która czekała na niego w

Chicago. Molly nigdy go nie spytała, czy miał tam kogoś.

Przypuszczała, że agenci FBI są jak marynarze: w każdym porcie inna narzeczona.

Myśl o tym tak zabolęła Molly, że dziewczyna przymknęła oczy, powstrzymując łzy. Nie będzie za nim płakać. Wykluczone. To głupie, niepotrzebne i niczemu dobremu nie służy.

Głęboko zaczerpnąwszy powietrza, odwróciła się i weszła do domu.

Rozdział czterdziesty pierwszy Minęła. północ. Mroczna sylwetka wślizgnęła się przez podwórze do domu. Intruz poruszał się cicho, wiedząc, że nieopatrzny ruch zbudziłby psa, niweczając jego plany. Zwierzak spał w kuchni na dole. Wcześniejsze, próbne wyprawy, wykaza

ły, że miał mocny sen.

Tak samo jak dzieci na górze.

Czuł podniecenie. Nie, raczej się nim rozkoszował. Dreszcz towarzyszący polowaniu przynosił mu spełnienie, z którym nie mógł się równać żaden narkotyk. Ostatnio dzięki koniom czę

ściej doznawał tego uczucia i to w coraz większych dawkach.

Dzisiaj przeżyje kulminację. Od dawna marzył o tej nocy, od dawna ją planował.

Przygotował wszystko. Poklepał się po kieszeni, sprawdzając, czy nie zapomniał chloroformu albo szmatki. Oczywiście, że nie. Zawsze uważał. Bardzo uważał. Tym razem także nie da się złapać.

W pewnym sensie powtarzała się sytuacja sprzed lat - i tak powinno być. Bowiem dzisiaj wypadała rocznica pierwszego polowania. Miało miejsce dokładnie trzynaście lat temu.

Tak to zaplanował.

Nad jego głową świecił złoty krążek księżyca - tak samo jak wtedy. Wisiał na rozgwieżdżonym niebie, większy niż o każdej innej porze roku.

Nazywano go „Księżycem myśliwego”.

Bardzo na czasie, gdyż on był właśnie myśliwym.

Rozdział czterdziesty drugi

16 listopada 1995

Śmierć Howarda Lawrence'a nadal nie dawała Willowi spokoju. Nie rozwikłał tej zagadki, czego nie znosił. Niewyjaśniona sprawa oznaczała, że coś przegapił.

Chociaż wszyscy zgodnie uważali to za samobójstwo, instynkt mu podpowiadał, że się mylili.

W sumie to bez znaczenia. Samobójstwo czy zabójstwo -

grunt że Lawrence nie żył. Takie sprawy leżały w gestii lokalnej policji, agentom federalnym nic do tego.

Nacisnął klawisz i ekran komputera błysnął zielenią, pojawiły się dane. Wszystkie informacje, jakie zebrał na temat Operacji Wyścig - takim kryptonimem opatrzone ją w centrali - właśnie za pośrednictwem modemu przenoszone były do oddziału w Lexington. Już tamci się zajmą aresztowaniami i procesem. Agent Lyman spełnił swoje zadanie.

- Chcesz się napić, Will?

Dave Hallum uchylił drzwi jego maleńkiego gabinetu i wsunął głowę. Szczupły, łysiejący Hallum przypominał Willowi ogara. Dziś nawet garnitur miał szary.

- Nie, dziękuję.

Pytanie szefa uświadomiło Willowi, że minęło wpół do szóstej. Pora wracać do domu. Czyli do czego? Po wyjeździe Kevina czekały na niego puste ściany. Mógł tylko zamówić pizzę i zjeść ją przed telewizorem.

Postanowił wybrać się do siłowni. Potem można by zadzwonić do Lisy, choć od kiedy wrócił do Chicago, Lisa jakby straciła swój dawny urok.

276 Xsiężyc myśliwego

Już od dłuższego czasu nalegała, by się pobrali, ale Will zawsze się wykręcał, zasłaniając się Kevinem. Teraz, gdy syn już z nim nie mieszkał i nie stanowił tarczy, Lisa przypuściła mocniejszy atak.

Miała trzydzieści siedem lat, była rozwódką i wyraźnie słyszała tykanie zegara biologicznego.

Na myśl, że miałby dać Lisie dziecko, żołądek podszedł Willowi do gardła. Aż tak jej nie lubił. A na pewno jej nie kochał.

Hallum wszedł do środka.

- Nad czym pracujesz?

- Kończę tę sprawę z Kentucky. Właśnie wysłałem całą dokumentację... Właśnie, jak on się nazywa?

- Agent z Lexington, który przejmuje sprawę? Matthews.

- Właśnie. Matthewsowi. Przekazałem mu pałeczkę.

- Dobrze się spisałeś.

-Dziękuję.

- Okazało się, że przywozili konie z Argentyny, czyż tak?

I podstawiali je na miejsce zarejestrowanych amerykańskich?

Jutro mam się spotkać z George'em Reesem, wolę się upewnić, czy dobrze zapamiętałem.

- Masz raport na biurku - przypomniał mu Will.

- Nie zdążyłem przeczytać - przyznał się Hallum, podchodząc i przysiadając na brzegu biurka. -
Streść mi.

- Grupa trenerów dogadała się, że będą ustawiać określone gonitwy, żeby stawiać małe pieniądze, a wygrywać duże. W tym celu zastępowali wolniejsze konie szybkimi. Ponieważ w Stanach wszystkie konie wyścigowe mają w pyskach tatuaż umożliwiający potwierdzenie ich tożsamości, sprowadzali konie z kraju, w którym nie ma takich wymagań, z Argentyny. Potem tatuowali szybkiemu koniowi numer słabszego, którego tym lepszym zastępowali i stawiali na niego. A ponieważ nie był faworytem, przy zwycięstwie mieli duże przebicie i zgarniali grubą forszę. Koniec historii.

- Niezbyt skomplikowana sprawa. I potrzebowałeś aż dwóch tygodni na rozgryzienie tego? - Hallum uśmiechnął się szeroko. Will wiedział, że szef sobie z niego żartuje.

- Byłoby prościej, gdyby nie to, że mój pierwszy informator mnie okłamywał. Kiedy już rozszyfrowałem mechanizm oszustwa, wszystko poszło jak z płatka.

Xsiężyc myśliwego 277

- Pierwszy informator to ten facet, którego, twoimi zdaniem, zabito?

-Tak.

- Murphy się z tobą nie zgadza. Zresztą, o tym niech zdecyduje miejscowa policja.

- Też tak pomyślałem.

- Czyli sprawa jest zamknięta?

- Tak - potwierdził Will. - Zamknięta.

Ktoś zastukał do otwartych drzwi. Will obejrzał się i zobaczył Murphy'ego i dwóch innych agentów: Warrena Roacha i Bena Markeya. Ruchem głowy zaprosił ich do środka. Gdyby nie obecność Halluma, nie zawracaliby sobie głowy pukaniem.

- Gotowy? - spytał Murphy.

- Do czego? - Will ściągnął brwi.

- Nie mów, że zapomniałeś! - jęknął Roach.

Był to wysoki, chudy mężczyzna o starannie uczesanych ciemnych włosach i dobrym oku do garniturów. Rozwodnik, uważał się za wielkiego donzuana. Nagle Willowi przemknęła przez głowę zbawienna myśl, że może wyswata go z Lisą.

- Hej, stary, to mój kawalerski wieczór! - uśmiechnął się Markey.

Dobijający trzydziestki, niski, czarnowłosy Markey nie potrafił przez moment ustać w bezruchu. Teraz bawił się drobnymi w kieszeni, spoglądając na Willa.

- Faktycznie, przypomniałem sobie. Za nic bym sobie nie odpuścił takiej imprezy. W „DiGiorno”, tak? Idźcie, niedługo was dogonię. Najpierw muszę dokończyć parę spraw.

- Ciągłe pracujesz nad Operacją Wyścig?

Murphy z kpiącym uśmiechem powtórzył idiotyczny kryptonim. Will pokręcił głową.

- Właśnie skończyłem.

- Jak było w Kentucky? - drażnił się z nim Roach. Murphy od trzech tygodni raczył wszystkich opowieściami o jego i Willa przeżyciach w Krainie Niebieskiej Trawy. Will stał się głównym obiektem kpin, za czym nie przepadał. Oczywiście, nie był na tyle głupi, żeby okazywać niezadowolenie.

- Jakby mnie ktoś posadził na drugiej, nieskończenie długiej części sielanki, rozgrywającej się na wsi, jak choćby „Green Acres” - odparł sucho Will.

2 78 _____ *Księżyc myśliwego* Koledzy zarechotali.

- I pewnie nawet miałaś swoją własną Elly May, co? - spytał Markey.

- Ona nie grała w „Green Acres”, tylko w „Beverly Hillbil-lies”, baranie - poprawił go Roach.

- Nieważne. Grunt, żeby nam opowiedział o tej Elly May. -

Markey nadal się uśmiechał.

- Spadajcie z mojego gabinetu - powiedział Will z bez troską, której nie czuł.

Porównywanie Molly do Elly May działało mu na nerwy.

Usłyszał kolejne stukanie do drzwi i pojawiła się w nich jego sekretarka - nie, zgodnie z właściwą obecnie terminologią: asystentka do spraw administracyjnych.

- Will, jest do ciebie telefon na drugiej linii - oznajmiła. -

Jakaś panna Ballard.

Trójka bałwanów, zebranych przed jego biurkiem, popatrzyła na siebie z zachwytem.

- Elly May! - zawyli radośnie, gdy sięgał po słuchawkę.

- Will Lyman - przedstawił się sucho.

Przy tych uchachanych gębach za nic nie okaże cienia emocji.

- Will?

Głos Molly uderzył go jak obuchem: był miękki, cichy, z południowym akcentem. Willowi zaschło mu w ustach; zaczął się zastanawiać, jakim cudem wytrzymał bez niej całe trzy tygodnie.

- Molly.

Gestem wyprosił trzech bęcwałów - oraz Halluma - z pokoju. Oczywiście nie posłuchali go.

- Och, Will!

Głos jej się załamał. U Molly oznaczało to, że stało się coś bardzo złego.

- Susan zniknęła. - Najwyraźniej z trudem artykułowała te słowa.

- Jak to: zniknęła? - spytał ostro.

- Nie ma jej. Wczoraj normalnie położyła się spać i dziś rano po prostu jej nie było. Zastaliśmy puste łóżko. Nigdzie jej nie ma. Przeszukaliśmy cały dom od piwnicy po strych, podwórko też. Zawiadomiliśmy policję. Uznali to za zwykłą ucieczkę.

Will, Susan by nie uciekła, przecież ją znasz. Ktoś chyba zakradł się do domu i ją porwał.

- Chryste Panie!

Xsię,życ myśliwego 279

- Przyjedziesz? Proszę. Jak najszybciej.

- Przylecę pierwszym samolotem - starał się mówić spokojnie, choć krew ścinała mu się w żyłach. - Bądź spokojna i trzymaj się.

- Pośpiesz się. Błagam. - Molly znowu zadrzał głos.

Will usłyszał trzaśnięcie odkładanej słuchawki. - Odłożył

swoją i wstał. Czterej mężczyźni już się nie śmiali. Hallum podniósł się z biurka.

- Porwanie - oświadczył krótko. - Jedenastoletnia dziewczynka. Muszę jechać.

Rozdział czterdziesty trzeci

Kiedy Susan się obudziła, otaczał ją mrok. Głowa jej pęka

ła, bolał ją żołądek. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, ale na pewno nie była we własnym łóżku. Wczoraj normalnie położy

ła się spać, tymczasem obudziła się... tutaj.

Gdzie? Oto pytanie. Susan dźwignęła się na nogi, przykucnąwszy na czymś, co w dotyku przypominało brudną podłogę.

Nadal nie wiedziała, gdzie jest, ale było tu zimno, ciemno i pachniało stęchlizną. Wokół panowała cisza. Dźwięcząca w uszach cisza. Jak w jaskini.

Czyżby miała koszmar? Na wszelki wypadek się uszczypnę

ła. Uszczypnięcie zabolalo. Czy we śnie uszczypnięcia bolą?

Susan wiedziała, że nie śpi.

W głębi gardła rodził jej się krzyk, jednak go stłumiła. Ba

ła się poruszyć czy wydać jakikolwiek dźwięk, żeby bestia, która tu mieszkała, nie usłyszała i nie rzuciła się na nią.

Nie wiedziała, czemu wyobraziła sobie, że to bestia, ale tak było. Olbrzymi, kudłaty potwór z rogami, szponami, buchający ogniem, który porywał dzieci i zjadał je na śniadanie. Prawie słyszała, jak teraz skrada się do niej w mroku.

Coś przemknęło jej po ręce. Susan z piskiem oderwała dłoń od podłogi. Dźwięk jeszcze nie przebrzmiał, a ona już cofała się na czworakach, aż uderzyła głową o kamienną ścianę.

Zobaczyła gwiazdy. Skuliła się, drżąc na całym ciele. Podciągnęła kolana pod samą brodę, oplótła je ramionami i starała się stać jak najmniejsza, niewidoczna. Kamienne ściany, *Xsieżyć myśliwego 281*

klepisko, zapach zgnilizny. Małe, paciorkowate ślepie błyszczące w oddali: czyżby mini-bestie?

Była w piwnicy - a może w grobie. Przerazała ją sama myśl, że mogła zostać pogrzebana żywcem. Mrok wokół niej nagle jakby ożył; nasłuchiwał i oddychał, czekając, by się na nią rzucić.

- Mamusiu! - szepnęła. A potem poprawiła się: - Molly!

Rozdział czterdziesty czwarty Kiedy Will zjawił się u Molly jakieś cztery godziny po jej telefonie, w domu było pełno ludzi: sąsiadów, przyjaciół, gliniarzy. Mieszkanie stało się kwaterą główną

połączonych sił agentów federalnych oraz policji. Przed wyjazdem z Chicago Will uruchomił swe znajomości i na telefon Ballardów założono podsłuch, w razie gdyby zgłosił się ktoś z żądaniem okupu. Molly rozdała fotografie Susan, sporządziła listę jej przyjaciół, i spisa

ła wszystko, co mogłoby pomóc, zrobiła także opis ubrania, w którym ostatnio widziała siostrę: długa nocna koszula w ró

zowe kwiatki. Ona, Sam, Ashley i Mike tyle razy powtarzali, co robili ubiegłej nocy, że Molly potrafiłaby to już chyba opowiedzieć nawet przez sen. W całym mieszkaniu szukano odcisków palców, pokój małej sfotografowano ze wszystkich możliwych stron. Wydrukowano ulotkę z rysopisem dziewczynki i rozesłano po okolicy, przeszukano dom, podwórze, okoliczne pola.

A gdyby Susan nie zjawiała się do rana, następnego dnia planowano poszukiwania na jeszcze większą skalę.

Molly nie ustawała w modlitwach, by Susan już wtedy była w domu.

Will zadzwonił z samolotu, podając porę przyjazdu. Agent FBI odpowiedzialny za podsłuch przekazał tę informację Molly

- agent specjalny Eaton, tak się przedstawił. Molly, Ashley, Sam i Mike siedzieli wokół kuchennego stołu, przed nimi leża

ły nietknięte porcje mięsa i ziemniaków, przyniesione przez sąsiadkę, Florę Atkinson. Molly chodziła kiedyś z synem Atkinsonów, Tomem, i przyjaźniła się z ich córką, Lindą, dopóki ta *Xsiężyc myśliwego* 283

nie wyszła za mąż i się nie przeprowadziła. Pani Atkinson była pulchną, serdeczną sześćdziesięcioletnią kobietą i właśnie krzątała się po kuchni, szykując jedzenie i przyciszonym głosem rozmawiając z przychodzącymi i odchodzącymi sąsiadami.

Wszyscy się zgadzali, że zniknięcie Susan to koszmar. Takie rzeczy ogląda się w telewizji albo przytrafiają się innym ludziom. Nie nam. Nie Susan. Nie żadnemu znajomemu dziecku.

Radosne ujadanie Żeberka, które rozległo się koło dziesiątej wieczorem, gdy na podjeździe zachrząścił żwir, brzmiało tak normalnie, że aż dziwnie. Wszyscy - łącznie z agentem specjalnym Eatonem - wyszli na ganek, spoglądając z nadzieją w mrok. Licząc, że właśnie przywieziono Susan. Licząc, że będą jakieś wiadomości. Licząc...

Will szedł w stronę domu. W poświacie księżycy jego włosy połyskiwały złotem. Miał na sobie rozpięty prochowiec i ciemny garnitur. Na jego widok Molly poczuła ucisk w gardle z radości.

- Will!

Ashley i Sam popędzili w jego stronę i rzucili mu się na szyję, tuląc się, jakby witali dawno niewidzianego członka rodziny. On też ich uściskał, patrząc nad ich głowami na Molly i Mike'a, który stał obok niej na ganku.

Na moment ich spojrzenia się spotkały.

- Nie powiedziałaś, że jesteś agentem FBI! - W głosie Sama brzmiało oburzenie. Molly powiedziała im o wszystkim dzisiaj, tuż przed telefonem do Willa. Jego prawdziwa tożsamość była jedynym okrucieństwem nadziei, jaki mogła ofiarować rodzeństwu - i sobie.

Will spojrzał na chłopca, targając mu włosy.

- To była tajemnica.

- Susan... - Ashley urwała, zbyt poruszona, by mówić dalej.

- Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze - zapewnił ją Will, a potem, nadal ich obejmując, wszedł na ganek.

W chwili gdy Ashley i Sam rzucili mu się na szyję, Will zrozumiał, jak bardzo się pomylił. W jakim był błędzie, sądząc, że jego sympatia do Ballardów przeminie; jak źle postąpił, wyjeżdżając bez słowa. Wtedy wydawało mu się, że to najlepsze rozwiązanie. Bał się, że dzieci - i on też - za bardzo się przywią-

żą. A co by to dało? Jego miejsce było w Chicago, ich tutaj. Po za-284 Księżyc myśliwego

kończeniu sprawy zniknęły z ich życia równie nieoczekiwanie, jak się w nim pojawił. Jak powiedziała Molly w ich ostatni, niezapomniany wieczór, w ogóle nie powinien był tworzyć bliższych związków z jej rodzeństwem. I sam tego nie planował. Początkowo zrobiło mu się ich po prostu żal. Nie ulegało wątpliwości, że wielu rzeczy im brakuje. Nie tylko pieniędzy, ale obecności i troski dojrzałego mężczyzny. To przyszło samo: pomaganie Susan w lekcjach, gra w piłkę z Samem, uczenie Ashley walca. Początkowo wydawało się, że Mike'owi przede wszystkim przydałoby się trochę twardej ręki, ale okazało się, że on też potrzebuje zainteresowania, tak jak pozostałe rodzeństwo. Will z przyjemno

ścią wprowadzał go w arkana koszykówki. Wykierowanie go na prostą w innych dziedzinach nie byłoby takie łatwe, choć Will przypuszczał, że i z tym by sobie poradził. Nie ulegało wątpliwo

ści, że postąpił okrutnie, pozwalając, by się do niego przywiązali i zaufali mu. Will nie mógł im zaoferować przyszłości.

A mimo to wkradli się do jego serca - wszyscy po kolei. I tęsknił za nimi.

Szalał teraz z niepokoju o Susan, jakby była jego córką.

A znacznie lepiej niż pozostali zdawał sobie sprawę z grozy sytuacji, w jakiej mogła się znaleźć i to budziło w nim przerażenie.

Najbardziej się bał pedofila. Krew ścinała mu się w żyłach na wspomnienie tamtego wieczoru, gdy Susan zobaczyła kogoś w oknie. Możliwe, że porywacz już dawno ją sobie upatrzył.

Nie można też wykluczyć, że porwano dziewczynkę z powodu udziału Molly w śledztwie. Ktoś mógł chcieć skrzywdzić Susan w akcie zemsty.

Istniało mnóstwo możliwości, ale Will nie miał czasu ich analizować. Zdawał sobie sprawę, że im dłużej nie wiedzą, gdzie jest dziecko, tym mniejsze szanse, iż w ogóle je odnajdą

- i oby jeszcze żywe.

Lecz nie zamierzał tego mówić Ballardom, dopóki nie będzie musiał. I tak już śmiertelnie się bali, wystarczyło na nich spojrzeć.

Szedł w stronę ganku, ale Molly się nie odezwała, nawet nie wyciągnęła doń ręki na powitanie. Była bardzo blada. Od ostatniego spotkania schudła, choć wcale nie tego potrzebowała.

W spłowiałych dzinsach i burym swetrze jakimś cudem nadal wyglądała seksownie i pięknie. A w dodatku krucho, tak krucho, że światło księżyca zdawało się przez nią przenikać. Ręce, *Xsieżyc myśliwego* _____ 285

skrzyżowała na piersi i mocno zaciskała usta, jakby się bała, że *zaczną* drżeć. Oczy miała olbrzymie, malowały się pod nimi głębokie cienie. Will napotkał jej wzrok i cały jego świat zachwiał

się w posadach.

Od trzech tygodni powtarzał sobie, że to, co ich połączyło z Molly, było świetne, ale się skończyło. Że to klasyczny przykład płomiennego, przelotnego romansu.

Tyle że ów romans wcale się nie skończył; Will rozumiał

to, gdy tylko ponownie zobaczył Molly. Jego uczucie do niej było za silne. I wcale nie połączył ich tylko płomienny romans.

Najchętniej wszedłby na ten ganek, wziął ją w ramiona i zacałował na śmierć.

Ale wezwała go tu nie dlatego, że go pragnęła, ale że go potrzebowała. Zjawił się tu jako agent FBI, nie jako kochanek Molly.

I musi o tym pamiętać, dopóki nie odnajdą Susan.

- Cześć, Molly - powiedział, gdy stanął obok niej z Ashley i Samem wiszącymi mu po obu stronach u ramion.

- Dziękuję, że przyjechałeś - odparła cicho.

Stojący przy siostrze Mike się poruszył. Will spojrzał na niego uważnie.

- Cześć, Mike.

- Cześć, Will.

Wbrew przypuszczeniom Willa, chłopak nie odezwał się wrogo. Pewnie z powodu szoku, w jakim się znajdował po zniknięciu siostry. Dopóki nie znajdą dziewczynki, oni obaj będą stali po tej samej stronie barykady.

I Boże, oby tak się stało.

- Agent specjalny Ron Eaton.

Mężczyzna w garniturze, stojący za Molly, wyciągnął rękę.

Will na pierwszy rzut oka rozpoznał w nim człowieka z branży.

Oni, agenci, mieli w sobie coś takiego, że natychmiast to wyczuwali.

- Will Lyman.

Ashley i Sam puścili go i podał tamtemu rękę.

- Nazywam się Flora Atkinson. - Siwa kobieta o zbyt obfitych kształtach jak na granatowe spodnie i białą bluzkę, w które była ubrana, skinęła mu głową.

Oprócz Eatona i pani Atkinson na ganku tłoczyło się kilkanaście nieznanym mu osób. Willowi wystarczyło jedno spojrzenie -

286 Xsiętyc myśliwego

nie, by podzielić grupę na młodzież - przyjaciół Mike'a i Ash-

ley - oraz dorosłych, z których wszyscy, z wyjątkiem Jimmy'ego Millera, wyglądali na sąsiadów.

Rywał powitał go pozbawionym entuzjazmu skinieniem głowy.

- Will!

Głos Molly był niewiele wyraźniejszy od szeptu. Gdy Will znalazł się przy niej, dotknęła ręką jego dłoni, szukając otuchy. Oczy miała wielkie, przerażone.

- Znajdź, Susan. Proszę.

- Znajdziemy ją - odparł uspokajająco, modląc się, by mówił prawdę.

Potem otoczył Molly ramieniem - tylko, by ją pocieszyć -

i zaprowadził z powrotem do domu.

Za nimi weszło całe towarzystwo. Will przyjrzał się Molly w blasku lampy - dziewczyna była na

skraj wyczerpania. Skinieniem ręki przywołał Eaton i coś mu szepnął. Eaton załatwił

sprawę jak profesjonalista - nie minęło parę minut, a wszyscy się rozeszli.

- Mogę zostać, jeśli jestem potrzebna - powtarzała pani Atkinson, nawet gdy już wsiadała do samochodu.

Miller wycisnął pocałunek na bladym policzku Molly i szepnął jej coś do ucha, dopiero potem wyszedł. Reszta znajomych opuściła mieszkanie, każde żegnając się po swojemu.

W końcu zostali tylko Ballardowie, Will i Eaton.

- Rozumiem, że pilnujesz telefonu? - zwrócił się Will do kolegi po fachu, ten zaś potwierdził to ruchem głowy. - Za parę minut przedstawisz mi rozwój wydarzeń, ale najpierw chciałbym porozmawiać z rodziną.

Eaton skinął głową i zniknął w pokoju dziennym. Will powiódł wzrokiem po Molly, Ashley, Mike'u i Samie, siedzących bezradnie przy stole i z ukłuciem bólu pomyślał o należącej do rodziny małej dziewczynce, której tu dziś nie było. Zdjął

plaszcz i marynarkę, rozluźnił krawat i przysiadł się do Molly.

- Powiedźcie, co się stało.

Mówili - pojedynczo albo jedno przez drugie - chwilami ich głosy zniżały się do drżącego szeptu, chwilami w ogóle więzły im w gardle, gdy opisywali, jak rano się obudzili i okazało się, że Susan zniknęła.

Właściwie tylko tyle wiedzieli. Wieczorem położyła się spać jak zwykle, a następnego dnia po przebudzeniu jej nie znaleź-

Xsiężyc myśliwego 287

li. Nawet Ashley, która dzieliła z siostrą pokój, niczego nie słyszała. W pierwszej chwili, gdy rano zobaczyła puste łóżko, sądziła, że Susan po prostu wcześniej się obudziła i zeszła na dół.

- Znalaziono ślady włamania? - spytał Will.

Potrząsnęli głowami.

- Wszystkie drzwi były pozamykane, alarm włączony - powiedziała Molly. - Właśnie tego nie rozumiem. Jak Susan mogła zniknąć z zamkniętego domu?

- Wydaje się niemożliwe - dodała Ashley - ale właśnie tak się stało.

Nagle Will przeżył chwilę olśnienia. Spojrzał na Mike'a.

Chłopak niespokojnie zerkał w jego stronę.

- Wychodziłeś wczoraj, Mike? - spytał Will.

Molly pokręciła głową.

- Wszyscy byliśmy w domu, Ashley i Mike się uczyli, Sam odrabiał lekcje i oglądał telewizję, a Susan powtarzała swoją rolę. - Głos jej zadrżał przy ostatnim słowie.

- Mike? - spytał jeszcze raz Will.

Chłopak skinął głową bez słowa.

- Tak samo?

Ponownie skinienie głową. Rodzeństwo nie odrywało od niego wzroku.

- O której wróciłeś?

- Koło wpół do drugiej.

- Wychodziłeś wczoraj? - spytała ze zdziwieniem Molly.

Will zaniepokoiło kolejne załamanie jej głosu. Ta dziewczyna była u kresu sił. Dziwił się, że tak długo wytrzymała.

- Cii - szepnął jej do ucha.

Nie pora była teraz karcić Mike'a za coś, co zrobił albo czego nie zrobił. Jeśli chcą pomóc Susan, muszą dotrzeć do prawdy.

- Po powrocie zamknąłeś okno i włączyłeś alarm, tak? -

zwrócił się do chłopaka.

Ten przytaknął.

- Czy zauważyłeś coś niezwykłego? Czy Susan była w łóżku? - Nie zaglądałem do niej, bo i po co? Zamknąłem okno, włączyłem alarm i położyłem się spać.

Broda zaczęła mu drżeć. Will zdał sobie sprawę, że ten twardy nastolatek z kolczykiem w uchu i kucykiem jest bliski łez.

- To moja wina, tak? Ten ktoś wszedł przez okno, prawda?

288 ___ *Xsię±yc myśliwego*

- To nie twoja wina. Nie wiedziałeś, że tak się stanie - odparł Will. - A przynajmniej możemy w

miarę ściśle określić czas porwania. O której wyszedłeś z domu?

- Było wpół do dwunastej - powiedział Mike.

- Czyli wiemy, że w ciągu tych dwóch godzin ktoś mógł

wejść do domu i zabrać Susan. Ten ktoś musiał dobrze znać twoje obyczaje i wiedzieć, że się wymykasz przez okno. Może któryś z twoich kumpli. Albo ktoś, komu ktoś powiedział. Zrób listę swoich kolegów. Niewykluczone też, że ktoś uważnie obserwował dom. Czy akurat tak się złożyło, że wczoraj wyszedłeś, czy środa to stały termin twoich wypraw?

- Od paru miesięcy urywałem się niemal co wtorek i co środę, z wyjątkiem okresu naszej umowy.

- Dobra.

Wyraz twarzy Mike'a świadczył, jak wiele ta umowa dla niego znaczyła. Will czuł wyrzuty sumienia, że tak zostawił chłopca na pastwę losu, i dlatego odpowiedział burkliwie. Zresztą, nie czas był teraz na przeprosiny i tłumaczenia.

- Jaka umowa? - spytała Molly, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. - Wiedziałaś, że on się wymyka wieczorami? - zwróciła się do Willa.

- Przyłapałem go na tym i umówiliśmy się, że jeśli nauczę go grać w koszykówkę, to się więcej nie powtórzy - wyjaśnił

krótko. - Ale potem wyjechałem.

- Właśnie.

W tym jednym słowie chłopak zmieścił całą swoją gorycz.

Will odłożył na bok wyrzuty sumienia, teraz musiał się skupić na ważniejszych sprawach.

- Powiedziałaś policji, że wyszedłeś przez okno? Albo temu, kto cię przesłuchiwał?

Mike pokręcił głową.

- Powiedziałem, że spałem.

Will zmarszczył brwi. Chłopak wyglądał na przestraszonego.

- Nie chciałem, żeby Molly się dowiedziała - tłumaczył się niepewnie.

Nagle wydał się im bardzo młodziutki, bardziej jak chłopiec niż nastolatek. Znowu zadrżała mu broda. Zerknął na Molly.

- Wiem, że masz przeze mnie kłopoty i ciągle się o mnie martwisz, a teraz jeszcze przeze mnie

porwano Susan. - Do oczu napłynęły mu łzy, zasłonił twarz rękami i zaczął szlochać.

Xsiężyc myśliwego 289

- Mike - odezwała się Molly, wstając. Pochyliła się nad bratem i objęła go. - To nie twoja wina, nie wiedziałeś, że tak się stanie. Nikt z nas nie wiedział.

Patrząc na te przytulone, niemal identyczne, ciemne głowy, Will poczuł, jak w jego sercu zamyka się kolejne ogniwo, łączące go z nimi. Byli mu bliscy. Ci dwoje. Oni wszyscy.

Czyżby zaczynał wierzyć, że coś może trwać wiecznie?

- Czy Mike będzie miał kłopoty, bo okłamał policję? - spytała zatrwożona Ashley.

Mike i Molly podnieśli wzrok, czekając na jego odpowiedź.

- Ja się tym zajmę.

Wstał, znalazł w szafce szklanekę i nalał sobie mleka. Kiedy znowu popatrzył na rodzeństwo, Mike odzyskał już panowanie nad sobą, a Molly nadal stała z ręką na jego ramieniu.

W bezlitosnym świetle lamp skórę miała tak bladą, że niemal przezroczystą. W wielkich, ciemnych oczach malowało się zmęczenie. Ledwo trzymała się na nogach.

- Do łóżek! - rozkazał Will. - Wszyscy.

Rozdział czterdziesty piąty

Dwie godziny później Molly była już w łóżku. Leżała na boku obok Ashley, która kategorycznie odmówiła pozostania w pokoju, do dziś dzielonego z Susan i teraz wtulała się w plecy Molly. Równy oddech świadczył, że Ashley w końcu usnęła.

Molly miała wrażenie, że nigdy nie zaśnie.

Przewróciła się na plecy, mamrocząc kolejną z niezliczonych modlitw, które ciągle powtarzała, od kiedy sobie uświadomiła, że Susan zniknęła naprawdę. Słowa same, bez przerwy, pojawiały się w jej głowie: Proszę, Boże, spraw, by bezpiecznie wróciła. Proszę, Boże, spraw, by nic jej się nie stało, żeby się nie bała. Proszę, Boże, ona ma tylko jedenaście lat.

Przez szparę w zasłonkach wpadała księżycowa poświata.

Molly wstała, podeszła do okna i odsłoniła je, by lepiej widzieć. Na niebie wisiał złocisty księżyc w pełni. Aż nieprzyzwoicie jasny i piękny. Księżyc myśliwego.

Noc była pełna cieni, drzewami kołysał wiatr. Na południu linię horyzontu tworzyły jawory i głogi, wśród których kocha

ła się z Willem. Ich spiczaste wierzchołki poruszały się na tle nieba, po którym przemykały pojedyncze chmury. Po wschodniej stronie majaczył płot, a za nim pastwiska. Od zachodu biegła droga, czarna wstążka, znikająca w mroku.

Gdzieś tam trzymano Susan. Czy była blisko, a *może* wrzucono ją do samochodu i wywieziono na drugi koniec świata?

Nastały już chłody, dziś po raz pierwszy tej jesieni temperatura zbliżała się do zera. Molly dotknęła szyby: zimna jak lód.

Xsieżyc myśliwego 291

Myślała o Susan, którą teraz gdzieś tam uwięziono, wyobra

żała sobie małą siostrzyczkę, przerażoną i zmarzniętą. Z jej ust wyrwał się stłumiony szloch. Susan, pomyślała. Och, Susan.

Potem znowu odmówiła modlitwę.

Nie mogła zostać w łóżku. Nie było mowy, żeby zasnęła. Musiała coś zrobić. Ale co? Przeczesała już podwórze i pobliskie pastwiska. Will powiedział, że jutro wrócą z psami. Zapewnił

ją, że robią wszystko, co w ich mocy. Will powiedział, że ma iść spać, bo potrzebuje sił, by stawić czoło następnemu dniu.

Will powiedział. Will powiedział.

Dzięki Bogu za Willa.

Odwróciła się od okna i boso przeszła po zimnej podłodze.

Otworzywszy drzwi, wyszła na korytarz. Potem sobie przypomniała, że w domu znajduje się obcy mężczyzna, agent Eaton, a ona ma na sobie tylko białą koszulę z Kubusiem Puchatkiem, ściskającym baryłkę miodu i z napisem: „Nie ma jak miodek!”.

Wróciła do sypialni i po omacku przegrzebywała szafę, póki nie znalazła różowego szlafroka frotte, który rzadko nosiła.

Włożyła go, zawiązała pasek i wyszła na korytarz.

Zapalone światło w kuchni przyciągnęło ją niczym świeca ćmę. Will z Eatonem siedzieli przy stole pogrążeni w poważnej rozmowie. Przed pierwszym z nich stała nieodłączna szklanka mleka, drugi pił kawę. Molly przygotowała dla obu mężczyzn pokój dziewcząt, widać jednak było, że żaden jeszcze się nie kładł. Will zdjął krawat i rozpiął kołnierzyk, ale nadal miał na sobie te same spodnie i koszulę, w których przyjechał. Eaton też był w garniturze.

Co jest z tymi agentami FBI i garniturami?

- Panna Ballard. Podać coś pani?

Eaton pierwszy ją zauważył i podniósł się niezręcznie. Pracował w filii w Lexington, był młody, miał trzydzieści albo niewiele więcej lat, ciemne włosy, przystryżone równie krótko jak Willa, i pociągłą, inteligentną twarz. Dziewczyna doskonale wiedziała, że wpadła mu w oko już od pierwszej chwili, gdy wkroczył na scenę jakieś pół godziny po telefonie do Willa. Nawet nie zwróciła na to uwagi. Przywykła, że mężczyźni ją adorują.

- Może trochę kawy. Nie mogę zasnąć.

Obaj przyglądali się, jak Molly podchodzi do blatu, bierze kubek i nalewa kawę z dzbanka zaparzoną przez któregoś *292 Xsieżyc myśliwego*

z nich - zapewne Eatona, ponieważ Will nigdy nie pił kawy. Napełniwszy kubek, odwróciła się do nich i oparłszy się o szafkę, sączyła parujący napój.

- Są jakieś informacje?

Znała odpowiedź, zanim jeszcze Will pokręcił głową. Przecież gdyby się czegoś dowiedział, dałby jej znać.

- Robimy, co w naszej mocy, panno Ballard. Podaliśmy dane pani siostry do Krajowego Ośrodka Informacji o Ofiarach Przepęstw, a stamtąd rozesłano je do wszystkich komisariatów policji w kraju. Ludzie z Programu Chwywania Groźnych Przepępców szukają ewentualnych śladów albo przesłanek. Mają w komputerach dane, dzięki którym można porównać sprawy zaginięć z całego kraju i znaleźć ewentualne podobieństwa. Jutro powinniśmy wiedzieć, czego się doszukali.

- Wielki Boże! - powiedziała Molly.

Dotarło do niej, jak niewiarygodnie trudne zadanie przed nimi stoi. W całym kraju nieustannie ktoś znika. Biuro ma bazę danych z nazwiskami i statystykami z pięćdziesięciu stanów. Susan była jedną z... ilu? Tysięcy? Więcej?

- Zupełnie to samo stało się z Libby Coleman. Susan już nie wróci, prawda?

Głos odmówił jej posłuszeństwa. Ręce zdrząły jej tak, że kawa się rozlała, parząc palce. Odstawiła kubek.

- Susan nie będzie drugą Libby Coleman - odparł Will, wstając i podchodząc do Molly.

Zatrzymał się tuż przed nią, ręce miał zaciśnięte. Molly odniosła wrażenie, że Will z trudem się powstrzymuje, by jej nie objąć. Popatrzyła na niego. Był blisko, tak blisko, że widziała na jego policzkach i brodzie zarost. W niebieskich oczach malowało się napięcie, mocno zaciskał usta.

- Znajdziemy ją. Zaangażowaliśmy w poszukiwania wszystkie siły, znajdziemy ją.

- Boże! - westchnęła, zamykając oczy i opierając głowę na piersi Willa.

Miała wrażenie, że przez moment się zawahał, ale po chwili poczuła dotyk ciepłych, silnych, niosących otuchę ramion.

Przytulił ją.

Tak jej brakowało jego objęć.

- Libby Coleman? - powtórzył Eaton.

Księżyc myśliwego 293

- Już ktoś to sprawdza - wyjaśnił Will przez ramię. - Poprzednia zaginiona dziewczynka z tego terenu. Sprawa sprzed trzynastu lat. Szukamy podobieństw.

A więc sam już wcześniej o tym pomyślał. Molly trochę się uspokoiła. Will nie przegapiłby takiej informacji, znał się na swojej robocie, a przy tym był inteligentny i dokładny. Jeśli już ktoś miał znaleźć Susan, to tylko on.

Skrzyp ławki o linoleum poinformował Molly, że Eaton wstaje.

- Chyba się zdrzemnę - powiedział.

Z jego tonu Molly zorientowała się, że nie chce im przeszkadzać. Powinna się wysunąć z ramion Willa - żeby nie stawiać Eatona w niezręcznej sytuacji i oszczędzić Willowi jeszcze większego skrępowania z racji obecności kolegi-agenta. Ale tak bardzo potrzebowała tego uścisku, że nie potrafiła się zmusić, by go przerwać.

Jeśli nawet czuł się zażenowany, nie okazywał tego.

- Później do ciebie dołączę - powiedział.

Usłyszała oddalające się kroki Eatona.

Jeśli nie liczyć Żeberka, śpiącego przy drzwiach wejściowych, ona i Will byli sami. Wsunęła mu rękę pod marynarkę, obejmując go w pasie. Coś muskało jej włosy. Czyżby to jego usta?

- Tęskniłam - wyznała gorsowi jego koszuli.

Will mocniej otoczył ją ramionami.

- Ja też za tobą tęskniłem.

- Nie przyjechałbyś, gdyby nie Susan.

Musiała ciągle to sobie powtarzać. Tak strasznie go pragnę

ła, ale nie tylko teraz - na zawsze.

Nic nie odpowiedział i to milczące potwierdzenie bolało.

Molly jeszcze chwilę tuliła się do niego, potem wysunęła się z jego ramion i oparła o blat.

- Dochodzi druga - powiedział Will, przyglądając się jej. -

Musisz się przespać.

Pokręciła głową - i tak by nie zasnęła.

- Nie mogę. Ilekroć zamknę oczy, myślę o Susan. Zastanawiam się, czy nic jej nie jest, czy nie marznie... Na pewno tak strasznie się boi.

- Zadręczając się, nic jej nie pomożesz - odparł zdecydowanie. - Masz w domu jakieś tabletki nasenne?

294 Księżyc myśliwego

Potrząsnęła głową.

- Chciałabyś porozmawiać?

Zastanowiła się nad tym i skinęła głową.

- W takim razie zgoda. Połóż się na kanapie, odpocznij i będziemy rozmawiać. Nigdy ci nie opowiadałem o moim synu, prawda?

- Ani o żonie - dodała.

Samo powiedzenie tego słowa głośno bolało. Molly nie chciała dopuszczać do siebie świadomości, że Will miał żonę, nawet jeśli od piętnastu lat nie żyła.

- Chodź.

Przeszedł do pokoju dziennego, zatrzymując się tylko, by zgasić światło w kuchni i wyjąć koc ze schowka pod schodami. Potem ułożył Molly, okrył ją kocem i wsunął poduszkę pod głowę.

Usiadł na podłodze przy głowie dziewczyny, plecami oparty o kanapę, z kolanami pod brodą. Kiedy Molly odwróciła się na bok, nosem niemal dotykała jego ramienia. Twarz Willa by

ła tuż-tuż.

- Opowiedz mi o synu i żonie - poprosiła.

Will nie zapalił lampy i siedzieli we dwójkę w ciemnościach.

Poświata księżycy zagładającego przez zasłonki rozjaśniała pokój na tyle, że nie było czarno, tylko szaro. Kiedy już Molly przyzwyczała się do mroku, dostrzegła zarys ucha Willa, jego szczęki i

prosty nos. Odwrócił się do niej - widziała poważne usta i oczy.

- Kevin, tak się nazywa mój syn, studiuje w college'u Western Illionois. Ma osiemnaście lat, jest na pierwszym roku. To wspaniały chłopak, świetny w sporcie i w nauce, przystojny, dobrze ułożony. Do sierpnia mieszkał ze mną, a gdy wyjeżdżałem z miasta, prznosił się do moich rodziców albo do rodziców Debbie. Od jego wyjazdu czuję się nieswojo. Niesamowite, ile życia wnosi do domu stosunkowo spokojny chłopak.

- Dlatego tak serdecznie odnosiłeś się do małych? Bo tęskniłeś za synem? - spytała Molly.

Will wzruszył ramionami, przynajmniej tak zinterpretowa

ła ten ruch.

- Polubiłem je. I nadal lubię. To dobre dzieciaki. Nawet Mike.

- Wbrew pozorom - zauważyła z lekkim uśmiechem.

Przysunęła się, by piersiami dotykać jego pleców, a brodą ramienia.

Księżyc myśliwego 295

- Debbie... Tak się nazywała twoja żona?

- Tak.

- Opowiedz mi o niej.

Will milczał przez chwilę.

- Poznaliśmy się na studiach - zaczął. - Umówiliśmy się na parę randek, chodziliśmy ze sobą. Zaszła w ciążę, więc się pobraliśmy. Urodził się Kevin. Dwa dni po jego trzecich urodzinach zginęła w wypadku samochodowym. Mały był z nią w wozie, ale nic mu się nie stało. Dzięki Bogu siedział z tyłu w foteliku.

- Same fakty, proszę pani? - skomentowała cicho Molly. -

Jaka była? Jakie miała włosy? Kochałeś ją?

- Miała ciemne włosy i niebieskie oczy. Kevin bardzo ją przypomina. Często się śmiała. Była bardzo wysportowana, a w tenisie wprost nie do pobicia. Rodzice trochę ją rozpieszczali, jak to jedynaczkę, ale dostrzegą to i potrafiła się z tego śmiać. Kiedy urodził się Kevin, szalała za nim. Tak, kochałem ją.

W jego głosie było coś, co sprawiło, że Molly przysunęła się jeszcze bliżej i w geście współczucia przytuliła policzek do ramienia Willa. Zerknął na nią, usiłując się uśmiechnąć, ale słabo mu to szło.

- Po jej śmierci nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze pokocham kobietę. Ale wiesz, czas wiele zmienia. Pamiętam, jak wyglądała: kolor włosów i tak dalej, ale już nie potrafię przywołać przez oczy jej obrazu. Stała się cieniem, pogodnym cieniem.

Czasem mam wrażenie, że wraz z nią umarł chłopak, który się z nią ożenił. Mężczyzna, którym stał się ów chłopiec, jest kimś zupełnie innym.

- Rozumiem, co masz na myśli - odparła Molly i rzeczywi

ście go rozumiała. - Kiedy teraz wspominam mamę, pamiętam tylko, że przepadała za lodami czekoladowymi i żółtymi sukienkami. Nie potrafię już przywołać jej twarzy. Jakby w ogóle jej nie było. Czasem ogarniają mnie wyrzuty sumienia, ale tak to właśnie wygląda.

- Mike trochę mi o niej opowiadał.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się krzywo. - Nie sądziłam, że z niego taka papla. Wiem, że ci mówił... o jej śmierci. To słyszałam. Co jeszcze wygadał? Że cierpiała na depresję? Że czasem była najcudowniejszą matką pod słońcem, a innym razem po prostu zupełnie o nas zapominała? Że miała fatalny gust, 296 *_Xsiężyc myśliwego* jeśli chodzi o facetów, a gdy się zakochiwała, co często robiła, po prostu się ulatniała?

- Powiedział, że od kiedy skończyłaś osiemnaście lat, utrzymywałaś rodzinę, matkę też. I że po jej śmierci nadal się nimi opiekowałaś, jakby byli twoimi dziećmi, nie jej.

- Naprawdę?

Surowo-ciepła nuta jego głosu sprawiła, że po plecach Molly przebiegły ciarki. Will odwrócił się twarzą do niej i odgarnął jej włosy w policzków.

- Wiesz, co myślę? - spytał.

- Co?

Położyła się na plecach, żeby go dobrze widzieć. Był bardzo blisko, ich głowy dzieliło kilkanaście centymetrów. Dłoń, którą gładził jej włosy, przesunął teraz na policzek. Ciepła, twarda dłoń, jakby stworzona, by dotykać jej twarzy.

- Sądzę, że to świadczy, jaka jesteś wyjątkowa. Wręcz wspaniała.

- Naprawdę?

- Właśnie tak sądzę.

- A moim zdaniem to ty jesteś wspaniała.

Lekko przesunęła głowę i przycisnęła usta do jego dłoni.

Will znieruchomiał, gdy dotknęła wargami ciepłej, słonawej skóry.

- Naprawdę za tobą tęskniłam - szepnęła.

- A ja za tobą - odparł.

Potem schylił się i pocałował ją z żarem, od którego jej cia

ło i duszę przeszył dreszcz.

Rozdział czterdziesty szósty

olly

M, muszę... - zaczął Will, podnosząc głowę.

Przerwał im krzyk. Straszny, przenikliwy krzyk, odbijający się echem po domu. Molly miała wrażenie, że ktoś przesuwają ją po krzyżu lodowatym ostrzem.

- Sam! - zawołała, podrywając się na równe nogi.

Instynktownie wiedziała, że to on. Will też już się poderwał

i biegł za nią. Pędziła po schodach, zapomniawszy o kocu. Kiedy wpadli na górę, z pokoju dziewcząt wynurzył się Eaton z pistoletem w dłoni i prześcieradłem pospiesznie owiniętym wokół pasa. Jeszcze nim Molly dotarła do drzwi, w pokoju chłopców zapaliło się światło. Wpadła do środka. Mike klęczał

przy łóżku Sama, otaczając brata ramionami. Sam, który właśnie przechodził okres bycia „prawdziwym mężczyzną” i gardził wszystkim, co dziewczynskie - w tym oczywiście łzami -

ze szlochem tulił się do Mike'a.

- Miał koszmar - wyjaśnił przez ramię chłopak, gdy Molly uklękła obok niego.

Przytuliła go mocno, jak przez mgłę odnotowując, że Will, Eaton i Ashley tłoczą się za jej plecami.

- Susan jest w jakimś ciemnym miejscu - szlochał jej w ramię Sam. - Siedzi w ciemnościach i się boi. Widziałem ją we śnie. To jest jakaś... jakaś wielka dziura albo grot. Susan chce wrócić do domu.

- Boże!

Molly zamknęła oczy i mocno przytuliła chłopca, równocześnie próbując zapanować nad własnymi uczuciami. Przez 298 *Xsiężyc myśliwego*

wzgląd na Sama, ale również na Mike'a, Ashley i Susan, musi być silna.

- To tylko zły sen. Nic więcej. Po prostu zły sen.

-Ale ja ją widziałem. Och, Molly, czy ją odnajdą? Chce wrócić do domu.

- Cii, cii... - mówiła uspakajająco Molly, gładząc go po głowie. - Cii...

Długo trwało, nim wszyscy ułożyli się do snu. Teraz i Sam spał w łóżku Molly, wciśnięty między obie siostry, podczas gdy Mike skulił się obok na materacu, przytuszczonym z dołu.

Rozdział czterdziesty siódmy

usan

S!

Na dźwięk owego przymilnego głosu poczuła dreszcz przerażenia. W ciemnościach był jakiś człowiek i szukał jej z latarką. Widziała żółty krąg światła przesuwany się po murze.

- Susan.

Głębiej wcisnęła się w szczelinę w ścianie. Instynktownie ukryła się tu, gdy tylko usłyszała kroki. Szczelina była długa i wąska, rozszerzała się ku górze i miała pewnie około półtora metra głębokości. Szczuplutka Susan wcisnęła się niemal do samego końca.

Może ten mężczyzna jej nie znajdzie.

- Nie jesteś głodna? Przyniosłem ci jedzenie, pizzę.

Czuła jej zapach, docierała do niej kusząca woń przypraw.

Dziewczynce zaburczało w brzuchu. Znieruchomiła, przera

żona, że ten cichy odgłos ją wyda.

Była głodna. Minęło wiele czasu od jej ostatniego posiłku, czyli od jajecznicy. Susan przypomniała sobie, jak siedziała z Molly, Samem, Ashley i Mikiem przy kuchennym stole i omal głośno nie jęknęła, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

Nie może wydać najmniejszego dźwięku. Zdawała sobie sprawę, że mężczyzna, który jej szuka, jest zły i jeśli ją znajdzie, zrobi jej krzywdę. Nie wiedziała, skąd ta świadomość, ale po prostu to czuła.

Chciała wrócić do domu. Była głodna, spragniona, przemarznięta i brudna, a przede wszystkim śmiertelnie przerażona.

- Chyba się mnie nie boisz, Susan? Przecież cię nie skrzywdzę.

Głos był łagodny, przymiłny - i fałszywy, przechodziły ją od niego ciarki. Mężczyzna podszedł bliżej. Jasny krąg światła poruszał się po przeciwległej ścianie, blisko kryjówki dziewczynki. Susan odwróciła twarz do kamienia i zamknęła oczy. Łzy wolno spływały jej po policzkach.

- Tu jesteś - odezwał się ów ktoś i Susan poczuła na zamkniętych powiekach światło latarki.

Odważyła się zerknąć w bok. Mężczyzna stał przy otworze i wyciągał po nią rękę. Susan z piskiem wcisnęła się jeszcze głębiej - byle dalej od tej polującej na nią łapy. Jego palce musnęły kamień niecałe dziesięć centymetrów od niej.

Cofnął rękę i przycisnął twarz do szczeliny, oświetlając latarką dziewczynkę i przyglądając jej się w zadumie. Napotkawszy to ciemne, bezlitosne spojrzenie, Susan zdławiła krzyk przera

żenia. Była jak zahipnotyzowana tym szatańskim wzrokiem.

- Chodź do mnie, Susan - powiedział i znowu wyciągnął rękę.

Rozdział czterdziesty ósmy

17 listopada 1995

Następnego ranka, tuż przed siódmą, Will stał przy biurku w gabinecie filii FBI w Lexington. Przed sobą miał otwartą teczkę z aktami Libby Coleman. W 1982 roku, kiedy zniknęła dziewczynka, komputery jeszcze nie zaczynały automatycznie poszukiwać w chwili czyjegoś zaginięcia. Jej nazwisko wraz ze standardowymi informacjami znajdowało się w kartotekach osób zaginionych. To wszystko. Resztę sprawy - a właściwie ca

łą sprawę - stanowił ten plik papierów z informacjami, gdyż nikomu jakoś nie chciało się wprowadzić ich do komputera. Will z mroczną miną przerzucał poszczególne kartki, czytając te, które przykuły jego uwagę.

- Wprowadzić pana w sprawę? - spytała młoda kobieta, wchodząc do gabinetu.

Na oko miała jakieś trzydzieści lat, była ładną blondynką z włosami obciętymi do brody; zachowywała się bardzo oficjalnie, co jeszcze podkreślał jej granatowy kostium. W ręce trzymała styropianowy kubek z parującą kawą.

- Agentka specjalna, Cindy Rayburn. - Odstawiła kubek na biurko i wyciągnęła rękę.

- Will Lyman.

Wymienili uścisk dłoni. Od Hala Matthews, starego wyjadacza, kierującego oddziałem w Lexington, Will już się dowiedział, że agentka specjalna Rayburn całą noc spędziła szukając akt małej Coleman i zapoznając się z tą sprawą. Zdaniem Matthews, Rayburn była jedną z jego najlepszych pracowników.

Wczoraj o szóstej wieczorem, kiedy do Matthews zadzwonił

Dave Hallum i osobiście poinformował go o sprawie, tutejsze biuro skierowało wszystkie siły do poszukiwań Susan.

- Proszę mi przedstawić sytuację.

- Różni się *modus operandi* - zaczęła mówić agentka Rayburn. - Jak nam wiadomo, Libby Coleman porwano z ganku jej domu około wpół do ósmej, podczas gdy Susan zniknęła z łóżka gdzieś między wpół do dwunastej a wpół do drugiej w nocy.

- Charakterystyka ofiary? - spytał Will, spoglądając na zdjęcie Libby Coleman, zrobione na tydzień przed jej zniknięciem.

Dziewczyna miała pulchne, różowe policzki i kręcone włosy, niesięgające ramion. Na zdjęciu nosiła dżinsy i sweter, który nie ukrywał faktu, że jeszcze nie wyrosła z dzieciennego sadelka. Obok niej stał łaciaty, brązowo-biały koń; był osiodłany, trzymała go za cugle. Śmiała się, jej oczy błyszczały, jakby osoba robiąca zdjęcie powiedziała albo zrobiła coś zabawnego. Libby tryskała pogodą i dobrym zdrowiem. Nawet jeśli choć w minimalnym stopniu przeczuwała, co wkrótce ją spotka, na zdjęciu nie było tego widać.

- Podobne: Libby Coleman, biała dziewczynka, w chwili zniknięcia liczyła sobie około dwunastu lat; Susan Ballard, biała dziewczynka, w chwili zniknięcia - jedenaście lat.

- Inne analogie?

- Miejsca porwania dzieliło tylko siedem kilometrów. Do obu doszło tego samego dnia, tyle że w odstępie trzynastu lat.

- Dokładnie tego samego dnia? - upewnił się Will, którego nagle ogarnął prawdziwy niepokój.

- Niech pan sam sprawdzi.

Bez trudu odnalazła formularz biura poszukiwania osób zaginionych i różowym, wypielęgowanym paznokciem stuknęła w odpowiednią rubrykę.

- 15 listopada 1982 - 15 listopada 1995.

- Więc to musi być to.

Zdaniem Willa zbieżność dat przesądzała o wszystkim. Już dawno przestał wierzyć w zbiegi okoliczności.

- Susan i Libby Coleman padły ofiarą tego samego drania.

- Ja też tak przypuszczam.

Zadzwoił telefon. Agentka Rayburn rozmawiała chwilę, po czym odłożyła słuchawkę.

Księżyc myśliwego 303

- Wzywają mnie do laboratorium. Porównują włókna znalezione w sypialni Susan z włóknami ze sprawy Libby Coleman. Chce pan pójść ze mną?

Will pokręcił głową.

- Przejrzę te akta.

- Proszę się czuć u mnie jak u siebie w domu - powiedzia

ła agentka, wzięła kawę i wyszła.

Will skorzystał z zaproszenia, usiadł w fotelu i przerzucił

dokumenty w poszukiwaniu informacji, która pomogłaby zidentyfikować napastnika. Prowadzący śledztwo zostawili w tej rubryce puste miejsce; na podstawie wiadomości, które zgromadzili, Will też by zostawił.

Susan, podobnie jak Libby Coleman rozplynęła się w powietrzu. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś ją porwał. Ale kto?

Tajemniczy zniknięcia Libby Coleman nigdy nie rozwiązano; jej nazwisko nadal widniało na listach osób zaginionych. Była gdzieś, żywa lub martwa. I ten sam świr, który ją porwał, teraz miał Susan.

Will był tego równie pewny jak wschodu słońca.

Zamknął teczkę, wstał i wyszedł z gabinetu, zabierając ją ze sobą. Następnie udał się do biura szeryfa hrabstwa Woodford.

Jak zwykle w chwilach napięcia żołądek dawał mu się we znaki. Will zatrzymał się przy pobliskim barze szybkiej obsługi, żeby kupić mleko, które uspokoi wrzody. Ze ściągniętymi brwiami czekał na resztę. Przez otwarte okienko punktu odbioru jedzenia niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w monitor nad głową sprzedawczynie, na którym wyświetlał się obraz z kamery kontrolującej bar. Podjechał samochód, który odwrócił uwagę dziewczyny. Obok niej na kontuarze czekało mleko, w dłoni ścisnęła pieniądze Willa, który z niecierpliwością patrzył na czarno-biały ekran, podczas gdy następny klient składał zamówienie. Nastoletnia sprzedawczynie dwukrotnie musiała je powtórzyć, zanim dobrze zapamiętała. W końcu podała cenę i klient odjechał od mikrofonu, przy którym składało się zamówienia, znikając też z zasięgu kamery. Objechał budynek i zatrzymał się za Willem.

- Miłego dnia - pożegnała Willa dziewczyna, podając mu mleko i drobne.

Rzucił drobne na deskę rozdzielczą, kciukiem podważył pokrywkę kubeczka z mlekiem i ruszył w drogę. Dopiero gdy wy-304

jechał i zerknął na tablicę z nazwą baru, uświadomił sobie, gdzie był: w „Dairy Queen”, gdzie zginął Howard Lawrence.

Will wypił łyk mleka i skręcił w Versailles Road. Śmierć Lawrence'a nadal nie dawała mu spokoju. Niewyjaśniona zagadka, kolejny zbieg okoliczności, w który nie wierzył. Ale, zmitygował się w duchu, to już nie jego problem. Miał znacznie ważniejsze sprawy na głowie.

Susan zniknęła ponad dwadzieścia cztery godziny temu.

Z tego, czego zdążył się już nauczyć o zaginięciach, wiedział

jedno: czas im się kończy.

•

- Moim zdaniem traci pan czas - oświadczył Willowi zastępca szeryfa, Dennis Hoffman, pół godziny później.

Siedząc w swym brązowym mundurze, z palcami zatkniętymi za pasek, przyglądał się, jak Will przeszukuje czarną, metalową szafkę z aktami z 1982 roku, jedną z wielu w słabo oświetlonej piwnicy-archiwum biura szeryfa. Will szukał przestępstw, naruszeń prawa, wszystkich nietypowych wydarzeń sprzed trzynastu lat, które powtórzyły się obecnie. W samochodzie miał już spis ludności hrabstwa z 1982 roku, zawierający ponad trzydzie

ści tysięcy nazwisk. Oczywiście po wyeliminowaniu nazwisk osób, które się wyprowadziły, zostanie mu zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy.

A to tylko Versailles i bezpośrednie sąsiedztwo. Gdyby rozszerzył poszukiwania o Lexington i Frankfort - z obu tych miast łatwo było tu dojechać - lista wydłużyłaby się do prawie miliona osób.

Żadnych z tych danych nie miał w komputerze.

- Wie pan, co myślę? - odezwał się Hoffman po przerwie, gdy Will, nie podjąwszy tematu, wertował listę włamań.

Co za szczęście, że w Versailles mieszkają tacy praworządni obywatele, pomyślał. Tego typu przestępstw nie było wiele.

- Co? - spytał przez ramię, przechodząc do zabójstw; doliczył się trzech.

- Powinien pan przeświecić jej brata.

- Którego?

- Starszego. Mike'a.

- Czemu?

Teraz już Hoffman zdobył pełną uwagę Willa.

Księżyc myśliwego 305

- Wystarczy uważnie to przemyśleć. Chłopak nie ma alibi na czas, o którym mowa. Wbrew swym poprzednim zapewnieniom, nie był wtedy w domu; co więcej, sam się przyznał, że wyszedł w środku nocy; obraca się w podejrzanych kręgach; dam sobie rękę uciąć, że pali marihuanę albo coś gorszego, chociaż przyznaję, że nie złapałem go na gorącym uczynku. Podejrzewamy, że w okolicy zawiązała się jakaś grupa satanistyczna, rozumie pan: czcicieli szatana. Moim zdaniem, ten Mike i jego kołesie do niej należą. A jeśli wzięli małą do jakichś swoich rytuałów?

- Susan jest jego siostrą. Ten chłopiec ją kocha - odparł Will.

Na żądanie Willa Mike z samego rana zmienił zeznanie. Nie zaskarbił tym sobie sympatii u przedstawicieli lokalnej policji, która przyjęła zgłoszenie Molly o zaginięciu Susan. To oni zlekceważyli zniknięcie dziewczynki, uznając je za ucieczkę.

A podważając ich osąd, agenci federalni dodali oliwy do ognia.

- Fakt pozostaje faktem - pogardliwie parsknął Hoffman. -

Chłopak okłamał nas, policję stanową, a nawet pańskich kumpli z FBI. Powstaje pytanie, czemu kłamał? Co chciał ukryć?

- Bał się, że podpadnie siostrze za wychodzenie w środku nocy. To tylko dzieciak.

- Zły dzieciak.

- Nieprawda. - Samego Willa zaskoczyła gwałtowność jego reakcji. - Mike jest zwykłym, zagubionym nastolatkiem, takim samym jak każdy inny zagubiony nastolatek. I człowiek tylko może się dziwić, jeśli *nie* wpadają w tarapaty.

Hoffman przez chwilę mierzył go wzrokiem w pełnym dezaprobaty milczeniu.

- Racja, chodził pan z jego siostrą, tak? Niezła laska i nie mogę o niej powiedzieć złego słowa, ale radzę panu mieć oko na tego chłoptasia.

Will dziwił się sobie, iż czuje się zaskoczony, że pracownik biura szeryfa wie o jego związku z Molly. Przecież już dawno się przekonał, że w takich małych miasteczkach wszyscy wiedzą o bliźnich wszystko.

Boże, strzeż go przed małymi miasteczkami!

- Mike nie ma żadnego związku ze zniknięciem Susan -

oświadczył zdecydowanie i wrócił do czytania akt.

Hoffman, który dopiero od dziesięciu lat pracował w policji, nie mógł mu służyć żadnymi informacjami o zniknięciu 20. Księżyc myśliwego

306 Xs\ężyc myśliwego

Libby Coleman, więc był bardziej zawadą niż pomocą i Will wolałby, żeby już sobie poszedł.

Właśnie otwierał usta, by posłać tamtego po jakieś wymaginowane akta, kiedy jego wzrok przykuła kolejna teczka:

„Znęcanie się nad zwierzętami”.

Otworzył ją i przejrzał zawartość, a następnie podał zastępcy szeryfa.

-Niech pan spojrz.

Pokazał mu fragment, który przykuł jego uwagę. Hoffman przeczytał, a potem spojrz na Willa spod zmarszczonych brwi.

- Dokładnie to samo, co mamy teraz. Ktoś kaleczył konie wyścigowe.

- Tak - odrzekł Will. - Wie pan, co to znaczy? Że Mikę nie mógł maczać palców ani w okaleczeniach koni, ani w zniknięciu Susan. Bo te same rzeczy działy się w roku 1982, kiedy miał

tylko roczek. Na parę miesięcy przed zniknięciem Libby Coleman ktoś kaleczył konie, dokładnie tak samo jak teraz, przed porwaniem Susan. Wie pan, jakie wnioski mi się nasuwają? Że Susan i Libby porwał ten sam czubek, który dręczył konie.

Zwierzęta stanowią jedynie przygrywkę, nakręca się przed atakiem na dziewczynki.

- Może to zbieg okoliczności - bąknął Hoffman.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

Zastępca szeryfa mierzył go wzrokiem i Lyman niemal widział, jak kółka zębate powoli obracają się w jego głowie.

- Jeśli pan ma rację - odezwał się w końcu. - A proszę zwrócić uwagę, że mówię „jeśli”, to gdzie ten człowiek się podziewał przez ostatnie trzynaście lat?

- Tego nie wiem - przyznał Will. - Proszę mi zrobić listę mieszkańców, którzy zniknęli na ten okres. Wyprowadzili się i teraz wrócili. Albo siedzieli w więzieniu.

- Zajmę się tym - powiedział Hoffman, kręcąc głową. - Ale jedno jest pewne: to będzie cholerna robota.

W 1 zniknął jeszcze przed przybyciem ludzi z ogarami - a ci przyjechali o siódmej. Właśnie wschodziło słońce, gdy Molly wyszła z domu ze swetrem Susan. Opiekunowie psów, Bert i Mary Lundy, poprosili o coś, co dziewczynka niedawno nosiła, żeby psy mogły złapać zapach. Mary Lundy wzięła sweter i razem z mężem wypuścili duże, brązowe psy gończe z furgonetki, pewną ręką przytrzymując je za obroże. Każdemu z ogarów dano do powąchania sweter: zaciągnęły się zapachem i przywarły nosami do ziemi. Mary i Bert szli za psami przytrzymując je, gdy krążyły po domu. Pod krótką, lśniąca sierścią zwierząt prę

żyły się mięśnie. Ballardowie czekali w napięciu, przytuleni do siebie na ganku i obserwowali.

Nagle jeden z ogarów zaczął ujadać.

- Złapały trop! - krzyknął Bert Lundy.

Trzymając psy, wraz z żoną poprowadził policjantów przez zalesiony teren wzdłuż pastwiska. Po paru minutach zniknęli rodzeństwu z oczu.

Tuż po dziesiątej zjawiała się ekipa telewizyjna, a wkrótce po niej reporterzy z lokalnej stacji radiowej oraz gazet. Zniknięcie Susan trafiło nagle do prasy i telewizji; Lydia Shelly, lokalna dziennikarka, spytała Molly, czy chciałaby zaapelować na antenie do porywacza. Po krótkiej naradzie z Ronem Eatonem, Molly się zgodziła.

Kiedy w południowym wydaniu wiadomości oglądała swój apel, zakręciło jej się w głowie. Nieraz już oglądała takie wystąpienia: zrozpaczeni rodzice i krewni błagający o życie dla *308 Xsiężyc myśliwego*

swoich ukochanych dzieci. I żadna z tych spraw nie zakończyła się szczęśliwie; dzieci znajdowano martwe.

Błagam, Boże. Błagam.

Po południu psy nadal tropiły ślad; zjawili się też kolejni ochotnicy do przeszukiwania pól, między innymi J.D., Thornton i Tyler Wylandowie oraz Tom Atkinson z matką. Flora nie wyruszyła na poszukiwania, tylko krzątała się po kuchni. Wkroczyła do domu Molly z gotowym kurczakiem na obiad oraz mocnym postanowieniem nakarmienia każdego, kto tego potrzebował.

Molly była jej wdzięczna za pomoc, choć sama nie mogła się zmusić do jedzenia. Ashley, Mike i Sam musieli się pożywić, a Flora słyngała w okolicy jako świetna kucharka.

Patrząc, jak Sam wgryza się w udko, Molly uśmiechnęła się do pani Atkinson i wyszła na ganek. W oddali widziała poszukiwaczy. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, postanowiła się do nich przyłączyć. Nie wytrzyma w domu, nie potrafi biernie czekać.

Żeberko był żałośnie, zostawiony pod płotem. Molly przeszła przez ogrodzenie. Gdy próbowała odejść, wycie zmieniło się w ujadanie, a potem znowu w skowyt.

- Cicho, Żeberko! - mitygowała psa Molly.

Daremnie usiłował przeskoczyć przez płot. Kiedy weszła na szczyt pagórka, nadal wył, potem straciła go z oczu.

Dzień był chłodny i pogodny. Ubrana w ciepłą kurtkę Ashley, Molly szła ze wzrokiem wbitym w ziemię. Szukała jakiegoś

- choćby najmniejszego - śladu, że Susan przechodziła tędy.

Może jakiś meszek na brunatnej trawie; koszula nocna się mechaciła i często spadały z niej białe kłaczkę. Albo jasny włos.

Albo... Albo... Sama już nie wiedziała. Ponieważ kochała Susan, mogłaby zauważyć coś, co inni przegapili. Miała wrażenie, że miłość zaprowadzi ją do młodszej siostry niczym różdżka do wody.

Proszę, Boże. Błagam.

Nigdy w życiu Molly jeszcze się tyle nie modliła, co przez te trzydzieści sześć godzin.

- Su-san!

Szukający od czasu do czasu wołali dziewczynkę. To samo robili ludzie z drugiej grupy, nieco dalej, a echo niesło nad pastwiskami imię małej. To niemal żałobne, przeciągłe wołanie ścisnęło Molly za serce.

Xsiężyc myśliwego 309

Coś za nią pędziło, jakaś kula mknęła po trawie. Molly usłyszała dudnienie i dostrzegła jakiś ruch kątem oka. Odwróciła się i ujrzała psa.

- Żeberko! - zawołała, gdy zwolnił i już truchcikiem podbiegł do niej.

Dyszał, wywiesiwszy jęzor; łapy i nos miał utyłane w błocie, ale wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

- Podkopałeś się pod płotem? - spytała karcąco, bo Żeberko nieraz już to robił.

Psu nie wolno było wchodzić na teren Farmy Wylanda, żeby nie spłoszył koni, ale teraz zabrano je do stajni, więc raczej nie mógł zrobić nic złego. Molly dla zasady chciała zawrócić go do domu - choć zapewne i tak by nie posłuchał - ale potem zdała sobie sprawę, że nie ma nic przeciwko jego obecności.

Dzięki niemu nie będzie się czuć taka samotna.

- Niech ci będzie, chodźmy - powiedziała do psa.

Zamerdał ogonom, powęszył po trawie i podreptał przy jej boku.

J.D., Wylandowie i pozostali szukający znajdowali się już na drugim końcu pastwiska. Gdy podniosła wzrok, przechodzili właśnie przez kolejny płot. Kierowali się do lasu za stajnią ogierów. Powszechnie się zgadzano, że Susan nie ma na pastwisku. O tej porze roku trawa była już za niska, by się w niej schować. Gdyby zgubiła się na polach, już by ją znaleziono.

Nikt nie powiedział „jej ciało”, lecz Molly zdawała sobie sprawę, że właśnie to mieli na myśli. Gdyby ciało Susan leżało na pastwiskach już by na nie trafili; a jeśli żyła, nie było jej tam.

Błagam, Boże.

Sam będzie zdruzgotany, jeśli Susan nie wróci. Nigdy się nie rozstawał z bliźniaczką, nawet gdy ich zabierano do rodzin zastępczych. Choćby ze względu na niego muszą znaleźć dziewczynkę żywą.

Molly przypomniała sobie sen chłopca z ubiegłej nocy. Mówił, że siostra jest w jakiejś dziurze, w ciemnym miejscu i pragnie wrócić do domu.

Łzy napłynęły jej do oczu. Z trudem opanowała płacz. Oczywiście, że Susan chciała wrócić do domu.

Była w jakiejś dziurze.

Nie z tego, ni z owego Molly przypomniała sobie o studni.

Tej, o którą się potknęła, łamiąc obcas od pantofla Ashley, *310 Xsiężyc myśliwego*

owej nocy, gdy znalazła podstawionego konia. Czy ktoś szukał

w tamtej studni?

Podniosła wzrok i nagle poczuła przyływ energii. Zamierzała przywołać najbliższych uczestników poszukiwań, aby skierować ich w tamtą stronę, lecz byli już na granicy lasu i wyglądali jak małe kropeczki. Mogłaby sobie zedrzeć gardło, a i tak by jej nie usłyszeli.

Postanowiła sama sprawdzić to miejsce. Odwróciwszy się w przeciwnym kierunku, gwizdnięciem przywołała psa, który oddalił się od niej i buszował po pastwisku. Kiedy nie odpowiedział, wzruszyła ramionami. Żeberko sam trafi do domu.

Szybkim krokiem ruszyła do kliniki weterynaryjnej. To będzie dobry punkt orientacyjny, bez niej chyba by nie znalazła studni, która idealnie wtopiła się już w łąkę.

Po dziesięciu minutach ostrego marszu Molly zobaczyła przed sobą budynki. Stała na środku pastwiska, przyglądając się im i usiłując dokładnie sobie przypomnieć, z której strony do nich dotarła tamtej nocy. Rezydencja Wylandów była nieca

ły kilometr dalej, na północ. Obejrzawszy się przez ramię, Molly pomyślała, że wtedy szła przez pastwisko jakieś trzydzieści metrów dalej na lewo.

- Susan!

Molly skierowała się w stronę stodoły, wołając siostrę i bacznie obserwując ziemię po obu stronach. Ale i tak by nie wypatrzyła pokrywy studni, gdyby nie cieniutki, srebrny pa-seczek z buta Ashley.

Został w dołku, przez którym się potknęła. Molly podbiegła do kamiennego kręgu. Pokrywa wyglądała, jakby od lat nikt jej nie ruszał, ale jednak...

- Susan!

Molly włożyła rękę w niewielki otwór i próbowała podwa

żyć kamienną płytę. Pokrywa jednak ważyła z tonę i nawet nie drgnęła.

- Susan! - zawołała dziewczyna, pochylając się jak najniżej.

- Molly!

Męski głos dobiegł z za jej pleców, a nie z głębi studni.

Molly obejrzała się i zobaczyła Tylera Wylanda, który szedł

jej stronę. Widocznie zauważył, że skierowała się w przeciwnym kierunku niż reszta poszukiwaczy i postanowił się do niej *Ksigzyc myśliwego*

311

przyłączyć. Ucieszyła się na jego widok. W tym momencie nawet obecność Thorntona by ją uradowała.

- Co tu robisz? - spytał, podchodząc.

- Właśnie przypominałam sobie o tej studni - odrzekła, prostując się Molly. - Nie mogę podnieść płyty, pomożesz mi?

Stał przy niej, patrząc na kamienny krąg, niemal niewidoczny pod gąbczastą warstwą brunatnej trawy.

- Jak ją znalazłaś? - spytał.

- Potknęłam się o nią tego wieczoru, kiedy wracałam z waszego przyjęcia. Noga uwięzła mi w tej dziurze i złamałam sobie obcas.

- To bardzo źle - odpowiedział Tyler.

Molly spojrzała na niego zniecierpliwiona.

- Może uda ci się ją podważyć. Jeśli wsuniesz tu rękę, będziesz miał punkt zaczepienia. Sama nie udźwignę tej płyty.

Przyklękła obok studni i włożyła rękę w otwór, żeby mu pokazać. Kamień był szorstki i zimny. Przez ciepłą kurtkę Ashley Molly czuła chłód listopadowego popołudnia.

- Płyta waży jakieś sto kilogramów - przyznał Tyler. - Ale nie zasłania studni, tylko wejście do kryjówek. Tutejsi abolicjoniści ukrywali w niej zbiegłych niewolników w czasach „Kolei Podziemnej”.

Molly nie zdążyła spytać, skąd on to wie, bo nagle coś z olbrzymią siłą uderzyło ją w tył czaszki.

Poczuła straszny ból, a potem otoczyły ją ciemności.

Rozdział pięćdziesiąty

Choć Will był pochłonięty poszukiwaniem Susan, nie potrafił

wymazać z pamięci sprawy Howarda Lawrence'a. Coś nie dawało mu spokoju. Dręczyło go poczucie, że coś przegapił, coś bardzo ważnego.

Nie będzie dziś marnował czasu na Lawrence'a. On już nie żyje; a z każdą godziną rosło prawdopodobieństwo, że Susan również. Trzeba ją znaleźć. I to szybko.

Znalezienie związku pomiędzy zaginięciem Susan a porwaniem Libby Coleman stanowiło przełom w sprawie. W ten sposób znacznie zawężono listę podejrzanych. Obecnie grupa policjantów i agentów FBI przeszukiwała wszelkie możliwe akta, sprawdzając nazwiska osób, które wyjechały z okolicy tuż po zniknięciu Libby i powróciły przed ostatnią serią napaści na zwierzęta. Wśród tych ludzi mógł być człowiek, którego szukali.

Takich danych nie było w komputerze, a czas naglił. Szybciej, szybciej, szybciej - ten refren nieustannie dźwięczał

w myślach Willa.

Ale nadal nie potrafił przestać myśleć o śmierci Lawrence'a.

W końcu Will przerwał pracę i wściekły odchylił się w tył

na fotelu. Masując skronie, z zamkniętymi oczami, przestał

wreszcie trzymać swe myśli na wodzy i pozwolił im swobodnie wędrować. Natychmiast pobiegły do Howarda Lawrence'a.

Nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności.

Przy tym założeniu trzeba uznać, że trener został jednak zamordowany. Najbardziej prawdopodobny scenariusz wyglądał

tak: ktoś się zorientował, że Lawrence był informatorem -

o czym świadczy list szantażysty - i dlatego go zabił.

Xsiężyc myśliwego 313

Strzelił mu w skroń w tym samym barze, gdzie Will wstąpił

dziś po mleko.

Dlaczego jednak ni z tego, ni z owego ta sprawa nie dawała mu spokoju?

Czyżby jakoś łączyła się ze zniknięciem Susan?

Will nie dostrzegał żadnego związku, ale już dawno nauczył

się ufać instynktowi. Może wszystko opacznie zrozumiał? Przypuśćmy, że podszedł do sprawy śmierci Lawrence'a od niewła

ściwej strony. Może trener nie zginął dlatego, że był informatorem FBI; może list szantażysty nie miał z tym nic wspólnego.

Może Lawrence zginął dlatego, że wiedział coś o... - nie o Susan, bo wtedy jeszcze nie zniknęła - ale o porwaniu córki Colemanów. Załóżmy, że Lawrence wiedział, co się stało z Libby. A jeśli ta gładka kartka papieru jedynie z odciskami palców trenera nie była wysłana do Lawrence'a, tylko miała wkrótce zostać wysłana przez niego?

I jeśli to Lawrence szantażował porywacza Libby Coleman?

A ten odpowiedział na szantaż, zabijając Lawrence'a.

W barze „Dairy Queen” w Lexington.

Will przypomniał sobie czarno-biały monitor, na którym pojawiali się goście składający zamówienie, i szeroko otworzył

oczy.

Na jednej z tych taśmy powinien przecież być Lawrence.

A może jest tam również jego zabójca?

Jeszcze nie dokończył tej myśli, a już trzymał w ręku słuchawkę. Zanim w końcu połączono go z właścicielem baru i wysłędzono losy kasety z jedenastego października, Will był

już zlany zimny potem. Najbardziej bał się tego, że taśmę już zniszczono albo nagrano na niej coś innego.

Dopisało mu szczęście. Właściciel powiedział, że zwykle taśmy są przechowywane tylko miesiąc,

ale ponieważ w październiku doszło do napadu, wszystkie kasety zostały wysłane do biura policji, by sprawdzić, czy napastnicy wcześniej nie przychodzili do baru.

Czterdzieści pięć minut później Will siedział przed telewizorem w gabinecie na komisariacie policji w Lexington, przewijając taśmę nagraną jedenastego listopada.

Zobaczył Howarda Lawrence'a, który zamawiał cheesebur-gera, krążki cebulowe i koktajl waniliowy. Po nim podjechała kobieta z dwójką dzieci. Potem zjawił się Tyler Wyland w sza-314 Xsiężyc myśliwego

rym volvo, w którym Will nieraz już go widział w okolicach majątku. Zamówił lody z polewą.

Tyler Wyland.

Podobno Wyland nie opuszczał tych okolic - kiedy zniknę

ła Libby Coleman był jeszcze młody, mógł mieć jakieś szesna

ście, siedemnaście lat. Ale zarejestrowała go kamera.

Nie istnieje coś takiego jak zbieg okoliczności.

Kupowanie lodów w „Dairy Queen” nie jest przestępstwem, nawet jeśli mężczyzna, który trochę wcześniej podjechał samochodem, zginął kilka minut później w podejrzanych okolicznościach.

Will nie miał żadnych dowodów ani formalnych podstaw do oskarżenia tego człowieka o cokolwiek.

Miał tylko przecucie. Sięgnął po słuchawkę i polecił sprowadzić Tylera Wylanda na przesłuchanie.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy Molly otworzyła oczy. Nic to nie dało, bo otaczały ją nieprzeniknione ciemności. Wokół unosił się stęchły zapach, było ciemno i zimno, ale cieplej niż na zewnątrz.

Gdzie jest? Co się stało?

Głowa tak ją bolała, że zbierało się jej na mdłości. Poruszy

ła nią ostrożnie, zaciskając z bólu zęby. Leżała na wznak, chyba na jakimś klepisku. Niczego nie widziała, ale miała wrażenie, że znajduje się w sporym, pustym pomieszczeniu.

Susan. Studnia. Wróciły wspomnienia. Molly uświadomiła sobie, że wcale nie jest w studni. Tyler Wyland powiedział, że to kryjówka z czasów „Kolei Podziemnej”, organizacji pomagającej zbiegłym niewolnikom.

Tyler Wyland ogłuszył ją i przyniósł tutaj. Dlaczego?

- Susan? - zawołała drżącym głosem Molly i podparła się, by usiąść.

W głowie jej wirowało. Potrząsnęła nią, licząc, że w ten sposób odzyska jasność myślenia. Popelniła jednak błąd: schwycił ją tak silny ból, że znowu opadła na ziemię, zastanawiając się, czy nie ma wstrząsu mózgu.

- M-Molly?

W pierwszym momencie sądziła, że ma halucynacje. Mimo to jednak spróbowała się podźwignąć. W jej sercu wbrew rozsądkowi obudziła się nadzieja.

- Susan?

- Molly?

- Och, Susan! - Nie zwracając uwagi na ból głowy, Molly zaczęła czołgać się w stronę, skąd dochodził głos. - Susan, Susan!

316

Xsiężyc myśliwego

- Molly?

Nagle znalazła się przy niej Susan, ściskając ją i tuląc się, jakby już nigdy nie zamierzała wypuścić jej z objęć. Molly otoczyła ramionami siostrzyczkę i dziękowała Bogu.

- Molly, więc i ciebie dopadł?

Drżąca Susan z płaczem wtuliła głowę w ramię Molly, która mocno objęła siostrę. Jej początkowa euforia znikła.

Susan wcale nie została odnaleziona, tylko teraz one obie zniknęły.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Czekając na sprowadzenie Tylera Wylanda, Will pojechał do Molly, żeby powiadomić ją o przełomie w śledztwie. Na podjeździe stało tyle samochodów, że musiał zaparkować na trawiastym poboczu po przeciwnej stronie drogi. W domu siedzieli Eaton, Mike, Ashley, Sam i kilkoro sąsiadów. Molly nie było.

Wyszła około godziny temu.

Zapewne chciała przyłączyć się do poszukiwań.

Pani Atkinson podała kurczaka z jarzynami, ale Will grzecznie odmówił. Najlepiej, jak umiał, pocieszył dzieci, dodając im otuchy, choć nie obiecując niczego, czego by nie mógł dotrzymać. Potem wyszedł z domu i bez celu krążył po podjeździe.

Gdzie się podziewa Molly? Czemu tak długo nie sprowadzają Wylanda?

Zabrzączał telefon komórkowy. Will porozmawiał z kapitanem Billem Sperrym z policji w Lexington, po czym znowu schował aparat do kieszeni.

W domu Wylanda i w domu jego siostry czekała policja, ale samego Tylera tam nie było. Podobno wraz z siostrzeńcem przy

łączył się do poszukiwań. Znalaziono tę grupę, jednak wśród osób przeczesujących las też go nie było. Z relacji innych uczestników akcji wynikało, że koło czwartej Tyler Wyland odłączył się od pozostałych i poszedł samotnie przeszukiwać pastwiska.

Od tamtej pory nikt go nie widział.

Była za piętnaście szósta. Zapadał zmierzch, robiło się coraz chłodniej. Poszukiwacze stopniowo rezygnowali. Will wrócił do mieszkania, zamienił parę zdań z dziećmi i z Eatonem, 318

Księżyc myśliwego

po czym podjął swój spacer po podwórku. Choć nie minęła jeszcze szósta, zapadła już ciemność.

Gdzie jest Molly? Powinna dawno wrócić. Szybka rozmowa przez telefon potwierdziła, że wszystkie grupy zeszły już z pastwiska. Nikt nie widział Molly. Czyżby samotnie krążyła po polach? Po ciemku?

Gdzie ten Tyler Wyland?

Wyland nie miał powodu, by zrobić coś Molly. Nawet jeśli to on; Will musiał sobie powtarzać, iż ciągle jeszcze nie ma dowodów, że właśnie ten człowiek jest winny.

Tylko przeczucia po obejrzeniu taśmy z baru.

A instynkt rzadko go mylił. Teraz zaś wrzeszczał pełnym głosem, że Molly dawno powinna była wrócić do domu.

Gdzie ona jest? Will podszedł do płotu i przeczesywał wzrokiem pastwisko. W ciemnościach nie zobaczył wiele. Tylko cienie tańczące na trawach, a w oddali szarą linię wzgórz i drzew, rysującą się na wieczornym niebie.

Na horyzoncie wschodził księżyc - żółty, wielki, okrągły jak piłka. Księżyc myśliwego, jak go tu nazywają.

Molly powinna być już w domu, chyba że coś się stało, Will był

o tym przekonany. Po prostu wiedział. A gdy sobie przypominał, jak tamtego wieczoru w klinice weterynaryjnej poszła zbadać źródło odgłosów, choć każdy normalny człowiek na jej miejscu zwałby, gdzie pieprz rośnie, ogarnął go prawdziwy niepokój.

A jeśli ta dziewczyna znalazła coś, co ją doprowadziło do Susan? A jeśli Tyler znalazł Molly tam, gdzie nie powinna przebywać?

Było już ciemno, wszyscy poszukiwacze już wrócili, tylko Molly i Tyler Wyland nadal się nie pojawiali.

Nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności.

Will czuł, że krew krzepnie mu w żyłach. Wyciągnął z kieszeni telefon i wystukał numer posterunku w Lexington. Mają z powrotem wypuścić ogary. Natychmiast.

Poszukiwania Susan nic nie dały, psy wychwyciły tylko stary trop, który doprowadził policję do domu koleżanki dziewczynki.

Oczywiście należało się spodziewać, że porywacz niósł Susan tamtej nocy. Przynajmniej psy udowodniły, że potrafią znaleźć ślad. W takim razie niech wywęszą ślad Molly. Bezzwłocznie.

Parę minut później oddzwonił Matthews. Ogary właśnie pojechały na wystawę w Zachodniej Wirginii. Dotrą tu z nimi *Księżyc myśliwego*

319

najwcześniej jutro rano. Zorientuje się, czy nie można ściągnąć innej pary psów z okolicznych hrabstw.

Will rzucił do słuchawki parę soczystych słów i się rozłączył.

Na myśl, że być może Molly znalazła się również w gronie osób, które zniknęły bez śladu, poczuł dreszcz przerażenia. Nie przeżyłby, gdyby po raz kolejny stracił ukochaną kobietę.

Właśnie wtedy Will zaakceptował prawdę, której nie chciał

do siebie dopuścić przez ostatnią dobę: kochał Molly. Tak bardzo, że jego samego to przerażało. Na samą myśl, że ktoś mógłby ją skrzywdzić, pałał żądzą mordu. I oszaleje, jeśli Molly się nie znajdzie - lub jeśli znajdą ją martwą. Teraz już mógł przyznać się przed sobą jak bardzo ją kocha. Zacisnął ręce na najwyższej desce ogrodzenia i zamknął oczy.

Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął już nigdy się nie rozstawać z Molly.

Z zamyślenia wyrwało go szczekanie. Zobaczył pędzącego w jego stronę psa.

- Co ty tu robisz? - powiedział do psa, gdy Żeberko dobiegł do ogrodzenia.

Zwierzak wspiął się na tylne łapy, przednie oparł o najwyższą belkę i ujadął. Will nigdy jeszcze nie widział go na pastwisku Farmy Wylanda. Wiedział, że pies nie potrafiłby przeskoczyć ogrodzenia.

- Gdzieś ty się podziewał? - zwrócił się do niego groźnie.

Żeberko opadł na cztery łapy i dalej ujadał. Will dostrzegł, że pies szczekając, zbliża się i oddala od płotu.

Czyżby Żeberko poszedł z Molly? Czyżby wiedział, gdzie ona jest?

Po raz kolejny idąc za głosem instynktu, Will przesadził

ogrodzenie i ruszył za psem.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci Na odgłos cichego chrzęstu Susan znieruchomiała w objęciach Molly.

- Idzie - szepnęła, trzęsąc się ze strachu. - Och, Molly, ja się wcisnę w szczelinę, ale ty...

Jakieś cztery metry w lewo od nich rozbłysło światło latarki. Oświetliło z góry kamienny szyb o obwodzie mniej więcej półtora metra. Żelazne pręty niczym więzienna krata oddziela

ły dużą jamę od szybu, który - jak przypuszczała Molly - prowadził do kamiennej płyty.

Znowu rozległ się chrzęst, a potem odgłos kroków. Dziewczyna patrzyła, jak pojawiają się przed nią najpierw czarne buty, potem zaś szczupłe nogi w dżinsach. Zauważyła, że w szybie by

ły metalowe pręty, służące za drabinę. Mężczyzna właśnie po ich schodził.

Siostra zadrżała w jej ramionach.

- Jeśli masz jakąś kryjówkę, schowaj się - szepnęła Molly, puszczając dziewczynkę.

Susan zawahała się przez moment, a potem rozpląnęła w mroku. Molly położyła się znowu, udając nieprzytomną.

Ze strachu zwilgotniały jej palce, a w gardle miała zupełnie sucho. Nasłuchiwała stukania metalu o metal. Zerkając spod przymkniętych powiek, patrzyła, jak mężczyzna wsuwa klucz do zamkniętych drzwi. Krata niemal bezszelestnie otworzyła się do wewnątrz - widocznie zawiasy były dobrze naoliwione. I to niedawno.

Zrobiono to zapewne w ramach przygotowań do porwania Susan.

Xsiężyc myśliwego _ 321

Molly uświadomiła sobie, że dla tych, którzy zostali tam na górze, zniknęła, dokładnie tak samo jak jej siostra. Będą jej szukać. Will będzie jej szukać.

Ale nie znaleźli Susan. A wcześniej nie znaleźli Libby Coleman.

Mogą szukać następne trzynaście lat i nie znajdą tego miejsca. Musiała zdławić wszechogarniający strach. Nie może teraz ulec panice. Musi leżeć nieruchomo, z rozchylonymi ustami.

Wciągać powietrze i wypuszczać. Wciągać i wypuszczać...

Latarka zaświeciła jej prosto w twarz. Dziewczyna z trudem się powstrzymała, by nie zmrużyć oczu.

- Nie przyszedłeś pomóc siostrze, Susan? - spytał z wyrzutem Tyler Wyland, kierując snop światła na ścianę za Molly. - Jest ranna w głowę, potrzebuje cię,

Susan nic nie odpowiedziała. Niezależnie od tego, gdzie się schowała - mówiła coś o szczelinie - Wyland zapewne nie mógł

jej stamtąd wyciągnąć. Może właśnie temu zawdzięczała życie. Ale nie może tam tkwić wiecznie. Umrze tak samo, jak umarłaby, gdyby tu pozostała - tyle że z innego powodu.

I nikt się o tym nie dowie.

- Skoro jest tu Molly, pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać - odezwał się mężczyzna, nadal kierując latarkę na tamtą ścianę. - Wierz mi, nie chcę skrzywdzić żadnej z was.

Gadaj zdrow, pomyślała Molly, modląc się, by siostrzyczka miała dość rozumu i nie dała się na to nabrać. Tyler na pewno ich nie wypuści. Porwanie byłoby na samym końcu listy przestępstw, o które by go oskarżono.

Nagle znowu omiół ją snop światła latarki. Od blasku, który przenikał przez zamknięte powieki Molly, pulsujący ból w czaszce stał się jeszcze silniejszy. Starła się oddychać równomiernie, podczas gdy Tyler przykucnął obok niej i ciepłymi palcami dotknął jej twarzy.

Żołądek ścisnął jej się z przerażenia.

Mężczyzna ujął jej lewą rękę. Ruch był tak nieoczekiwany, że Molly musiała się skoncentrować, by udawać, że dłoń zwisa bezwładnie. Poczowała na nadgarstku chłodny dotyk metalu, usłyszała trzask i zrozumiała, że Wyland zakuł ją w kajdanki.

Dopiero wtedy ogarnęła ją panika i desperacja.

Skuta i bezradna, nie pomoże ani sobie, ani Susan.

21. Księżyc myśliwego

322 księżyc myśliwego

Sięgnął po jej prawą rękę. Teraz albo nigdy. Molly poderwała się z ziemi z piskiem, który ogłuszyłby nawet na otwartej przestrzeni. Tutaj, w zamknięciu, odbijał się o ściany, wzmocniony po tysiącokroć. Kiedy mężczyzna odskoczył zaskoczony, Molly posłała mu prawy sierpowy prosto w nos. Czowała, jak od uderzenia pęka kość.

Susan wrzasnęła przerażona, gdy Tyler, zataczając się i wyjąc z bólu, cofnął się z ręką przyciśniętą do twarzy. Latarka upadła na klepisko. Molly rzuciła się po nią, złapała i wyłączyła.

Pogrążyły ich ciemności, w których brzmiało tylko echo krzyków.

- Zabiję cię, suko!

Gardłowe rżenie zupełnie nie przypominało zwykłego głosu Tylera Wylanda. Serce zamarło w niej z przerażenia, gdy sobie uświadomiła, że ten człowiek poluje na nią, przeczesując rękami powietrze. Po jego chrapliwym oddechu domyślała się, gdzie jest, i z latarką w ręku pełzła po zimnym klepisku, starając się, by nic nie szeleściło. Kajdanki przykute do lewej ręki, z metalicznym dźwiękiem zawadziły o kamień. Po plecach Molly przebiegł dreszcz paniki. Błyskawicznie wsunęła w rękaw zwisające kółko i przetoczyła się, zmieniając położenie o dziewięćdziesiąt stopni.

Wyland z głuchym rykiem rzucił się tam, skąd dobiegł go brzęk, i zaklął, kiedy jej nie znalazł.

Molly zderzyła się ze ścianą i przez chwilę siedziała bez ruchu, próbując zapanować nad sobą. Znajdzie ją, jeśli usłyszy jej przyśpieszony oddech.

Ale i tak długo nie zdoła przed nim uciekać. Co prawda pomieszczenie było dość duże - jakieś sześć na osiem metrów -

ale droga ucieczki wiodła wyłącznie przez metalowe drzwi i po drabinie. Nawet gdyby się to Molly udało, musiałaby jeszcze podnieść stukilogramową płytę, dzielącą ją od wolności.

A tego nie da rady zrobić.

Serce biło jej jak szalone.

Mężczyzna usiłował teraz zachowywać się bardzo cicho i poruszał się w ciemnościach bezszelestnie. Molly zamarła w bezruchu i wyęzając słuch, próbowała odgadnąć, gdzie jest napastnik, a równocześnie starała się coś wymyślić.

Ale co robić? - pomyślała zrozpaczona. Przecież nie poradzi sobie z Tylerem Wylandem. Nie był szczególnie silny, ale *Xsiężyc myśliwego 323*

wyższy od niej i mimo smukłej sylwetki, mocno umięśniony.

Tamto uderzenie okazało się takie skuteczne dzięki elementowi zaskoczenia. Teraz jednak czuła się bezradna.

- Pamiętasz klacz, Molly?

Na dźwięk głosu dobiegającego z ciemności włosy zjeżyły jej się na karku. Mężczyzna krążył po obwodzie pomieszczenia.

Molly przesunęła się na środek, usiłując zachować swą minimalną przewagę. Piszcząc z przerażenia, przyśpieszyłaby swój koniec.

- Pamiętasz Sheilę? Pamiętasz, co jej zrobiłem?

Nagle pojęła wszystko z przerażającą jasnością: to Tyler Wyland kaleczył konie. Zachłysnęła się głośno, lecz natychmiast nad sobą zapanowała i przetoczyła się w lewo.

Rzucił się tuż obok niej i natrafił tylko na powietrze. Nagle wybuchnął śmiechem, ostrym, przerażającym. Tak jakby zaczynała mu się podobać ta zabawa. Jakby się rozkoszował polowaniem.

- Pamiętasz, co jej zrobiłem? To samo zrobię z tobą. I z Susan.

Ale jej pozwolę jeszcze trochę pożyć. To taka przyjemność kaleczyć małe dziewczynki. Wiedziałaś o tym? Ale ty... ty umrzesz jeszcze dziś. To tylko kwestia czasu. Złapię cię, a wtedy...

Opis tego, co robi, był tak straszny, że Molly starała się nie słuchać. Miotał się teraz po kryjówce, raz w jeden róg, raz w drugi, wracał na środek - a wszystko to odbywało się bardzo szybko. Molly toczyła się, czołgała i pełzała po klepisku, z trudem mu uciekając. Serce waliło jej jak młotem, koszmarny ból głowy sprawiał, że z trudem zbierała myśli. Susan płaka

ła; Molly słyszała urywany szloch dziewczynki.

Ale najważniejsze, że pomimo wszystko w tym momencie mała była bezpieczna.

Molly leżała wtulona w mur; Tyler minął ją tak blisko, że czuła na ramieniu muśnięcie jego buta. Ruszył dalej. Odetchnęła cichutko i zaczęła pełznąć do tyłu, z brzuchem przyci

śniętym do ziemi. Nagle rzucił się na nią ze świstem powietrza. Kolanem przygniótł jej plecy, ramieniem otoczył szyję.

Krzyknęła przerażona.

- Mam cię, mam cię, mam cię! - wrzeszczał triumfalnie, mocniej zaciskając ramię, aż Molly zaczęła się dławić i krztusić.

Szarpała się, ale chwycił ją za włosy i uderzył jej czołem o twarde klepisko. Już drugi raz tego dnia Molly zobaczyła *324 Xsiężyc myśliwego*

gwiazdy. Parę sekund później była zakuta w kajdanki, a mężczyzna świecił jej latarką w oczy.

- Molly! - krzyknęła Susan z kryjówki.

- Nie wychodź, Susan! - zawołała rozpaczliwie Molly.

Tamten wiązał jej nogi sznurem, który widocznie przyniósł

ze sobą. Uprzytomniła sobie, że dopiero teraz zaczyna się prawdziwy koszmar.

- Rzeczywiście, Susan, nie wychodź - zgodził się Tyler, wlokąc Molly i sadzając ją pod ścianą. - Stąd też będziesz mogła widzieć, co robię z twoją siostrą.

Postawił latarkę pod przeciwległą ścianą. Molly dostrzegła coś białego, a potem zobaczyła Susan wciśniętą w głęboką szczelinę w ścianie. Pełne przerażenia oczy malej zabłyśły, gdy mężczyzna poświecił po nich latarką. Molly zobaczyła przed sobą jakby pięść.

- Nie patrz, Susan - rozkazała siostrze.

Wyland wepchnął jej w usta knebel.

- Żeby mnie nie rozboleły uszy od twoich wrzasków - wyja

śnił z upiornym uśmiechem.

Po uderzeniu Molly z nosa płynęła mu krew. Gdyby nawet wziąć poprawkę na tę krew i zmieniające wszystko światło latarki, jego twarz wyglądała inaczej. Oczy miał wielkie, błyszczące, czarne, zamiast brązowych. Czoło mu się zmarszczyło, a brwi ściągnęły tak, że się stykały nad nosem. Na policzkach Tylera widać było głębokie bruzdy, których Molly nigdy przedtem nie dostrzegła. Dyszał ciężko. Molly zrozumiała, że widzi przed sobą szaleńca i zaczęła się trząść.

Siedziała pod ścianą, z rękami skutymi za plecami, z nogami związanymi w kolanach i kostkach. Wyland kucnął obok, tak ustawiając latarkę, żeby całe światło padało na Molly.

Uświadomiła sobie, że on naprawdę chce, by Susan widziała wszystko, co jej robi. Pewnie zamierzał w ten sposób jeszcze bardziej przestraszyć dziewczynkę.

Ona sama już była przerażona. Mogła tylko patrzeć bezsilnie, jak ich oprawca sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął

długi nóż o srebrzystym ostrzu.

- To będzie bolało - uprzedził cicho, przysuwając ostrze do jej szyi.

Xsiężyc myśliwego ___ 325

Susan zaczęła krzyczeć.

Molly zamknęła oczy, modląc się w duchu. Nóż opadł na kurtkę, a potem dalej w dół. Uświadomiła sobie, że Tyler przecina jej ubranie.

- Nie ruszać się!

Ten okrzyk zagłuszył pisk Susan i sprawił, że Molly się obejrzała. Na klepisku pod szybem stał Will. W wyprostowanych rękach trzymał pistolet i mierzył prosto w głowę szaleńca.

Tyler rzucił się za Molly, zgiętym ramieniem otoczył jej cia

ło i powlókł przed sobą jak tarczę. Czowała ostry czubek noża wbijający się w miękkie zagłębienie tuż pod uchem. Podciągnął ją do pozycji stojącej.

- Odetnę jej głowę! - zapowiedział Wyland.

Susan przestała krzyczeć i w pomieszczeniu rozległo się już tylko echo. Will stał z twarzą, zaciętą twarzą. Pistolet nawet mu nie drgnął.

- Susan! - zawołał. - Chodź do mnie!

Wysunęła się z kryjówki i ze szlochem, rzuciwszy pełne przerażenia spojrzenie na Molly, popędziła do Willa.

- Już wszystko dobrze - powiedział, przesuwając ją za siebie i nawet na moment nie spuszczał wzroku z tamtych dwojga. - Uciekaj stąd.

Popchnął ją w kierunku drabiny. Dziewczynka spojrzała jeszcze na siostrę i zaczęła się wspinać.

Głosy, które rozległy się na górze, gdy Susan wyszła na powierzchnię, powiedziały Molly - i Wylandowi najwyraźniej też

- że Will nie jest sam.

- Odłóż nóż - odezwał się spokojnie do szaleńca. - Obiecuję, że nic ci się nie stanie.

Molly czuła zapach strachu trzymającego ją mocno mężczyzny. W nos uderzył ją kwaskowaty odór, gdy Tyler zaczął się pocić. Oddychał szybko, zaciskając ramię na jej szyi, ręka, trzymająca nóż na tętnicy, drżała.

- Nie uciekniesz - mówił dalej Will, nadal pewną ręką mierząc w jego głowę. - Odłóż nóż.

- Skoro i tak nie ucieknę, to nie mam nic do stracenia -

odezwał się Wyland zupełnie normalnym głosem.

Błyskawicznym ruchem dłoni przesunął ostrze na szyję Molly.

326 Xsiężyc myśliwego

Bum! Rozległ się huk wystrzału. Molly runęła na kolana, uderzając głową w klepisko. Natychmiast znalazł się przy niej Will, podnosząc ją drżącymi z przerażenia rękami.

- Molly, o Boże, Molly! - powiedział, wyciągając jej z ust szmatę i przyciskając ją do szyi w miejscu, gdzie, jak się domyślała, płynęła krew.

Nie czuła bólu, a nawet strachu. Było jej tylko zimno, strasznie zimno. Drżała w ramionach Willa.

- Ściągnijcie tu lekarzy! - ryknął chrapliwym z przerażenia głosem.

W pomieszczeniu zaroilo się nagle od ludzi, którzy pochyłali się i zabierali ją od Willa.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała Molly, był jakiś obcy człowiek, który klęknął przy niej i wbił jej w ramię igłę.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty 18 listopada 1995

Odnalazłszy Susan i Molly, znaleźli też Libby Coleman. Jej szczątki w resztkach białej sukienki do tańca leżały pod płytką warstwą ziemi w kryjówce Tylera. Później otrzymali również odpowiedź na pytanie, które nie dawało Willowi spokoju: skoro Tyler Wyland cały czas tutaj mieszkał, to dlaczego w ciągu tych trzynastu lat nie szukał innych ofiar.

Do oddziału FBI w Lexington zadzwoniła pewna kobieta.

Ponieważ Will nadal był w szpitalu z Molly, pracownicy przełączyli rozmowę na jego telefon komórkowy. Dzwoniąca przedstawiła się jak Sarah Wyland, matka Tylera. Telefonowała ze Szwajcarii. Na początku rozmowy funkcjonariusz, z którym pierwotnie połączono panią Wyland, powiadomił ją, że syn nie żyje, nie zrobiło to jednak na niej wrażenia. Oświadczyła, że zobaczyła w wiadomościach CNN informację o zaginięciu dziewczynki i uznała, że czas przerwać milczenie.

- Będziemy wdzięczni za wszelkie informacje, które pozwolą nam zrozumieć, co się stało, pani Wyland - odezwał się do telefonu Will.

W Lexington dochodziła czwarta nad ranem. Bóg jeden wie, która godzina była w Gstaad, skąd - jak powiedziała Sarah -

dzwoniła, gdy Will drzemał w fotelu przy łóżku Molly. Podniósł

się i przeszedł w kąt pokoju. Co prawda odgłosy rozmowy pewnie i tak by jej nie przeszkadzały, gdyż była pod wpływem silnego środka przeciwbólowego i spała jak anioł.

Will zatrzymał wzrok na bandażu na szyi dziewczyny i poczuł pieczenie w żołądku. Tak niewiele brakowało, by napraw-328 Księżyc myśliwego

dę stała się aniołem, że nadal na samą myśl o tym ogarniało go przerażenie.

Dzięki Bogu, że zdążył w ostatniej chwili. Dzięki Bogu, że Żeberko doprowadził go do dziury i że Will miał przy sobie telefon komórkowy, więc mógł sprowadzić posiłki. Dzięki Bogu, że krzyki Susan zagłuszyły jego zejście po drabinie i skok na pod

łogę. Dzięki Bogu, że strzelił wtedy, a nie w innym momencie i że ręka mu nie zadrżała.

Dzięki Bogu, kropka.

Pani Wyland zaczęła opowiadać. Mówiła, że w dzieciństwie Tyler znęcał się nad zwierzętami domowymi i zabijał je w okrutny sposób. Podrósłszy, dręczył zwierzęta na farmie, w końcu przyszedł czas na konie. Zaniepokojona owymi dziwnymi, jak się wyraziła „skłonnościami”, poprosiła męża, by zwrócili się do lekarza. John Wyland odmówił. Oświadczył, że nie życzy sobie, by ich nazwisko zyskało wątpliwy rozgłos w związku z tą sprawą i ograniczył się do chłosty. To oczywiście nie

pomogło.

Kiedy zniknęła dziewczynka - pierwsza dziewczynka, Libby Coleman, córka zaprzyjaźnionych sąsiadów - Sarah Wyland początkowo nie podejrzewała syna. Zaniepokoiła się dopiero gdy jeden z pracowników, Howard Lawrence - tak, ten sam który potem trenował konie u Cloverlotów - nie wiedziała, że nie żyje - znalazł na pastwisku białą kokardę i przyniósł jej do domu. Rozpoznała wstążkę, gdyż wszędzie podawano dokładne informacje o zaginięciu Libby Coleman, a także opisywano szczegółowo ubranie, jakie wtedy na sobie miała. Gdy powiedziała Tylerowi o swych podejrzeniach, chłopak się przyznał.

Sarah Wyland udała się do męża, żądając, by zadzwonić po policję. Nie zgodził się i uparł, że zatuszują sprawę.

Sarah Wyland nie zgadzała się z nim, ale nie mogła wystąpić przeciwko własnemu mężowi. Howard Lawrence otrzymał

znaczną kwotę za zachowanie w tajemnicy sprawy wstążki, Tyler zaś otrzymywał leki: comiesięczny zastrzyk, który go wyciszał. Mąż postarał się o receptę na ten środek, twierdząc, że potrzebuje go dla agresywnego konia. Osobiście wstrzykiwał

synowi lekarstwo. Nie odczuwając pożądania seksualnego, chłopak nie stanowił zagrożenia.

Rok później, nie mogąc dłużej żyć w takim napięciu, Sarah Wyland rozwiodła się z mężem, wyjechała z kraju i nigdy do Ameryki nie wróciła.

Xsigzyc myśliwego 329

Otrzymawszy wiadomość o śmierci męża, obawiała się, że wszystko się zacznie od nowa. Oczywiście, Tyler sam mógł sobie robić zastrzyki, ale podejrzewała, że nie będzie chciał. Tylko dlatego, że ojciec zagroził mu policją, w ogóle zgodził się przyjmować lekarstwo. Kiedy zobaczyła w CNN informację o zaginięciu drugiego dziecka, zrozumiała, że jej lęk był uzasadniony.

Tak więc natychmiast zadzwoniła do FBI. Dzięki Bogu, tym razem dziecko udało się uratować, choć interwencja Sarah Wyland była spóźniona.

Także dla Howarda Lawrence'a. Jeśli istotnie trener szantażował Tylera, to musiał to robić od niedawna. Inaczej młody Wyland powiedziałby o tym ojcu, a John czegoś takiego by nie tolerował. Najprawdopodobniej ciche wypłaty, podobnie jak zastrzyki dla syna, skończyły się wraz ze śmiercią Johna Wylanda. Wszak trudno zostawiać w testamencie takie polecenie.

Skończywszy rozmowę, Will przez chwilę patrzył na słuchawkę i kręcił głową. Przez tyle lat Colemanowie szaleli z niepokoju i oplakiwali córkę, a ich przyjaciele i sąsiedzi ukrywali przed nimi prawdę.

Przeżywszy koszmar zniknięcia najpierw Susan, a potem Molly, Will w pełni solidaryzował się z rodzicami Libby. Teraz doskonale rozumiał, jak straszny jest taki ból.

Wsunął telefon do kieszeni i wrócił na miejsce przy łóżku dziewczyny. Molly podłączona była do kroplówki. Jej ramiona, przysłonięte krótkimi rękawami zielonej, szpitalnej koszuli, leżały bezwładnie na starannie wygładzonym, beżowym kocu. Ciemnobrązowe, potargane włosy otaczały jej głowę. Twarz miała niemal równie bladą jak białe prześcieradła. Oddycha

ła przez rozchylone usta - zwykle różane, teraz zaledwie różowawe. Czarne rzęsy rzucały długie cienie na policzki. Pierś spokojnie unosiła się i opadała w oddechu.

Will ujął przelewającą się rękę dziewczyny. Ku jego zaskoczeniu Molly otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Will... - powiedziała z uśmiechem.

W tej samej chwili zrozumiał, że kocha ją jak nikogo na świecie. Potem zamknęła oczy i znowu zapadła w sen.

Will długo jeszcze tak stał, trzymając ją za rękę.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

O jedenastej wieczorem w domu została już tylko cała rodzina Ballardów z Willem. O drugiej po południu Molly i Susan wypuszczono ze szpitala. Susan zatrzymano na obserwację, choć, jak stwierdził lekarz, wystarczy jej tylko solidny posiłek i dobrze przespana noc. Molly leczono z szoku, dostała miejscowy antybiotyk w miejscu zdarcia skóry, założono jej opatrunek na czoło i pięć szwów pod uchem. Lekarz, który zszyl

ranę, powiedział, że gdyby ostrze weszło pół centymetra głębiej, Molly już by nie żyła.

Tyler Wyland nie żył. W ostatniej chwili, gdy próbował już poderżnąć swej ofierze gardło, Will odstrzelił mu pół głowy.

Ale Molly nie zamierzała o tym myśleć. Leżała na kanapie w swej koszulce z napisem „Rano na mnie nie licz!”, opatulona w koc, z poduszką pod głową, i oglądała końcówkę serialu. Na podłodze obok, oparty o kanapę siedział Will, rękami obejmując kolana. U stóp Molly zwinęła się Susan, Sam i Mike rozwalili się na podłodze, Ashley zaś zajęła fotel. Żeberko, jak to miał w zwyczaju, chrapał pod drzwiami kuchennymi.

Prawdziwie sielska, rodzinna scenka. Wszyscy Ballardowie byli w piżamach, Will miał na sobie dres. Molly powiodła wzrokiem po wpatrzonych w ekran twarzach i serce jej wypełniła radość i ulga.

Dziękuję Ci, Boże, modliła się w duchu, niezliczony już raz od chwili, gdy się przebudziła w szpitalu. Sielankę psuła tylko myśl, że Will nie należy do rodziny. W poniedziałek miał wrócić do Chicago.

Ale na ten jeden wieczór Molly postanowiła o tym zapomnieć.

Na ekranie pojawiły się końcowe napisy. Will wstał i wyłączył telewizor.

- Do łóżek! - powiedział rozkazującym tonem.

- Dziś jest sobota! - zaprotestował Mike, odwrócił się na plecy i usiadł.

- Właśnie! Jest jeszcze wcześniej! - zawtórował mu młodszy brat.

Ashley ziewnęła i wstała.

- Jestem zmęczona - oznajmiła, patrząc znacząco na Sama.

- Ja też - oświadczyła Susan, wygrzebując się z gniazdka na kanapie i posyłając bratu karcące spojrzenie. - Chodźmy, Sam.

- Wybijcie sobie z głowy... - zaczął z oburzeniem Mike, ale napotkał wzrok Willa .

Ponieważ ten siedział plecami do niej, Molly nie widziała jego wyrazu twarzy, lecz Mike przerwał w pół słowa i wstał

z podłogi.

- Niech wam będzie!

Zdumiona Molly patrzyła, jak rodzeństwo bez dalszych protestów karnie wymaszerowuje z pokoju.

- Jak to zrobiłeś? - spytała z podziwem.

- Po prostu potrafiać uznać wyższość prawdziwego autorytetu - odrzekł, stając przy niej. - Jak się czujesz?

- Świetnie - powiedziała z uśmiechem.

Will spoważniał nagle i Molly zastanawiała się, o czym my

ślał. Wyciągnęła rękę, ujęła jego dłoń i lekko ją uściśniła, zachęcając, by się do niej przysiadł.

- Napędziłaś mi potwornego stracha, wiesz? - odezwał się, stojąc. - Kiedy sobie uświadomiłem, że mogę cię nie znaleźć, omal nie dostałem ataku serca.

- Nie wiedziałam, że tyle dla ciebie znaczę - zaświergotała Molly, kokieteryjnie trzepocząc rzęsami,

- Znaczysz - odparł Will bez uśmiechu. -1 to aż za dużo.

Twarcz miał ponurą; Molly wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Czy coś się stało?

Puściła jego dłoń i usiadła. Will popatrzył na nią, otworzył usta, zamknął, znowu otworzył, po czym przeszedł się po pokoju.

332 Księżyc myśliwego

- Co się stało? - dopytywała się Molly, na dobre zaniepokojona.

Znowu stanął przy niej i zobaczyła na jego policzkach dwie czerwone plamy.

- Molly - zaczął mówić i ponownie umilkł. - Nie jestem w tym dobry.

- Chcesz powiedzieć, że wyjeżdżasz już jutro?

Na samą myśl o tym żołądek jej się ścisnął. Wcześniej Will obiecywał, że zostanie na weekend, ale widocznie coś mu wypadło. Może chodziło o syna, a może to praca. Molly nie chcia

ła się z nim rozstawać. Ani jutro, ani w poniedziałek, ani nigdy. Ale on, oczywiście, pojedzie. Była głupia, udając przez te parę ostatnich godzin, że Will należy do niej.

Nie odpowiedział, tylko usiadł obok niej na kanapie. Wziął

Molly za rękę, trzymał ją w dłoniach i wodził kciukiem po drobnych nadgarstkach. Wpatrywał się w dziewczynę z napięciem. W końcu głęboko wciągnął powietrze.

- Cholera - powiedział. - Próbuję ci się oświadczyć.

Molly wpatrywała się w niego oszołomiona.

- Co? - wykrztusiła.

- Słyszałaś.

Teraz już oblał się rumieńcem po same uszy.

- Prosisz mnie o rękę?

- Tak - burknął.

Molly spojrzała na niego, na tę stanowczą, przystojną twarz, silny kark, szerokie ramiona i opalone, smukłe palce, trzymające jej bladą dłoń, na krótkie, jasne włosy i intensywnie niebieskie oczy.

- Tak - odpowiedziała, zarzucając mu ręce na szyję. - Tak, tak, tak, tak, tak!

- Hura!

Ten okrzyk wyrwał się z ust Sama, ale cała czwórka jej rodzeństwa wpadła do pokoju, krzycząc i klepiąc się po plecach.

Will, który właśnie całował Molly, podniósł głowę.

- Mówiłem, że potrzebuję do tego spokoju - warknął.

- Hej, przecież daliśmy ci spokój - oświadczył Mike z uśmiechem. - Molly cię przyjęła!

- Wiedziałam - zaszcebiotała Ashley, różowa z przejęcia.

Zarzuciwszy ręce na szyję Willowi, który obejmował ją w talii, Molly posłała siostrze promienny uśmiech.

Xsiężyc myśliwego 333

- Jeszcze nie skończyłem - odparł Will. - Jazda do łóżek.

- Przecież Molly się zgodziła!

Podeszła do nich Susan w niebieskiej koszuli z koronką przy szyi i na dole. Była w siódmym niebie i taka podniecona, że nie mogła ustać w miejscu. Tuż za Susan przydreptał Sam.

- Czy naprawdę trzeba się całować przy zaręczynach? - spytał z odrazą, mierząc wzrokiem splecioną w uścisku parę.

- Właśnie na tym to polega, głupku - oświadczył Mike, dając mu kuksańca. - Chcą się całować. Inaczej by się nie pobierali.

- Ohyda - skonstatował Sam, kręcąc głową.

- Błagam, czy choć raz możecie iść do łóżek? - jęknął Will.

- Zbieramy się - rozkazała Ashley, kładąc jedną rękę na ramieniu Susan, a drugą na rękawie Sama. - Skoro już znamy wynik, możemy ich zostawić.

- Dzięki, Ashley - powiedział Will.

- Dobranoc, rodzinko! - zawołała za nimi Molly z uśmiechem, gdy siostra opuszczała pokój, popychając bliźnięta, za którymi ruszył też i Mike.

Kiedy już na dobre wyszli, spojrzała na Willa.

- Wiesz, że to swego rodzaju transakcja wiązana - odezwa

ła się przeproszającym tonem.

- Wiem - zapewnił ją z uśmiechem. - Dlatego najpierw ich spytałem, co o tym sądzą. Wszyscy byli

za.

- Spytałeś ich?

- Dzisiaj w szpitalu. Wiedzieli, że dziś ci się oświadczę. Jak inaczej udałoby mi się tak łatwo zagonić ich do łóżek?

- Lubią cię - powiedziała Molly, uśmiechając się do niego.

-1 ja cię lubię.

- Tylko lubisz?

- Nie - poprawiła się zdecydowanym głosem. - Kocham cię.

Prawdziwie. Do szaleństwa. Głęboko.

- Ja też cię kocham - odrzekł Will i znowu ją pocałował.

Rozdział pięćdziesiąty szósty 20 listopada 1995

Był poniedziałek. Will większość dnia spędził, zamykając niepozałatwiane sprawy. Doszedł do wniosku, że przenoszenie nowej rodziny do Chicago byłoby błędem. Dzieciaki dość już doświadczyły zmian i zawirowań - wystarczy im na całe życie.

A na myśl o Mike'u wydanym na pokusy wielkiego miasta przebiegały go ciarki. Sprzeda dom w Chicago, kupi nowy tutaj i zacznie nowe życie.

W związku z tym zadzwonił do Halluma i poprosił o przeniesienie do oddziału w Lexington.

Szef zareagował na tę prośbę homeryckim śmiechem.

- Elly May cię usidliła? - spytał. - W centrali robiono zakłady, ile jej to zajmie.

- Coś w tym stylu - odparł Will, pilnując się, by w jego głosie nie słyhać było rozdrażnienia. Wiedział, że wtedy do końca życia stałby się obiektem kpin.

- Pod koniec stycznia Matthews przechodzi na emeryturę

- podjął Hallum. - Z moją rekomendacją możesz spokojnie uważać jego stanowisko za swoje.

To było takie proste. Oprócz nowego życia i nowej rodziny Will dostał też obietnicę awansu. Poprzysiął sobie w duchu, że pokocha zapach końskiego nawozu, choćby miało to go zabić.

Właśnie wsiadał z Molly do samochodu, kiedy na podjeździe ukazała się furgonetka Federal Express. Zamierzali odebrać dzieciaki ze szkoły, a potem w szóstkę udać się do urzędu stanu cywilnego i załatwić formalności związane ze ślubem. Sama uroczystość miała się odbyć w najbliższą sobotę. W

przyleci Kevin, rodzice Willa i Debbie, a na widok listy zaproszonych przyjaciół i sąsiadów, sporządzonej przez Molly, Will tylko pokręcił głową.

Ale co tam. Dwa razy się człowiek żeni.

Wziął od kuriera grubą żółtą kopertę i obracał ją w rękach.

Została przysłana z oddziału w Chicago i zawierała liścik wraz z kasetą magnetofonową.

Na kartce widniało tylko jedno słowo: „Winszujemy!”

i podpisy kolegów z biura w Chicago.

Bardziej tajemnicza była kasetka. Na białej koszulce napisano: „Włącz mnie”. Will wsiadł do samochodu, podejrzliwie przyglądając się podarunkowi.

- Co to? - spytała Molly, uśmiechając się do niego.

- Nie mam pojęcia. I wątpię, czy chcę się dowiedzieć.

Pocałował ją w usta, uruchomił silnik i włożył kasetę do magnetofonu.

Ryknęła muzyka. Will usłyszał cudownie fałszujący chór kolegów z pracy i wybuchnął śmiechem.

*Zamieszkać pragnę wśród pól zielonych
Ze swojej farmy co rok zbierać plony,
Co rano patrzeć na pszeniczny łan,
Żegnaj, Chicago, mój raj jest tam!*

Table of Contents

[Rozpoczni](#)